TWÓRCZOŚĆ

U. I. C. C.
NOV 30 1978
LIBRARY

5

M A J

ROK VIII 1952

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VIII ZESZYT 5

WARSZAWA MAJ 1952

Zakłady Graficzne i Wydawnicze Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 1094 z dn. 2.4.52 r. Nakład 6.550 Druk ukończono 10.5.52 3-B-18708

Odpowiedź towarzysza Stalina na pytania grupy redaktorów gazet amerykańskich

Agencja TASS donosi:

Grupa redaktorów amerykańskich gazet prowincjonalnych zwróciła się do towarzysza Stalina w imieniu 50 redaktorów tych gazet z czterema pytaniami, na które towarzysz Stalin udzielił poniższych odpowiedzi:

PYTANIE: Czy trzecia wojna światowa jest obecnie bliższa, niż przed dwoma lub trzema laty?

ODPOWIEDŹ: Nie, nie jest bliższa.

PYTANIE: Czy spotkanie szefów wielkich mocarstw byłoby pożyteczne?

ODPOWIEDŹ: Możliwe, że byłoby pożyteczne.

PYTANIE: Czy uważa Pan obecną chwilę za odpowiednią dla zjednoczenia Niemiec?

ODPOWIEDŹ: Tak, uważam.

PYTANIE: Na jakiej podstawie możliwe jest współistnienie kapitalizmu i komunizmu?

ODPOWIEDŹ: Pokojowe współistnienie kapitalizmu i komunizmu jest całkowicie możliwe, jeśli istnieje obopólna chęć współpracy oraz gotowość wykonywania przyjętych zobowiązań, jeśli przestrzegana jest zasada równości i niewtrącania się w wewnętrzne sprawy innych państw.

Ogłoszono 3 kwietnia 1952 r.

Depesza Józefa Stalina do Bolesława Bieruta

DO

PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

TOWARZYSZA BOLESŁAWA BIERUTA

WARSZAWA

W DNIU WASZEGO SZEŚĆDZIESIĘCIOLECIA POZWÓLCIE POZDROWIĆ WAS, TOWARZYSZU PREZYDENCIE, JAKO WIELKIEGO BUDOWNICZEGO I KIEROWNIKA NOWEJ, ZJEDNOCZONEJ, NIEPODLEGŁEJ LUDOWO-DEMOKRATYCZNEJ POLSKI.

PRZESYŁAM WAM SERDECZNE ŻYCZENIA ZDROWIA I SUKCESÓW W WASZEJ DZIAŁALNOŚCI DLA DOBRA BRATNIEGO NARODU POLSKIEGO I DALSZEGO UMOCNIENIA PRZYJAŹNI MIĘDZY RZECZPOSPOLITĄ POLSKĄ I ZWIĄZKIEM RADZIECKIM W INTERESIE POKOJU NA CAŁYM ŚWIECIE.

J. STALIN

BOLESŁAW BIERUT

Przemówienie na otwarcie radiostacji we Wrocławiu

wygłoszone dnia 16 listopada 1947 roku

Obywatele! Polskie Radio otwiera dziś we Wrocławiu nową stację nadawczą o mocy 50 kilowatów. Jest to druga stacja tego typu w Polsce obok Raszyna. Fakt, że stację radiową tej wielkości otrzymują nasze Ziemie Odzyskane, że powstaje ona jako nowa zdobycz kulturalna odbudowującego się z gruzów Wrocławia — nadaje temu poważnemu osiągnięciu Polskiego Radia szczególną wagę. Jest to niewątpliwie nowy nasz dorobek kulturalny o znaczeniu ogólnopaństwowym.

Radio staje się dziś coraz bardziej nieocenionym instrumentem w rozwoju i w upowszechnieniu kultury. Gdy do niedawna jeszcze, w starym przedwojennym układzie społecznym, było ono przeważnie tylko narzędziem rozrywki stosunkowo szczupłych warstw, to dziś staje się zdobyczą kulturalną coraz liczniejszych mas społecznych.

W Polsce Odrodzonej radio jest już czynnikiem mobilizującym najszersze masy obywateli do odbudowy kraju, jest potężnym środkiem wychowania i uspołecznienia młodzieży i dorosłych, jest nowym instrumentem kształtowania psychiki ludzkiej i doniosłym orężem upowszechnienia oświaty, sztuki i kultury. Okupant hitlerowski ze szczególną pasją niszczył, uchodząc, sieć radiową na ziemi polskiej. W okresie powojennym Radio Polskie odbudowało 14 stacji nadawczych o łącznej mocy 200 KW, zradiofonizowało około 2500 wsi, zainstalowało przeszło 150 tysięcy głośników mieszkaniowych. Liczba abonentów radia wynosi 650 tysięcy i szybko wzrasta.

Nowa radiostacja wrocławska:

umożliwia szybką rozbudowę sieci odbiorczej nie tylko na terenie Dolnego Śląska, ale też i znacznie dalej poza jego terenem;

ułatwia poważnie wzrost liczby abonentów radia wśród ludności Ziem Odzyskanych;

wiąże mocniej tę ludność z całokształtem naszego życia społecznego, kulturalnego i ogólnonarodowego.

W niedługim czasie stację radiową o takiej mocy otrzyma również Szczecin. Będzie to nowy wielki krok naprzód nie tylko w kierunku wyrównania obecnego upośledzenia kulturalnego ludności Ziem Odzyskanych, ale i w kierunku przyśpieszenia najdonioślejszego dziś dla nas, Polaków, procesu pełnego scalenia naszych prastarych odzyskanych ziem piastowskich z ojczyzną.

Choć dziś już większość społeczeństwa zdaje sobie sprawę z wielkiego, historycznego znaczenia tego faktu scalenia Ziem Odzyskanych z Polską, to jednak nie wszyscy jeszcze doceniają w pełni zadania, jakie z tego faktu wynikają. Dzisiejsza uroczystość otwarcia radiostacji wrocławskiej, jak również okoliczność, że temu ważnemu zjawisku naszego życia kulturalnego towarzyszy nie mniej poważne wydarzenie z tejże dziedziny — zjazd we Wrocławiu literatów polskich, którzy obradować będą nad sprawami dalsze-

go rozwoju naszej kultury — skłania do skoncentrowania dziś naszej uwagi na tym właśnie zakresie zadań. Są to zadania równie doniosłe na terenie Ziem Odzyskanych, jak i na terenie całego kraju. Ale sądzę, że nie jest bynajmniej rzeczą tylko przypadku, iż ludzie owiani troską o prawidłowy rozwój naszego życia kulturalnego, pragną dać wyraz tej trosce właśnie tutaj, na Ziemiach Odzyskanych, gdzie niewątpliwie najbardziej uwidocznia się rozdźwięk między dynamiką osiągnięć gospodarczych a niezaspokojonymi potrzebami życia umysłowego. Jakkolwiek zrozumiałe i wytłumaczone wydawałyby się przyczyny tego rozdźwięku, jest rzeczą niewątpliwą, że nowe warunki życia społecznego Polski Odrodzonej wymagają właśnie usunięcia wszelkich nierównomierności w rozwoju człowieka.

Zadanie to nie jest ani proste, ani łatwe. Upośledzenie kulturalne wielkich mas ludu pracującego ma swe bezpośrednie źródło w ich upośledzeniu ekonomicznym, w ciężkich warunkach ich bytu materialnego.

Jest to najbardziej ponura puścizna ustroju społecznego, który dbał tylko o wysoką stopę życia warstw uprzywilejowanych i pasożytniczych. Kapitalizm rozwinął wspaniałe środki techniczne, ale skazując masy ludowe na nędzę, na wykolejenie, na ciemnotę, na najniższy poziom bytu materialnego i duchowego — tłumił i hamował w ludziach wzrost potrzeb kulturalnych w oparciu o wielkie zdobycze wiedzy, cywilizacji i kultury ludzkiej. W chciwości i pogoni za zyskiem, w żądzy panowania nad światem doprowadził do wyniszczenia nie tylko wielowiekowy dorobek kultury, ale i samego człowieka.

Polska wyzwolona z niewoli i tyranii hitlerowskiego barbarzyństwa odrzuciła równocześnie puściznę starego, sanacyjnego układu społecznego, starych stosunków polityczno-gospodarczych. Ale ciąży na niej puścizna wojennych rumowisk i popiołów, a oprócz tego mniej dostrzegalna, ale niemniej trudna do wykarczowania puścizna wynaturzeń w psychice ludzkiej, puścizna zacofania, ciemnoty, obskurantyzmu, upośledzenia kulturalnego. Dla przezwyciężenia skutków tej podwójnej puścizny musimy czynić równocześnie wysiłki w dwóch kierunkach:

po pierwsze — w kierunku najszybszej odbudowy kraju i podniesienia materialnych warunków bytu całego narodu, a przede wszystkim warstw pracujących;

po drugie — w kierunku uzdrowienia wynaturzonej przez niesprawiedliwy ustrój społeczny psychiki ludzkiej i likwidacji zacofania, podnoszenia poziomu oświaty i kultury najszerszych mas ludowych.

Oba te zadania są najściślej ze sobą związane i wzajemnie uwarunkowane. Nie podobna rozwiązać jednego bez równoczesnego wypełnienia drugiego.

Od jednostronnego ujmowania zadań i problemów rozwoju zarówno gospodarki, jak i kultury ogólnonarodowej — zadań jak najściślej ze sobą związanych — nie są wolni, niestety, często ani kierownicy naszej ekonomiki, osiągający wspaniałe wyniki w odbudowie produkcji, ale z lekkim sercem traktujący dziedzinę sztuki — muzyki, malarstwa, literatury — słowem, rozległą dziedzinę wzruszeń i przeżyć artystycznych, ani też — i to nieraz nawet w większym jeszcze stopniu — zawodowi reprezentanci kultury, ludzie, których powołaniem, misją społeczną jest kształtowanie psy-

chki człowieka. Ta jednostronność — to również działająca jeszcze puścizna starej, przebrzmiałej tradycji. Nie odpowiada ta jednostronność w najmniejszym stopniu wielkiemu procesowi przeobrażeń społecznych, które dokonały się i dokonują nadal w narodzie polskim, a których celem jest usunięcie przeciwieństw społecznych, naprawianie niesprawiedliwości i krzywdy, jaką niosły one masom ludowym.

Podstawowym warunkiem naprawienia tej krzywdy jest ułatwienie człowiekowi pracującemu, czyli milionom ludzi stanowiącym naród, możliwości wszechstronnego rozwoju, a więc rozwoju zarówno materialnego, jak duchowego, zarówno gospodarczego jak i kulturalnego.

Aby wyrównać wielką krzywdę społeczną mas ludowych, czynimy wysiłki, aby podnieść ich stopę życiową, aby z kraju zacofanego gospodarczo uczynić kraj przodujący w dziedzinie przemysłowej i technicznej. Nie można tego osiągnąć bez równoczesnego podniesienia poziomu oświaty, nauki i kultury mas ludowych, bez równoczesnego kształtowania nowego typu człowieka, człowieka przodującego, który potrafi świadomie budować, który potrafi opanować technicznie swoją pracę, który potrafi zrozumieć i docenić zadania i drogi naszego ogólnonarodowego rozwoju.

A więc aby iść szybko naprzód, aby wydobyć się z ponurej puścizny zniszczeń i zacofania, aby utorować narodowi wolną drogę pełnego rozkwitu jego sił twórczych, konieczny jest rozwój nie tylko przemysłu i rolnictwa, konieczny jest również szybki rozwój oświaty, nauki, kultury i sztuki, konieczny jest równoczesny rozwój pełnych potrzeb materialnych i duchowych człowieka.

Wynikiem ustroju opartego na przeciwieństwach społecznych był sztuczny i nieosiągalny dla mas ludowych dystans między człowiekiem ciężkiej pracy fizycznej a człowiekiem nauki, kultury, sztuki. Radość życia na wysokim poziomie zdobyczy wiedzy, kultury, sztuki była dostępna dla niewielu wybranych. Inteligencja zawodowa, ludzie nauki, wychowawcy, artyści, pisarze, muzycy, poeci, malarze, utalentowani wykonawcy dzieł sztuki i różnorodni posłannicy kultury oddziaływający na wyobraźnię, uczucia, myśli i wzruszenia ludzkie, byli oddzieleni nieprzebytym murem od wielkich mas narodu, tworzących w pocie czoła materialne podstawy ich wiedzy, kultury i sztuki. Jeśli chodzi o dziedzinę poglądów na świat i społeczeństwo ludzkie, to ustrój oparty na przeciwieństwach był królestwem przesądów i wzajemnych niechęci nie tylko u dołu, ale i u góry, z tym że przesądy u góry były szkodliwsze i trwalsze mimo pokostu formalnej wiedzy i formalnej kultury. Znaczne pozostałości tych przesądów w umysłach przedstawicieli nauki, kultury i sztuki trwają, niestety, do dziś dnia i wymagają krytycznego przeciwdziałania. Wolny od przesądów działacz naukowy i kulturalny, twórca czy wychowawca — musi zdawać sobie przede wszystkim sprawę z tego, że podstawowym źródłem jego twórczości jest ciężka praca robotnika i chłopa, codzienny, mozolny wysiłek ludu pracującego, który go żywi i karmi, wobec którego jest on moralnie zobowiązany. Obowiązkiem twórcy, kształtującego duchową dziedzinę życia narodu, jest wczuć się w tętno pracy mas ludowych, w ich tęsknotę i potrzeby, z ich wzruszeń i przeżyć czerpać natchnienie twórcze do własnego wysiłku, którego celem głównym i podstawowym powinno być podniesienie i uszlachet-

nienie poziomu życia tych mas. Twórczość oderwana od tego celu, sztuka dla sztuki, wynika z pobudek aspołecznych.

Cechą znamienną przeżywanego przez nas okresu jest to, że nie wybrane tylko warstwy i nie wyjątkowe tylko postacie, nie indywidualni bohaterowie ani elita wytrawnych smakoszów wiedzy, sztuki, kultury działają dziś na potężnej scenie dziejowych przemian w życiu narodów.

Cechą znamienną tego okresu jest właśnie to, że miliony najprostszych ludzi weszły na tę drogę życia publicznego, że pragną one stać się czynnymi, a nie biernymi tylko jej uczestnikami, że stają się one stopniowo świadomym i twórczym czynnikiem dziejów.

Cóż warta byłaby twórczość artystyczna, cóż warta byłaby sztuka, wiedza czy literatura, która by nie dostrzegła, nie pojmowała, nie czerpała natchnienia z tych głęboko rewolucyjnych przemian i zjawisk, które się dokonywują, które nurtują w umysłach, które wstrząsają podświadomie psychiką milionów prostych ludzi.

Upowszechnienie i uwspółcześnienie twórczości kulturalnej we wszystkich jej różnorodnych przejawach i dziedzinach — oto zadanie, które wkłada na barki obecnego pokolenia twórców i na barki całego narodu nowy okres historyczny, okres demokracji ludowej.

Upowszechnienie — to znaczy ogarnięcie atmosferą pragnienia wiedzy, samokształcenia, rozwoju upodobań kulturalnych i artystycznych milionowych mas młodzieży robotniczej i chłopskiej i przyswojenie sobie przez te masy wiedzy i upodobań artystycznych, obudzenie zainteresowań kulturalnych w milionowych rzeszach ludu pracującego i ich zaspokajanie.

Uwspółcześnienie twórczości kulturalnej — to znaczy wyzwolenie jej ze starych przesądów, to znaczy tworzenie nowych wartości kulturalnych, wyrastających z nowych form społecznych, z nowej rzeczywistości, lecz nawiązujących do najcenniejszych walorów naszej puścizny kulturalnej.

Najzupełniej nieuzasadniony i fałszywy jest przesąd, że ludzie pracy, że ich zainteresowania wymagają obniżenia poziomu twórczości kulturalnej i artystycznej, dostosowania jej do specyficznego, jakoby prostackiego gustu i upodobań mniej lub więcej ordynarnych lub sprośnych. Wprost przeciwnie. Przeżyciom ludzi prostych, ludzi ciężkiej, mozolnej pracy, obca jest nieokiełznana zmysłowość, wyrafinowany erotyzm różnych pasożytów-spekulantów i ludzi bez jutra, ludzi dnia wczorajszego. Tęsknoty duchowe i przeżycia wzruszeniowe ludzi pracy szukają z reguły ujścia w głęboko etycznych, społeczno-wyzwoleńczych ideałach i obrazach. Sztuczna wulgarna „kultura ludowa", sztuka dla maluczkich — to wynalazek jaśniepańskiego dworu, a nie rzeczywista potrzeba chłopa czy robotnika.

Pornograficzną produkcją brukową usiłowano od lat zatruwać świadomość ludzi pracy, aby ich pchnąć na manowce, aby ich odwieść od drogi walki. Oczywiście, wysoka, subtelna forma artystyczna wymaga przygotowania, kształcenia, stopniowego rozwinięcia smaku i upodobań, ale odnosi się to w jednakowym stopniu do wszystkich ludzi, którzy tego przygotowania nie posiadają. Potrzeby psychiczne mas ludowych mają głęboki podkład społeczny, którego źródłem jest odczucie krzywdy, upośledzenia, nierówności, paląca tęsknota ku lepszym, szlachetniejszym i sprawiedliwszym ideałom i formom życia społecznego. Coraz bardziej bowiem dojrzewa

w nich świadomość tego, że reprezentują siły postępu kulturalnego, w przeciwieństwie do skostniałych czy zaśniedziałych starych form kulturalnych tych warstw, które schodzą już z widowni dziejowej. Czynna, twarda i głęboko etyczna postawa duchowa, wysoko uspołeczniony i ofiarny patriotyzm — oto cechy psychiczne, które kształtują się pod wpływem warunków pracy i bytu mas ludowych. Do tych więc cech i budzących się pod ich wpływem podświadomych potrzeb kulturalnych powinni nawiązywać twórcy i wychowawcy, pionierzy i działacze oświatowi, artystyczni, kulturalni.

Uwspółcześnienie twórczości kulturalnej — to znaczy jej jak najgłębsze uspołecznienie i unarodowienie. Każdy okres historyczny stawia przed twórczością kulturalną narodu określone wymagania. Wymagania te wysuwają najbardziej przodujące i postępowe warstwy społeczne. Jakież wymagania odpowiadają potrzebom chwili dzisiejszej, dzisiejszego etapu zadań stojących przed narodem polskim?

O zadaniach tych mówi się często, są one nader rozległe, wynikają ze szczególnego okresu najgłębszych przemian, jakie naród nasz kiedykolwiek przeżywał. Nie wdając się w szerokie rozważania, można by powiedzieć krótko: twórczość artystyczna i kulturalna powinna być odzwierciedleniem wielkiego przełomu, jaki naród przeżywa. Powinna być — choć jeszcze nie jest. Nie jest, ponieważ wyraźnie nie nadąża za szybkim i potężnym nurtem dzisiejszego życia. Zestawmy choćby takie oto dwa przeciwstawne zjawiska: naród polski pochłonięty jest dziś olbrzymią pracą odbudowy kraju. Od tempa, od napięcia tej pracy, od wiary, poświęcenia się i oddania milionów budowniczych zależy pomyślne, sprawne i najbardziej korzystne dla narodu wykonanie tego potężnego zadania.

Spójrzmy teraz krytycznie na naszą twórczość naukową, artystyczną, literacką. O czym piszą uczeni, co pokazują teatry, kina, jakie pieśni dają narodowi poeci, jaki ton, jaki nastrój budzą utwory pisarzy? Czy często znajdziemy w nich radość wyzwolenia, zapał dla pracy, wiarę w owocność czynu? A takie przecież wymagania stawia dziś twórcom najwyższa potrzeba społeczna i ogólnonarodowa.

Oczywiście w psychice setek tysięcy ludzi rozgrywa się jeszcze i dziś tragedia niedawno przeżytej męki, która była udziałem całego narodu i pozostawiła po sobie głębokie rany.

Trudno nie usprawiedliwić ludzi, w których sercach tkwi jeszcze niezabliźniony ból, trudno nie przyznać, że lata okupacji i zdziczenia żłobiły w sercach wielu ludzi zwątpienie w człowieka. Czy poeta, artysta, twórca o zmyśle wyczulonym na przeżycia ludzkie nie mają prawa odzwierciedlić w sztuce tych tragicznych dni? Bezsprzecznie mają to prawo i obowiązek. Ale naród nie tylko cierpiał i wypopielał się w zgliszczach krematoriów, naród wydobywał się z odmętów tragedii przez walkę, przez niezrównane zrywy bohaterstwa i czynów, czynów o najwznioślejszych przeżyciach i uniesieniach, w których uczestniczyły setki tysięcy najdzielniejszych i najszlachetniejszych ludzi. Czy te czyny, uniesienia, przeżycia nie zasługują na to, by artysta wcielił je swym natchnieniem w pomnik wieczysty na chwałę i dumę narodu, na wzór przyszłym pokoleniom? Niewątpliwie tak. A dzisiaj — gdy po przebytej gehennie cierpień i strat naród nie załamał się, nie zwątpił, lecz przeciwnie — zdobył się na takie czyny i pracę, która

wprawia w podziw cudzoziemców, czyż nie znajdzie się artysta, który potrafi wcielić w pieśń wieczystą ten niezrównany hart i wolę twórczą? Są to tylko ogólne przykłady tematu artystycznego, a temat wybiera sam artysta w sposób wolny, zgodnie ze swym upodobaniem i odczuciem. Ale naród ma prawo stawiać swoje wymagania twórcom, a jednym z podstawowych wymagań jest, aby głębszy nurt utworu, jego cel, jego zamierzenia odpowiadały potrzebom ogółu, aby nie budziły zwątpienia, gdy potrzeba zapału i wiary w zwycięstwo, aby nie apoteozowały depresji, gdy naród chce żyć i działać.

Sądzę, że w dziedzinie twórczości kulturalnej powinna istnieć ta sama współzależność między jednostką i społeczeństwem, jaka istnieje w dziedzinie twórczości dóbr materialnych. Nie tylko twórca kształtuje kulturę narodu, ale i naród musi kształtować twórców swej kultury przez uznanie lub odrzucenie ich wytworów, przez krytykę lub wyróżnienie.

Wynika z tego, że w dziedzinie twórczości kulturalnej niezbędne są również elementy planu i kontroli społecznej.

Wśród różnych środków oddziaływania na ludzi sztuka bodaj najgłębiej i najwszechstronniej oddziaływuje na społeczeństwa, kształtuje je, urabia i wychowuje. Dzieło sztuki działa głęboko, zarówno na umysł jak uczucia i wyobraźnię, może wstrząsnąć człowiekiem, przekonać go, porwać. Wystarczy dla przykładu wspomnieć, jak wielką rolę w naszej historii kształtowania ducha narodu, w mobilizacji całego społeczeństwa polskiego odegrali w okresie niewoli Mickiewicz i Słowacki. Trzeba, żeby nasi twórcy współcześni pamiętali, że ich dzieła powinny kształtować, porywać i wychowywać naród. Trzeba, aby nasi twórcy, nasza literatura, nasz teatr, nasza muzyka, nasz film związane były jak najściślej ze społeczeństwem, z jego bolączkami i dążeniami, z jego wysiłkami, z pracą, marzeniami, aby wskazywały mu drogę, mobilizowały do twórczej pracy, aby wydobywały z ludzi najszlachetniejsze pierwiastki, stawały się bodźcem postępu i doskonalenia społecznego.

Te wielkie zadania sztuka będzie spełniać mogła tylko wtedy, jeśli czerpać będzie swoje soki, swoją treść z tych samych źródeł, z których czerpie treść swego życia, pracy i walki o nową Polskę, całe nasze społeczeństwo, cały nasz naród.

Konieczna jest na całym froncie kulturalnym ofensywa w kierunku upowszechnienia i udostępnienia kultury dla całego narodu. Trzeba, aby przy wysokim poziomie artystycznym książka była tania, dobra i dostępna dla najszerszych mas. Trzeba, aby teatr, dążąc do jak najwyższego poziomu artystycznego, był tani i nastawiony swoją treścią nie na elitę, lecz na szerokie masy. Trzeba, aby filmy były tanie i dostępne dla wszystkich. Trzeba, aby najlepszych utworów muzycznych mógł słuchać w salach koncertowych chłop i robotnik. Dlatego konieczna jest przede wszystkim planowa praca w tej dziedzinie. Musimy, tak jak we wszystkich innych dziedzinach naszego życia, przejść do planowania także w dziedzinach kultury i sztuki. Konieczny jest plan wydawnictw, plan repertuarowy teatrów, podobnie jak istnieje plan radiofonizacji kraju czy kinofikacji. Jest również rzeczą konieczną, aby przy szczupłych środkach, jakimi rozporządzamy, nie rozproszkowywać naszych sił, lecz koncentrować

na najważniejszych zagadnieniach. To znowu pociąga za sobą konieczność ększego niż dotychczas organizacyjnego scalenia i usprawnienia pracy odcinku kulturalnym.

Oddziaływanie kulturalne nie zamyka się tylko w ramach jednego kraju narodu.

Kultura i sztuka — to bodaj najwspanialszy środek zbliżenia między rodami, pokojowej współpracy między nimi. Wymiana kulturalna jest mniej ważna dla współpracy narodowej niż wymiana dóbr materialnych. nowu radio jest bodaj najlepszym narzędziem tego zbliżenia i współpracy. zykład Radiowego Festiwalu Muzyki Słowiańskiej, który wywołał tak ne zainteresowanie nie tylko w krajach słowiańskich, lecz w całej Euro- — mówi sam za siebie. Ta współpraca i zbliżenie w dziedzinie kultural- jest tylko jednym z przejawów zasadniczego dążenia wszystkich naro- w demokratycznych: oparcia powojennego świata na zasadzie pokojowej półpracy i braterstwa.

Muszę stwierdzić z uznaniem, że Polskie Radio dokonuje poważnego siłku, aby dotrzeć rzeczywiście do szerokich rzesz robotników, chłopów nteligencji. Akcja ta posiada poważne znaczenie.

Winszując Polskiemu Radiu nowego sukcesu w związku z otwarciem cji wrocławskiej, życzymy mu dalszego pomyślnego i szybkiego rozwoju. Winszuję także słuchaczom radia na ziemiach zachodnich, które w ten sób ściślej jeszcze zespolą się z całym krajem.

Pragnę przekazać gorące pozdrowienia młodzieży studiującej na polu cy kulturalnej. Sprawie kultury należy poświęcić więcej czasu, niż do- hczas jej poświęcaliśmy — my, odbiorcy literatury. Cieszę się ogromnie, właśnie we Wrocławiu rozpocznie się Zjazd Związku Zawodowego Lite- ów Polskich, któremu chcę w imieniu własnym i całej Rzeczypospolitej skiej przesłać gorące pozdrowienia.

Żyjemy w specjalnym okresie, w którym sprawy wewnętrzne człowieka dane zostały głębokim przeobrażeniom. Bardzo szeroko rozwija się u nas ca kulturalna, odbudowuje się i buduje szkoły i uczelnie, działalność zaś dawnicza jest bardzo intensywna, ale rozwój tej pracy odbywa się jak by jeszcze żywiołowo, sam przez się. Brak jest skoordynowania, powią- ia wysiłków i dlatego postawienie zagadnień, związanych z kulturą, na porządku dnia, jest sprawą aktualną.

Chciałbym, aby kultura przestała być zdobyczą tylko pewnych warstw łecznych, chodzi mi o to, żeby zagadnieniami kultury zaczął żyć czło- k, wytwarzający dobra materialne — chłop i robotnik.

My, przedstawiciele demokracji ludowej, stawiamy sobie bardzo ambitne anie — żeby najwyższe zdobycze kultury przenieść do mas.

Pragnąłbym, żeby zagadnieniami kultury zajmowało się całe społeczeń- o. Z okazji Zjazdu życzę jego uczestnikom pomyślnych i możliwie roz- ych obrad nad tym podstawowym zagadnieniem kultury, nad którym zyna się głowić prosty człowiek.

os Ludu"

listopada 1947 r.

Przemówienie w fabryce im. Generała Świerczewskiego

wygłoszone dnia 2 maja 1949 roku

Obywatele i Towarzysze!

Rad jestem z okazji spotkania się z wami jako z jednym z najstarszych zespołów robotniczych Warszawy, tworzących jedną z ważniejszych placówek naszego przemysłu i noszących imię bohatera Polski Ludowej — Karola Świerczewskiego. Pragnę więc najprzód złożyć całemu zespołowi waszej fabryki jak najgorętsze i serdeczne pozdrowienia.

Wczorajszy dzień 1-majowy był wielkim i wspaniałym przeżyciem nie tylko dla klasy robotniczej, ale dla olbrzymiej większości naszego narodu. Wielomilionowe masy pracujące z miast i wsi, ludzie pracy fizycznej i umysłowej, mężczyźni i kobiety, cała prawie młodzież — zarówno pracująca jak i ucząca się — wszyscy wyszli na ulicę z radosnym poczuciem siły, jedności i wiary w ostateczne zwycięstwo prawdy, sprawiedliwości, pokoju i postępu na całym świecie, to znaczy w zwycięstwo socjalizmu.

Źródłem naszej siły jest władza ludowa, jest nasze państwo demokracji ludowej, państwo ludu pracującego, który buduje w Polsce fundamenty nowego ustroju społecznego — opartego na zasadach gospodarki socjalistycznej, tzn. gospodarki bez kapitalistów i obszarników, bez spekulantów i darmozjadów, gospodarki, w której jedynym właścicielem i gospodarzem fabryk, hut, kopalń, wszelkich zakładów przemysłowych, kolei, portów, okrętów — słowem: wszystkich środków i urządzeń wytwórczych, będzie cały naród polski. Już dziś rozwija się i osiąga coraz wspanialsze wyniki nasz unarodowiony przemysł państwowy, w którym gospodarka planowa zdała dobrze swój egzamin, ponieważ pierwszy trzyletni narodowy plan gospodarczy był wykonywany w ciągu ubiegłych dwóch lat z nadwyżką, zaś w roku bieżącym zostanie — dzięki wysiłkom i entuzjazmowi klasy robotniczej — zakończony przedterminowo.

Klasa robotnicza naszego kraju uczciła tegoroczne Święto 1-Majowe nie tylko pięknymi uroczystościami i potężnymi demonstracjami na ulicach miast, ale również swym specjalnym „Czynem Majowym", który — jak i poprzedni „Czyn Kongresowy", poświęcony wielkiemu aktowi Zjednoczenia Partii Robotniczych — zadokumentował dobitnie, że polska klasa robotnicza pragnie ze wszystkich swych sił przyśpieszyć budowę fundamentów gospodarczych nowego ustroju społecznego — socjalizmu.

Możemy dziś śmiało stwierdzić na podstawie doświadczeń minionego okresu od chwili wyzwolenia, że podstawy gospodarcze tego nowego ustroju społecznego będą w Polsce potężne i trwałe, że odbudowa zniszczonych przez wroga miast i wsi będzie postępowała coraz szybciej, że nasz nowy sześcioletni program uprzemysłowienia Polski, wydobycia jej gospodarki z wiekowego zacofania i pchnięcia naprzód rozwoju jej sił wytwórczych tak, aby dorównały krajom najbardziej przodującym — będzie rozwiązany w pełni i pomyślnie, ponieważ pragną tego gorąco masy pracujące naszego kraju, które już dziś nie szczędzą wysiłku, aby ten wielki i doniosły program historyczny zamienić w rzeczywistość.

Jest rzeczą niewątpliwą, że naszej pracy nad usunięciem zacofania gos

arczego muszą towarzyszyć wysiłki w kierunku usunięcia naszych domagań kulturalnych, a w tej dziedzinie byliśmy szczególnie upośle-ni. Mamy jeszcze dotąd w kraju duży odsetek obywateli, którzy nie ieją czytać i pisać, a miliony robotników i chłopów mogły zdobywać ko wykształcenie początkowe przeważnie zaledwie paroletnie. Szkoła dnia i wyższa były niedostępne do niedawna dla dzieci ludzi pracują-h; książki, biblioteki, muzea, instytucje kultury, sztuki, wiedzy były korzystywane tylko przez nielicznych i znajdowały się w liczbie nie-ółmiernej i nieprzystosowanej do potrzeb mas pracujących. Stary ustrój łeczny nie tylko nie troszczył się o poziom życia kulturalnego i umys-ego mas ludowych, ale na odwrót: czynił wszystko, aby utrzymywać te sy w ciemnocie, przesądach, zacofaniu kulturalnym, ponieważ taki stan nował rozwój świadomości ludzi pracy i ułatwiał wyzyskiwaczom ucie-żenie ludu pracującego, utrzymywanie go w bierności. My musimy enić to radykalnie, jak najszybciej, gdyż siła władzy ludowej i rozkwit odzonej Polski oparty jest na świadomości i aktywności mas. Polska dowa jest dla nas Rzeczpospolitą ludzi pracy, którzy gorąco kochają ją ojczyznę i gotowi są poświęcić jej wszystkie swe siły i talenty twór- A siły i talenty twórcze mas ludowych mogą rozwinąć się w pełni tylko warunkach wysokiego poziomu kultury i wiedzy. Zabezpieczyć ludowi cującemu pełne możliwości twórczego życia, jak największy i najaktyw-jszy udział w rządzeniu państwem — to właśnie podstawowe zadania lowniczych socjalizmu. Jakaż jest możliwość twórczego życia, czynnej społecznej bez wiedzy i wykształcenia, bez książki, biblioteki, prasy, ia, kina, teatru i innych podstawowych urządzeń kulturalnych, które twiają poznawanie życia społecznego oraz otaczającej człowieka przyro- Życie, pozbawione dostępu do prawdziwej pełnej wiedzy, a nie do ochła-v, do wszystkich postępowych zdobyczy myśli ludzkiej, a nie do namia-k i falsyfikatów nauki, do urządzeń społecznych, ułatwiających rozwój ysłowy człowieka, do instytucji krzewiących prawdziwą naukę, ukę i kulturę ogólną — jest niezwykle ograniczone i ubogie. Jest to wda tak oczywista i bezsporna, że — zdawałoby się — zbyteczne jest jej ytarzanie. A przecież obrońcy starego ładu społecznego nie wahają się prawdzie oczywistej przeczyć publicznie, wciąż licząc na to, że zdołają zymać i nadal w zacofaniu, w ciemnocie, w przesądach miliony prostych zi. Trzeba umieć dostrzec w tym stanowisku cały bezmiar fałszu łudy.

Wszelka chęć powstrzymania rozwoju człowieka i jego ciągłego postępu rzód w poznawaniu wszechświata, w odkrywaniu praw, które warun-ą bieg dziejów, zarówno przyrody jak i społeczeństw ludzkich, mimo udnych często argumentów zmierza do utrwalenia ciemnoty i krzywdy zkiej. Właśnie w poznawaniu tych praw i tych dziejów zawarta jest cała ątkowa moc i rola twórcza człowieka we wszechświecie. Czymże byłby wiek, gdyby nie miał w sobie tej wspaniałej i twórczej siły po-wczej?

Ci, którzy usiłują powstrzymać człowieka w jego dążeniach poznaw-ch, popierają w istocie chciwość panowania nad bogactwem i dobrami łecznymi, które powstają z pracy milionów prostych ludzi. Tę chciwość

panowania człowieka nad człowiekiem w celach wyzysku wykazuje historia walk społecznych, które trwają od tysięcy lat. Od tysięcy lat warstwy uprzywilejowane usiłowały zapewnić sobie monopol władzy nie tylko nad materialnymi zdobyczami pracy ludzkiej, ale również nad duchowymi osiągnięciami człowieka, nad zdobyczami jego umysłu, jego wiedzy poznawczej, jego kultury. Utrzymanie monopolu władzy nad życiem umysłowym, kulturalnym i duchowym ludu pracującego jest właśnie jednym z podstawowych warunków zapewnienia sobie przez klasy uprzywilejowane monopolu władzy nad dobrami materialnymi, które lud pracujący stwarza.

W ciągu tysiącleci klasy posiadające zamykały ludziom pracy dostęp do wiedzy.

W czasach kapitalizmu, gdy sama technika produkcji wymagała pewnego minimum oświaty, gdy rosnąca walka mas pracujących zmuszała klasy uprzywilejowane do ustępstw, starano się utrzymać lud pracujący na jak najniższym poziomie oficjalnej oświaty powszechnej, do której również zdobywali dostęp nie wszyscy, gwarantując równocześnie klasom posiadającym uprzywilejowane warunki życia kulturalnego, niedostępne dla mas pracujących.

Podejmując sztandar walki o zniesienie ustroju społecznego, opartego na uciemiężeniu i wyzysku mas pracujących — klasa robotnicza wysunęła hasło całkowitej przebudowy życia, hasło socjalizmu.

W Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, w którym ustrój socjalistyczny w pierwszej swej fazie został w zasadzie zrealizowany, obok przedstawicieli dawnej inteligencji przeważającą część dzisiejszej inteligencji stanowią ludzie wyrośli spośród robotników i chłopów. Inżynierowie, lekarze, profesorzy, uczeni, artyści, pisarze, literaci, którzy czasami przyjeżdżają do nas w odwiedziny — to przeważnie synowie i córki robotników i chłopów albo nawet byli robotnicy i chłopi, którzy skończyli wyższe zakłady naukowe lub uniwersytety i akademie, przyswajając sobie tę lub inną dziedzinę wiedzy i sztuki.

Taki jest wynik zwycięstwa klasy robotniczej w ZSRR w ciągu minionych trzydziestu lat.

Socjalizm i nowa wyższa kultura mas pracujących są więc jak najściślej związane z codzienną pracą twórczą klasy robotniczej z chwilą, gdy zdobyła ona władzę polityczną, a tak jest dzisiaj i u nas w Polsce, tak jest w innych krajach demokracji ludowej, które wyzwoliły się z niewoli hitlerowskiej dzięki pomocy Armii Radzieckiej. Skończyło się u nas raz na zawsze panowanie obszarników i kapitalistów, choć działają jeszcze ludzie, którzy pragnęliby powrotu tych starych klas i którzy marzą o wojnie, to znaczy o nowych mordach i zniszczeniach, licząc, że tylko nowa wielka wojna światowa mogłaby przywrócić panowanie kapitalizmu.

Odpowiedzią na te zbrodnicze knowania były wczorajsze potężne demonstracje pierwszomajowe we wszystkich krajach świata pod hasłem obrony pokoju, odpowiedzią był Kongres Pokoju w Paryżu i Pradze, odpowiedzią jest postawa olbrzymiej większości ludzi na całym świecie, postawa, która daje zdecydowany odpór zakusom podżegaczy wojennych i wszystkich wsteczników. Lud pracujący całego świata będzie wiernym obrońcą pokoju i zgotuje sromotne bankructwo wszelkim siłom wstecznym, które prag-

łyby zatrzymać postęp ogólnoludzki, tworząc tamy i przeszkody dążeniom yzwoleńczym mas ludowych.

Klasa robotnicza w Polsce kroczy od czterech lat zwycięsko w tym po-odzie wyzwoleńczym pod przewodnictwem swojej Polskiej Zjednoczonej rtii Robotniczej, a wraz z nią kroczą naprzód do lepszego jutra szerokie asy pracujące miast i wsi. Nasze zadanie polega na tym, aby jak najszer-e masy pracujące w Polsce były nie tylko współuczestnikami tego po-odu, ale aby stały się one świadomymi współtwórcami nowego życia, cia, którego hasłem jest dziś upowszechnienie kultury, dźwignięcie jej wyższy poziom, udostępnienie jej wszystkim ludziom pracy. Można to iągnąć przez wszechstronny rozwój oświaty i czytelnictwa, organizację bliotek, kół samokształceniowych. świetlic, przez dalsze rozpowszechnie-e prasy i książki, przez coraz większe udostępnienie urządzeń i instytucji lturalnych: muzeów, teatrów, szkół muzycznych, koncertów itp. masom acującym. Nie możemy dopuścić do tego, aby rozwój życia umysłowego kulturalnego mas ludowych pozostawał znacznie w tyle za osiągnięciami naszej pracy produkcyjnej i osiągnięciami gospodarczymi, ponieważ óźnienia kulturalne nieuchronnie wpływają na zahamowanie również anów i wysiłków gospodarczych.

Dzisiejsza nasza skromna na pozór uroczystość otwarcia biblioteki waszej świetlicy fabrycznej ma z tego punktu widzenia znaczenie do-osłe. W ciągu Tygodnia Oświaty, Książki i Prasy, który zorganizowany stał z inicjatywy Partii i związków zawodowych — powstanie w całym aju około 2 600 takich bibliotek w świetlicach fabrycznych, w państwo-ych majątkach rolnych itp.

Przed paroma miesiącami około 1 500 bibliotek założono w gminach ejskich i około 20 tysięcy punktów czytelnictwa książek zapoczątkowano gromadach wiejskich. Ta inicjatywa społeczna jest ważnym uzupełnie-em wielkich wysiłków, jakie czyni nasze państwo ludowe w dziedzinie zwoju oświaty, czytelnictwa i kultury. Wystarczy wskazać, jako przy-ad tych wysiłków, że w ciągu minionych czterech lat zdołaliśmy rozsze-rć nasze szkolnictwo powszechne, średnie i zawodowe o blisko 10 tysięcy kół, czyli przeszło o jedną trzecią, przekraczając znacznie przedwojenną zbę uczącej się młodzieży, która np. w szkolnictwie wyższym jest dziś ukrotnie większą, przy czym dzieci robotnicze i chłopskie stanowią ś już na pierwszych kursach większość studentów naszych uczelni wyż-go typu. Drukuje się dzisiaj znacznie więcej książek i gazet, które coraz rzej docierają do mas pracujących nie tylko w mieście, ale i na wsi. odzież robotnicza i chłopska wykazuje niezwykły zapał do nauki, zwiedza az liczniej muzea i zbiory sztuki, korzysta intensywnie ze wszystkich deł naszej kultury.

Ale i my, starsi ludzie, musimy uczestniczyć w tej pracy nad pogłębie-m swej wiedzy i swej kultury.

Naszą pracę i nasze czyny oceniać będą całe szeregi pokoleń, które yjdą po nas — ponieważ my właśnie jesteśmy rodzicami nowej epoki — wego ustroju społecznego. Na nowy ustrój, który dziś rodzi się z na-go wysiłku, z naszej pracy, z naszych czynów, długo i w męce walki ekiwali nasi ojcowie, nasi poprzednicy, nasi bohaterowie, oczekiwaliśmy

również my — dzisiejsi jego twórcy. To nam właśnie, dzisiejszej klasie robotniczej, przypadło w udziale żyć na przełomie dwóch epok, przekształcać starą epokę w nową, stać się twórcami nowego wielkiego aktu dziejów ludzkich. Rezultat naszego wysiłku i naszego czynu dziejowego zależy więc całkowicie od tego, czy będziemy naprawdę świadomymi twórcami tych nowych dziejów. Słaby i bezsilny jest człowiek nieświadomy. Jest on jak stuprocentowy inwalida — ślepy, głuchy, bezradny. Świadomość człowieka jest jego rzeczywistą siłą i wartością. Świadomość klasy robotniczej jest jej orężem i jej potęgą — wielką, niepokonaną. Ona to w formie partii rewolucyjnej przewodziła ruchowi robotniczemu, prowadziła go do walki i zwycięstw. Pogłębiamy więc tę świadomość przez własny nasz wysiłek, przez poświęcenie codziennie choćby chwilki czasu książce, gazecie, wspólnemu czytaniu i pomocy ze strony bardziej wykształconych społecznie mniej uświadomionym towarzyszom.

W dniu jutrzejszym przypada 158 rocznica Konstytucji z dnia 3 maja 1791 roku. Klasa robotnicza czci tradycję tego okresu nie ze względu na treść samej Konstytucji, od której oczywiście dzieli nas już cała nowa epoka rozwoju społecznego i niewspółmierne już z tamtym okresem osiągnięcia wyzwoleńczych ruchów ludowych. Czcimy tradycje tego okresu, ponieważ odzwierciedla on historyczną walkę dwóch nurtów, walkę ludzi postępowych i światłych z uprzywilejowaną warstwą magnatów, ze wstecznictwem, które — tak jak to czyni i dziś — przeciwstawiało się zaciekle jakimkolwiek dążeniom do ulżenia doli mas ludowych. Byli jednakże ludzie światli i gorący, szczerzy patrioci, jak Hugo Kołłątaj, Stanisław Staszic i inni, którzy podjęli walkę ze wstecznictwem. Byli oni wśród tych, którzy powołali do życia Komisję Edukacyjną i w walce z ciemnotą i przesądami rzucili hasło udostępnienia oświaty ludowi, i choć nie zdołali oni przezwyciężyć sił wstecznictwa, które w postaci Targowicy obaliło również postępowe w ówczesnych czasach założenia Konstytucji 3 maja — to jednak naród ocenił ich walkę i postępowe dążenia. Dziś często wstecznicy sięgają do tradycji rocznicy 3-majowej nie dlatego, aby żywili szczególne uznanie dla nauki, która wypływa z ówczesnych walk społecznych, ale — na odwrót — w tym celu, aby pod płaszczykiem tradycji wypaczyć ówczesne idee i przeciwstawić ją uspołecznionym dążeniom postępowym.

My, wyciągając nauki z historii walk społecznych, nie tylko podjęliśmy hasło upowszechnienia oświaty i kultury wśród mas ludowych, zapoczątkowane — jakkolwiek nieśmiało jeszcze — przez twórców Konstytucji 3 maja, ale jako ich spadkobiercy urzeczywistniamy dzisiaj to hasło w skali bez porównania szerszej, opierającej je na walce o całkowitą przebudowę ustroju społecznego przez usunięcie wszelkich form wyzysku i upośledzenia człowieka.

Wzmacniajmy więc te nasze wysiłki. Twórzmy trwałe podstawy gospodarcze nowego życia mas pracujących, ich dobrobytu, ich kultury. Przyśpieszajmy rozwój tej kultury przez pracę nad sobą i przez pomoc wzajemną. W ten sposób zapewnimy ojczyźnie naszej rozwój jej sił i potęgi. W ten sposób przyśpieszymy zwycięstwo socjalizmu.

„Trybuna Ludu"
3 maja 1949 r.

Przemówienie do absolwentów Państwowych Liceów Pedagogicznych

wygłoszone dnia 18 czerwca 1950 roku

Młodzi przyjaciele!

Miło mi jest powitać was jako reprezentację siedmiotysięcznej rzeszy łodzieży, która ukończywszy licea pedagogiczne zasili w tym roku kadry auczycieli i wychowawców szkół podstawowych.

Nie ma piękniejszego zawodu nad zawód nauczyciela, który rozumie woje powołanie. Szkolnictwo Polski Ludowej czeka na was, na młode kadry yrosłe z ludu, z głęboką ufnością, że śmiało i ofiarnie ujmiecie w swe łonie promienny sztandar walki o wiedzę dla ludu.

Mamy dość chleba i żywności w naszej ojczyźnie. Szybko, coraz szybciej zrastać będą nasze zasoby materialne dzięki ofiarnemu wysiłkowi mas racujących, dzięki władzy ludowej, dzięki usunięciu przez lud wyzyski-aczy — kapitalistów i obszarników, dzięki — planowemu kierownictwu rzez państwo ludowe pracą wytwórczą robotników i chłopów. Możemy najgłębszym przekonaniem głosić nieodpartą prawdę, że w Polsce Ludo-ej nigdy w przyszłości nie będzie grozić ludziom pracującym głód, bezro-bcie i nędza materialna.

Ale nie przezwyciężyliśmy jeszcze braku wiedzy, nie wypleniliśmy eszcze do końca ciemnoty, której skutki są nie mniej dotkliwe dla społe-eństwa niż braki materialne. Nie odrobiliśmy jeszcze wielkich spustoszeń, óre w umysłach ludzkich czyni ciemnota, przesądy, naiwna dziecięca bez-ıdność setek tysięcy nieoświeconych ludzi wobec tych, którzy szerzą per-dnie fałsz i wstecznictwo. Nie uodporniliśmy jeszcze masy prostych ludzi rzeciwko oszukańczej propagandzie zamaskowanych szarlatanów i wrogów, iałających w służbie imperialistycznych wyzyskiwaczy i ciemiężycieli. więc walka o wiedzę — to najważniejsze zadanie dzisiejszego okresu his-rycznego i obecnego pokolenia.

Jesteśmy pokoleniem świadomych rewolucjonistów i patriotów, którzy tatecznie i raz na zawsze pragną wykorzenić klęskę ciemnoty ze stosun-ów społecznych, wzbogacić umysły milionów ludzi w największy skarb łowieka, jakim jest zdolność poznania prawdy, jakim jest nieocenione twórcze światło wiedzy.

Jest waszym szlachetnym powołaniem kształtować duszę dziecka, zaszcze-ać w nim zasady socjalistycznej moralności, poświęcenia dla klasy robot-icznej i narodu, dumy z najszlachetniejszych wzlotów naszego narodu, z jego ielkiego dorobku naukowego i kulturalnego, którego wyrazem jest twór-ość Kopernika, Mickiewicza i Chopina, twórczość wielu innych postaci, óre czci nasza historia. Dalsze pogłębianie tego wielkiego dorobku możemy iągnąć tylko w walce o socjalizm, w walce o Polskę socjalistyczną. Walka socjalizm — jest to właśnie walka o prawo każdego człowieka do nauko-ego poglądu na świat, czego nie można upowszechnić bez obalenia klaso-ego wyzysku, bez usunięcia podziału społeczeństwa na kapitalistów i ro-otników, na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych, to znaczy bez usunięcia przy-yny i źródła nędzy materialnej i ciemnoty człowieka, a przyczyną

i źródłem jest system społeczny oparty na grabieży i wyzysku — imperializm.

Dlatego też nauczyciel i wychowawca dzisiejszy musi być równocześnie bojownikiem społecznym, rewolucjonistą walczącym o socjalizm, tj. o nowy ustrój wolności, w którym zniknie raz na zawsze wyzysk i przemoc człowieka nad człowiekiem. Nauczyciel i wychowawca nowego pokolenia musi być szermierzem prawdy, postępu i sprawiedliwości społecznej. Ale tę misję doniosłą i szczytną można osiągnąć tylko wówczas, gdy się zgłębiło prawa, rządzące rozwojem społecznym, gdy się opanowało podstawy nowoczesnej wiedzy społecznej, podstawy naukowego poglądu na świat i społeczeństwo ludzkie.

Dla wychowania nowego pokolenia nie wystarczy wpoić w umysły dzieci pewną sumę wiadomości, które zalecały dawne programy nauczania. Szkoła burżuazyjna celowo wypaczała system nauki, fałszując jej istotę — metodę poznawczą, pogrążając w odmęcie oszukańczych idealistyczno-mistycznych teorii rzeczywiste zdobycze wiedzy, jej żywą i prawdziwą treść. Ten zakłamany stosunek do zadań naukowych w dawnym systemie nauczania był dyktowany interesami wyzyskiwaczy, usiłował ukryć i sfałszować istotę i sens osiągnięć nauki — ich znaczenie społeczne, a mianowicie to, że wszelka nauka służyć powinna wyzwoleniu człowieka, zarówno z przemocy żywiołowych sił przyrody, jak z przemocy starych stosunków społecznych.

Zadaniem nauczyciela w szkole burżuazyjnej było mechaniczne wtłaczanie do głowy wychowanków pewnego zakresu wiadomości, niezbędnych do sprawnego wykonywania określonej służby w kapitalistycznym systemie produkcji, którego głównym celem był zysk kapitalisty. Jeżeli uczeń potrafił z precyzją manekinu recytować w stopniu zadowalającym mechanicznie przyswojone pamięci formułki i daty oraz wykonywać określone zadania, w których wychowawca zdołał go wytresować w ciągu pewnej liczby lat — rola zarówno nauczyciela jak i ucznia uznawana była za wypełnioną, a określony papier — świadectwo ukończenia nauki — zabezpieczał absolwentowi zdobyty stopień wiedzy — najczęściej nie uzupełnianej już do końca życia. Samodzielna zdolność myślenia i wnioskowania zarówno u nauczyciela jak ucznia, przekraczająca założone z góry ramy — uznawana była w burżuazyjnym systemie nauczania za objaw raczej niebezpieczny i niepożądany.

Zadaniem dzisiejszej szkoły w nowych warunkach władzy ludowej jest wydobyć z każdej dziedziny wiedzy jej przeobrażającą i twórczą treść społeczną, to znaczy uczynić z każdej umiejętności, zdobywanej w procesie nauki, oręż ułatwiający człowiekowi jego zadania twórcze, jego walkę o lepsze i szczęśliwsze życie, ułatwiający dalsze poznawanie rzeczywistej prawdy, nie wypaczonej sztucznie przez interesy klas pasożytniczych.

Zadaniem nauczyciela-wychowawcy w szkole ludowej jest uczynić z każdego dziecka i ucznia czynnego współuczestnika w walce o przebudowę świata, bojownika o wyzwolenie ludzkości z kajdan przemocy imperialistycznej, gorącego patriotę, miłującego swój naród, ofiarującego mu cały swój młodzieńczy zapał i swoje uzdolnienia, całe swoje serce i wszystkie swoje siły. Zadaniem nauczyciela jest wychowanie naszej młodzieży w duchu braterstwa i solidarności, którego wzór dają nam braterskie narody Związku

Radzieckiego i ich dzielna młodzież. Tego rodzaju zadania nie mogą być wynikiem formalnego stosunku nauczyciela do ucznia, wynikiem biernej jego postawy do programu nauczania. Nauczyciel — wychowawca w Polsce Ludowej nie powinien mieć nic wspólnego z postawą urzędnika, choć i urzędnik w Polsce Ludowej nie powinien mieć nic wspólnego z postawą bezdusznego przedwojennego biurokraty. Każdy człowiek pracujący — bez względu na to, jakie wypełnia dziś zadania w Polsce Ludowej — powinien pamiętać, że jest budowniczym socjalizmu, współtwórcą wielkiego przełomu w dziejach ludzkich, uczestnikiem nowej wielkiej epoki, która zmienia świat i tworzy nowego człowieka.

W tym wielkim, porywającym, tytanicznym procesie przeobrażeń dziejowych nowej epoki rola nauczyciela-wychowawcy jest szczególnie doniosła. Wy, młodzi nauczyciele, będziecie wychowawcami kadr socjalistycznych, kadr, które kierować będą nową Polską, tworzyć będą nowe warunki życia społecznego — zgoła odmienne od tych, w których nam żyć wypadło. Od was zależy, aby jak najszybciej wykorzenić z psychiki ludzkiej ponury osad średniowiecznych przesądów oraz bakcyle zatruwających życie społeczne wypaczań okresu kapitalistycznego, grabieżczych instynktów zwyrodnienia faszystowskiego, które reprezentuje dziś obóz imperializmu, obóz podżegaczy wojennych, ideologów bomby atomowej i masowych morderstw, zbrodniarzy zrzucających skrycie na uprawne pola stonkę ziemniaczaną, promotorów dywersji i szkodnictwa w skali światowej.

Zbrodniczy obóz imperialistów i podżegaczy wojennych zmierza szybko ku własnej nieuchronnej zagładzie, choć usiłuje jeszcze kłaść się tamą w poprzek postępowemu rozwojowi życia. Jednakże twórczy, postępowy kierunek dążeń społecznych zawsze od początku dziejów torował sobie drogę zwycięstw w walce klasowej — takie jest nieodparte prawo rozwoju społecznego. Stary ustrój nigdy nie schodził ze sceny dziejowej bez walki na śmierć i życie. O tym musimy pamiętać nieustannie budując nowy gmach życia wolnego od grabieży, zbrodni i fałszu. Nauczyciel w Polsce Ludowej jest współtwórcą Planu Sześcioletniego i wychowuje tych, którzy będą realizowali jeszcze ambitniejsze, jeszcze piękniejsze dalsze plany.

Jakież stąd wynikają zadania wychowawcze?

Oto te, że równocześnie z wpajaniem wiedzy musimy wszczepiać w serca młodego pokolenia szlachetne, postępowe uczucia społeczne i hartować w nich gotowość do walki ze zwyrodniałymi zakusami wstecznictwa. Nauczyciel-wychowawca musi sam czuć się bojownikiem sprawy ludowej i krzewić wśród swych wychowanków ofiarność bojową w walce o socjalizm, w walce o postępowe i sprawiedliwe ideały społeczne. Nie szczędźcie wysiłków, aby wytworzyć wśród swych uczniów atmosferę najgłębszego ku wam zaufania, jest to jeden z podstawowych warunków powodzenia w waszej pracy. Osiągniecie to, jeśli wasi wychowankowie poczują, że jesteście nie tylko ich zwierzchnikami, ale i przyjaciółmi, nie tylko wykładowcami, ale i doradcami, jeśli czuć będą, że pod waszym przewodnictwem, znaleźli drogę poznania i urzeczywistnienia wielkich idei społecznych, ku którym zawsze dają się porwać serca młodzieńcze nie zatrute jeszcze instynktami chciwości czy upodlenia.

Cóż jest gwarancją, że wasza praca wychowawcza, wasze zadania doniosłe i piękne, ale bynajmniej niełatwe, rozwijać się będą w sposób przynoszący pomyślne wyniki Polsce Ludowej i wewnętrzne poczucie zadowolenia z pracy, pobudzające do czynu? Może to zapewnić tylko własny wasz dalszy rozwój umysłowy i społeczny, nieustanny wasz wysiłek ku podnoszeniu swej wiedzy i swych kwalifikacji. Zawód nauczyciela-wychowawcy wymaga wysokiej wiedzy teoretycznej i hartu, który człowiek zdobywa w procesie doświadczenia życiowego, w procesie walki z trudnościami i przeszkodami. Zdobyliście najniezbędniejsze przygotowanie teoretyczne — ważne osiągnięcie, które jednakże powinniście traktować jako pierwszy stopień na drodze do zdobycia właściwych kwalifikacji zawodowych. W zetknięciu się i obcowaniu ze starymi doświadczonymi już kolegami, będziecie zdobywali praktyczne wskazówki, pomocne w pracy. Ale im więcej wysiłku włożycie w dalsze studia, w pracę samokształceniową, a zwłaszcza w przyswojenie sobie najnowszej wiedzy społecznej, którą daje nauka marksizmu-leninizmu, tym łatwiejszą, tym skuteczniejszą, tym bardziej wartościową stanie się wasza praca wychowawcza i społeczna. Nie szczędźcie zatem czasu i wysiłku w kierunku pogłębienia swej wiedzy i swego doświadczenia. Wiedzcie o tym, że na was liczy kraj, że ceni waszą pracę i wierzy, że nie zawiedziecie jego nadziei i zaufania.

Życzę wam wszystkim i waszym kolegom, którzy wraz z wami ukończyli obecnie studia pedagogiczne, powodzenia w waszej pracy. Praca ta wypełniać będzie jedno z najważniejszych zadań w kształtowaniu nowego człowieka, w realizowaniu Wielkiego Sześcioletniego Planu Budownictwa Socjalistycznego, rozpoczętego w roku bieżącym. Praca wasza wzmocni i pomnoży wspólny wysiłek całego narodu w tworzeniu lepszej i szczęśliwszej przyszłości, zapewni ojczyźnie naszej rozkwit i wielkość, stanie się nieocenionym wkładem w dzieło pokoju i w dzieło ostatecznego zwycięstwa socjalizmu.

„Nowe Drogi"
nr 3 (21) maj — czerwiec 1950 r.

ANNA KAMIEŃSKA

WARSZAWA

Chodź ze mną, gdzie Warszawa ponad Wisłą
Piętrzy swe dachy przełęczą urwistą.
Gdzie nocą piece na budowach grają,
Warczą tokarki, diamenty szkło krają.
Do rana nowy masyw się podźwignie.
Oddech pociągów w halach dworców stygnie.
Dymią piekarnie i huczą rotacje,
Palą się w rzece konstelacje
I wiatr, rusztowań obiegając drzewa,
W gruzach ostatnich pył wapna rozsiewa.
I ludzi z nocnej zmiany wracających
W dół ku Powiślu wita wiatr rzeźwiący.
Jest to godzina, w której noc już mija.
Matka zbudzone niemowlę przewija
I ktoś odkłada pióro, lampa gaśnie.
I dzień, co szary, chłodny wstaje właśnie
Z dworców potokiem ludzi się rozlewa,
Tętni, wre, kipi, pieni się, rozgrzewa,
I cyfrą w Planie Sześcioletnim zmienia
Normy radości, walki i natchnienia.
Tak! Z obrachunków, obrotów zawiłych
Pieni się, spływa szczęście, smutek, miłość,
Co jest talentem, oddaniem, zapałem,
Wszystko co ludzkie. Tak! I co wspaniałe.
Idź za warszawskim geniuszem budowy.
Ujrzysz przyszłości zarys marmurowy,
Z powietrza kute prospekty, aleje,
W cegle i piasku utrwalone dzieje.
Jak gdyby miasto to samo ożyło
I tylko oczy w deszczu łez obmyło.
I tylko wyżej podniosło kolumnę,
Której Słowacki widział czoło dumne,
Pod którą nie pierzchając przed paletą
Pasły się siwe woły Canaletto.
A jednak nowe, świetniejsze powraca
I rosnąc, serca ludzi przeistacza.
Wspomni legenda, że człowiek, co ujrzał
Twarz umęczoną miasta w świeżych gruzach,
W krwi skamieniałej pod murami straceń,
W pustych, ołowiem tratowanych placach,
Poznał w jej twarzy matczynej twarz Polski.
I człowiek z sercem rzeźbionym przez troski,
Twardy i mężny — płakał nad Warszawą.

I łzy padały na dymiącą, krwawą.
Ten, kto popiołom Warszawy rzekł: Wstaniesz!
I narodowi: Buduj swą stolicę!
Wyrzeźbił imię swe w jej żywym planie,
Gdzie krok młodości tętni przez ulice.

Kwiecień, 1952.

Anna Kamieńska

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

OSTATNIE CHWILE LEONARDA DA VINCI

Za oknem niebo jest bledsze od nieba Toskanii w tę wiosnę,
Gdy runął z Monte Cycero bezsilny, kaleki ptak.
Nad Cloux żeglują gołębie. Ich skrzydła pewne i mocne...
A człowiek? — Człowiek na zawsze do ziemi przykuty jak gad.
Za oknem tysiące rzek błędnych, zagrzęzłych w łachy —
Żyły odcięte od serca. A można zawracać ich bieg,
W góry włamywać, żywioły jak muły wprzęgać do machin
I nie sztyletem lecz myślą złoty wprowadzić wiek.
Za oknem tysiąc miast cuchnie za śpiewną od trzcin Loarą;
Ręce księżniczek w świerzbie, pod krużgankami gnój;
Dżuma nie z piekieł rodem, z zaułków podobnych pieczarom.
A można zakładać miasta czystsze niż łza i niż zdrój.

Tyle śpiżu w człowieku, w mięśniach, woli i myśli;
Można życiu dać barwy piękniejsze od tych, co kładł
W refektarz Santa Maria... Przegrany ze śmiercią wyścig,
Ksiąg, którym życia za mało, nie weźmie z rąk jego świat.
A przecież nie zaspał lat i myślą — włócznią żelazną
Wygarnął tysiąc tajemnic z ziemi, powietrza i fal...
I cóż: festyny uświetnił sztuczkami koronnym błaznom
I z ciszy w ciszę odchodzi. A tak odchodzić żal.

Nie będzie wozów bez koni, przemyślnych machin do tkania,
Nie będzie bucefał z miedzi kopytem ziemi rył...
Czemuż to matka przed sępem kołyskę chłopca ochrania?
Prócz bladej twarzy Judasza, wszystko rozwiane w pył.

Jak cicho! Bliscy odeszli, prócz niej — Giocondy na ścianie,
Z uśmiechem gorzkim jak wiedza, gdy ziarnu jej gruntu brak...
Jak ciężko z klęski odchodzić w dłuższe niż wieczność konanie!
Jak cierpi pod łukiem nieba ze skrzydłem złamanym ptak...

Dobra gosposia — Toskanka przez drzwi zagląda doń skrycie.
Myśli, że maestro się modli lub może znużony śpi,
A pierwszy inżynier ziemi czyni rachunek z życiem
I z oczu, co mrok przecinały, płynęły bezsilne łzy.

*

Mistrzu! Nie los to się sprzysiągł, antyczne posępne fatum,
Że nie zwieńczone laurami projekty Twoje i myśl.
Wzrok znad tajników materii obróć ku miastu i światu,

Spójrz: książę, kondotier, papież — w potrzebie lew i lis...
Rodową pychą i żądzą władzy był Twój mecenas,
Nie dobro ludu go cieszy, lecz blichtr i zabór miast.
Nie tylko Romę wilczyca, świat cały dławi hiena.
Prawdziwym lud mecenasem, ale nie nadszedł dlań czas.

I jeszcze... dzieckiem... pamiętasz — jak wszedłeś żądny poznania
W czeluść jaskini, by śledzić kości jaszczurów i szlam...
Sam byłeś. Tak już przez życie, po twardą chwilę konania!
Węzły gordyjskie natury rozsupłać chciałeś sam.
Nie Zeus Płomienionośccę przykuł do skał Kaukazu.
Samotność ramię związała... Podkowę złamie dłoń,
Myśl śmiała ptaka prześcignie, lecz, żeby zwalić sto głazów
Z piersi ludzkości, potrzebna myśl stu milionów i dłoń.

Mistrzu! Wiem, słowa po czterech wiekach rzucone jak wieniec
W kierunku krypty rozbitej nie ulżą wylanym łzom.
Mistrzu! Nie wszystek umarłeś! Byłeś tysięcy natchnieniem,
Co pod te głazy piekielne żelazny wkładali łom.

W wielu ojczyznach świata, synu wieśniaczki prostej,
Na gruzach tronów i banków mecenas prawy wstał.
Ludy wolne od jarzma jak wicher wtargnęły w postęp.
Biegi rzek odwracamy, wbijamy w osierdzia skał.
Klimaty krajów zmieniamy. Budowle nasze wspanialsze
Od tych, co kładła na papier uparta, orla Twa myśl.
Melodią sferyczną huczą hut agregaty i walce.
I dziś książęta pieniądza — lew przyczajony i lis.
Wydarte służbie ludzkości ptaki Twego marzenia
Miotają ognie na ludzi, ale niedługi czas,
Gdy zniknie wyzysk i wojna, pożoga, mór i cierpienia
Z oblicza czystych jak kryształ komunistycznych miast.

Spełzają farby z twarzy Chrystusa i szat Judasza,
Czasowi równie podlega skała, geniusz i fresk.
Nad zamkiem Cloux mrok zapada. Lampka oliwna wygasa.
Chronos wszedł do komnaty...
Maestro, nie trzeba łez.

1952 r.

Tadeusz Chróścielewski

PAWEŁ HERTZ

LIRNIK MAZOWIECKI

Pamięci Teofila Lenartowicza

Ze wszystkich pieśni ty brzmisz najboleśniej,
o najsmutniejsza nasza wiejska pieśni.
Gdzie brzóz kilka zapadłe chałupy okrywa,
gdzie od krwi mokra ziemia leży nieszczęśliwa,
gdzie chłopi idą z pola ze schylonym czołem,
wzdychają, czapki kręcą, wreszcie milczą społem —
rozlega się to skoczna, to miarowa nuta
wolnej pieśni w ojczyźnie, która milczy skuta
w okowach własnej i cudzej niewoli.

Jesteś żal i nadzieja, i wszystko, co boli.

Zapatrzony, zasłuchany
w szum gałęzi brzozy białej,
piszę pieśń o smutnej ziemi
dla fornali i pastuchów.

Nic to, że się będzie gniewał
i wytykał mnie palcami
stary krytyk, co to wstaje,
gdy już z pola ludzie idą.

Nic, że śmieją się w salonach,
że tak śpiewam nieuczenie.
Za to piosnkę o kalinie
słychać nocą pod oknami.

Bystrym ptakiem, gołębicą,
przez równinę mazowiecką
leci pieśń o chłopskiej biedzie
i ogromnym nad nią niebie.

O najsmutniejsza nasza wiejska pieśni,
bywasz okrutna niby przebudzenie
po czarnej nocy, kiedy świat się prześni
i nic już nie ma, tylko świata cienie,
kiedy w harmonię uczonej muzyki
wdziera się twoja nieuczona nuta
i słychać nagle ton chrapliwy, dziki,
jęk, skowyt, odgłos podkutego buta.
Już w najweselszych rytmach śpiewasz smutnie

i kiedy stoję sam na pustym polu,
słyszę raz wraz, jak grajek którąś nutę utnie,
jakby z szumiących zbóż rwał pęk kąkolu.

Zbieram nuty, jak rosę z liści,
po jednej, po dwie, po trzy...
Niech nas smutek oczyści,
niech spłyną łzy.

Wiem, przyjdzie po mnie inny
i w gniew zamieni żal.
Prawdziwy śpiewak gminny
z pieśnią dźwięczną jak stal.

Lecz mnie wspominać będzie
pamiętny na ten czas,
kiedy
sine łabędzie
leciały
nie do nas...

Gdzie brzóz kilka zapadłe chałupy okrywa, błądziłem załamując dłonie nad tą biedą chłopską, więc polską. Tutaj miedza krzywa dzieli dwa światy — wieś i dwór. Ze schedą narodowych pamiątek, podgolonych karków, dziedziczymy tę straszną granicę folwarków, która w nas samych biegnie i sprawia, że pęka, łamie się, w płacz zamienia i moja piosenka.

Wyszedłem śpiewać wesoło,
spojrzałem po wsi wokoło.
Łaciaty gąsior przechodzi,
bosy pastuszek brodzi
w brudnej koszuli z lnu.

Ledwie się zbudził ze snu.

Wyszedłem śpiewać wesoło,
spojrzałem po wsi wokoło.
Dołem — chałupy rzędami,
górą — dwór z kolumnami
w porannej, białej mgle.

Spoczywa jeszcze we śnie.

Wyszedłem śpiewać wesoło,
spojrzałem po wsi wokoło.

Chłopy złażą z przypiecka,
oj, dolo mazowiecka.
Ciemni, w koszulach z lnu.

Zbudzą się kiedyś ze snu.

Wyszedłem śpiewać wesoło,
spojrzałem po wsi wokoło.
Szumi po nocy bór.
Stoi nade wsią dwór
biały, jakby ze lnu.

Strasznie go zbudzą ze snu.

Gdzie od krwi mokra ziemia leży nieszczęśliwa
jest las, jest las styczniowy. Słychać kroki warty.
Skrzypią, chrzęszczą w tej zimie, co skorupą lodu
okrywa całą smutną historię narodu,
gdzie stan jeden, niepomny na dzieje, uparty,
nawet w powstańczym lesie tę prawdę ukrywa,
że jest zgrzybiałym starcem narodu, nie — dzieckiem.
I znów ginie powstanie przezwane szlacheckiem.

W tym wysokim lesie
biała gałąź gnie się,
szumi, szumi las.
Młodość w nim i krasa,
broń świeci u pasa,
lecz to pański pas.

Światło od wsi błyska,
skrzy śnieg na pastwiskach,
milczy, milczy wieś.
W lesie same pany,
we wsi głód i rany.
Komu śpiewać pieśń?

Śpiewałem, by z Wisły
zbrojne mary wyszły
oswobodzić nas.
Tam — cudza niewola,
tutaj — chłopska dola
dzieli wieś i las.

W tym wysokim lesie
biała gałąź gnie się.
Skrzypi krok.

Czarną wieje chustą,
milczeć każe ustom
czarny rok.

Gdzie chłopi idą z pola ze schylonym czołem
pod strzechy zapadniętych chałup, by dnia czekać
pięścią podparłszy głowy nad kulawym stołem
wiedzie droga pożółkła od kurzu. Czasami
karetka nią przejedzie zamknięta z więźniami,
konny żandarm lub dziedzic. I tak trwa od wieka.
Pola jedne zmieniają ubiór. To w opalu
zimowych nocy błyszczą, to w zieleni lata,
to zrudziałe jesienią znów z wiosną czernieją.
I tylko ptak wysoko błękitem przelata
nad ziemią krwi i potu, i buntu, i żalu,
jak gdyby z niej uchodził z ostatnią nadzieją.

Czemuś mnie zdradziła nocko,
kiedym konie kradł?
Chrust pod nogą trzeszczał mocno
i nie szumiał sad.

Nie spał, czuwał mi na zgubę,
chodził nocny stróż.
Miesiąc świecił jak ten rubel,
pan żandarm był tuż.

Siła złego na jednego,
luty chłopu świat.
Będzie turma za gniadego.
Osiem długich lat.

Ej, ty dolo, dolo prosta,
Czarnaś niby kruk.
Dziedzic — bije, żandarm — chłosta,
zapomniał nas Bóg.

Wzdychają, czapki kręcą, wreszcie milczą społem
w karczmie, po ciężkich trudach z sochą, z koniem, z wołem.
Na dworzu chłodno, wietrzno i deszczyk zacina
w brudne szyby. Za nimi w martwym, strasznym świetle
leży jesienna, płaska, wyżęta równina.
Milczą chłopi. Wtem jeden zaklnie, dłonią strzeli,
tupnie nogą, grać każe żydowskiej kapeli,
co właśnie tu zjechała z niedalekiej wioski.

I wtedy na te chłopskie smutki, biedy, troski,
radzą skrzypce i dudy, dzwonki i basetle,
i głos jeden tak groźnie w tej muzyce zgrzyta,
że się ze snu wieś budzi, dwór, rzeczpospolita,
a taka jest w tym głosie okrutna nienawiść,
taka krzywda i rozpacz od wieków zapiekła,
że się tym chłopskim jękiem cały naród dławi
i patrzy w okna karczmy, jak w samą głąb piekła.

Dla nas noc,
krzywy płot,
słona łza,
krwawy pot.

Czarny chleb,
wody dzban,
pusty brzuch,
biedny łan.

Gruby sznur,
trudna śmierć,
płytki dół,
płótna ćwierć.

Ale my się zbudzimy,
ciemną nocką wrócimy.
Ej, gorze wam, gorze,
pany w białym dworze!

Rozlega się to skoczna, to miarowa nuta
ludowej pieśni. To wartka, to senna,
to dzwoni łańcuchami, milczy żalem struta,
to znów dudni jak studnia na polu kamienna,
lub huka zawadiacko, albo dźwięczy dziko
i spada na dwór pański okropną muzyką,
przypomina noc straszną... Potem milknie znowu.
Jeszcze brzęknie jak komar... Wtem pada z łoskotem,
jak kamień, co rzucony zdziera z ksiąg pozłotę.
I jedna ostra nuta, jedno gorzkie słowo
zrywa kajdany klęski — zgodę narodową.

Nie ma zgody, nie ma zgody,
panowie!
Wiem ja swoje, wiem ja swoje,
i powiem.

Giną chaty, giną chaty
w dolinie.
Dwór bogaty, dwór bogaty
nie zginie.

Nic nam z tego, nic nam z tego
nie przyjdzie,
kiedy radzi, kiedy radzi
pan biedzie.

Oj wyostrzę, oj wyostrzę
znów kosę.
Dzieci głodne, dzieci głodne
i bose.

Oj wyostrzę, oj wyostrzę
znów noże,
pójdę szukać, szukać rady
we dworze.

Wolnej pieśni w ojczyźnie, która milczy skuta,
nie słucha nikt. Niekiedy, z początkiem wieczoru,
jak siwa mgła od ściernisk wznosi się ta nuta
i płynie po czworakach, a stroni od dworu,
nie pańska, ale chłopska, choć ją szlachcic składał,
słuchając, co las szumiał i co strumień gadał,
co zawodziły dziewki, co jęczały chłopy
gnani w trzech obcych armiach na obce okopy.
Tak się ta pieśń złożyła: z lamentu i gniewu,
z buntu słabych, podłości możnych, z klęsk ojczyzny,
z wstydu obcej niewoli i własnej pańszczyzny.
Ciemny dwór. Ciemna wieś. Nikt nie słucha śpiewu.

Za tą rzeczką
słup milowy.
Czeka z laską
pan karbowy.

Za tym słupem
las dębowy.
Czeka z knutem
pan gajowy.

Kto u brodu
konia poi?
To pan żandarm
we wsi stoi.

Ksiądz nas grzebie
i nas chrzci.
Nie masz grosza?
Utocz krwi.

Już się kłosi
żytni łan.
Chłop go kosi.
Zbiera pan.

A nad karbowym, żandarmem, księdzem i jasnym panem sam cesarz stoi. A nad nim chyba Bóg. Amen.

W okowach własnej i cudzej niewoli
piękniej, mówią, śpiewamy niż inne narody.
Obcy chwalą, że w pieśniach jest i lot sokoli,
i orle skrzydła, i nieczułe lody,
i zawsze ginie jakiś ułan młody,
i wiatr wieje za dworu modrzewiową ścianą,
i niebo stoi czyste nad rolą zoraną.
Ale kiedy do ziemi naszej przytkniesz ucho,
słychać tylko jak skrzypi szubienica głucho,
jak świszcze ostra kosa, nóż zgrzyta, sznur chrzęści.
I nie ma już piękności, jest tylko nieszczęście.

Siwy koń u płota,
uzda na nim złota.
Popasuje w karczmie gość.
Dokąd, panie, jedziesz?
Ostań, zaradź biedzie,
chleba tu nie mamy dość.

Kary koń u płota,
uzda na nim złota.
Popasuje w karczmie gość.
Dokąd, panie, jedziesz?
Ostań, zaradź biedzie,
ziemi tu nie mamy dość.

Wrony koń u płota,
uzda na nim złota.
Popasuje w karczmie gość.
Dokąd, panie, jedziesz?
Ostań, zaradź biedzie,
woli tu nie mamy dość.

Żaden nie ostanie,
jadą na powstanie,

pióra mają u czapek sokole.
Nam nie jechać z panami,
ostaniemy tu sami,
chleb weźmiemy, i ziemię, i wolę.

Jesteś żal i nadzieja, i wszystko, co boli.
Jak stara niańka, dobra i rubaszna,
kołysałaś mnie do snu. Lecz wiem, bywasz strzaszna.
W mazurach kajdaniarskich usłyszą cię potem,
w fortepianie Szopena, co upadł z łoskotem,
ostrą zadźwięczysz struną i pękniesz ze świstem,
jak ptak będziesz kołować pod niebem ojczystem,
żaląc się, niosąc w dziobie listeczek nadziei
i w słowa nasze biedne strącisz po kolei
łzy rosy, krwi korale czerwone z jarzębin,
krzyk orła i miłosne gruchanie gołębi.

Jesteś żal i nadzieja, i szczęście, i trwoga,
przez ciebie jedną tylko wiedzie jedna droga
do światła, w którym giną długiej nocy mary,
pod czarnoleskiej lipy szumiące konary.
Pieśni wiejska, przemawiasz wolnym głosem świata,
pierzcha krzywda, gdy ludom wieścisz los, skrzydlata
córo bogów, radości, twój blask przesąd zaćmi,
gdzie przelecisz, granica jak sznur się rozplata,
zanim go związać zdoła drżąca ręka kata
na szyi tych, co mówią: ludzie będą braćmi.

Czaplinek, grudzień 1951

Paweł Hertz

GOR NEWERLY

PAMIĘTNIK Z CELULOZY*)

XXI

Na pozór nic się nie zmieniło i życie biegło dalej swym wytkniętym rem.

Włocławek po dawnemu oddychał ługiem, gdy wiatr był od Celu-zy, i paloną kawą zbożową, gdy wiało od Bohma. Wisła głównym urtem wciąż się garnęła pod lewy brzeg, między bazylikę a komin meryki, zamulając ujście Zgłowiączki przy Klubie Wioślarskim.

Towarzysze byli ci sami. Staszek, co po zagojonym postrzale wrócił zduńskiej roboty, Bajurski, który nadal żył z Felą przykładnie na iarę, bezrobotny od września, i Gawlikowski, ratujący się teraz ptac-vem drewnianym na Starym Rynku. Ptaszki strugał nadzwyczaj myślnie, z ołowianym jajkiem w środku, dlatego ciągle się kiwały ostukując dziobkami jak żywe.

W rodzinie wszyscy pomaleńku zmierzali do celu: ojciec miał już ół grobu na własność, Walek — przyrzeczony awans na maszynistę chwilą uruchomienia Czwartej Maszyny, Kachna po kursach handlo-ych dostała się wreszcie na praktykę do Koneckiego — tylko Weron-a nadal biła się w matni posług i obowiązków domowych.

Wszystko wyglądało na pozór tak samo, a jednak Szczęsny inaczej widział teraz, odczuwał inaczej, jak gdyby wrócił z bardzo daleka. Dojrzał przy Madzi czy też przejął jej sposób widzenia, dosyć, że szystko brał teraz głębiej i z oddalenia, wiążąc ludzi i rzeczy nie własną osobą, ale ze sprawą, i także przyłapywał siebie niekiedy a tym, że „patrzy tematami".

O ojcu, na przykład, pomyślał — temat! Nie wiedział dokładnie — ki, ale ojciec, ten cieśla z przypadku, schnący w tęsknocie za gruntem iż tylko na cmentarzu, bodaj po śmierci, byle na własność — to była rawa ogólniejsza i wcale niełatwa.

Tematem do mozolnych, ogólnych rozważań był też Walek — śliski portunista, i los Weronki, ofiary rodzinnej, zapędzonej w taką ka-ałę i ciemnotę, że nawet do buntu niezdolna, i pan Konecki, w którego iurze pracowała Kachna bezpłatnie w podzięce za praktykę, na którego resztą robił Zamojski i szewcy Włocławka, bo Konecki przez bryga-

*) Patrz Twórczość nr poprzedni.

lało. A robił to zawsze tak biegle, iż nikt nigdy nie zwątpił, czy w ogól czytać umie!

Szczęsny, wciąż jeszcze szukający pracy, miał sporo czasu, załatwia więc drobne polecenia Mormula, żeby przynajmniej co miesiąc przyjeż dżać do Rzekucia, na zebrania komórki KZM. Brał też na siebie spraw moprowe. Pewnego razu wysłano go do Lubrańca, gdzie odszukał do mek Pelagii Słotwińskiej, wdowy po maszyniście, i oddał jej zebran na więźniów pieniądze, poruszając przysposobności sprawę Jasieńczyka i innych oskarżonych o bunt w Rzekuciu. Jak się okazało, obrony ich już się podjęła pani mecenasowa Klingerowa, o której Szczęsny słysza od Madzi: Klingerowa urządziła ją w Celulozie.

Dwie godziny, nie dłużej, zabawił u Babci Słotwińskiej, od pociąg do pociągu, zdążyła go jednak przepytać o wszystko, nakarmić i prze brać.

— A co ty właściwie masz pod spodem? — spytała raptem prz stole, rozchylając marynarkę na piersi. — To ma być koszula?

Koszula była rzeczywiście brudna i agrafką pod szyją spięta. Słot wińska mogła z niej wszystko bez trudu wyczytać.

— Nie ma komu, widzę, zadbać o ciebie — użaliła się nad nim. — Zdejm, ja ci ją wypiorę i potem przyślę przez kogoś...

— A jakże, tego jeszcze brakowało, żebyście nas opierały.

Ale ona już się krzątała przy szafie, tęga i żwawa, już przebierał w bieliźnie po mężu. „Nie można się ze mną certować, synku" i Szczęs ny czuł, że istotnie nie można. Była prosta i swoja, prawdziwie wsiowa nie do wiary, że wcale nie ze wsi, że — nauczycielka. Po francusk umiała i po rosyjsku. W młodości dzieci podobno uczyła u jakiego księcia, aż się wydał ten zamach, po którym został straszny wyro i Sybir dla niej w drodze łaski, bo zamach był na cara.

Gdy wychodził od Babci w czystej koszuli, miał wrażenie jakiego ciepła, jakiejś czystości — przecież nie od koszuli...

Po pewnym czasie zjawił się u niego towarzysz z upraną ko szulą, pożyczonej jednak przyjąć nie chciał. Próżno mu Szczęsny tłu maczył, że nie jest w potrzebie, że ma pracę — „Babcia powiedział żebyście to sobie zatrzymali na pamiątkę".

Pracował już wtedy u Hermana. Steinhagen kupił w Niemczech na nowszą maszynę papierniczą według modelu na targach lipskich, cud ponad konkurencję, zwane w Celulozie Czwartą Maszyną. Budowar dla niej wielki gmach i całej stolarki wewnątrz tego gmachu podjął s właśnie Herman, warsztat spory, do trzydziestu koni mechanicznyc którym nie bardzo jeszcze ufał. Świeżo zmechanizowaną produkc

amowały zatwardziałe sposoby rękodzielnicze, duch dziadów ze starą złością bronił swego, i Szczęsny, przypomniawszy sobie nowoczesny akład na Podwalu, dobrą bądź co bądź szkołę pana Zenona, zwrócił efowi uwagę na to i owo, co dałoby się zmienić. Herman postawił go początku do szabowni, potem przekonując się zwolna, zaczął coraz ardziej zdawać na niego całą obróbkę maszynową.

Tak oto gdzieś w karnawale Szczęsny mógłby powiedzieć, że rok zydziesty czwarty jest jak na początek aż nadto łaskawy, nie można arzekać. Ma dach, ma pracę, pracę czystą i lubianą. Zarabia więcej iż na Placu Drzewnym siekierą. W partii jest ze wszystkim na blachę. Viedzą, gdzie trzeba, że można na nim polegać. Towarzysze szanują go cenią i zupełnie inaczej się czują, gdy jest z nimi w czasie niebezpieczego zadania, bo się już utarło, że z Bidą dobrze się robi, idzie za nim en pogłos uznania i wiary — szczęśniak!

Uśmiechał się tylko na to swoje zatracone, psiamać, szczęście i łapał obotę i ganiał wszystko jedno z czym i dokąd, byle dalej od Madzi, od myśli czczych i ociemniałych, co by to było, gdyby ona go chciała, inaczej mówiąc, gdyby ślepy słońce miał!

U siebie przebywał rzadko, w soboty chyba, po obiedzie u Lubartów.

— Co masz sam siedzieć — zapraszała go Fejga — chodź na rybę. obra ryba, słowo daję, i Ewa się ucieszy.

To było oczywiście grzeczne kłamstwo z jej strony, bo Ewa niczym się eszyć nie mogła. Życie od dziecka gniecione i lżone wyżęło ją z uczuć, oza nienawiścią do tego, co jest; żyła przyszłością, bardzo stara mimo wudziestu paru lat, z wiecznym braniem wszystkiego na rozum, na ozum chłodny i z sekciarska sam w sobie zamknięty.

Nie, zapraszając w szabas Szczęsnego na obiad, Fejga po prostu nciała skrępować córkę, żeby przez wzgląd na gościa mniej dawała jcu odczuć, jak się dla niego poświęca asystując przy podobnej „panominie zatęchłych przeżytków". Szczęsnemu zawsze się wtedy zdawało, że te rzeczy nie są chyba u Ewy do szczętu przeżyte, bo jego, na rzykład, praktyki ojca nic a nic nie obchodzą. Ciekawe, że dopiero obcych, na takiej żydowskiej wieczerzy, najwyraźniej zobaczył, jak aleko odszedł, jak prawdziwie nie wierzy. Ale gdzie dokładnie i kiedy gubił tamten świat, tego w żaden sposób nie mógł sobie uprzytomnić.

A więc — żeby już skończyć z przykrym wyznaniem — Szczęsny całej rodziny Lubartów najmniej jakoś lubił właśnie Ewę, towarzyszę, człowieka oddanego partii. Bliższa mu była Fejga, żywiołowa hałaśliwa, z obronnym sprytem na co dzień i odświętną, tajoną uczuowością. Mógł słuchać po raz nie wiem który tej samej załzawionej

opowieści o Szymku, dobrym, mądrym dziecku, dla którego zbrakło jednej kropli, co by mu wzrok uratowała, o Szymku, który zaginął dla wszystkich, ale nie dla starej Fejgi. Lubił jej płonące policzki i serce, jej czulent i rybę, i chętnie, ilekroć poprosiła, palił w piecu w sobotę, nosił wodę i świadczył inne usługi szabesgoja.

Ale najlepiej się czuł z tą Brońcią, która miała teraz jedenaście lat, długie, łodygowate nogi na wyrost i głos nadzwyczaj czysty, naprawdę piękny głos.

Ich przyjaźń od razu, lewo się spotkali, odżyła. Szczęsnego wzruszyło, że po tylu latach go poznała i że się tak ucieszyła.

Stało się to w październiku, zaraz po powrocie z Rzekucia. Szczęsny poszedł do Lubartów, żeby się dowiedzieć, czy może liczyć na pomieszczenie nad nimi. Zaczął się wspinać od strony rzeki i tu zza górki wionęło na niego poszarpaną na wietrze piosenką „Jadą, jadą drogą dzieci..." Zastanowiło go, któż to tak radośnie wyśpiewuje — „i nadziwić się nie mogą, jaki piękny świat!" — bo dzień był chłodny i pochmurny, nabrzmiały gnuśną słotą. Ujrzał dziewczynkę w kraciastej chuście przez ramię, z maleństwem w podwiniętym rogu chusty. Biała koza pasła się obok. Dziewczynka przebierając z zimna bosymi nogami stała twarzą do rzeki połyskującej ciemnym lśnieniem lanego żelaza i złote paździorka rozwianych warkoczy leciały, zdawało się, z wiatrem za piosnką.

Dopiero gdy mu się rzuciła na szyję, pojął, że to jest Bronka z ostatnim Lubartem, z Beniusiem. Dwoje rodzeństwa wyniańczyła już przed nim.

Ile razy później (wszakże losy ich dziwnie się z sobą splotły po latach), ile razy potem Szczęsny sięgał pamięcią w te czasy, chcąc dociec dnia, kiedy właściwie Bronka weszła w jego życie — zawsze widział dom dwugarbny „Na wydmuchu", rozśpiewaną dziewczynkę na zamgloną, chmurną Wisłą i melancholijną kozę żydowską, co bobki prósząc chodziła dostojnie po wzgórzu.

Z Brońcią można było mówić o wielu sprawach, nawet na tematy polityczne. Wiedziała, za co Ewę aresztowano w zeszłym roku i że komunizm robi się po to, żeby biedy nie było. Uderzała w niej niedziecięca niekiedy powaga, wrażliwość chłonna, zatrważająca: czy toto zdoła jednak dojrzeć, okrzepnąć?

W pierwszych dniach lutego przyjechał z Warszawy redaktor Bielawa-Waliszewski, brat tamtego Bielawy od koni, wina i marszałka, tak samo ułan z wyglądu, ale niepijący. Myślący. Pisma redagował lewicowe, mówił ładnie, bojowo i za odczyty nic nie brał poza zwrotem kosztów przejazdu i obiadu w Zaciszu.

Zaproszono go (utartym zwyczajem do sali Makabi), żeby powiedział lokładnie, jak było na procesie lipskim, który trwał trzy miesiące, skończył się niedawno uniewinnieniem Toglera, Dymitrowa i Bułgaów. Dymitrow był najbardziej popularnym człowiekiem na świecie. Mówiła o nim cała Polska i Brońcia z całym Włocławkiem.

— Mów dalej — prosiła Szczęsnego. — Jak Dymitrow krzyknął: anie starszy, pańska zupa śmierdzi!

— Tośmy na tym wczoraj stanęli? A więc „Panie prokuratorze, woła Dymitrow, zupa, którą nawarzyłeś, zaczyna cuchnąć!"

— Ojej! A tamten?

— A tamten nic. Zębami w szklankę dzwoni i dzwonkiem też: „Panie Dymitrow, przywołuję pana do porządku!" — „Nie, mówi Dymitrow, o ja was przywołuję i oskarżam! Oskarżam, żeście Reichstag podpalili lla swej propagandy, dla zastraszenia ludzi! Że cały ten proces to lipa! Przecież macie już na nas wyrok, no więc? Czyście mało w obozach vidzieli, jak komuniści umierają!?" Na to wstaje Wanderluba — paniętasz? — co to go złapali z pakułami w niemieckim sejmie. Miał ich ypać, mętny typ...

— Miał mętne oczy, prawda? Ręce mu się pociły i czoło, i włosy yły pozlepiane!

— Nie wiem, tego Bielawa nie mówił.

— Ale, Szczęsny! Przypomnij sobie — Wanderluba! Pocił się jak nysz i siedział tak...

Brońcia siada okrakiem na taborku, ręce wygiąwszy w kabłąk wspiea na kolanach i przygarbiona patrzy się tępo w ogień piecyka. Ani rgnie — choć na dworze wiatr zawodzi, dmuchnie czasem w rurę i paenisko bucha wtedy skrami jak ognista purchawka.

— Dobrze, niech tak będzie. Siedział więc w ten sposób i milczał. Dawano mu, uważasz, jakąś truciznę, żeby nie gadał. Naraz wstaje nieroszony...

— Jak wstaje? Pokaż!

Szczęsny, dźwignąwszy się ciężko, przechyla się nad oparciem krzeła — skruszony, nadłamany — twarz mu się wykrzywia, gdy bełkoce:

— Dość! Nie znam tych panów.. Sam podpalałem! Proszę uciąć mi łowę i dać cywilne ubranie! Kategorycznie! W tej chwili cywilne branie!

Brońcia podnosi do ust dłonie zaciśnięte na dużym palcu. Oczy ma zeroko rozwarte:

— To znaczy Wanderluba zwariował? Oh, Szczęsny, to nie był podły złowiek, ja ci to mówiłam: słaby był, pocił się jak mysz...

Szczęsny żałuje już, nie może wprost sobie darować, że wczoraj wróciwszy z odczytu zaczął jej opowiadać o tym potwornym procesie — to jednak jeszcze dziecko, dziecko bliskie płaczu: — „I ucięli mu głowę?“ Odpowiada machinalnie: „Ucięli. Krótkim toporem“. Szuka w myśli jakiejś odskoczni, jakiegoś wyjścia na świat jasny i budujący.

— Ale Dymitrow i Togler zostali uniewinnieni. Nie darmo Ewa siedziała!

— Ewę wzięli za co innego. Za masówkę.

— A masówka była po co? Żeby ich uwolnić! W zeszłym roku — ty nie wiesz, ale ja pamiętam! — była taka akcja we Włocławku, w Polsce, na całym świecie. Masówki, odezwy, strajki — ruch jak cztery cholery!

— Dlaczego cztery?

— No, bo cztery, to nie jedna, zawsze mocniej wypadnie, a to by mocny ruch. „Brunatną księgę“ wtedy wydano.

— Naprawdę brunatną czy tak tylko nazwano?

— Tak tylko, od koszul hitlerowców, kolor ich jest przecież brunatny...

Była więc księga wstrząsających dokumentów i fotografii. Była fala potężnego protestu całego świata. Proces w Londynie. Komitet antyhitlerowski zaczął skrupulatnie badać sprawę rzekomego podpalenia... Zrobiło się głośno i gorąco dokoła wypalonych murów Reichstagu; już nie można było po cichu, sądem kapturowym, sprzątnąć Toglera i Bułgarów. A gdy zgrzytając zębami zaprowadzono ich na otwartą salę rozpraw — oskarżony zaczął oskarżać!

— Dymitrow, Broniu, to dopiero człowiek! Życie miał trudne, bo trudne, ale piękne, daj Boże każdemu, wiesz?

Bronia nie wie, Szczęsny dokładnie wie od wczoraj. Rozpiera go chęć powiedzenia komuś, co to za człowiek — Georgij Dymitrow, młody drwal z Radomira, młody zecer, potem... — niepodobna wyliczyć, kim był potem, bo i wodzem tieśniaków, i sekretarzem generalnym związków zawodowych, posłem, więźniem, żołnierzem, wysłanym prosto z więzienia na front, znów posłem... Na zmianę: raz na wozie, raz pod wozem. Klęska i zwycięstwo przychodziły jak noc i dzień, ale walka ludu trwała i Dymitrow był z ludem. Zawsze i wszędzie — przeciw wszystkim panom i oprawcom, przeciw bułgarskim, tureckim, macedońskim... Stracił w tej walce trzech braci, stracił ojczyznę, ścigany zaocznym wyrokiem śmierci. Dostał się w ręce Gestapo i po siedmiu miesiącach stanął niezłomny przed sądem faszystów.

— Bronię tu swojej czci politycznej i rewolucyjnej, swego świato

oglądu, swoich idei, celu mego życia. Dlatego każde twierdzenie, jakie wygłaszam, jest moją własną krwią, każde zdanie — prawdą... rawdą jest, że dla mnie, dla komunisty, najwyższą ustawą jest pro-ram międzynarodówki komunistycznej, najwyższym trybunałem — omisja kontrolna międzynarodówki komunistycznej...

Nie każdy może oddać to wszystko w słowach gładkich jak, powiedz-y, Bielawa, ale przeżyć może każdy, duży czy mały, Szczęsny czy rońcia.

— Oh, żebym ja tak mogła!

— Ba, ja bym też chciał!

Patrzą oboje na Dymitrowa i o jednym marzą, aż się Szczęsny zdrygnął — to już nie masz, stary koniu, nikogo, żeby się wywnętrzyć, lko akurat przed tym dzieciakiem?!

— Dobra. Ale my tu gadu-gadu, a tam pewnie lekcje nie odrobione?

— Właśnie że odrobione. Nie mam zaległości, tylko te rachunki...

— W takim razie mogę ci pomóc. W rachunkach to ja jestem mocny!

— Jak cztery cholery?

— Ty się nie śmiej, smarkulo, lepiej daj zeszyt, to się przekonasz.

Z dołu słychać głos Ewy: „Tędy, proszę was, tymi schodkami. Musi ć u siebie, bo tam Bronia pobiegła..." Czyjeś kroki wzlatują zdo-wczo po stopniach pnących się w górę spiralą. Pukanie. „Proszę" — lpowiada Szczęsny ze zdziwieniem, bo ci, co do niego przychodzą — chodzą tu nie pukając.

— Panienka do was — podrwiwa sobie Ewa gdzieś na schodach Szczęsny w pierwszej chwili rzeczywiście widzi na progu jakąś pa-enkę w czapeczce futrzanej zsuniętej na bakier, ośnieżoną, w rumień-ch...

— Aleś się zakonspirował! Ledwo odnalazłam.

— Czyżby?

Tylko to mógł wykrztusić. Cztery miesiące odpędzał ją, zwalczał sobie, nawet obrzydzał, tymczasem ona ruchem swobodnym zdej-uje czapeczkę, potrząsa niesfornymi włosami — szron opada i wszyst-jest po dawnemu.

— Idę, idę, miasto się kończy — gdzie u licha ten „Dom na wyd-uchu"? Ciemno, wiatr i śnieg — „czornyj wietier, białyj śnieg" — jak poemacie...

Brońcia przenosi wzrok z jej twarzy, tryskającej humorem, na stężały ofil Szczęsnego, widzi, że tych dwojga ona, Brońcia z piątej klasy, oła nie obchodzi, i sposępniała idzie w stronę drzwi.

— To ja już nie będę z tym zeszytem...

Naciska klamkę, cofa się tyłem, do ostatka mierząc spode łba przybyłą spojrzeniem, w którym jest niepokój i wyrzut.

— Ta mała musi cię bardzo kochać — mówi Madzia.

— I ja ją też. Mądre dziecko.

— Nie, to już kobietka.

— Daj spokój, co ci przyszło?

— A czyś nie zauważył, jak się na mnie patrzała? Oczy ma trochę kocie, zielonkawe i w tych ślicznych ślepkach zieleniało wprost wstrętna, po coś tu przyszła?! Rzeczywiście — po co? Nawet krzesła nie dają, nie proszą, żebym usiadła!

— E, ja cię proszę, bez literackich kawałków. Krzesło stoi, chcesz to sobie siądź.

— Pewnie, że siądę. I rotundę zdejmę.

Płaszczyk jakimś kotem bramowany na kołnierzu i mankietach. W białej bluzeczce, którą nieraz prała w Dojmach, czuje się widać bardziej sobą, rozgląda się po jego poddaszu — „a więc tak tu mieszkasz?" — jak gdyby naprawdę zdjęła „rotundę" czy inne równie obce okrycie.

— A co u ciebie? Jak się ma Julian?

— Trzyma się staruszek. Łamie go trochę w pedale i kałamarz czasem nawala, ale wciąż pracuje. Nie daje się... Ciężko mi było rozstać się z Julianem.

— Czekaj — rozstać się? Z kimże on został?

— Nie ma go już na Łubie. Przyjechali po niego towarzysze z okręgu. Lepiej mu tam będzie. A mnie przeniesiono do Włocławka. Robota z młodzieżą podobno kuleje, więc mam się nią zająć. Właśnie przyszłam w tym charakterze, w młodzieżowym. Mam cię zapytać: towarzyszu Bida, coście właściwie zrobili w Rzekuciu?

— W takim razie, towarzyszko młodzieżowa — tak chyba wypadnie tytułować? — muszę zameldować, że młodzieży w Rzekuciu mamy siedmiu. Może być więcej, ale ja się na razie wstrzymuję, niech ta siódemka najpierw okrzepnie. Co miesiąc tam jeżdżę. Robię, co mogę, ale sam niewiele umiem. Oni mnie już czasem przypierają.

— Przypierają, mówisz?

— Tak. Ostatnio pytali się, na przykład, co to znaczy, od czego dokładnie pochodzi — imperialista? Albo — co ma faszyna do faszysty? Albo o podatku gruntowym, o pieniądzu, jak krąży... Zahaczają też o gwiazdy, o ziemię: skąd się wszystko wzięło? Doprawdy, chcąc odpowiedzieć bez blagi, trzeba by tam jeździć z jakimś redaktorem w rodzaju Bielawy.

— Nie ma takiego, co by mógł na wszystko z miejsca odpowiedzieć. nie o to chodzi. Chodzi przede wszystkim o zasób podstawowych wia-omości do ugruntowania naszego światopoglądu, a więc należy trzy-nać się jakiegoś programu. Owszem podobne rozmowy o wszystkim ą bardzo pobudzające, ale niewiele dają. Kiedy się tam znów wybie-zesz, pojedziemy razem, dobrze?

— Jasne. Nareszcie oddam w godne ręce. Młodzieżą zająłem się, sama viesz, jak. Przypadkiem i z musu. Tak samo Staszek.

— Właśnie, jak mu idzie?

Szczęsny mówi, jak jest, że Staszek może służyć młodzieży tylko okalem, zamykając ją w nim na kłódkę. Piekarską ominęła wsypa ı październiku, za to potem komórka ta została bez kierownictwa odtąd idzie samopas. Zdaniem Madzi, za długo się trzymają Piekarskiej jest ich tam stanowczo za dużo. Powinni się przenieść gdzie indziej rozbić na dwie grupy.

— Zimno — wzdryga się Madzia. — Marzniesz tu chyba.

Póki gadali, ogień zgasł i wiatr całe ciepło wydmuchał.

— Marznąć nie marznę, bo w nocy śpię i nic nie czuję, w dzień rzadko estem u siebie... Zaraz napalę, to się ogrzejesz.

Klęczy ciachając szczapki na rozpałkę. Madzia stoi obok z ręką na laszanej rurze. Piecyk, który ich dzieli, jest trochę inny niż w Doj-nach, bo tam był skrzyniowy i z fajerkami, a ten, to zwykła „żabka". le wtedy, w dniu ostatnim, Szczęsny tak samo klęczał przypalając ona patrzyła na niego w zamyśleniu.

— Nawet nie wiem, jak się urządziłaś, Madziu, gdzie mieszkasz?

— Będę żyła z korepetycji. Ze wszystkich zajęć, to jedno daje naj-większą swobodę w dysponowaniu czasem. Mam już jedną korepetycję. lingerowa obiecała więcej.

Rozmowa znów się urywa, choć oboje czują, że muszą mówić. Nie-odobna nie mówić — milczenie krzyczy za tym wszystkim, co było, o w sobie noszą.

— Skłamałam — odzywa się Madzia głosem przytłumionym, z lekką ytacją. — Wcale nie przyszłam w sprawie młodzieży. Po prostu bardzo ę za tobą stęskniłam.

Szczęsny unosi siekierkę, ale nie ciacha. Madzia widziana z dołu, od odłogi, wydaje mu się smuklejsza i jeszcze bardziej niedosiężna.

— Magduś — mówi rąbnąwszy w polano — jeśli zaczynasz przez obroć, to nie zaczynaj. Ja się obejdę bez litości.

— Takiś dosłowny, że naprawdę...

Dosłowność już mu kiedyś wymawiała w sadzie, jest w tym słowie echo tamtych dni i nocy, oddech wstrzymanych wyznań, tajonej tęsknoty.

— Pytałeś się mnie, pamiętasz — możebyśmy się pobrali? No więc przyszłam... Skoro tak już za sobą tęsknimy, to po co mamy się dalej dręczyć? Może naprawdę lepiej, żebyśmy się pobrali.

Szczęsny wstaje, dłonie ociera — dłonie uwalane w węglu ociera o spodnie. Prosi, nie patrząc na nią, prawie surowo: „Ano, weź mnie za szyję..." Madzia przybliża swą twarz, swe usta, ale ten, uchylając się od nich, bierze ją raptem na ręce.

— Puść — woła tamta majdając nogami w powietrzu. — Ja tego niecierpię! Nie jestem lalką, żebyś mnie nosił!

Ale on już, wpółprzytomny, zanurza twarz w jej włosach, to ją łachocze, więc mu się wyrywa: „Szczęśniak! — protestuje. — Bo się zaraz pogniewam!"

— Dlaczego mi psujesz? — wyrzuca jej cicho. — Tysiąc razy, Magduś, tysiąc razy przecież tak sobie w myślach układałem...

Dziewczyna widzi nos fantazyjny, nos jak wyzwanie, jak ciupaga zbójecka, powieki przymknięte i uśmiech cierpki, ten sam, co na Stodólnej, gdy zdawało się śnił ten Bida-Szczęsny, człowiek do druku, o czymś jasnym śnił i swą aster za coś przepraszał...

Już mu nie broni, pozwala się nosić i Szczęsny chodzi z twarzą zatopioną w jej włosach, chodzi od drzwi do ściany, za którą zamieć szaleje, tam i z powrotem, kołysząc swe szczęście nagłe, ogromne, potężne do czwartej cholery!

*

* *

Ich szczęście wybłysło ze sprawy, którą żyli i samo w sobie byłoby maleńkie, pospolite. Byłoby może uschło na wierność i zgodne pożycie, gdyby nie rosło z ogromnej przyjaźni i walki, oplecione innymi losami, w szlachetnej jasności idei.

W tych rzeczach tak nieuchwytnych i dowolnych trzymajmy się jednak konkretu, trzymajmy się pamiętnika, dosłownie i w streszczeniu dopóki nie ujrzymy ważniejszej strony opowieści. Bo dla nich samych ich miłość nie była sprawą najważniejszą.

„Tow. Borzęcka była meldowana na lewe papiery, tak że pobrać się w sposób uświęcony przez burżuazję nie mogliśmy, choćby nie wiem co, zatem wzięliśmy ślub partyjny, wobec towarzyszy: Olejniczaka

Franciszka, Rychlika Staszka, Bajurskich Jana i Felicji, Lubartówny Ewy oraz szewców, sąsiadów moich, Wawruszki Ignacego z kazetemu Łąpcia Pawła, sympatyka.

Nie wiem już, co się czuje przy sakramencie, ale rzadko, myślę, młody na kobiercu ślubnym tak się wzrusza, jak ja przy słowach tow. Olejniczaka, gdy powiedział, że partia uważa nas za męża i żonę oraz nakazuje, abyśmy do końca byli względem siebie uczciwi i ze szczerym oddaniem.

Wesele przeciągnęło się do rana, bo była uczta, na jaką tylko mogliśmy się wystawić przy pomocy Fejgi, były śpiewy i tańce, nawet Olejniczak tańczył, w ogóle nastrój panował odpowiedni i wszyscy czuli się u siebie, w swoim gronie. Tylko pod koniec wyszła maleńka chmurka. Otóż póki Olejniczak przemawiał, to trochę tej wódki, co naszykowałem dla wszystkich, Łąpieć-sympatyk zdążył wytrąbić i potem ciągle pytał Olejniczaka, czy pamięta, jak Uliński się modlił i co z tego? Nic z tego, płakał, nie ma już Ulińskiego, nie ma „Pracy" i tak w kółko rozpaczał, że przepadła jedność szewska, tak że musieliśmy go jak małe dziecko ułożyć do snu.

W tym miejscu muszę wyjaśnić, że Uliński to był stary szewc, jeden z piętnastu szewców, którzy założyli pierwszą we Włocławku spółdzielnię pod nazwą „Praca". Założyli ją zaraz po odzyskaniu niepodległości, zaś w dniu otwarcia Uliński napisał na kawałku tektury „Niech żyje ośmiogodzinny dzień pracy!", umieścił na wystawie sklepowej, klęknął ręce złożywszy modlił się, że dożył dnia ośmiogodzinnego.

Za przykładem „Pracy" poszli szewcy niezrzeszeni, tak że rychło w całym mieście zapanował dzień o połowę krótszy.

Ale kapitał jest bystry i swoje macki ma. Ledwo młodych szewców zabrano w dwudziestym roku na front, już się kapitał do starych przyjunął i nuże ich nęcić dubeltowym zarobkiem, żeby tylko chcieli się przyłożyć do pracy po fajerancie, po cichu, nie oglądając się na nygusów. A gdy tamci przez głupotę zasadę jedności złamali, to wszystko poszło po dawnemu: im dłużej robili, tym mniej zarabiali. Za moich czasów, na przykład, szewcy włocławscy pracując po chałupach z żonami i dziećmi nie osiem, ale dwa razy po osiem godzin, w żaden sposób dwóch ósemek to znaczy 88 złotych na miesiąc przekroczyć nie mogli czyli wyciągali mniej niż najgorszy robotnik, mianowicie magistracki, co miał dniówkę 3 złote.

A co do ożenku, to się tylko dziwiłem, skąd do mnie taka żona i byłem jak młoda matka, która wprost uwierzyć nie może, iż to, co się narodziło, żyje sobie własnym życiem, z każdym dniem mocniejsze.

Wydaje jej się, że maleństwo lada chwila może przestać oddychać, więc nawet w nocy wstaje i nasłuchuje.

Moje szczęście oddychało miarowo na kształt rzeki. Byłem nim opity jak topola Wisłą. Raz nawet tak mnie wezbrało, że przypomniałem sobie Amatatora, czy aby nie usłuchać jego rady, a że Magda jeszcze nie spała i zaczęła się dopytywać, czemu się tak wiercę, więc jej powiedziałem.

Był w Nowym Dworze taki Żyd, który się od swoich odbił i na rol schłopiał. Wiadomo, gdy ktoś niefachowy albo naród cały dorwie się do jakiejś niezwyczajnej dla niego pracy, to zaczyna uprawiać czysta poezję z nabożeństwem, pół na pół. Otóż ten Żyd tak się nosił ze swoją ogrodowizną jak my — z odzyskanym naszym morzem, i dorobił się w końcu przezwiska Winny Amatator. Pierwsze, niby imię, dano mu dlatego, bo się uparł, że wyhoduje szlachetną latorośl i będzie miał winnicę w Nowym Dworze pod Warszawą. A drugie, niby nazwisko dlatego, że malując na swym płocie wielkimi literami, napisał przez pomyłkę: „Ogrodnik amatator sprzedaje kwiaty i warzywa".

Magda, taka przecież łapczywa na życie, zaśmiewała się słuchając mego opowiadania. „To też temat — mówiła — ale czyś tylko dlatego nie mógł zasnąć?" „Nie — rzekłem — gdyśmy się spotkali, a spotkaliśmy się przypadkiem w czasie flisu, kiedy tratwy stanęły na noc przy jego ogrodzie, Amatator klarował mi pod koniec rozmowy o sztuce życia. Grunt mówił, to sposób brania i odejścia; wszystko trzeba brać świeżo, na głodno i odchodzić w porę. Jak z zabawy w pełni. Inaczej, mówił, nuda się unosi zamiast radości i paskudnie się w pamięci odbija.

— Właśnie czuję — zwierzyłem się Madzi — to najwyższe, co życie dać mi mogło, sam szczyt. Nigdy się już to nie powtórzy, może nam być tylko gorzej i smutniej, więc lepiej byłoby, żebym sobie poszedł nim mnie będziesz miała dosyć.

Madzia na to bardzo się obruszyła, na ten nieodpowiedzialny, na te smakoszowski stosunek do życia, jaki miał Amatator.

— Czy nas złączyła zabawa albo czy ja jestem dla ciebie zabawką? Kochamy się i walczymy, wystarczy, a o resztę się nie troszcz. Nie mamy czasu na resztę, nie zdążymy — nasze szczęście jest krótkie międzywięzienne."

Tak było w istocie — miłość i walka zlewały im się z sobą, jedna drugą syciła i tej bez tamtej czegoś by zawsze brakowało.

Sprawą, która ich wtedy zajmowała, w której po trochu palcami maczali, był proces rzekucki. Mecenas Klingerowa walczyła jak lew, niestety wydarła tylko Jasieńczuka i małżeństwo Rabanowskich, Kamy

ś i Jesionowski dostali po pięć lat, naprawdę za nic, zupełnie nie-
innie. Pisano o tym w gazetach, ale skutki tego procesu dały się od-
ćuć najmocniej w Rzekuciu. Tam aż kipiało, zwłaszcza wśród „dziado-
ów", można to było stwierdzić w pracy z młodzieżą.

I jeszcze jeden skutek miała ta sprawa, tym razem u nich w domu.
to Magda wpadła naraz w dziwne zamyślenie, czasami nawet prosiła,
by Szczęsny zostawił ją samą. A gdy się pytał, co jest przyczyną jej
nutku, zbywała go jak niemądrego chłopczyka: „Nic, kochanie, to
obry smutek, potrzebny". Zaczął podejrzewać w tym dziecko i już
bie w myśli układał, że jeśli urodzi się chłopiec, to nazwą go Fran-
em, a jeśli dziewczynka to Pelagią. Tymczasem Magda w jakiś tydzień
wiła opowiadanie pt. „Kominiarski bunt".

Najpierw przeczytali tę rzecz w swoim gronie, a zobaczywszy, że to
st nie jakiś tam miszmasz po trzy grosze od wiersza, ale literatura
awdziwa, posłali do „Lewaru" i „Bunt" ukazał się z dwiema tylko
amkami po cenzurze, z zachętą od redakcji, z czego Szczęsny był
romnie zadowolony, a Magda nie bardzo, miała bowiem wyrzuty su-
ienia z powodu swojej słabości do pisania.

Dopiero po latach Szczęsny sobie uświadomi, jak strasznie z sobą
alczyła, żeby nie pisać. Kochała literaturę i bała się jej. Panicznie się
ła, że ulegnie swemu pisarstwu, toteż dławiła w sobie słowa niewy-
wiedziane, zabijała, żeby nie zabiły w niej człowieka czynu, człowieka
alki — grunt to walka, mówiła, na beletrystykę mamy czas.

Ale wtedy nie mógł patrzeć na to, że taki talent się marnuje.

— Jak to jest — pytał się — żeby człowiek, co dnia bez książki prze-
ć nie może, który mnie ku światłu ciągnie za uszy, właściwie za nos,
nos mam dobrze uchwytny, jest za co pociągnąć, kiedy zasnę przy
ytaniu — słowem, żeby Magda nie dbała o dobrą, o proletariacką
iążkę: „Na beletrystykę mamy czas!"

Widział w tym jakąś przekorę, jakieś lewactwo czy junactwo, w każ-
m razie inteligenckie odchylenie od zdrowego rozsądku, i na tym
dochodziło do śmiesznych sprzeczek (dziwne, że serio gniewać się
umieli — przecież miała charakter, a i Szczęsny wcale nie był lekki
pożyciu).

— Po co mam pisać dla mas, kiedy masy śpią — wymawiała mu,
asy chrapią nawet przy Żeromskim.

— Magduś — Szczęsny jej na to — zrozum, cały dzień na nogach,
zy maszynach, huk, szum, kręćka można dostać. A co trocin w uszach,
rdle! Przyszedłem do domu — ciepło, cicho. Przyłożyłem się do ciebie,
ładnie czytałaś, no więc to mnie jak muzyka ululało...

Ileż to razy, ledwo się zdrzemnął, już go łapie za nos:

— Znów? Co ja z nim mam! Gorszy od młodzieży, zupełny ćwok!

I narzeka, że ktoś ją widać przeklął najstraszliwszym przekleństwem żeby męża uczyła!

— Śmiech śmiechem — zwierza się później Szczęsny — ale co si nade mną moja towarzyszka młodzieżowa namordowała, ile pracy włoż żyła, tego się nie da opisać. W owym czasie byłem mocno pod względ dem umysłowym zaniedbany. Czytałem samą tylko prasę partyjną, n doraźny użytek, od zaraz. Na poważną powieść, a już tym bardziej n rzecz naukową brakło mi chęci; w umyśle moim zaczęło się zachwasz czać przeświadczenie, że skoro złapałem klasowe podejście — to reszt fiume!

Dopiero Magda wzięła się za niego, że nic nie wie, nic nie umie, jes jak dzika puszcza, jak ugór, a przecież potrafi! A przecież od członk partii wymaga się... i tak dalej karczowała go pod świeżą kulturę.

— Co miałem robić? — wyznaje Szczęsny. — Dawałem się kształci Ja bym dla niej nie tylko czytał, ja bym dla niej żabką skakał i na tra bie grał!

Oprócz żony — do samokształcenia pchali jeszcze szewcy. Komite dzielnicowy postawił go do roboty wśród szewców — kto wie czy nie z sprawą Madzi, bo była w komitecie. Już młodzież wiejska czasem g swoimi pytaniami przypierała, a cóż dopiero element miejski, robiąc zajadle i z kopyta. Musiał się dobrze przygotowywać do każdego zebra nia z nimi, bo by zaraz wychwycili najmniejszą słabość czy blagę, ta że po roku wciągnął się w czytanie i już przy tym nałogu pozosta

W tym czasie wynikła sprawa z Koneckim, sprawa głośna i paskudn mianowicie — szewcy naraz spostrzegli, że skóry się skurczyły. C u licha, mówiono, zawsze starczało na wszystko, a teraz nie starcz

Widząc ogólne poruszenie, Szczęsny, Łąpieć i Wawruszko wzięli p kryjomu skórę, co Zamojski dostał od Koneckiego, jeszcze nienapoczęt i poszli do garbarni, gdzie Wawruszko miał towarzyszy. Tamci poży czyli z magazynu „bociana", czyli przyrząd do mierzenia skór, i „bocia wykazał 1000 decymetrów zamiast 1200!

Po nitce do kłębka — wszystko się wydało: Konecki kazał powybij dla siebie fałszywe decymetry, a że był to klient jakich mało, biorą towaru co najmniej za 50.000 złotych na raz, garbarnia ma się rozumi polecenie wykonała dorzucając wszędzie mniej więcej jedną piątą obj tości. Konecki potem skórę między chałupników puścił i garbarni c tam z zysków odpalił.

Wśród szewców, gdy się o tym dowiedzieli, zawrzało. Milioner! Firmę
a obuwianą, bank, domy we Włocławku i w Palestynie. Nie dość, że
dzie na niego robią w piątek i świątek, że ssie klaperów, pucerów, cho-
wkarzy, że czasem za pracę wekslem zapłaci i potem w swoim banku
asny weksel dyskontuje potrącając pięć od sta — to jeszcze skórę
łszuje!

Zamojski, z którego warsztatu wyszła ta heca, wolałby załatwić spra-
ę polubownie, ale inni brygadziści zakrzyczeli go: do sądu i basta!
za podszeptem Szczęsnego złożyli skargę na ręce pani mecenas Klin-
rowej. Ta wzięła się ostro do rzeczy, zaleciało śmierdzącym procesem,
raz Konecki zwołuje brygadzistów, czerwony z oburzenia na tych
buzów z garbarni, co mu zrobiły taki wstyd! Skórę wepchnęły nie do
iary! Nie daruje im tego, brygadzistów zaś przeprasza i każdemu
je po 300 złotych tytułem odszkodowania — po co proces? Kochajmy
ę dalej.

Wszystkim dał, tylko Zamojskiemu nie. Zamojski zląkł się utraty
boty od Koneckiego i żeby się przed nim wybielić, wylał tego, kto
erwszy skórę „bocianem" przemierzył — Łąpcia wylał z warsztatu.
Łąpieć włożył ślubny garnitur i poszedł do Koneckiego. Nie dostałby
ę, ale sekretarkę tego dnia zastępowała Kachna, która po kursach
ndlowych i po pół roku praktyki darmowej dostała się na biuralistkę
pensją szewską, to znaczy 80 zł na miesiąc. Otóż Łąpieć zachowywał
ę tak pewnie, że uwierzyła mu, jakoby został wezwany na jedenastą.
Konecki zdumiał się ujrzawszy Łąpcia przed sobą. Poznał. Wszyscy
ali „rogatego szewca".

— Kogo ja widzę? Pan Łąpieć! Po co pan przyszedł?

— Wiadomo po co. Po pracę.

— A ja myślałem po tekę. Była przecież zmiana gabinetu. Nic panu
e proponowano?

— Proponowano, ale ja im otwarcie powiedziałem: dajcie spokój, pa-
owie, nie mam kwalifikacji na ministra — ja żem człowiek uczciwy!

— Szkoda, wielka szkoda. Bo na szewca pan jest stanowczo za mądry.
oprawdy czułbym się głupio, gdybym takiej inteligencji dawał dam-
ie na drewnianym obcasie po trzy złote para!

Łąpieć począł mu tłumaczyć, że stracił przez niego pracę u Zamoj-
iego, powinien więc dostawać bodaj dziesięć par na tydzień, mogą być
vykłe na półsłupkach, ale Konecki tylko ręką machnął:

— Dosyć. Proszę odejść.

Serwetę założył pod brodę, do obiadu, który był kazał sobie tu, do ga-
netu podać, bo się spieszył na pociąg.

— Wolnego — ozwał się Łąpieć — zabrałeś mi pan moje, bio
pańskie.

I przechyliwszy się przez biurko, sprzątnął Koneckiemu zupę sprze
nosa — „choć raz skosztuję bankierskiej zupy!“ Nim ten oprzytomnia
Łąpieć dokumentnie talerz wyczyścił.

— Dosyć — powiedział wstając od stołu. — Mam dosyć pańskiej zup
i pana, panie Konecki. — Niech mi się pan więcej na oczy nie pokazuj
bo nie ręczę za siebie.

Było potem śmiechu szewskiego na mieście — jak Łąpieć Kone
kiemu zupę wyjadł! Sam Konecki śmiał się z pysznego, jak mów
kawału, za mądry na to, żeby się złością ośmieszać. Na Kachnie tyl
się zemścił, zwolniwszy ją z biura, ale Łąpcia kazał Zamojskiemu prz
jąć z powrotem, bo chociaż to był mizerak, pijus, i nicwart, ale g
Rogaty goj. Mógł gdzieś od Żydów napubliczyć albo szyby stłu
to by drożej kosztowało. Ba, gdyby Łąpieć był Żydem! Względe
współwyznawców Konecki nie miał żadnych hamulców, toteż nie by
we Włocławku większej nędzy nad żydowską, po warsztatach szew
skich i nie było elementu bardziej świadomego tej prawdy, że nic n
mają do stracenia. Na szewców ulicy żydowskiej można było zaws
liczyć. Nie zawodzili nigdy.

Tak oto czas obojgu młodym schodził na różnej pracy partyjn
Szczęsnemu przeważnie u szewców, Madzi wśród młodzieży, a co
zarobków, to ze stolarni i z korepetycji wyciągali razem do trzys
złotych, tak że z początku nie wiedzieli, co z forsą robić, odkąd jedn
Fela zaszła w ciążę i została z Madery wydalona, żyli z tego we czwo
gdyż Janek Bajurski wciąż był bez roboty.

Ten rok, najszczęśliwszy w ich życiu, był też rokiem na ogół sp
kojnym, bez wielkich wydarzeń. Wszystko im sprzyjało, niby
względu na Madzię, i Szczęsny, zaglądając jej w oczy, uczył się piln
Cały czas sprawował się bez zarzutu, raz tylko nie wytrzymał i w tajen
nicy przed Magdą poszedł „na lisa“. Tę wyprawę przypłacił późni
rokiem więzienia.

Otóż Turek, który przed laty czepiał się Szczęsnego u Michałka
Kozłowo, powiedziane zamiast Grzywna, ten sam policjant, przeszed
szy do tajniaków, zaczął między innymi polować na głodujących,
próbowali buchnąć z furgonu chleb wieziony dla Korbala i do inny
sklepów na Grzywnie. Chleb wożono z piekarni w nocy przed brz
skiem. Turek lisim sposobem właził do furgonu i przykrywszy się b
chenkami, czyhał na tych, których zapach świeżego pieczywa zamroc
i pod artykuł 257 KK ściągnie.

Kiedy się Szczęsny dowiedział, że przez Turka zasądzono Kwapisza Cichowiczowej Franka i jeszcze kilku, to postanowił drania nauczyć, m bardziej że znał furmana i ten poszedł mu na rękę. Powiadomił, órej nocy będzie jechał z „lisem" w środku i konia wstrzymał przy wnych rogatkach miejskich. Szczęsny stalowym drutem dźgnął parę zy w chleb i Turek wyskoczył z wrzaskiem i z pistoletem w ręku, na tylko czekał Bajurski. Zaraz go, kijem przez łapę trąciwszy, zgarnął płachtę celem omłócenia. Byliby go elegancko przez ten maglownik ymaglowali, ale się napatoczył patrol z Czternastki i trzeba było yskać.

Wkrótce zapomniał o tej błahostce, ważniejszy mając kłopot, ten miawicie, że mu żonę zabrano do Kutna. Komitet okręgowy przestawił na robotę w tamtejszym powiecie, a Szczęsnemu jakby serce wyjął, k się pusto zrobiło i tęskno, że strach.

W jakieś dwa tygodnie dostał wiadomość, żeby wieczorami czekał. przyjedzie z literaturą.

Istotnie któregoś tam wieczoru przyjechała. Już po biegu na schoch poznał, że coś się stało, a ona wpadłszy z walizką, tyle tylko mogła ykrztusić, że ścigają! Że dorożką gonili i że za chwilę tu będą.

— To niech klamkę pocałują!

Mówiąc to zamknął drzwi od wewnątrz, wysadził Madzię przez okno papowy daszek i jazda do ogrodu, a potem brzegiem do mostu, stamd mostem na brzeg szpetalski do Zośki Kubiakówny („Mela").

W walizce były odezwy KC KPP do robotników i chłopów okręgu łocławsko-kutnowskiego — o jednolitym froncie. Przeglądając, wieli wyraźnie, jak bardzo Julian jest już sfatygowany, niektórych er wcale nie odbija, na gwałt potrzebuje remontu, mówiła Madzia, znów oboje czuli, że maszyna Marchlewskiego jest dla nich żywą otą, drugim towarzyszem partyjnym.

Cały transport Zosia zabrała na Dolną do kolportażu. Jedną tylko ezwę zostawili sobie i ta, szczęściem ocalała, po tylu latach znalazła w załącznikach.

Noc spędzili u Zosi, która odstąpiła im swój pokoik. Nad ranem odowadził żonę na Łubę i udał się do Celulozy, po pracy zaś wrócił siebie.

Brońcia powiedziała, że dobijali się, że czatowali do rana. Siostrę ążyła powiadomić, więc Ewy nie ma w domu, nie nocuje.

Nie skończyli rozmowy, już przyszli z nakazem rewizji sierżant Paocki, Jasio i Turek („w ogóle były to turki, te tajniaki, i żeby nie owokacja, nigdy by sobie z nami rady nie dały").

— Coś pan robił wczoraj o tej porze?

— Kochałem się, bo co?

— Nic, nie bądź pan taki dowcipny!

Byli wściekli, ale nie pytali o wczorajsze. Przepadło. Szukali, szperali, guzik znaleźli. Ale Turek poznał Szczęsnego.

— Panie sierżancie, to jest właśnie ten ze szpikulcem, co mnie w chlebie dźgał.

Szczęsny na to się oburzył, ale Turek obstawał przy swoim i Jasio-jąkała go poparł, że już widział Szczęsnego na masówce, na pewno jest z komórki, zresztą, mówił, cały ten dom — to jedna wielka komórka.

— Mmożeś i tty — zwrócił się do Brońci — w kko-komórce?

Mała skinęła poważnie głową, że tak, ona też. Jasio powiódł po kompanach wyżlim wzrokiem i przysunąwszy się do niej, zabrał się z całą judaszową słodyczą — żeby mu powiedziała, kto jeszcze należy do komórki.

— Baśka jeszcze należy.

— A wie... a wie-wiesz, gdzie tto jest?

— Naturalnie. Co pan sobie myśli, że jestem dziecko czy co?

— Nno, nnie-e... Du-duża! Po-pokażesz?

Zeszli za nią na podwórko i skradać się poczęli do szopy pod kasztanem. Rozwarła przed nimi drzwiczki.

— Tu mamy komórkę!

Mało szlag ich nie trafił, gdy stara koza stamtąd beknęła!

— Popamiętasz — odgrażali się Brońci — jak się tobie wrzepi!

I powiedli ją ze Szczęsnym do aresztu śledczego.

Szła odważnie z dłonią w jego dłoni, całą drogę dodając otuchy jemu i sobie:

— Nic się nie bój, oni tak tylko straszą, a gdyby nawet? Dymitrow się nie bał...

XXII

Brońcię nazajutrz zwolniono, ale Szczęsny wsiąkł poważnie i na długo. Napad na funkcjonariusza PP — albo sąd doraźny, wyrok prosty, albo w trybie zwykłym dziewięć lat.

Mijały dni, tygodnie. Mijało mury życie gdzieś po tamtej stronie bramy. Od Gęsiej.

Pierwszego maja spadł śnieg i białozielony kasztan na dziedzińcu dumiewał ciężką, skrzącą w słońcu okiścią. Dwie niezwykłości w jednym dniu — majowy śnieg i śpiew daleki, wiejący z Placu Wolności, czerwony śpiew. A tu — człowiek nie wolny. Skrawek nieba i ręce na kracie.

W połowie maja chowano marszałka. Dzwony biły jękiem spiżowym na wieczne odpoczywanie, na żałobę narodową. Pod to requiem ogłuszające, panikarskie zbiegały się zewsząd sukcesory osierocone, pułkowniki czy inne duszpastuchy kadrowe, i pełnym pyskiem uczciwszy ojczyznę na stypie, pędziły trzodę wylękłą na kupę, do zagrody Ozonu, do strzyży według nowej ordynacji wyborczej, a towarzysze z masówki już pod więzieniem wołali: „Zrzucajcie opaski żałobne! Ani grosza na kopiec Piłsudskiego! Zbierajcie na więźniów politycznych — ofiary Piłsudskiego!"

Za murami walczono o jednolity front ludowy, o bojkot wyborów sanacyjnych. Walczono o zerwanie sojuszu polsko-niemieckiego, o prawdziwą konstytucję... Szczęsny mógł tylko chwytać odgłosy tej walki i rwać się do niej całą tęsknotą więźnia. Był teraz kamieniem na warcabnicy. Defa chciała go zdmuchnąć, partia nie dawała. Wyrywały go sobie dwie kobiety: Wajszycowa w zastępstwie głupiego męża i menas Klingerowa z Biura Duracza. Turek oświadczył niezłomnie, że poznaje w nim tego, który kłuł go drutem przez chleb, furman tak samo niezłomnie zaprzeczał, że nic podobnego.

Rosły akta, rosła męka czekania. Nastała jesień. Rydz i Sławek dobili swego ubiwszy wybory, ale w walce z nimi zjednoczyły się związki klasowe. W Abisynii minęła pora deszczowa i Włochy napadły. Paliły, kuły, bombardowały członka Ligi Narodów, a w Lidze kwiczoły nadal piskały pacyfistycznie... Starego Rudolfa Klausa ścięto toporem. Thälmann wciąż siedział.

Szczęsny myślał o nim niekiedy jak o sąsiedzie, jak gdyby był z tej samej celi. Zabić go Hitler chyba się nie ośmieli, myślał, bo za dużo jest szumu, ale trzymać będzie do samej śmierci. Wzdrygał się na to. Źle znosząc więzienie, wolałby śmierć niż życie między kiblem a pryczą, od apelu do apelu. Słusznie Magda tak się broniła wzbierającej miłości. Prawdę wyszeptała: „Nie wolno nam, to straszne"... Nie to straszne, że tylko skrawek nieba nad głową, ale — ręce na kracie! Ręce gorące, rozpłygotane, w skurczu bezsilnym za najdroższym, co tam pozostało, za taką, powiedzmy, towarzyszką młodzieżową, z wymową jakąś inną, krzydechową „hoć, hodzi", z noskiem ździebko zadartym — za taką prostą, samą swoją w każdym calu, do nikogo niepodobną, jedną jedy-

ną, której człowiek zapragnął od razu, na zatracenie i jakoś zupełnie podług Kraszewskiego: ta albo żadna...

Wyszedł Szczęsny z więzienia w kwietniu, uniewinniony. Wyszedł i świata nie poznał — obcokrajowiec czy co? Tak się wszystko zmieniło.

Piękna kaplica stała na Grzywnie. Pogaństwo do szczętu wytępiono. Wszystkie dzieci był pochrzczone, wszystkie stadła złączone na amen. Sakramenta rozdzielał sam biskup bezpłatnie po poświęceniu kaplicy (metryki tylko kosztowały). Wzdłuż szosy postawiono długie baraki, zasłaniając bezwstydną dzielnicę. O to się Korbal postarał. W radzie miejskiej wystąpił z wnioskiem, żeby ten wstyd od szosy przynajmniej przesłonić i zarazem trochę serca nieszczęśliwym okazać. Głośno było potem o akcji prezesa Korbala, na tym rozgłosie zastały go wybory, podał rękę Bebe i z jego ramienia poszedł dalej po grzbietach bezdomnych na fotel w białym gmachu przy Wiejskiej.

Przypomniało się, jak to on trzy lata temu, na kamieniu za dawnych arką, pociągając z termosu, spekulował w myśli: „Ile mi oni za ten widoczek zapłacą, łobuzy od korony polskiej?“ Już wtedy! Ano dobrze sobie wyspekulował — pan Roman Korbal, poseł na sejm!

W domu, Szczęsny zastał tylko Weronkę. Walek wyprowadził się na miasto. Był maszynistą. Tomczewskiego Muss w końcu wygryzł, Walka wziął do Czwartej Maszyny. Walek zarabiał przeszło czterysta złotych, wchodził w towarzystwo werkfirerów, techników, kochermajstrów — nie wypadało mu mieszkać na Grzywnie. Kachnie też nie wypadało: była stenotypistką. Przeniosła się do przyjaciółki.

W ten sposób rodzina po śmierci ojca całkiem się rozpadła, nikogo w chałupie nie zostało, bo i Weronka poszła. Na gospodynię do ks. Wojdy poszła. Gawlikowski wynajął cały dół Bajurskim, naraz Weronka po pół roku wróciła. Dlaczego, co się stało — milczy, nic się nie zwierza, tylko od tego czasu, jak twierdzi Gawlikowski, ani razu nie była w kaplicy, gdzie służy ks. Wojda, w ogóle nie bywa w kościele.

Bajurscy nadal przy niej mieszkali, bo dokąd mieli pójść? Janek chodził na roboty magistrackie, trzy razy w tygodniu, przy kanalizacji na ul. Królewieckiej, a Fela dorabiała przy Gawlikowskim opierzając ptaszki świecące nagim jeszcze drewnem, gołopupce, jak się u nich mówiło — i tak sobie żyli, szczęśliwi, że chłopak dobrze im się chowa.

— Czemuście nie dali mi znać o ojcu?

— A co by to pomogło? Dosyć miałeś zgryzoty we więzieniu.

W ostatnim roku ojciec podupadł na zdrowiu, odkąd jednak Szczęsnego zabrano, na wszystko, nawet na ten swój ogródek, zobojętniał

hodził osowiały, a jeśli co mówił, to najczęściej o Szczęsnym — jak ę doczekał, że mu chłopaka w drelichy ubrano!

Śmierć miał lekką, piękną śmierć — za całe życie. Po prostu spał spał, aż razu pewnego wcale się nie przebudził.

Szczęsny słuchał Weronki. Gdy się zamyślała nie kończąc zdania, Gawlikowski za nią kończył. „Oni tu do siebie w cichości dojdą" rzemknęło mu przez głowę. I znów wrócił do starego, że właściwie ylko ojciec ich wszystkich łączył, był tym, co się zowie domem. Umarł — wszystko się rozleciało.

Stał potem nad grobem myśląc o nieboraku, co leżał we własnej naeszcie ziemi, pod tablicą na własność wieczystą, cieśla cichy, pokorego serca, tak niepodobny do niego, ciesielczyka — według Madzi okreenia — który się nie dał rozpiąć na krzyżu. Tak bliski, najbliższy, jednak właśnie przez niego skrzywdzony najokrutniej, bo się go, rawdę mówiąc, dobiło.

W Kutnie, dokąd potem przybył, powiedziano mu, że tow. Borzęcka est od miesiąca w Łodzi. Dokładnie od marca — w związku ze strajiem. Tu się dowiedział szczegółów marcowych wydarzeń w Krakowie Łodzi. Przeczytał w prasie lewicowej osiem nazwisk obwiedzionych zarną krechą. Przy każdym nazwisku widniał zawód „robotnik" lub robotnica". I wyjaśnienie: „w pierś". Albo: „w brzuch". Echo tych rzałów w krakowskim ogrodzie związków zawodowych łomotało dotąd o kraju. Wyczuwało się w nim pierwszy poszum wysokiej fali.

W Łodzi po wielu poszukiwaniach tyle tylko dało się ustalić, że ow. Jasna (była już Jasną!) ma bardzo odpowiedzialne zadanie w poiecie. Pierwszy w kraju jednolitofrontowy strajk, tłumaczono mu, 30.000 włókniarzy, nie można tego zaprzepaścić. Partia mobilizuje szystkie siły, by dopilnować umowy i wyzyskać odniesione w marcu wycięstwo dla rozwinięcia wielkiej kampanii majowej.

— Żaden z towarzyszy ani na chwilę nie może teraz zejść z roboty, rozumcie sytuację.

Szczęsny rozumiał. Zostawił list dla Madzi i wrócił do Włocławka przeczuciem nadchodzącej burzy.

Rankiem pierwszego maja, ledwo zorza stanęła nad miastem, ujrzano oroczną zjawę czerwoną, tym razem na wieży katedralnej: sztandar bił m łopotem w niebo, sztandar zda się dzwonił czerwienią!

Jak przed trzema laty Szczęsny chodził z towarzyszami na Koiuszki przed lokalem PPS, tam i z powrotem, czekając, aż się uforuje ich pochód. A gdy przyszli kolejarze, których wiódł patriarcha e srebrną brodą po pas, syberyjską brodą, słowem, kiedy Klusiewicz

przywiódł swoje trzy pokolenia Klusiewiczów, Szczęsny stanął obok jego wnuka, obok Leona. Poszli razem jak przed trzema laty i nie rozdzielono ich w tym roku, bo to był rok trzydziesty szósty.

Na rogu Trzeciego Maja i Placu Wolności nie było już posła Piotrowskiego. Nikt nie skoczył, nie krzyknął wymachując ręką: „Tu się kończy nasz pochód!“ Nawet nie próbowano rozdzielić. Nie było takiej siły.

Ponad głowami opornych bonzów związkowych, ponad załganą górą partyjną wyciągnęły się dłonie robotnicze w nierozerwalnym uścisku i szedł pochód jeden, szumiał wspólną wolą i jednością:

— Precz z dyktaturą Rydza i kliki wojskowej! Precz z sejmem i senatem mianowańców!

— Niech żyje Konstytuanta!

— Zerwać z Hitlerem!

— Zawrzeć pakt wzajemnej pomocy ze Związkiem Radzieckim, Czechosłowacją i Francją!

Czuło się głęboki oddech mas, przypływ wzbierającej mocy nie tylko we Włocławku czy w Polsce. Ten powiew szedł z daleka. Od nowych pól i nowych miast radzieckich w wyniki zwycięskiej pięciolatki. Z Hiszpanii rządu ludowego. Hiszpania była przecież czerwona, Francja też szybko czerwieniała pod rządem jednolitofrontowym, a w Chinach i na ziemiach Szeczuanu połączone armie towarzysza Czu-de i towarzysza Sju Sjan-tjana gromiły Czang Kai-szeka.

Szpakowaty Tomczewski, który szedł z drugiej strony Leona, bo po wydaleniu z Celulozy pracował u Grünlanda razem z Leonem, Tomczewski, zawsze tak skory i łasy na słowo ze sznytem, krzyknął odwróciwszy się naraz do Szczęsnego:

— Wakon wziął!

— Naprawdę wziął! — odkrzyknął Szczęsny.

Patriarcha zapytał, co to znaczy, więc Szczęsny wyjaśnił Klusiewiczowi, że tak wołają w warzelni, a znaczy to — że rury obok sztuczerów już ssą powietrze, czyli masa gotowa do zejścia z warnika. Staremu bardzo się to spodobało, powiedział innym i wszyscy się śmieli, pepesowcy i komuniści, podając sobie z ust do ust nowe trafne słowo: wakon wziął!

— Mamy nareszcie maj, mówiono, prawdziwy maj!

Była radość wśród ludzi, i zgoda, i duch, że lepiej nie trzeba.

Od tego pochodu począwszy ruch klasowy przybrał na sile, wypadki potoczyły się szybciej i temperatura w mieście poszła do góry.

Pierwsi się do tego przyczynili narodówcy. Klasowość — to przecież dla nich śmierć, więc zaraz w te dyrdy do Żyda i — Żyda rzucać ma

m, żeby go sobie szarpały w imię Boga, ojczyzny i świętej Anal-
bety.

Ukazały się oto zielone wstążeczki, brzękły szyby, zjeżdżać poczęli
Włocławka akademicy z mieczykami w klapach. Miało się odbyć,
ówiono, większe bierzmowanie. Akurat na Stanisława, 8-go maja, na
taszka imieniny.

— Stop — powiedział na dzielnicy Staszek. — Jak oni zaczną, to
y skończymy, co robiący damy im nauczkę.

Tak też postanowiono. Kiedy więc po nabożeństwie Falanga wyszła
fary i zaczęła się zbijać do kupy, część robotników ze Szczęsnym
mieszała się w ich tłum, zaś Staszek ze swoimi czekał na rogu Trze-
ego Maja i Cyganki przy cukierni „Chłodnej" Mońka-sympatyka,
dzie jezdnia była rozkopana pod kanalizację i zagrodzona czerwoną
tarką.

Do tego miejsca szli sobie krokiem chrobrym, pradawnym, krokiem
aszczurzym, z kurzem mącznym po sklepach spożywczych, z jękiem
ogańców, których siła pokładli, bo Żydzi akurat wracali gromadnie
występów gościnnych Racheli Holzer.

Ale na rogu Cyganki Staszek Corobiący podniósł z jezdni czerwoną
tarkę, machnął nad głową: „Stop!" Na ten znak staszkowi natarli od
oła, szczęśniacy łupnęli w ogon, aż Falangę wzdęło i do bram przy-
arło. Pod razami tragarzy, formiarzy, strugaczy, zdunów, młotowni-
ów, kawalerowie zrywali z klapek mieczyki — klapa, panowie szlach-
, klapa! — i biegli do mamy. Grunwald dostali, że ha!

Szpetnie oberwali przy tym Korbal i Wajszycowa. Wajszycową po-
to za to, że strzelała w obronie pana posła, gdy wrzucano go do dołu
d latarką. Na niego znów ludzie byli bardzo źli. Pamiętali przecież,
k w zeszłym roku osobiście kierował akcją straży ogniowej w czasie
prycowania tłumu, co się dobierał do willi Grünlanda. Grünlanda
onił, bo — milioner! Bo — przyjaciel! Ale na krawców, szewców
kramarzy poszedł razem z chrobrymi szczeniakami, żeby ich sobie
zyskać i u kupców chrześcijańskich nadal uchodzić za obrońcę chrze-
ijaństwa kupieckiego, za przedmurze!

Gdy nadbiegła policja, plac bitwy był pusty. Ale Wajszyc wiedział,
kim ma się mścić za żonę zwróconą mu z sińcem, bez kapelusza
liliowych aplikacjach. Od dawna miał Staszka na oku, kilka razy go
dchodził na Piekarskiej, ale ten był nadzwyczaj zręczny i nie dawał
dnego dowodu.

Postarali się sami o dowód. Tejże nocy przyszli do solenizanta
w czasie rewizji podrzucili znaną odezwę KO KPP „Do obywateli

miasta Włocławka“ z 1935 roku. Próżno Staszek tłumaczył „po co miał-bym trzymać u siebie stare ulotki?!“ Nic nie pomogło, sprawa poszła do sądu i Staszek dostał trzy lata.

Tymczasem to, co zaczął Staszek, prowadził dalej Szczęsny zamiast niego w Komitecie Dzielnicowym.

Na akcję bojkotową „Nie kupuj u Żyda!“ kupiectwo żydowskie od-powiedziało akcją protestacyjną, zamykając sklepy na godzinę. Trzeba było wykorzystać poruszenie, jakie ten protest wywołał na mieście i wysyłać towarzyszy na ulicę, do gromadek zbierających się przed zamkniętymi sklepami, żeby demaskowali prawdziwe oblicze antysemityzmu. Trzeba było niekiedy patrolować miasto. Z nastaniem zmroku chodziło się trójkami, pilnując bezpieczeństwa żydowskiej ludności pracującej, w pierwszym rzędzie chałupników, których Włocławek miał mnóstwo, a z którymi się zżyło we wspólnej walce od wielu, wielu lat.

Krok za krokiem opanowywało się sytuację. Falangiści, na każdym występie bici robotniczą pięścią, poczęli się wycofywać z niegościnnego terenu i Włocławek stał się jednym z nielicznych miast polskich, gdzie rozruchy antyżydowskie nigdy już się nie powtórzyły.

Szczęsny, oddany całkowicie partii, żył nie wiadomo z czego. Jadał gdzie się dało albo i nie, spał na Grzywnie, ale i to nie zawsze. Pracy nie miał. Dostał się wprawdzie na roboty magistrackie, ale po tygodniu przyszła karta z defy, że podejrzany, że siedział — zwolniono.

Wracał, zwolniony, ulicą Płocką zastanawiając się nad tym, co robić bo wszędzie spotka go ten sam los: „Dla pana pracy nie mamy...“

— Taż to czerniawiec, chłopcy — usłyszał tuż nad sobą dobrze znany głos — jej-Bogu, czerniawiec!

Z okna Michałkowej karczmy wyglądał przednik Perehubka, za nim Chwostek-podmajstrzy i reszta flisaków z pamiętnego spławu.

Może naprawdę radzi byli spotkaniu, a może tylko podniecie do nowej kolejki, w każdym razie przyjęli go wylewnie, z hałaśliwą i szorstką serdecznością. Musiał siąść, musiał wypić karnego, wtedy dopiero rozmowa nabrała polotu i rumieńców zażyłości.

Przybyli jak zwykle z drzewem dla Celulozy, teraz jadą do Ulanowa na wielki spław ze Świtazi. Szczęsny ze swej strony poinformował, co u niego słychać — że bez roboty.

— Ot, durny... Taż ja tobie mówił, kab ty do nas szedł. Bukwy znajesz. Teraz to by już retmanił!

— Nie, bracie, retmanem w żadnym wypadku... Urząd wodny nie zatwierdziłby. Trefny jestem, rozumiesz? Z więzienia.

Flisacy przysunęli się bliżej: jak to, z więzienia? za co? Chwostek, rmonię położywszy na stole, z podbródkiem na niej, słuchał zza tego ńca przygody Szczęsnego „na lisa".

— ...w chlebie czatował na głodnych. Tajniak, przedtem — policjant, sam, co mnie się tutaj czepiał o Kozłowo, jak śmiałem powiedzieć ozłowo"?! Coście mnie wtedy obronili, pamiętacie?

— Szkoda, żeś go drutem — ozwał się wolno Chwostek. — Trzeba ło bagnetem, no, ale przepadło. A co do roboty, to nie ma zmartwie- — zabieraj się z nami. Ja przyjmuję i wszystkie papiery też ja ymam. Nikt cię u nas nie znajdzie.

Nalegali tak szczerze i życzliwie, że doprawdy nieprzyjemnie było odzić ich żoną, na którą się czeka i przyobiecaną jakoby pracą; gdy- nic z tego nie wyszło, wtedy naturalnie przyjedzie... Kto wie, myślał epijając z nimi pod to spotkanie nad Świtazią, jeśli trzeba będzie dyś wiać, to rzeczywiście najlepiej na tratwę...

Nie mógł przecież powiedzieć im, że we Włocławku trzyma go sam ocławek stojący w ogniu walki.

Strajkowali szewcy żądając 10% podwyżki płac i dodatków, jak tek- a, przędza, szpilki i gwoździe. Strajkowali chałupnicy na ulicy pol- ej i żydowskiej, pucery, klapery, cholewkarze i ci, którzy pracowali sklepy — razem około 700 szewców.

Stanęła fabryka drutu i lin stalowych Grünlanda, fabryki maszyn niczych „Mühsam" i „Wisła", odlewnia Gajewskiego, gwoździarnia awusa, młotownia Szwarca — wszystkie fabryki metalowe były upowane przez robotników.

Magistrat zarządził redukcję na robotach miejskich zostawiając tylko ów rodzin, reszta miała odejść.

— Nie zejdziemy — odrzekły kobiety zatrudnione przy zakładaniu ku i to zawołanie zaczęło rozbrzmiewać wszędzie wśród magistrac- h: — Nie zejdziemy! Będziemy się bronili choćby i przed wojskiem! Na mieście buzowało jak w piecu.

Wieczorem zebrał się na Grzywnie komitet dzielnicowy, by omówić uację przy udziale towarzysza z okręgu. Miał wysiąść na przed- atniej stacji, w Chodeczy, i Szewryk dawno już po niego pojechał. ekano więc z niepokojem.

Szczęsny rybki rysował dla synka gospodarzy, rybki dobre, wesołe, re sobie zgodnie plum-plum pływają, i ryby paskudne, żarłoczne, dyckie... Gdy się drzwi otworzyły, ołówek trzasł mu przez pół. Nie dziewał się tego spotkania. Madzia przeciwnie — ledwo weszła, już ku niemu wychyliła. Widocznie wiedziała od Szewryka.

Witając się potrząsała ręką dwukrotnie, zdecydowanie, jak gdyb mówiła „tak, tak, towarzyszu!“ — i potem już tylko ruch ku dołowi d zwarcia się w mocnym urywanym uścisku. W tym sposobie witania si było coś z podlotka i z mądrej matki zarazem, co zawsze Szczęsneg wzruszało. Pragnął bodaj tego uścisku, ale ona musnęła go dłonią p ramieniu strzepując zdawało się jakąś kruszynkę — „z tym towarzy szem to się później przywitam“.

Wszyscy uśmiechali się z zażenowaniem, bo ten towarzysz miał prze cież dla niej słowa wypieszczone w więzieniu, jak każdy z nich w swoi czasie, miał usta spragnione jej, swego kochania po takiej rozłące, za miast tego musiał streszczać sytuację: że Konecki się poddał, szewc wygrali, że metalowcy zasadniczo także strajk wygrali, tylko tuta wyszedł maleńki mętlik, ten mianowicie, że zawarłszy umowę stanę do pracy wtedy, gdy jeden z przedsiębiorców, Grünland, umowy te jeszcze nie podpisał i dotąd nie chce podpisać, załoga Grünlanda, zdo bywszy fabrykę, walczy samotnie.

Przyjście z pomocą osamotnionej liniarni nie nastręczało specjalnyc trudności. Gorzej było z bezrobotnymi. Ich sytuacja wyglądała tra gicznie. Włocławek liczył 9.000 bezrobotnych na 56.000 ludności, z teg tylko 3.700 zarejestrowanych i 900 zatrudnionych z funduszu bezro bocia trzy razy w tygodniu z dniówką 3 złote, na rękę po potrące niach — 2 zł 78 groszy. Wobec zarządzenia masowej redukcji nawe te pozory opieki społecznej, te okruchy ze stołu pańskiego zostal zabrane.

Nad tą sprawą radzono długo i szczegółowo. Uchwalono straj Jutro o wpół do ósmej, ledwo fabryki zagwiżdżą do pracy, wszysc magistraccy mają zejść z robót i zwartymi brygadami maszerować r Królewiecką.

Wyszli ostatni. Po ruchu, jakim wzięła go pod rękę, jak się przy tuliła, poznał, że nic się w niej nie zmieniło. Tak samo wspierała s jak gdyby oplatając, a przecież wiodła! — i krok był ten sam, drobiąc i prężny, jakiś zupełnie upojny krok.

— Czy to ma sens nocować u Kubiakówny? Dziś i tak nie zaśniem

— Nie zaśniemy.

— Więc jedźmy za miasto.

Poszli za bulwary, pod most, gdzie Łazarczyk trzymał łódl Olejniczaka.

Suchy piasek chrzęścił pod stopami na brzegu i w łódce było such

— Cholera — mimo to burknął Szczęsny zdejmując łańcuch z p la — takie błoto, jeszcze nogi zamoczysz...

Madzia zaśmiała się z cicha: „Wiedziałam, że tak powie“... i wspiąwszy na palcach, objęła go za szyję: „No weźże już, nie wstydź się, ja naıwdę pantofle przemoczę“...

Dźwignął, szczęśliwy, że może ją nieść i poniósł do łodzi, tej saj, którą uciekali kiedyś z Włocławka, a ona powiedziała westchnąw- leciutko:

— A z tym towarzyszem jeszcze się nie przywitałam, wiesz?

Jczuł szukanie jej ust, potem smak ich — były dziecinnie chłodne łone od łez.

Chciał jej przygadać, że to wstyd, aby towarzyszka na szczeblu bądź bądź okręgu płakała z radości jak słaba kobieta, zamiast tego jednak ytulił się do jej policzka bełkocząc bez związku „no już, Magduś, , po wszystkim“...

Wiosłował ostrożnie, z Madzi głową na kolanach, unosząc wiosło wyo, by czasem kropli jakiej na twarz jej nie uronić i w ogóle nic nie onić z tej cichej letniej nocy, z uroku rzeki rodzimej, którą — gdyby nagle zrzucono z bezmiernej wysokości — poznałby z zawiązanymi yma po zapachu, bo tak tylko Wisła pachnie! Poznałby po tęsknym, nostajnie niskim dźwięku, jakim powietrze pulsuje na dalekich kuvskich roztoczach, jak gdyby coś, półczłowiek, półzwierzę, cierpiało, chało już ludzko, ogromnie i całkiem świadomie, mając na to wciąż jedną biedną nutę: hu-hu-hu...

Niespokojne są noce na Kujawach. Żywioł w nich czuje się nieustan-, oddech szeroki po Bałtyk i dalej, i jakiś smutek dobry, potrzebny. nie mija o brzasku, to idzie za tobą — jak skarga kobieca, zwyczajna: — Ciężko mi było bez ciebie, nie masz pojęcia...

*

* *

Na południowym murze bazyliki, nie wysoko, metrów pięć nad zieą, tkwi zegar słoneczny niby grudka szara przyschła do czerwonej gły.

Pod zegarem tym ustawiają się zwykle turyści do fotografii, bo to ńce złociste wyrobił w cemencie i prętem przebił Kopernik wespół astrologiem biskupa.

Gdy cień od pręta przekroczył siódemkę, pod słońce Kopernika schoć się poczęły robotnice zatrudnione obok, w parku miejskim. Dziewny biegły, baby się wlokły, ale wszystkie jednakowo karnie stawały

czwórkami, w kolumnie i ledwo gwizdem fabrycznym smagnięto p
mieście, ruszyły zgodnie plaskając o kamień bosymi stopami.

Tak się zaczęła okupacja ulicy Królewieckiej.

Na Królewiecką, rozprutą przez środek głębokim rowem kolektora ciągnęli ludzi od piasku wiślanego, od kostki szosowej „trylinki", o kanalizacji, brygada za brygadą, aż ten potok ludzki wypełnił ulic do wylotu Żabiej, gdzie stała buda na materiał i narzędzia. Tu si spiętrzył nacierając na budę, z jej dachu bowiem przemawiał Michalsk bez oka, bezpartyjny, i towarzysze Raniszewski i Gabryszewski.

Dobrze mówili, bojowo i z ogólnym powiązaniem, ale hasła nie był Czekano na hasło, co robić: iść pod magistrat czy tu się okopać? Wokó wciąż falowało, mogło się przelać na miasto w bezładne rozruchy, w sam raz zatem Biegalski zaklinował:

— Nie wiem jak wy, ale ja się stąd nie ruszę!

I pierwszy siadł na krawędzi wykopu, przy którym robił od kilk tygodni.

Za nim posiadali wszyscy, po tej i po tamtej stronie rowu, twarzam do siebie, nogami w dół, reszta — gdzie się dało: na chodniku, na jezdn czy w bramie.

Od razu zrobiło się widniej i jaśniej — wiadomo, jak strajk, to mus być komitet strajkowy, straż porządkowa i żądania. Nad tymi też nie długo marudzono, zgodzono się bez sporów: żądać cofnięcia redukcj zatrudnienia wszystkich bezrobotnych i podwyżki tej samej, jaką wy walczyli sobie szewcy, metalowcy i inni: 10%! Niech na rękę wypłacaj po potrąceniach równe trzy złote, a nie jak dotychczas 2 złote groszy 78

Szczęsny był tu, jak mu komitet okręgowy przez Magdę kazał: „Bąd na tym odcinku, kieruj, ale się nie wysuwaj, bo jesteś świeżo po wię zieniu".

Był więc zaraz po wiecu na zebraniu komitetu strajkowego, dla któ rego z miejsca zdobył siedzibę dwa domy dalej, pod czternastym w lokalu żydowskiej szkoły powszechnej, pustej z powodu wakacj Gmina poszła na rękę i za jej zgodą w klasie na parterze po raz pierwsz zebrał się komitet okupowanej ulicy.

Przede wszystkim wysłano delegację do magistratu i do starosty n zwiady, z takim mniej więcej oświadczeniem: chcemy z wami mówi a wy? Jeśli tak, to kiedy?

Tyczasem wszyscy mieli być w pogotowiu. Straż porządkowa wy znaczała brygadom tereny do obozowania na ulicy i po podwórzach W gorączkowym pośpiechu wznoszono barykady zamykając nimi do stęp od Żabiej, Stodólnej i Cyganki. Utworzono komitet zapomogi z to

arzyszami Matusiakiem i Bezgłowym na czele, aby natychmiast uru-
omili na mieście cały aparat moprowy i nawiązali łączność z Babcią
otwińską. To nie byle co — wyżywić tyle luda!

Na wiec o wpół do ósmej zeszło się dziewięciuset, ale w południe
ozowało na Królewieckiej już przeszło półtora tysiąca strajkujących,
doszły rodziny. Półtora tysiąca mężczyzn, kobiet i dzieci rozłożyło
obozem w środku miasta, na jednej z głównych ulic, pod osłoną
zech barykad.

Miejscowe władze pytały się góry w Warszawie, co góra na to? Po-
ja chodziła spacerkiem zezując niewinnie, a mieszczanie dawali na
eszczęśliwych — oby tylko złodziejstwa z tego nie było i jakiej, broń
że, strzelaniny w pobliżu.

Madzia pracowała na głównej barykadzie. Tego dnia miała wpraw-
ie wrócić do Kutna, ale została, żeby się dokładniej przyjrzeć rozwo-
wi wypadków — tak przynajmniej wobec siebie samej usprawiedli-
iała, że jeszcze trochę pobędzie z odzyskanym nagle Szczęsnym.

Był na przedzie, dwadzieścia kroków za barykadą, już na jezdni
eprzyjaciela, tzn. na Żabiej. Zrywał kostkę kilofem, a ona nosiła.
obu chodników gapił się na niego tłum, w którym stali policjanci
strażacy z przeciwka, powinni byli go chwycić za to niszczenie na-
erzchni miejskiej, ale za nim stukała, dzwoniła, rosła w oczach ba-
kada, a w nim samym było tyle pogardy i siły, że policjanci patrzyli
k brysie, którym przed nosem nakiwano „nie rusz!"", a strażacy się
ieli: „Widziałeś, jak zapychają?" — „Żeby tak dotąd robili, to byśmy
wno już mieli kanalizację!"

Na odartej z kostki jezdni kopano doły, wpuszczając w nie znalezione
budzie rury i tzw. sztajfy, długie okrąglaki do rozpierania ścian wy-
pu; między te słupy rzucano wszystko, co ludzie poznosili, cały
ietnik ul. Królewieckiej: połamane graty ze strychów, skrzynie pa-
we, dziurawe garnki, zgniłe sienniki, szkielet kanapy... Na to sypano
mię i okładano kostką „na sposób sztukwarkowy", jak się wyraził
adzio — nie wiadomo czyj ani skąd — ale bardzo przy tej pracy po-
cny.

Wszystko było niezwykłe, wyśnione, pełne głębokiej, znaczącej treści.
ce dziadzia o palcach gruzłowatych w stawach, uczące Madzię układać
mienie „pięknym sztukwarkiem". Barykada nie z metafory, nie
ieśni masowej, ale barykada prawdziwa nareszcie, składkowa, z tego,
ulica ofiarowała. Pogwar obozowiska na dole i Szczęsny z kilofem
grupie towarzyszy, obnażony do pasa, dojrzały do akcji bohater opo-
eści, na którą nie ma się czasu...

To utajone i najistotniejsze, co Madzia wyczuła w nim od pierwszego spotkania, za co — zdawało się jej — pokochała (jak gdyby można pokochać za coś!), ta natura walcząca, dumna i bez ugody — teraz doszła dojrzała... Zadziwiające wprost, jak to wszyscy wyczuwają, jak się garną do niego. Przecież nie przemawiał na wiecu, nie jest w komitecie nawet w straży nie jest, a jednak radzą się, słuchają. Dlaczego?

Oto Bajurski pyta się, gdzie urządzić magazyn żywnościowy, bo zaczynają już znosić produkty ze zbiórki. Pod barykadą, odpowiada bez namysłu Szczęsny, tam jest najpewniej i miejsca dosyć, największy przecież spadek trasy, do dwóch metrów głębokości.

— A co z budą?

— Będzie dla milicji.

— Taka niby bursa? — wtrąca ktoś z boku.

— Niech będzie bursa — godzi się Szczęsny obojętny na nazwę i tak już zostaje.

Potem przychodzą Łapieć i Wawruszko. Szewcy pamiętają, jak im pomagano w czasie strajku, teraz ze swej strony chcieliby coś zrobić.

— Dla was — mówi Szczęsny do Łapcia — nie ma lepszego zadania jak zbiórka. Znacie wszystkich kupców i was znają. Idźcie po sklepach we dwójkę z Gawlikowskim. On ma wózek dwukołowy, a wy macie język za dwóch. Co uzbieracie, wieźcie do towarzysza Matusiaka.

— A dla mnie? — prosi się Wawruszko.

— Tobie, bratku, dałbym kuchnię. Kuchnię trzeba koniecznie zorganizować. Ot, żeby Weronka chciała...

Patrzy pytająco na siostrę, która przyszła razem z Felą Bajurską i stoi tu na uboczu, chmurna i obca.

— No jak, Werciu, ugotujesz dla naszej straży?

— A wiela to ich jest?

— Szesnastu, ale nas stąd jeszcze dojdzie trochę, tak że trzeba rachować na pięćdziesiąt porcji. Co?

— Bez różnicy, mogę na pięćdziesiąt. Ale — tak bez pieca, w tym dołku?

— Nie, po co w dołku. Spójrzcie tylko na stolarskie podwórze. Pod daszkiem widzicie? Skocz no, Ignac, pogadaj z nimi...

Tak samo lekko idzie mu z innym zgoła kłopotem, z policjantem, który skądsiś znalazł się w obozie.

— Towarzyszu Bida — mówi chłopak ze straży porządkowej — co robić? Stoi i patrzy się na moją opaskę. „Kto ci pozwolił, powiada, stanąć na moje miejsce?“ No i co wy na to? Nie będę się przecież z nim bił!

— Nie trzeba. Sam pójdzie. Chodźmy.

Rzeczywiście wraca po chwili z roześmianą gromacką.

— Coś mu zrobił? — pyta się Madzia.

— Nic, spytałem tylko, czy ma dzieci.

— I co?

— Szkoda dzieci, powiedziałem. Czy warto tak się narażać? Niech ze ną idzie, może wyprowadzę.

— A gdyby nie poszedł?

— No jakże... — dziwi się Szczęsny i tyle jest w nim zebranej w so- namiętnej siły, tyle bajecznej po wierzchu pewności, że wszyscy wokoło też dziwią: — Jakże mógłby nie pójść? Musiał!

— Ale gdyby? — upiera się Madzia.

— Wtedy nie wiem, może bym go wyniósł ostrożnie, nie był przecież bardzo ciężki, w każdym razie już bym go usunął.

Nie wie jeszcze jak, ale że w każdym wypadku usunąłby, o tym nie ątpi, ma półuśmiech nie skażony wątpieniem, a oczy czyste, niezmą- ne lękiem. Jest z tych, co wyrastają z mas, są ich wolą, niekiedy gendą...

— Szczęsny, ja cię widzę w Hiszpanii...

Już się zaczynało mówić o Franko, o wojnie domowej w Asturii, że eba by pomóc ludowemu rządowi, ale pierwszy raz wtedy Szczęsny ojrzał na Hiszpanię od strony tej możliwości.

— A co, myślisz, nie pojechałbym? Gdyby tu nie było roboty — szcze jak! W tej chwili!

Ze szkoły, z komitetu zawołano przez okno, że zaraz będzie konfe- ncja u starosty, czy towarzysz Bida nie poszedłby z nimi? — I Szczę- y poszedł.

W sali konferencyjnej starostwa zastali za zielonym stołem dziewięć ób, wśród których Szczęsny rozeznał starostę Murmyło, wicestarostę Pustelnika, referenta Zygmuntowicza, komisarza policji z podko- sarzem i sierżanta z defy.

Dziewięć pustych krzeseł stało naprzeciwko. Przygotowano dla nich, mo to gdy stanęli w drzwiach, Murmyło podniósł znad papierzysk ój przekrwiony kark i zamrugał ze zdziwienia.

— Co to, delegacja bezrobotnych? No, nie wiem, doprawdy nie wiem, czym moglibyśmy mówić... Nic na to nie poradzimy.

Łaskę im robił, trzeba go było z punktu osadzić, toteż Szczęsny trą- Gabryszewskiego „do galopu łaskawcę!", i Gabryszewski ruszył przód.

— Przychodzimy po to, żeby tu sprawę konkretnie załatwić - mówiąc to poszedł do stołu i siadł, za nim Szczęsny, Lejman, Raniszew ski i inni. — Przychodzimy do pana, panie starosto, jako do gospodarz miasta i powiatu, a gospodarz nie może powiedzieć: „Nie poradzę!" Mu poradzić, albo zrzec się władzy. Nasze żądania są takie: po pierwsz zatrudnienie wszystkich bezrobotnych...

— Nie, kawalerów nie zatrudnimy — przerwał Murmyło.

Zaczęła się utarczka słowna między nim a Gabryszewskim, od czas do czasu Pustelnik wtryniał swoje trzy grosze albo Zygmuntowic i po godzinie cała konferencja rozlazła się jak sprane płótno na głupi kawałki.

Nikt nie zaprzątał sobie głowy pulchną stenotypistką przy mały stoliczku. Ale Szczęsny zauważył, jak zbladła na jego widok i żal m się zrobiło siostry — że też ma pecha! Najpierw u Koneckiego prakty kowała bezpłatnie, a gdy się dostała na etat — Łąpieć ją podszedł, wy jadł zupę szefowi i Kachnę wylano. Teraz znów tyle czasu siedział w starostwie na bezpłatnej praktyce, już się przepchała na etat — t się zjawia brat! Niech się dowiedzą, że ma brata kumunistę — wyle z loczkami, z dołeczkami, na kolorowe paznokietki.

Wieczorem na ścisłym posiedzeniu komitetu strajkowego omówion wyniki tej konferencji. Wszyscy na ogół podzielili zdanie Szczęsneg że władze grają na zwłokę. Nie mając jeszcze dyrektyw z Warszaw ani sił do rozgromienia „taborytów z ul. Królewieckiej", zwodzą c czasu, ale dziś jeszcze na Grzywnie w Czternastym pułku piecho werbowały zupaków do akcji przeciwko nim. Może szykują sztur a może wygłodzenie, tak czy owak o dogadaniu się nie ma mowy. Dro jest każda chwila.

— Towarzyszka Borzęcka powinna zaraz wyjechać do okręgu. P trzebujemy szerokiej kampanii wspierającej i potrzebujemy forsy n żywienie ludzi, ale to już, póki nie ma blokady.

Głos nie zdradził Szczęsnego. Tylko Madzia wyczuła, ile to go kos towało. Tylko ci spośród towarzyszy, co ich znali, zrozumieli całą gorz kpinę osobistą wniosku Bidy: odnaleźć się z żoną po roku więzien i zaraz ją w drogę wyprawić!

Janek Bajurski miał ją odprowadzić do Chodeczy. Wyszła z obozu n Stodólną przez sionkę z pracowni rymarskiej. Cały czas rozmawia żywo, może trochę za żywo, układając ze Szczęsnym półserio, półża tem, że po strajku pojadą oboje do Hiszpanii. Dopiero w sionce spowa niała.

— Nie żałuj — powiedziała całując go — nawet w tym najgorszym

zego Szczęsny miał nic żałować, o tym się nigdy nie dowiedział, bo ek szarpnął ją za łokieć pociągając za sobą w ulicę, na którą z dru- o rogu, pod świetlny prysznic latarni, wtaczał się zawiany Kot.

częsny popatrzył na schlanego gada, czy przypadkiem nie ściga dy, i pośpieszył do komitetu. Tekst odezwy napisanej przez Madzię żało natychmiast przesłać dzierżawcy jez. Łuba. Juliana tam już było, ale powielacz pracował. Przed ósmą, nim towarzysz Gwizdak, udniony w kasynie podoficerskim, wyjdzie z domu do pracy, odezwy owinno mu się bezwzględnie doręczyć. Na akcję starosty partia od- ie kontrakcją. Bo jeśli się zupaków podnosi na pogrom Królewiec- — niech wiedzą, o co walczy ulica Królewiecka, do czego się ich pechtuje i za jakich Sławojów każą im brudy wynosić.

óźną nocą, gdy wszystko, co było do zrobienia, zostało zrobione, po- ł do siebie, na dach budy, którą obrał sobie za kwaterę. Miał sien- pod spodem, konary drzewa nad głową i widok z góry na barykadę bią.

hciał spokojnie przemyśleć dzień jutrzejszy, ale Madzia nie dawała. ział ją wciąż i za każdym razem inną: z Madery, z sadu w Dojmach, h mieszkania na Toruńskiej, ale najczęściej — z minionego dnia, kucnąwszy, ręce wyciągała do małego Szczęśniaka. „Chodź, ja em ładnie śpiewać, chodź do cioci..." Dwuletni brzdąc dużego ka- u, w ojca, boczył się przekornie i wyrzucając nogasy jak baloniki kał do matki. Fela powiedziała z udanym nadąsaniem:

- Nie bądź za wygodna. Widzicie ją — na gotowe! Chcesz się bawić ciakiem, to sobie urodź.

ęce Madzi opadły, wyprostowała się jak uderzona. Trafiła ją Fela hcący w najboleśniejsze.

zczęsny widział teraz przed sobą — ponad barykadą, ponad ulicą siężycowej poświacie — tę twarz pobladłą, zranioną.

ył dumny z żony i wcale ambicja go nie bolała, że idzie — według ka — że niby idzie za żoną: „Ona poszła z dzielnicy do okręgu — a jej miejsce, a jak ona pójdzie do KC, to ty chyba do okręgu, no "

ierzył w Magdę, w jej mądrość i serce, w jej wartość dla rewolucji etariackiej — taki człowiek nie przejdzie bez śladu. Ale gdy będą vili, gdy po latach będą pisali o towarzyszce Borzęckiej, jak wal- a, co z siebie dała i ile zniosła w podłym ustroju kapitalistycznym, rzecież o najważniejszym nie wspomną. O głodzie, o cierpieniach ziennych — oczywiście! Ale że cierpiała głód inny i słowa w sobie viła niewypowiedziane, bo pisać nie było kiedy i niepisanie było

wtedy rzeczą najważniejszą... Ale że tak bardzo dziecka pragnęła i w
rzekła się maleństwa, bo kiedy je rodzić, jak chować w takich waru
kach, na taką skazywać poniewierkę... — ten gwałt zadany kobiec
ta macierzyńskość niewyżyta! — nie, o tym nikt się nigdy nie dowi

*
* *

XXIII

Drugiego dnia okupacji znów była konferencja u starosty, trzeciego
w magistracie... Próbowano na przemian zastraszyć ich lub okpić ob
canką, ale delegaci stali twardo przy swoim — cofnięcie redukcji, z
trudnienie wszystkich, podwyżka — i z tego ani rusz ustąpić nie chcie

Na Królewieckiej tymczasem układało się nowe życie ludności tub
czej i napływowej ścierające się najwyraźniej przy studni, ubikacji i
noclegu. Powstawały nieznane dotąd instytucje i ośrodki jak kuchn
poszczególnych brygad, żywa gazetka co wieczór pod oknami komite
targowisko na wielkim podwórzu stolarni albo Chór Trzeciej Barykad

Głodu na razie nie odczuwano. Babcia Słotwińska ruszyła cały
MOPR'em we Włocławku i okolicy. Zbierano wszędzie, najwięcej
fabrykach i sklepach. Kupcy chętnie dawali w dobrze zrozumiany
własnym interesie.

Najwięcej ze wszystkich, bo dwa i trzy pełne wózki dziennie, prz
woził Łąpieć, rogaty szewc, o którym chrześcijanie mówili, że gdy
nie był rogaty, a Żydzi — gdyby nie był szewcem, to byłby niechybn
ministrem. Co do tego oba wyznania były w rzadkiej jak na owe cza
zgodzie, bo Łąpieć olśniewał bystrością i głębią, zwłaszcza po pierws
ćwiartce, gdzieś koło południa; poza tym zelując seminarzystów bisk
pich uskrobał od nich trochę łaciny i umiał w potrzebie zaflekow
uczonym słowem.

— Niech wasza sapiencja zważy — mówił podnosząc do góry p
lec czarny i osieczony od dratwy — każda weszka żyje, dopokąd biec
żyje!

Sapiencja posapywał zżymając się na gryzące porównanie, ale prz
powieść ewangeliczna, jak zaklinał się Łąpieć albo prosto od Ben-A
by, przypowieść o weszce, która jednak powinna cokolwiek myś
o tym, kogo ssie — robiła swoje.

Niekiedy wszakże kupiec pytał się przezornie, co to znaczy: sapi
cja?

— Mądrość — odpowiadał Łąpieć, pakując do wora chleb, kiełbasę inne produkty, i najuczciwiej wbiwszy weń swe piwne, zadymione y, przysięgał: — Możecie używać bez obawy, pod chajrem!

Musiał teraz dawać gwarancję, bo przed tym puścił w obieg „bądź ı miłosierny, bracie sempiterny". Brzmiało to dźwięcznie i bardzo ıożnie i wszyscy w dobrej wierze powtarzali. Gdy się wydał cały ki sens sempiterny, Łąpieć byłby obity, żeby nie historia z zupą. Za kawał przebaczono mu tamten.

Tak Łąpieć zbierał po sklepach, kładł worki na wózek, Gawlikowski ł za dyszel i ciągnął. Do niczego więcej w tej akcji nie mógł się przy- ten ptasznik milczący, ostatnio całkiem niemowa, bo Weronka naj- raźniej go unikała, odchodziła w gwar i ruch obozu.

Gawlikowski nie poznawał jej — gdzie się podziała dzika Wercia Grzywna?

W obozie na Królewieckiej, przy Kuchni Trzeciej Barykady zjawiła „matka Weronika", dziewczyna dwudziestoparoletnia, szefowa rwszej klasy, z twarzy taka sobie, ale zbudowana! — podziwiały opaki — niech się schowa gipsowa bogini z parku, co podnieca muszli dętą orkiestrę.

Miała teraz duże gospodarstwo, na 200 osób, duże zadania i bodźce. zaradność, jej skrzętność i ofiarność wśród ludzi rozkwitły. Czuła rześko, w całej pełni sobą, wszak jej tutaj potrzebowano, widziała, jest poważana, nawet adorowana.

Szesnastu chłopaków spełniało na wyrywki wszystkie jej polecenia, snastu dryblasów ze straży porządkowej błaznowało, wydziwiało się, rowało jej siebie:

— Jak mamcie kocham, niechże mnie mamcia skosztuje!

Weronka nic sobie nie robiła z tej w gruncie rzeczy zabawy. Czasem, się któryś zapomniał, wystarczyło dać chochlą po łapach.

— I żaden ci nie odpowiada? — dziwiła się Fela. — Tyle jest tu opców ładnych, zdrowych...

Tak, ale zdrowia Weronka miała poddostatkiem, starczyłoby jeszcze innych. Nie szukała w mężczyźnie siły, przeciwnie, mogłaby koło go chodzić i dbać jak o małe dziecko, żeby tylko był lepszy od niej. by pokazywał rzeczy piękne i wzniosłe, budził ten dreszcz tęsknoty niesienia, co to nieraz ona, niepiśmienna i opuszczona, uczuwała kościele jak taki ślepak, który miewa jednak wrażenia świetlne, nie i błyski, nic więcej. Dlatego tyle lat ciążył nad jej wyobraźnią ıchowiony i młodziutki ks. Wojda, a gdy się okazał tylko mężczyzną każdy inny, może nawet jeszcze gorszy, skąd miała wiedzieć, skoro

był jej pierwszym mężczyzną — przeżyła straszne chwile, kied wszystko w niej, zdawało się, spłonęło raz na zawsze.

Nie, żaden z tych, co się kręcili przy kuchni, nie mógł jej przypas do serca — do serca, które bluźni i pragnie samo nie wiedząc czego.

Jedynie rozmowa z Ignacem dobrze jej robiła. Bo Ignac, brzyda smarkacz o parę lat młodszy od niej, Ignac Wawruszko, czeladni szewski, kruchy, ułomny — żył przyszłym życiem, sprawiedliwośc społeczną piękniejszą nad wszystkie marzenia i bardziej realną niż j obiad punktualnie na drugą.

Szczęsny zaszedłszy ich pewnego razu na rozmowie, słuchał zdu miony. Tyle razy przecież tłumaczył jej to samo, próbował przekonać- gdzie tam! Trzeba było zawodu w ks. Wojdzie, plebanii ujrzanej c kuchni i sypialni, trzebaż było dopiero barykady na Królewiecki i tego Wawruszki...

„Powinienem teraz jej pomóc — pomyślał — widać, że się prz łamuje"...

Ale jak zwykle nie znalazł czasu na siostrę, na sprawy drobne, os biste, jej czy swoje własne. Walka przybrała na sile, wypadki goni wypadki.

Wojsko odmówiło udziału w szturmie. Czternastka fermentował Aresztowano kilku podoficerów, między innymi sierżanta Pieliszcz tego właśnie, który chciał kiedyś rozbić pamiętną zabawę na Czerwo Pomoc w lokalu Makabi. Dokładnej relacji o zajściach w pułku Szczęs nie miał, bo towarzysz Gwizdak musiał wiać.

A więc akcja wśród podoficerów całkowicie się udała. Plan rozgr mienia strajkujących przy pomocy przebranych w mundury policyj zupaków wziął w łeb.

Ale tegoż dnia u jednego ze straży porządkowej koledzy znale dubeltówkę.

— Czyście nie wiedzieli — badał go Szczęsny — że walczyć musi bez broni? Że nie dubeltówkę, ale parę karabinów policja podrzuciła nam w tej chwili? Cieszyłaby się na kilka trupów, żeby uzyskać st wyjątkowy i wyjątkowe środki...

Tamten tłumaczył się, że chciał walczyć.

Zaczęli dochodzić, skąd, co za jeden?

Okazało się — narodowiec. Zaleciało prowokacją. Nasuwał się wn sek, że na pewno nie jest to jedyna próba prowokacji. Niebezpiecze stwo jej wszyscy powinni sobie uświadomić — w każdej drużynie, każdej barykadzie.

W szkole, dokąd Szczęsny się udał, żeby omówić tę akcję, jak rów-
ież kłopoty aprowizacyjne, bo zaczęło już braknąć żywności, nikogo
komitetu nie było. Nie wrócili jeszcze od Murmyły, z konferencji,
zwartej z kolei.

Na stole leżała prasa. Od tygodnia nie miał jej w ręku. Czekając
a towarzyszy, zaczął przeglądać. W Hiszpanii znalazł sytuację o wiele
oważniejszą niż przed tygodniem, bunt Franco rozszerzał się, wszyst-
ich oficerów musiano zdegradować, komendę oddano podoficerom...
V Gdańsku zniesiono konstytucję Wolnego Miasta, wprowadzono Ge-
apo, wszystko za zgodą rządu polskiego... Jakiś endek, Adam Dobo-
zyński, na czele parobków ze swego dworu najechał w nocy Myśle-
ice: zajął starostwo, rozbroił policję, rozbił kilka sklepów żydowskich
targnąwszy sumieniem narodu, poszedł do lasu. Był Przytyk, gdzie
arąbano dwóch Żydów, był pogrom w Mińsku Mazowieckim, teraz —
Myślenice... W Krakowie 35 robotników skazano w procesie o zajścia
arcowe, z tym się walczy, tymczasem proces katowicki wykazuje
5.000 zaprzysiężonych hitlerowców w nielegalnej NSDAP słuchają-
ych tylko Berlina i pracujących nad oderwaniem Śląska... Śmierdząca
Sera Parylewiczowej, dziwna katastrofa lotnicza nad zatoką Gdań-
ką, gdzie ginie generał Orlicz-Dreszer. I dekret: „Generał Rydz-Śmigły
a być uważany i szanowany jako Pierwsza w Polsce Osoba po Panu
rezydencie Rzeczypospolitej". Przez duże O.

Ale naprawdę zdenerwował go artykuł „Pakt Rericha w akcie samot-
ej rozpaczy". Zaczął czytać, bo nigdy nie słyszał o Rerichu. Okazało
ę — malarz z Rosji, prorok w Ameryce, właściwie w Indiach, gdyż
orzuciwszy uczniów, sławę i majątek osiadł w Himalajach, skąd śle
sty do przyjaciół. Świat stoi przed zagładą, pisze, zbawić może tylko
tuka, wielka sztuka, wychowanie mas w poczuciu piękna i prawdy;
zie wojna, jakiej świat nie widział — ratujmy póki czas kulturę i jej
czybytki!

Pod wpływem jakoby tych listów zawarto w Japonii pakt imienia
ericha o poszanowaniu Flagi Kultury, którą to Flagą ma być sztan-
ar biały, a na nim koło (znak wieczności) i trzy kropki. Wszystkie
uzea, biblioteki, budowle zabytkowe, uniwersytety i inne obiekty
ultury, na których będzie powiewał ten sztandar, mają być uszano-
ane i oszczędzane w czasie działań wojennych.

To był ten „pakt". Ale gdzie „akt samotnej rozpaczy"?

Otóż Europa do „paktu" nie przystąpiła i w ogóle całą imprezę zbyto
ilczeniem. Ale dowiedział się o niej ubogi malarz w Warszawie i tak
ę przejął ideą Rericha, że pożyczył 500 złotych nie po to, by ratować

chore na gruźlicę żonę i córkę, ale żeby prawdę objawić i upowszech nić. Chodził po Warszawie rozdając broszurki własnego układu i na kładu: „Opamiętajmy się, kochani, do czego to prowadzi?“

Tak na Senatorskiej spotkał go dziennikarz i pod świeżym wrażenie napisał sążnisty artykuł o sile samotnej rozpaczy, o barbarzyństwie na szych czasów, o zapomnianym sercu ludzkim, które nie jest tylko pom pą ssąco-tłoczącą o sile 10.000 kilogramometrów na dobę... — wszystk bardzo pacyfistycznie i humanitarnie. Na jedno mętniactwo naszło dru gie mętniactwo, i w końcu nic już nie można było rozeznać.

Szczęsny spojrzał na podpis — niemożliwe! Spojrzał ponownie n Flagę Kultury, na imię i nazwisko pod spodem, nie wierząc własnym oczom, bo było to imię i nazwisko Jurka z Symbirska.

Wszystkiego się spodziewał, ale żeby ten Jurek od Marksa i Spinozy ten pierwszy jego przyjaciel, nauczyciel, agitator po piętnastu latac znalazł się w matni intelektualnych zanurzeń, w ślepym zaułku pięk noduchów, w kółku z trzema kropkami?!

Świat się przecież pali, jest pożoga i wojna, jest Hiszpania i brunatn Rzesza, a w Polsce jest Bereza, nowa konstytucja, nowy swojski fa szyzm z cudzej ręki. On, Szczęsny, zamyka się z półtoratysięczną za łogą bezrobotnych na barykadach ulicy Królewieckiej, a ty, kamieni lecący z własnej woli samotną rozpaczą ponad walką klas, ponad przy ziemną partyjnością — Jurku, Jurku, gdzieś ty spadł?!

Przecież kiedyś, gdy byli chłopcami, było odwrotnie. On, Szczęsny wołał: „W Polsce nie ma komunistów, a jeśli są, to ja z nich pasy będ darł!“ I właśnie Jurek, komunizujący, mądry i oczytany, mitygowa go, pouczał, agitował.

Jak to się stało — bił się z myślami Szczęsny — że on w końcu przy szedł do komunizmu, a Jurek odszedł?

Patrzył na tytuł artykułu, na koło wieczności za podpisem Jurk i ściskając głowę oburącz, powtarzał: „Widocznie jako robotnik — mu siałem, a on niekoniecznie. Nie musiał...“

— A coście tam ogłuchli czy co?

Szczęsny podniósł głowę: brygadzista piaskarzy zaglądał z ulic przez okno.

— Ile razy mam się pytać: z Grzywna jesteście czy nie z Grzywna

— I to jest aż tak pilne?

— A bo tu jeden chłop chodzi i rozpytuje o Szczęśniaka z Grzywn Nazwiska nie mówi, tylko imię i wygląd — no, niby się zgadza...

— Dobrze. Zaraz będę.

Na ulicy, parę kroków za budą, natknął się na Żebro.

Stary wsadził biczysko za cholewę, otarł wąsy, ucałował trzy-
otnie, z rozmachem jakby w pysk brał: „Alleluja, ile ja się za tobą
chodziłem!"

W domu na Grzywnie, mówił, nikogo nie ma; sąsiedzi powiedzieli,
by szedł na Królewiecką; tu znowuż — ruch, tłok, wieża Babel,
t nie wie...

— Czemuście nazwiska nie powiedzieli?

— Mądry sobie! A może twoje nazwisko jest trefne, skąd ja mogę
edzieć? Strzeżonego, wiesz, strzeże... I do tego nie sam jestem, ale
oniem, z chlebem.

— Na targ?

— Zgłupiałeś?! Dla was upiekliśmy!

Powiedział jak było:

— Mormul akurat wrócił z miasta, porozpowiadał, żeście się tu
nkli. „Co oni tam zwojują, głupie ludzie! Na śmierć tylko się zagło-
ą z żonami, z dzieciakami i Szczęśniak z nimi, najgłupszy z nich
zystkich, bo u mnie mógłby we wszystko opływać"... E, bratku,
ślimy, jakże tak: Szczęśniak? Toć to dla nas byłby wstyd, gdybyś-
go teraz zostawili. Trochę jednak pamiętamy! I zmówiliśmy się,
nale u siebie, i rzekuccy u siebie, ile kto mógł — mąkę dał, a Szy-
ńska piekła, żeby wypadło akuratnie, bochen w bochen. No i jak ci
az podać? Dojazdu, widzę, do was nie ma!

— Będzie dojazd — uspokoił go Szczęsny i zawołał Ignaca. — Pro-
dź na rynek, gdzie furmanki stoją pod naszym murem.

Żebro udał się z Ignacem do wozu zostawionego w podwórzu z wjaz-
n od Stodólnej, skąd mieli ruszyć na rynek, a Szczęsny poszedł do
my stolarni, za którą rozciągał się spory placyk, porosły szczeciniа-
i spaloną trawką. O każdej porze na placyku tym było pełno ludzi,
tu się odbywał handel wymienny, obozowali piaskarze i Weronka
owała obiady.

W rogu był śmietnik w kształcie pudła z cegieł obrzuconych cemen-
ą zaprawą. Wlazłszy na niego, Szczęsny mógł wyglądać zza muru,
niętego drzwiami, na targ nieruchliwy o tej godzinie późnego po-
udnia, rozłażący się pomału na boki, do domów, które się ustawiły
koło jak gapie.

Wóz z Ignacem i Żebrem, przecinając pustawy rynek, zbliżał się
muru, i w Szczęsnym rozchodził się zwolna, cichnął dojmujący za-
, w jakim się znalazł od czasu zanurzenia się w Jurkowe mętniac-
. Cokający podkowami deresz iskry zda się krzesał z kamieni, niby
ką packał miarowo pakcie-akcie, pakcie-akcie... Śmiać się chciało

z Jurka — tkwi, głodny prawdy, w samotnej rozpaczy, a tu chleb jedzie
Wymarzony chłopski chleb — z dobrej woli i przyjaźni!

Gdy mu Żebro podał na mur pierwszy bochen ogromny, kasztano
waty, wyłożony od spodu tatarakiem, pachnący dzieciństwem i Rze
kuciem, Szczęsny uczuł, że tego chleba nie zapomni nigdy i nie odd
towarzyszom zwyczajnie. Z fasonem odda, żeby zapamiętali!

— Choćcie no — zawołał na najbliżej siedzących piaskarzy, co po
daszkiem w karty grali. — Chodźcie do wyładunku.

Spojrzeli na niego niechętnie, nie chciało im się wstawać.

— Do nas mówisz?

— Do was, a szczególnie do ciebie, Stefan. Stawaj pierwszy w łań
cuchu.

— Coś ty do mnie tak, jakbyś karniaka dawał!

— A może i za karę. Stawajcie, towarzysze, szkoda czasu: chłopi dl
nas chleb upiekli i przysłali!

Zaczęli się ustawiać zaskoczeni tym chlebem, a najwięcej Stefa
który nie dalej jak dwa dni temu sprzeczał się ze Szczęsnym po poga
dance o drogach rewolucji proletariackiej. „Zgoda, mówił, we wszystk
wierzę, ale w sojusz robotniczo-chłopski nie! My się tego nie d
czekamy!"

— Popatrz — mówił teraz do niego z muru Szczęsny unosząc boche
nad głową — nie wierzyłeś. A więc masz ten sojusz!

I rzucając mu bochen, odliczył:

— Sojusz raz!

Po nim drugi:

— Sojusz dwa!

Bochny, wzlatując ponad rękami, falowały taśmowo od muru
środek podwórza, do szopy, gdzie je Weronka odbierała. Ludzie sch
dzili się zewsząd, żeby obejrzeć tę niespodziankę ze wsi, chleby rz
telne, trzykilowe, na liściu zielonym, a Szczęsny liczył: „Sojusz czte
dzieści... sojusz czterdzieści jeden"...

Naliczył pięćdziesiąt dwa całe i trzy pokruszone, gdy trzeba by
przerwać wyładunek. Niespiesznie, ręce w tył założywszy, kierow
się w ich stronę policjant. Szczęsny rzucił:

— W razie czego powiedz, że dla zarobku! Sprzedawałeś.

— Dobra — odrzekł Żebro i ruszył lejcami.

Nawet pożegnać się nie zdążyli. W jakiś czas potem Żebro co praw
przysłał w worku przez Ignaca resztę „sojuszów" i pozdrowić kaz
ale nie wstąpił. Bardzo się spieszył z powrotem, żeby rządca nie prz

pał, dereszek był przecież ze stajni hrabiowskiej. Tak paskudnie wy-
ıdło — bez pożegnania, bez podzięki.
Nim chleby poprzenoszono pod barykadę, nim magazyn przyjął, zro-
ło się szaro. Szczęsny uporawszy się z tą robotą zabierał się do komi-
tu, ale Weronka go zawołała.
W szopie było ciemno, tak że w pierwszej chwili nie od razu rozpo-
ıał Kachnę obok Weronki.
— Jak mnie odnalazłaś?
— Przyszłam z Gawlikowskim. Gawlikowski zaprowadził.
Nie rozumiał, co ją tu przywiodło, przecież nie sentyment rodzinny.
a szczęście Kachna od razu przystąpiła do rzeczy.
— Szczęsny — powiedziała głosem ściszonym — przyszłam po was.
— Niby po kogo?
— Po ciebie, po Weronkę. Uciekajcie, bo jesteście zgubieni.
— Naprawdę? A myśmy się tak cieszyli, że będziemy jedli chlebek
iejski, z Rzekucia.
— Nie żartuj. Golędziniaków wezwano!
Szczęsny spoważniał.
— Skąd wiesz?
— Ależ sama dawałam na dziennik. Jutro będą. Nic wam wtedy nie
ɔmoże, więc po co to wszystko? Walkę przecież i tak wygraliście.
— Ba, żebyśmy wygrali.
— Słuchaj, coś ci powiem, do twojej wyłącznie wiadomości...
„Do twojej wyłącznie"... trąciło biurem, aktami „ściśle tajne" w urzę-
ie starościńskim, czym Kachna widać pomału nasiąkała, mniejsza
to, szło o rzeczy wielkiej wagi.
Z zasłyszanej rozmowy starosty Murmyło z prezydentem miasta wy-
kało, że istotnie strajk jest wygrany. Żądania robotników, mówili oni,
zeba jednak uwzględnić. Chodzi tylko o prestiż — o prestiż miasta
państwa. Wobec barykad nie wolno ustąpić. Należy zdobyć Króle-
iecką szturmem szkoły policyjnej z Golędzinowa, przywódcom wy-
czyć proces, zaś zwyciężonej masie okazać łaskę. Władza nie może
zegrać, ani ustąpić, może się tylko z wolnej woli przychylić.
— I co komu z tego przyjdzie, że będziesz tu jeszcze dzień czy dwa?
apią, zasądzą...
— I wszyscy się dowiedzą, jakiego masz brata, tego się boisz,
awda?
— Owszem, ale to jeszcze nie powód, żebyś mówił takim tonem. Wszy-
y się boimy. Ty też. Kto się wyrwał z Grzywna, musi mieć ten strach,
znów się obudzi nad Żabim Skrzekiem, i broni się, i nie daje się

z Jurka — tkwi, głodny prawdy, w samotnej rozpaczy, a tu chleb jedzie! Wymarzony chłopski chleb — z dobrej woli i przyjaźni!

Gdy mu Żebro podał na mur pierwszy bochen ogromny, kasztanowaty, wyłożony od spodu tatarakiem, pachnący dzieciństwem i Rzekuciem, Szczęsny uczuł, że tego chleba nie zapomni nigdy i nie odda towarzyszom zwyczajnie. Z fasonem odda, żeby zapamiętali!

— Chóźcie no — zawołał na najbliżej siedzących piaskarzy, co pod daszkiem w karty grali. — Chodźcie do wyładunku.

Spojrzeli na niego niechętnie, nie chciało im się wstawać.

— Do nas mówisz?

— Do was, a szczególnie do ciebie, Stefan. Stawaj pierwszy w łańcuchu.

— Coś ty do mnie tak, jakbyś karniaka dawał!

— A może i za karę. Stawajcie, towarzysze, szkoda czasu: chłopi dla nas chleb upiekli i przysłali!

Zaczęli się ustawiać zaskoczeni tym chlebem, a najwięcej Stefan który nie dalej jak dwa dni temu sprzeczał się ze Szczęsnym po pogadance o drogach rewolucji proletariackiej. „Zgoda, mówił, we wszystko wierzę, ale w sojusz robotniczo-chłopski nie! My się tego nie doczekamy!"

— Popatrz — mówił teraz do niego z muru Szczęsny unosząc bochen nad głową — nie wierzyłeś. A więc masz ten sojusz!

I rzucając mu bochen, odliczył:

— Sojusz raz!

Po nim drugi:

— Sojusz dwa!

Bochny, wzlatując ponad rękami, falowały taśmowo od muru na środek podwórza, do szopy, gdzie je Weronka odbierała. Ludzie schodzili się zewsząd, żeby obejrzeć tę niespodziankę ze wsi, chleby rzetelne, trzykilowe, na liściu zielonym, a Szczęsny liczył: „Sojusz czterdzieści... sojusz czterdzieści jeden"...

Naliczył pięćdziesiąt dwa całe i trzy pokruszone, gdy trzeba był przerwać wyładunek. Niespiesznie, ręce w tył założywszy, kierował się w ich stronę policjant. Szczęsny rzucił:

— W razie czego powiedz, że dla zarobku! Sprzedawałeś.

— Dobra — odrzekł Żebro i ruszył lejcami.

Nawet pożegnać się nie zdążyli. W jakiś czas potem Żebro co prawda przysłał w worku przez Ignaca resztę „sojuszów" i pozdrowić kazał ale nie wstąpił. Bardzo się spieszył z powrotem, żeby rządca nie przy

apał, dereszek był przecież ze stajni hrabiowskiej. Tak paskudnie wypadło — bez pożegnania, bez podzięki.

Nim chleby poprzenoszono pod barykadę, nim magazyn przyjął, zrobiło się szaro. Szczęsny uporawszy się z tą robotą zabierał się do komitetu, ale Weronka go zawołała.

W szopie było ciemno, tak że w pierwszej chwili nie od razu rozpoznał Kachnę obok Weronki.

— Jak mnie odnalazłaś?

— Przyszłam z Gawlikowskim. Gawlikowski zaprowadził.

Nie rozumiał, co ją tu przywiodło, przecież nie sentyment rodzinny. Na szczęście Kachna od razu przystąpiła do rzeczy.

— Szczęsny — powiedziała głosem ściszonym — przyszłam po was.

— Niby po kogo?

— Po ciebie, po Weronkę. Uciekajcie, bo jesteście zgubieni.

— Naprawdę? A myśmy się tak cieszyli, że będziemy jedli chlebek wiejski, z Rzekucia.

— Nie żartuj. Golędziniaków wezwano!

Szczęsny spoważniał.

— Skąd wiesz?

— Ależ sama dawałam na dziennik. Jutro będą. Nic wam wtedy nie pomoże, więc po co to wszystko? Walkę przecież i tak wygraliście.

— Ba, żebyśmy wygrali.

— Słuchaj, coś ci powiem, do twojej wyłącznie wiadomości...

„Do twojej wyłącznie"... trąciło biurem, aktami „ściśle tajne" w urzędzie starościńskim, czym Kachna widać pomału nasiąkała, mniejsza o to, szło o rzeczy wielkiej wagi.

Z zasłyszanej rozmowy starosty Murmyło z prezydentem miasta wynikało, że istotnie strajk jest wygrany. Żądania robotników, mówili oni, trzeba jednak uwzględnić. Chodzi tylko o prestiż — o prestiż miasta i państwa. Wobec barykad nie wolno ustąpić. Należy zdobyć Królewiecką szturmem szkoły policyjnej z Golędzinowa, przywódcom wytoczyć proces, zaś zwyciężonej masie okazać łaskę. Władza nie może przegrać, ani ustąpić, może się tylko z wolnej woli przychylić.

— I co komu z tego przyjdzie, że będziesz tu jeszcze dzień czy dwa? Złapią, zasądzą...

— I wszyscy się dowiedzą, jakiego masz brata, tego się boisz, prawda?

— Owszem, ale to jeszcze nie powód, żebyś mówił takim tonem. Wszyscy się boimy. Ty też. Kto się wyrwał z Grzywna, musi mieć ten strach, że znów się obudzi nad Żabim Skrzekiem, i broni się, i nie daje się

zepchnąć z powrotem. Ty pierwszy z nas, nie udawaj, proszę cię, ty pierwszy uciekłeś stamtąd, więc po co ta uszczypliwość, jakbym nie wiem co zrobiła! Jakbym naprawdę trzymała z Murmyło! A ja nie jestem z Murmyło, ani z wami, daj mi spokój z polityką, ja chcę żyć, zrozum, tylko żyć jak człowiek!

— Wszyscy chcą żyć jak człowiek!

To się odezwała Weronka, szurnąwszy garnkami.

Oboje umilkli jak gdyby przemówił niemowa. Odwróciła się od nich twarzą nagle pociemniałą, zacisnąwszy usta — coś się w niej widać gotowało. Szczęsnemu przypomniała się matka, zawzięta, koścista, którą we wsi zwano „suchą Jewą", a która zaharowała się, zamorzyła dla nich i została na polskim cmentarzu nad ruską rzeką.

— Masz rację, tylko każdy inaczej tego „człowieka" pojmuje. Ale swoją drogą musisz pomyśleć nad tym, co przyniosła Kachna. Szykują się na nas. Będzie szturm.

— Ja się nie boję.

— Nie o to chodzi. Trzeba się zastanowić, czy to ma sens? My stąd nie pójdziemy, szkoda gadać, ale ty? Nie byłaś tutaj na robotach, ani z ruchem nie byłaś związana. Naprawdę nikt ci nie weźmie za złe, jeżeli...

— Cóż to, inni mogą, a ja nie? Gorsza jestem?

— Nikt tego nie mówi, przeciwnie. Sama wiesz, jak cię wszyscy u nas szanują. Po prostu nie masz obowiązku, ani potrzeby tak się narażać.

Kachna ze swej strony chciała ułagodzić, udobruchać Weronkę.

— Zupełnie zapomniałam o domku. Walek kazał powiedzieć, że się zrzeka na twą korzyść. Ja tak samo. Żebyś wiedziała, że należy do ciebie.

Szczęsnego ubodło, że tak sobie swobodnie poczynają z tym domkiem, który przecież on stawiał. Ale postąpili słusznie, więc ich poparł.

— Co do mnie, to wiesz chyba od dawna, że nigdy na niego nie liczyłem.

A Weronka, pochyliwszy się nad balią — „Ja bym was za waszą dobroć"... — syknęła i ścierkę, żmąc, dalej wykręcała, aż jej żyły na rękach do łokci nabrzmiały.

— Za co? — żachnęła się Kachna. — Co za głupstwa pleciesz!

— Pewnie! — wykrzyknęła ta z pasją, jakiej się po niej nie spodziewali. — Zawsze była ta głupia! Sami z Grzywna pouciekali, a mnie wsadzają do domku! Do domku, żeby go piorun spalił, żeby skroziem poszedł — co mnie zeżarł, ścierkę waszą ze mnie zrobił, waszą kuchtę, tłomok jakiś!

Uskoczyli na bok, bo wyplusnęła brudy. Wyprostowała się, odgarniając włosy z czoła przegubem mokrej dłoni i tak stała przed nimi ciężko dysząc — zbuntowana Weronka!

— Mój, powiadacie? Więc go oddam Gawlikowskiemu, albo Bajurskim oddam, ale na ten barłóg nie wrócę! A tymczasem jak tu do nich przystałam, to i zostanę — nie mamy o czym mówić.

Zupełnie jak Szczęsny. Nawet jego ulubionym zwrotem.

Szczęsny popatrzył na siostry, na tę, która z nim zostawała, i na tę, która odchodziła.

— No, tośmy się, widzę, dogadali. Rzeczywiście nie ma co dłużej wałkować.

Gdy w parę minut potem wszedł do komitetu i siadł na ławce szkolnej, towarzysze spostrzegli, że Bida jest nie bardzo obecny. Zamyślony, mnąc zawilgłego papierosa, długo nie zapalał i niewesoły półuśmiech błąkał mu się na wargach pod ostrym czarnym wąsikiem. Ciągle ojca miał przed oczyma, jak tyrał ręce urabiając, na budulec, na pożyczkę, na nowe przeróbki; życie położył pod domek dla dzieci, jakiś kiepski żart, bo żadne z nich w końcu jego domku nie chciało.

Towarzysze mówili o „sojuszach", o poruszeniu wśród ludzi, o tym, że trzeba je koniecznie przy rozdawaniu chleba wykorzystać.

— Zostawmy to na razie. Mamy ważniejszą sprawę. Przed chwilą otrzymałem wiadomość, że wszystkie nasze żądania będą uwzględnione...

Spauzował. Towarzysze spoglądali nalegająco: kiedy?

— ...po masakrze. Najpierw masakra, potem podwyżka i wszystko inne. Jutro przyjeżdża z Warszawy Golędzinów w komplecie.

Nikomu z obecnych nie potrzebował tłumaczyć. Wiedzieli: golędziniaki — chłop w chłopa — co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu i pół bydlaka — innych do szkoły nie przyjmowano. Szkoła specjalna, naprawiona do walk ulicznych, tresowana w podchodzeniu, w miażdżeniu „wroga wewnętrznego"...

— Czy wasza wiadomość jest pewna?

— Tak mi się zdaje. Jutro się przekonamy. Dziś musimy się zdecydować, czy mimo to walczymy do ostatka?

Zadał Bida ćwieka tym pytaniem. Walczyć, ale czym? Kamieniami?! Broni użyć nie mogli, bo jej nie mieli i mieć nie chcieli, skoro sytuacja nie dojrzała do walki zbrojnej. Wybuch jakiegoś powstanka byłby tylko na rękę sanacji. A więc — bezbronna półtoratysięczna masa, w niej sporo kobiet i dzieci, przeciw szturmowej kompanii policyjnej. Jasne, że zmasakrują.

— Znów się krew poleje, będą ofiary...

— No więc co: poddać się dobrowolnie, odejść po cichu?

Tego uczynić nie mogli. Ich Królewiecka nie była jedna, ani sama — tkwiła gdzieś na linii frontu. Wszystkie większe strajki tego roku były zwycięskie. Ofensywa trwała. Nie wolno im się załamać, to by się odbiło na innych odcinkach, w każdym razie z całą pewnością na załodze Grünlanda. Niedaleko przecież, bo na Kościuszki, załoga Grünlanda zamknąwszy się w fabryce, nacierała na ostatniego fabrykanta, który się nie poddał. Inni z przemysłu metalowego podpisali nową umowę zbiorową, a ten jeszcze się trzymał starej.

— Nie — mówiono — nie wolno demobilizować. Mogą nas pobić, trudno, będzie to jednak mniejsza porażka, niż gdybyśmy dali przykład słabości i tchórzostwa.

Zresztą lada chwila miała nadejść odsiecz. Czekano na powrót towarzyszki Borzęckiej z KO partii, na pieniądze i odezwy. We Włocławku i okolicy organizowano szeroką akcję protestacyjną, ogólny strajk solidarności. Władze miejskie mogą się zawahać, mogą nie zdążyć.

— A więc konkretnie?

— Konkretnie: dopóki magistrat nie przyjmie naszych warunków, z barykad nie schodzimy!

— Kobiety i dzieci trzymać na podwórkach w pobliżu sieni, w razie ataku chowają się po klatkach schodowych.

— Bajurskiego wysłać dziś do Kutna.

— Lechniewicz niech jedzie do MOPR-u, do Babci.

— Łącznicy natychmiast rozchodzą się po załogach.

Niech się wszystkie załogi fabryczne dowiedzą, że bezrobotnych chcą zmasakrować dla prestiżu!

Chcą przejść po nich podkutymi butami, a potem dać 22 grosze podwyżki. Taka jest kalkulacja władz miejskich i o niej ma wiedzieć Włocławek i Kutno, Kujawy i cała Polska: na Królewieckiej zamierzają podeptać człowieka, by nigdy się nie porywał na barykady, nie walczył o lepsze życie, ani się dopominał o swe człowieczeństwo, lecz prosił pokornie o grosze.

Tego wieczoru, tej nocy właściwie, Trzecia Barykada śpiewała jak nigdy.

Zawsze o zmroku śpiewano i ludzie ciągnęli w tę stronę, do rogu Żabiej, gdzie stali do późna z zadartymi głowami, słuchając, ale teraz w tych głosach było coś przejmującego, jak gdyby śpiewali skazańcy albo zwycięzcy — różnie to na mieście odczuwano. Jedni wzruszali ramionami „Coś podobnego!“ i odchodzili oburzeni w rozgwar ulic

yncypalnych. Drudzy szli na te głosy, na łopot pieśni czerwonych d Bulwarami Piłsudskiego i Świętym Antonim, nad Zapieckiem i Maoudą, i w ciemnościach śpiewali to samo.

Szczęsnemu się zdawało, że słyszy Brońcię, ale jej sopran, choć silny, żaden sposób nie mógł się przebić przez chór tak liczny i zgrany; to u się tylko zdawało, bo widział ją uniesioną, zapałem uniesioną i na lcach, jak się pięła w pierwszym szeregu, trochę za drobna na czterście lat.

„Taka się urodziła rozśpiewana, zawsze świergoliła", pomyślał, zypomniawszy sobie dawne lata, Grzywno i arkę, a potem — że to cale nie jest wskazane, aby tu co wieczór przekradała się na chór eby jeszcze potem wynosiła bibułę pod warzywami w koszyczku. Jak apią, to i ze szkoły wyleją...

Dyrygent tymczasem, łagodnie popychając Brońcię na środek, zapoadał:

— Najmłodsza nasza artystka zarecytuje wam teraz wiersz. Mów-, Brońciu, przecież ślicznie to umiesz.

I Brońcia zaczęła mówić „Jechaliśmy stępa, pędziliśmy w kłęch"... — naprawdę ślicznie, a że w dodatku o Hiszpanii, która była ustach wszystkich, więc bili jej brawa i dłonie w tubę złożywszy ryeli przeciągle „biiis!", dopóki nie powtórzyła o tym ze szwadronu, co m z Ukrainy — miał smutek hiszpański i serce dla chłopów w powie- grenadzkim, chciał ziemię im oddać i zginął z tą piosnką „Grenada, enada, Grenada majà..."

Zaraz po tym przybiegła do Szczęsnego.

— Masz!

I chuchnąwszy na szczęście, podała mu dowód osobisty Szymka, który ją prosił parę dni temu w nadziei, że sam pojedzie do Kutna.

— Żeby ci się wszystko udawało!

— Dziękuję, ale na próżno cię fatygowałem. Bajurski pojechał zaast mnie.

Chciał jej oddać, ale przytrzymała go.

— Wszystko jedno, weź. Nam te papiery nie są potrzebne, a tobie ogą się przydać. Mama nawet się popłakała. „Niech przynajmniej częsny ma, niech się nazywa Lubart!"

Przestąpiła niecierpliwie, kiedyż Szczęsny powie swe zdanie? — ale milczał.

— No i jak?

— Co?

— Och, sam wiesz: jak wypadło?!

— Dobrze, bardzo dobrze. Naprawdę znakomicie, zwłaszcza pod ko niec, jak szwadron kolegę bez żalu pochował... — dwa razy mówiłaś ale ja, wiesz, nie mam pamięci do wierszy — o tej tam tęsknocie, ż nie wolno żałować.

— A, już wiem: „Nie wolno! Pieśń nową złożyło nam życie. I składa i składa, i naprzód nas gna — Grenada, Grenada, Grenada majà!"

— Właśnie, o to mi chodziło...

Chciał jeszcze coś powiedzieć i nawet dłoń położył na ramieniu ma łej, naraz dostrzegł w tłumie Bajurskiego. Janek przedzierał się k niemu zasępiony i jakiś nieswój.

— Myślałem, że dawno wyjechałeś do Magdy.

— A po co miałbym do niej jechać — burknął Janek, nie patrzą na niego.

Szczęsny drgnął. Ręka sama się zacisnęła.

— Magda?

Bajurski skinął głową.

— Nie miałem po co jechać do Kutna — powtórzył. — Jak ją wzięl a innego adresu nie znam, to co bym tam robił? Wróciłem.

— Gdzie ją wzięli?

— U Romcia. Dwa kroki stąd. Z odezwami, z gotówką, gorzej ni można.

Bardzo do nich spieszyła, tłumaczył Bajurski, od razu poszła do Ro mana, a ten już był obstawiony. Ktoś sypnął. Paskudnie wpadła, z do wodami na blachę.

Szczęsny stał, podawszy się ku niemu stężałą twarzą. Poczuł nag pod ręką, że mała się poruszyła. Spojrzał na nią. Oczy miała pełne ł ze współczucia czy też z bólu, bo — tu się dopiero ocknął — bo jej r mię palcami zupełnie zakleszczył.

— Nie wolno — uspokajała go — Szczęsny, nie wolno...

Uśmiechnął się cierpko do tej mordki zapłakanej, zrozpaczonej, chci obetrzeć, ale nie było czym, więc tylko poklepał po plecach.

— No już... Nie mamy o czym mówić. Idź lepiej do domu!

Brońcia odwróciła się, tuląc głowę w ramiona, ale Szczęsny, przypom niawszy sobie, co miał jej powiedzieć, przywołał:

— Czekaj. Nie powinnaś jednak przychodzić tak często, bo to s źle skończy. I nie bierz wszystkiego, co kto wtyka, rozumiesz?

Mała, ocierając oczy brzuścem dłoni, chlipnęła „uhu".

— Zawsze przyjdź do mnie, pokaż, bo może to są rzeczy, które k inny lepiej załatwi. A więc idź już, poświerko, idź...

Uśmiechnęła się przez łzy, że ją nazwał poświerką i pobiegła na po-
órze stolarni, żeby tam przeleźć przez mur, a Szczęsny popatrzał za
ą i skinął na Bajurskiego:

— Chodźmy do Rawicza.

Rawicza Olejniczak dobrze znał, więc należało go natychmiast posłać
Olejniczaka, aby wskazał inny kontakt z komitetem okręgowym,
oro Madzia przepadła.

U Rawicza, na Drugiej Barykadzie, spostrzegli, że Cyganka jest
stawiona. Dotychczas stało tam tylko dwóch policjantów, teraz było
iesięciu.

Rawicz pośpieszył do synagogi, by stamtąd przekraść się na Srebrną
dalej do Olejniczaka, Bajurski zajął miejsce Rawicza, Szczęsny zaś
szył ostro w obchód, żeby sprawdzić na pozostałych dwóch baryka-
ch, jak jest z policją przed nimi. Okazało się, że tak samo, jak na
gance. Wszędzie było ich pełno i to się rzucało w oczy, alarmowało
ıjność: dlaczego właśnie tej nocy wzmocnili? Czyżby przyśpieszali
ą akcję?

Dał znać komitetowi o wszystkim i polazł do siebie, na dach budy,
any też punktem obserwacyjnym.

Był już prawie na dachu, kiedy Leon go dojrzał.

— A ja tu czekam na ciebie tyle czasu!

— To chodź na punkt.

Leon był już w komitecie (jako łącznik od Grünlanda przede wszyst-
n poszedł do komitetu), był na chórze, odwiedził Weronkę, no i chciał
zed powrotem do swoich pogadać jeszcze ze Szczęsnym.

— Śpiewu przynajmniej człowiek posłuchał. Bo u nas cicho. Nie
ewamy.

— Dlaczego? — spytał obojętnie Szczęsny, kładąc się na sienniku
ok Leona. — Nikt wam tego nie broni.

— Próbowaliśmy. Nic nie wyszło. Różne mamy pieśni, to dlatego.

Zaczął opowiadać:

— Na drugi dzień, jak Tomczewski zdobył bramę — wiesz? —

Szczęsny wiedział: przed tym dwa tygodnie leżeli na ulicy
zed fabryką, bo ktoś uprzedził Grünlanda i ten zdążył w nocy piece
gasić i bramę zamknąć. Kto miał łóżko polowe, przyniósł sobie z do-
ı i spał jak burżuj, reszta leżała na gołym bruku. Dopiero któregoś
ia, gdy deszcz lał, Tomczewski z grupą liniarzy rzucił się na bramę.
obywszy ją, rozwarli na oścież i wszyscy się wtoczyli do środka.

— ...a więc nazajutrz, zaraz po pobudce, Tomczewski ze swoimi za śpiewał „Wyklęty powstań“... Chadeki na to z drugiego końca hal „Kiedy ranne wstają zorze“...

— A wyście zaśpiewali Czerwoniaka?

— Pewnie. Czyśmy gorsi? No i tak, bracie, zaczęły się różne śpiewy i przyśpiewki, i przygaduszki, nie do wytrzymania! Trzeba było wszyst ko zlikwidować, zatem postanowiliśmy: nikt nie śpiewa i już! Be obrazy, bez kwasów.

— Rozumiem. A jeśli chodzi o kwasy, te prawdziwe, w kadziach, t jakie macie?

— Solny i siarczany.

— A więc naszykujcie. Golędziniaki jadą. Najpierw na nas uderza potem na was.

Opowiedział, jak się sprawy miały. Leon bardzo się zaniepokoił o ich los. Bo co do swej załogi był spokojny.

— Nas nie wezmą. Będą się bali podejść. My jak w Tomaszow skiej — z hydrantów do nich, kwasami!

Jął go przekonywać, jak się oni u Grünlanda zabarykadowali, z pew ną nawet przechwałką, tak że Szczęsny miał ochotę zapytać: „A ja tam z pozwoleniem?“ Kiedyś, parę lat temu, Staszek kłuł tym Leona „A ty im przetłumacz, że na barykady nie macie jeszcze pozwoleni od starosty!“ Ale Leon od tego czasu bardzo się zmienił, ubojow w jednolitym froncie, po co więc stare wypominać?

Nic nie powiedział Leonowi, nawet o Madzi nie wspomniał. Mów tylko to, co konieczne. O sprawach, które trzeba załatwić, i o tym, któr dziurą najlepiej jest teraz od nich się wydostać. A kiedy Leon odszed przymknął oczy i przez chwilę miał wrażenie, że jest nareszcie sam zupełnie sam, w gąszczu artykułów i słów drętwych, urzędowych wśród których brnie całą siłą pamięci, łamie, okrzesuje... Ale kodek karny był twardy i nieprzebyty. Z okrzosu jego wciąż wypadało pię lat dla Magdy w najlepszym wypadku, a może i siedem...

— Wszystko na nic — rozległ się głos z dołu.

Szczęsny uniósł głowę.

— Daj spokój, całkiem jeszcze dobre!

Wsłuchał się w głosy: to Weronka z pomocnikami przebierała prz świetle ogniska ziemniaki. Ziemniaki zeszłoroczne, nadpsute, jakie ofia rowała im wyzbywając się gnoju z piwnic, ulica Królewiecka. Musie pracować do późna w nocy, żeby wybrać ile trzeba do zupy na jutr

— A ja tak, proszę was, skrobię i myślę. Myślę, wiecie, z całą predytacją, że losy ludzkie są jak ziemniaki.

Szczęsny poznał: mówił Łąpieć, szewski filozof.

— Można przebierać, słowo daję, które ładne, a które brzydkie, całe sparciałe...

Barykada w poprzek ulicy na dole czerniała jak grobla. Bruk spod j wymykał się połyskliwie w omrok wieży strażackiej, obok bramy ężnej, zamkowej. Wielkie oko zegara bielało zdumione wysoko. Było sto, tylko policjanci po brzegach rybaczyli nieruchomo. I w ciszy szało się tylko ten sam głos od ogniska, przepity i nadpęknięty:

— ... a gdy tak sobie człowiek zgarnie wszystko do kubła, to się i zanowi nad swoim życiem: czemu tak się właśnie potoczyło i co je tędy na? Ślepy traf czy mechanizm jaki?

Łąpieć długo jeszcze w ten sposób ględził i dociekał oglądając człoeka ze wszystkich stron, spokojnie, z rozwagą, czasem z goryczką. zadka odzywał się głos Weronki albo Wawruszki. Potem wszystko chło. Odeszli i wtedy został sam ból, twarz Magdy, jej uśmiech, jej pt: „My krótko żyjemy, Szczęsny, przeciętnie do roku"...

Leżał tak godzinę czy dwie. Do drugiej.

A gdy zegar na wieży uderzył dwa razy, wszczął się ruch na dzieńcu starostwa, które się łączyło z podwórzem strażackim. Chwytało stamtąd echa komendy, szurgot butów, szczęk broni, potem równy k kolumny obok remizy, urwany na „Spocznij!" jak uciął przed mą.

Szczęsny stoczył się z dachu i dopadłszy szyny pod drzewem, zavonił młotkiem na alarm. Ostry jazgot żelaza przeleciał z końca koniec ulicy, zmiatając sen, budząc życie i tumult wśród ludzi leżąch pokotem. Kobiety z dziećmi uciekały w te pędy do sieni, mężźni biegli na barykady.

— Niechybnie golędziniaki — mówili w biegu. — Prosto z dworca, się widać dranie śpieszą.

Ale jezdnia przed barykadą była pusta. Czarne strachy policyjne jaczyły w oddali. Już się zaczęły sarkania na fałszywy alarm, wtem wieży strażackiej oderwały się trzy postaci i poszły do nich dudc zgodnym krokiem. W pół rzutu kamieniem przystanęli. Jeden stąpił.

— Na rozkaz starosty i prezydenta miasta macie natychmiast stąd jść ulicą Stodólną w kierunku na Rynek. Jeżeli w ciągu pięciu minut o nie wykonacie, będziemy zmuszeni użyć wojska i usunąć was siłą.

Skończył. Na barykadzie nikt się nie ruszył. Tamci na dole nie od chodzili. Czekali widocznie na odpowiedź. Może chcieli w tym miejscu odczekać swoje pięć minut? Ledwo jednak w tłumie zaszemrano, ju się rozległ donośny głos Janka. Mówił w imieniu komitetu straj kowego:

— Tu jest miejsce naszej pracy, o nią walczymy i przy niej sta będziemy, dopóki władze nie przyjmą naszych warunków.

Ten z dołu na szpicy, zasalutował, znaczy przyjął odpowiedź, i stuk nąwszy obcasem, zrobił w tył zwrot. Odmaszerowali.

— Cegły na górę! — zawołał Szczęsny.

Cegły do murowania ścian kanałowych leżały na brzegu wykopu Poszły teraz z rąk do rąk na szczyt barykady. Układano je sobie poręcz nie, z prawej strony, na sztorc; ustawiano się w rzędy, opadające strom ku Żabiej, aby tylne szeregi mogły ciskać przez głowy następnych.

Wierzeje strażackie jęknęły w zawiasach. Wszyscy zamarli czekając co wyjdzie stamtąd? Jak przed smoczą jamą. Naraz z czeluści tych za łomotało i raźno wychodzić poczęła na Żabią czarna stonoga najeżona kolcami, z łuską błyszczącą na grzbiecie — takie było pierwsze wrażenie.

A gdy znieruchomiała, stanąwszy w poprzek ulicy, czołem do bary kady, ludzie ujrzeli zwartą kompanię w hełmach stalowych. Na hełmy na bagnety siąpił mdły i rozpylony odblask latarń.

Z tyłu, gdzieś nad Cyganką i Drugą Barykadą, wzbił się przeraźliwy krzyk. Zawtórował mu tupot, zgiełk, i wołanie: „Towarzysze, z po wrotem!" Potem wszystko ucichło i wtedy właśnie od frontu szturmo wej kompanii szczeknęła komenda na gotuj broń i zagrała trąbk bojowa.

Ruszyli jak na ćwiczeniach — równo, miarowo, z oficerem, co tak im wybijał idąc chodnikiem „raz-dwa, lewą... lewą!" — i to, że szl z taką dla nich pogardą, ta trąbka bojowa przeciw nim, Polakom bez domnym, cała ta potwarz na chwilę zamroczyła. A potem ręce sam sięgnęły po kamień, kij czy kubeł z wapnem.

Szczęsny przypadłszy do ziemi, nie odrywając wzroku od wroga, wy ciągnął rękę za siebie po cegłę, wtem poczuł, że ktoś wtyka mu „try linkę". Obejrzał się, odbłysnął Weronce oczami i spuścił kamień ogrom ny na pierwszego, który się do nich wdarł. Ten się zwalił od tej kostk drogowej, którą podała mu siostra, a którą być może kładła tu żona z staruszkiem od sztukwarku.

Tu było najgorzej, bo wyżej, parę kroków zaledwie, stali towarzy-
e z komitetu. Na nich właśnie tajniaki wskazywali palcami golędzi-
akom i ci parli po swoje dwie dychy od takiej głowy, tratując ludzi,
padli. A padł już Janek, i Świderski, i Kubiak, i Wawruszko. Ten
szcze się czołgał. Szczęsny, robiący teraz szpadlem, rzucił się do chłop-
ale dostał w pierś i sam runął. Zanim jednak poszli po nim, ujrzał
ysoko nad sobą zdumione oko zegara i wzniesioną rękę Weroniki z ka-
eniem nad wieżą.

XXIV

Przeszedł most na palach, polski most sosnowy nad mizernym tutaj
nem, i znalazł się w Ulanowie.

Zapytał, idąc pod górę, gdzie mieszka Chwostek.

— Nad wybiegiem — powiedzieli napotkani ludzie — koło Nie-
ka.

Szedł zatem dalej, obok poczty nowiutkiej, dopiero co pomalowanej
kolory wiosenne; przez rynek gnuśny, dostały w zapachach końskich
warzywnych; za starodawny kościół farny w kępie ciemnych lip...
koniec miasteczka, gdzie do Sanu wybiega Tanew i ogród retmana
ecałka.

Z tego miejsca widziało się całą stolicę flisacką rozsiadłą klinowato
wzgórzu w widłach obu rzek. A gdy się spojrzało za siebie, to się
znawało wrażenia, jak gdyby właśnie tutaj jeden świat się kończył,
drugi zaczynał — wrażenie jakiegoś międzyświecia, jakiejś granicy.

Bo za leniwym, mętnożółtym Sanem, jeśli stanąć twarzą pod prąd,
Jarosławia i Przemyśla, była przestrzeń otwarta, golejąca równo
ągło aż po obwód widnokręgu, i wiatr dął stamtąd kresowy, ukra-
y, i rzeka zapiaszczona na kolor rdzawy odbijała zda się naftą znad
noku.

W tę gołoć pustą, rozchełstaną szeroko, wpadała Tanew bystra, czysta,
yzieleniona łoziną i drzewami, rzeczka nieduża, ale z innego zgoła
ata, gdzie było gęsto, szeleśnie i leśno. Z borów zwierzynieckich,
którymi leży rżnięty w kamieniu, krużgankowy Zamość i żyzna
mia lubelska.

Szczęsny postał chwilę, chłonąc wzrokiem te strony prawie stepowe
mte lesiste, i począł schodzić ku Tanwi, nad którą jaśniał z głębi sadu
neczek przytulny z gankiem oszklonym kolorowymi szybkami.

Chwostka, jak zresztą było do przewidzenia, nie zastał. Miał spłynąć ze Świtazi do Bugu, ale gdzie jest teraz, nad jeziorem czy gdzie indziej, tego matka Chwostka powiedzieć nie mogła, bo „wyszło oszukaństwo z kanałem pana prezydenta".

— Był nawet parę dni temu, opowiedział, jak paskudnie Aron wpadł.

Sprawa według niej tak się przedstawiała:

Aron Turower, co ma składy na wprost restauracji Grabowskiego, złakomił się na tanie drzewo nad Świtazią. Kupił, licząc na kanał, który przecież dobrze okrzyczano i już na nowych mapach oznaczono grubą kreską „kanał im. Prezydenta Mościckiego".

Tymczasem co się stało?

Otóż wojewoda, bo to wszystko zaczął na własną rękę wojewoda poleski, pokopawszy głębiej, natrafił na granit. Kosztorys diabli wzięli, gdyż na wysadzenie dynamitem granitowej skały potrzeba milionów. Do tegoż jeszcze okoliczni panowie zawiązali konfederację i zaczęli się sposobić do procesu o odszkodowanie, także na grube miliony, za zniszczenie gospodarstw rybnych w razie obniżenia zwierciadła wody w jeziorze.

Wojewoda zobaczył, że źle. I do Warszawy, na Zamek: „Panowie, taki piękny kanał! Lepszy niż króla Stasia! Niech prezydent zaszczyci!" Prezydent zaszczycił nazwiskiem i imieniem, premier przyjął rozbabrany kanał i przekazał ministerstwu rolnictwa, niech się dalej babrze, ministerstwo zaś przysłało panów znających się na rzeczy i ci orzekli, że pan wojewoda całkiem niepotrzebnie wkopał skarb państwa w nowy kanał. Wystarczy oczyścić z zielska i zaopatrzyć w zastawki starą carską „kopajówkę", a nadmiar wód wiosennych, zalewających corocznie wioski ościenne, spłynie do Kanału Królewskiego.

Tak oto budowy zaniechano i Aron został z drzewem na lądzie, przy kresce na mapie, po której przecież tratwy nie przejdą. Chwostek z flisakami próbuje, kosząc zarośniętą „kopajówkę", przepchać się na Kanał Królewski, na Biczownik, jak go chłopi nazywają od świętej pamięci.

— Niech pan idzie do Arona, może on wie, gdzie teraz są. A co do noclegu, to od biedy mogę przenocować.

Aron, do którego Szczęsny zaraz się udał, także nie wiedział dokładnie, gdzie w tej chwili mogą być jego flisacy. Gdzieś na tratwach. Poczta Horodyszcze, tak się do nich pisało ostatnio.

— A po co pan potrzebuje mego podmajstrzego?

— Chciałbym się zaciągnąć na spław.

— Pan? — zdziwił się Aron. — Taki pan na flisaka? Nu, to można przecież ze mną... Pan pozwoli dowód.

Szczęsny podał.
— Lubart Symche — przeczytał Aron i spojrzawszy na niego ponad adłe okulary, powtórzył: — Symche?
— Owszem, to znaczy Szymon.
— Co cóś... — mruknął Aron. — Na flisaka?
— Kiedy ja już byłem na tratwach. Właśnie z Chwostkiem.
— Wszystko jedno. Żyd flisakiem? To się nie praktykuje.
W dowodzie stało wszędzie jak wół „wyznanie mojżeszowe", zagadał ięc do Szczęsnego po swojemu.
— Przepraszam, ale ja po żydowsku nie umiem.
— Ale jesteś pan Żyd, czy nie jesteś?!
— Jestem, tylko że chowałem się w polskiej ochronce. Sierota, uwa- pan. Potem też cały czas między Polakami, skąd miałbym umieć?
— To znaczy ciągle miałeś pan trefne? A szabes? Kto wie, czy ogóle jadłeś czulent?
— No jakże, zdarzało się...
— A czy mojde any?
— Naturalnie.
Nie był pewien, czy mojde jest u nich modlitwą, czy potrawą, sięgnął ięc po dowód, żeby już skończyć z niebezpiecznym tematem.
— Nie ma pan nic chyba przeciw temu, żeby mnie Chwostek za- udnił?
— Muszę się ojca spytać — odrzekł Aron przebierając w długiej zysiwionej brodzie — przyjdź pan jutro.
Poszedł na pocztę. Wniosek prosty — myślał po drodze — nie zada- ać się z Żydami, skoro się nie umie po żydowsku. W ogóle był to poro- ony pomysł uciekać z dowodem Szymka. Dowód wprawdzie najbar- iej autentyczny, po człowieku wciąż istniejącym w ewidencji, w tym mym wieku co Szczęsny i tak podobnym na wyblakłej fotografii, że e sposób zakwestionować — wszystko racja. Ale zostać Żydem — to ł idiotyzm. Albo Żydzi zaczepią, albo antysemici.
Listu od Olejniczaka nie było. Umówili się, że napisze na poste- stante do Ulanowa. Minął już tydzień od wyjazdu z Włocławka, tak coś powinno było być na poczcie, a tymczasem nic nie było.
Zjadł obiad u Grabowskiego, w restauracji z tapetami, bufetem i ra- em na skalę wojewódzką, wykąpał się w Sanie, potem długo leżał na asku wygrzewając się w słońcu z uczuciem kompletnego osamotnie- a i bezpieczeństwa.
Wieczór zeszedł na rozmowie z matką Chwostka, staruszką czerstwo nującą, z retmańskiego rodu. Męża miała też retmana, bo jakże ina-

czej? Za jej czasów retmani jeszcze wysoko się nosili i wydać córkę za kogo innego, na przykład za urzędnika, to był wtedy wstyd. Myślała oczywiście, że i syn osiągnie tę godność, ale wszystko się zmieniło, pieniądz coraz więcej znaczy, a oni zbiednieli — słowem piąty rok jest podmajstrzym *) i jak dotąd nie widać, żeby prędko kupił patent.

A były przecież złote czasy — gdy Ulanów był Uliną i potem za Austryjaka, gdy rajcy miejscy akta pod dużą pieczęcią datowali: „Dane w mieście sławetnem Ulanowie roku Pańskiego"... Sławetnych miało się flisaków, znanych daleko na rzekach wszystkich trzech zaborów. Wyruszali w marcu, by wrócić na Barbarę i odsiedzieć w „kańciapie" za starym cmentarzem należne dwa tygodnie kwarantanny. Czyści od dżumy, tyfusu i cholery, rozchodzili się potem po domach, przynosząc na Wigilię guldeny, marki i ruble, pierniki toruńskie, wzorzyste tkaniny wiedeńskie, złotą wódkę gdańską i rosyjski „czaj".

„Jeszcze coś przywozili, matko, coś od czego dzieci rodziły się nieżywe albo kalekie" — chciał wtrącić Szczęsny, ale w porę się pohamował. Po co? Stara tylko by się obraziła. Zachował to dla siebie, jak również i to, że złote guldeny mieli retmani, a „chłopy" i „przedniki" — tę samą mniej więcej klepali biedę.

Przespawszy się w łóżku po raz pierwszy od wielu dni, ba — nie tylko w łóżku, ale i pod pierzyną, pod pierzyną jak kopica, jak majestat, zabrał się do naprawy wozu, o czym się wczoraj zgadało, a potem, gdzieś koło południa, poszedł do Arona po odpowiedź, przed tym jednak wstąpił na pocztę.

— Czy nie ma korespondencji dla Lubarta?

— Owszem, tym razem jest — odrzekła młodziutka urzędniczka, akcentując „tym razem" dla zaznaczenia, że go pamięta. — Poproszę o dowód.

Przeczytawszy „Symche", nie od razu uwierzyła, że petent o twarzy junackiej i kamiennej, wykapany Janosik, tylko bez piórka — naprawdę Symche! A uwierzywszy (że też tylko Żydzi potrafią tak się maskować!), koniuszkiem palca wypchnęła za okienko mojżeszowy dowód z listem w środku.

„Kochany Szymku — pisał Olejniczak — jestem ogromnie zadowolona, że mogłeś nareszcie wyjechać na wieś i zająć się swym zdrowiem. Tyle razy przecież mówiłam, że masz płuca zagrożone i musisz się ratować za wszelką cenę, ale mi nie wierzyłeś. Wszyscy Cię pozdrawiają

*) Podmajstrzy — w hierarchii flisackiej zastępca retmana, najczęściej z jego ramienia prowadził spław.

rdecznie: Babcia Pela, rodzice, i Jankowie, i mała Madziula, która dzie miała teraz 5 lat, albo i więcej. Wujek zgadza się i nawet chętnie pomoże, tylko musisz wstąpić do niego na Prostą. Uszanuj starego, ma sensu, żebyś się dąsał na człowieka, który mógłby być Twoim em, i któremu Twój los leży na sercu, chociaż tego nie okazuje.
Całuję Cię mocno i życzę szczęśliwego pobytu w górach

Twoja Frania".

Wszystko stawało się jasne. Madzię czekał wyrok skazujący na 5 , a może i na dłużej. Partia zgadzała się na jego wyjazd do Hiszpanii, varzysz Prosty miał to ułatwić. Nie potrzeba już było szukać schronia na tratwach. Można było walczyć nareszcie nie z ukrycia i nie mieniami, lecz otwarcie, z bronią w ręku. W górach nieznanych co awda, daleko, w powiecie grenadzkim, jak Brońcia śpiewała, ale tak no o ziemię dla chłopów, o sprawę tę samą co w Polsce...
Wrócił, nie wstępując do Arona, i zabrał się do przerwanej pracy nad zaskaną drabiną wozu. Matka Chwostka nadziwić się nie mogła, że składnie mu idzie.
— Zostałbyś — mówiła — wypocząłbyś sobie, a i mnie byś pomógł y gospodarstwie.
stotnie, parę dni spokojnych, na uczciwym wikcie, snu poddostatm, trochę pracy na świeżym powietrzu, to by się wszystko przydało. ił się bardzo zmachany i wycieńczony.
Może by i przyjął tę propozycję, żeby ruszyć do Hiszpanii w lepszej mie, ale przyszło dwóch Żydów na podwórko. I przed tym już ciągle glądali zza płotu, myślał jednak, że przez pustą ciekawość.
— Przepraszamy, ale pan jest przecież Żydem?
To się widać błyskawicą rozniosło, jak w każdym miasteczku. Od ona. Przykro mu było ze względu na Chwostkową, która od tego ądzenia zburaczała, ale co miał robić?
— Powiedzmy. O co panom chodzi?
— I pracujesz pan w sobotę, i papierosa palisz w sobotę?
— Ach, o to... No, wiecie, ja tych przesądów nie uznaję. Jestem Żyn postępowym, to chyba wystarczy.
pojrzeli po sobie.
— A czy długo zamierza pan u nas zabawić?
— Nie wiem, to się pokaże.
— Oj, nie bądź pan taki chojrak, nie zaczynaj, bo to się źle skończy.
Vskazali na mrowie ludzi za płotem.
— Kochana pani Chwostek, po co to? Żyliśmy dobrze i dalej chcemy

żyć dobrze, po sąsiedzku. Niech mu pani każe odejść. Za nic nie ręczy-
my, za nic!

Szczęsny spojrzał na tłum napierający od ulicy, dziki i ciemny
jak Falanga w dniu św. Stanisława... Na Chwostkową, zmienioną na
twarzy, wstrząśniętą tym, że Żydowi dała pierzynę, Żyda przenocowała
„Same zabombony" — pomyślał Staszkowym słowem.

— Uspokójcie się, panowie! Nie zabawię długo. Skończę tylko robot
i odejdę.

Pod wieczór odszedł, obrzucony kamieniami, ścigany aż za San. „Szaj
giec, szajgiec!" — wołano długo na tamtym brzegu, dopóki nie znikną
im z oczu, uciekając drogą na Rozwadów.

W Rozwadowie, dokąd przybył przed północą, musiał przesiedzieć do
rana w poczekalni na dworcu. Pociąg do Warszawy zapowiedziano na
siódmą z minutami. Siadł więc na ławce, a potem, gdy sala opustoszała
wyciągnął się i zdrzemnął.

Obudził go świst lokomotywy i łoskot za oknem. Poderwał się na
myśl, czy to aby nie jego pociąg, i pobiegł do drzwi, by sprawdzić, i tu
w ciemnawym przejściu, gdzie światło dnia biło w oczy, ktoś go złapa
w ramiona.

— Szczęsny!

Odwrócił tego ktosia do okna. Był to Władek Żebro, szurpaty Władek

— A ty skąd?

— Z pociągu. Po piwo wyskoczyłem. Strasznie pić się chce... Ale si
ucieszą! — klepał go po ramieniu i ściskał z radości.

— A więc nie sam jedziesz?

— Ale! Całe Rzekucie, cały Przyłęk — cała Polska jedzie! Nie wiesz
Dziś Nowosielce! Chodźmy. To ci dopiero spotkanie!

— Daj spokój. Mam bilet do Warszawy.

— Szkoda gadać! Toż by oni mnie sprali, gdybym cię puścił. Nie m
mowy!

I pchnął go ku wyjściu krzycząc do kontrolera: „Niech pan przepuśc
to od nas! Z chłopskiej delegacji!"

Szczęsny dał się popychać. Chciał raz jeszcze spojrzeć na swą młc
dzież rzekucką, na komórkę KZM-ową, podziękować za przysłane „sc
jusze" — było ich przecież pięćdziesiąt dwa całe i trzy pokruszone!

Ale na peronie ujrzał coś, czego nigdy jeszcze nie było — wyczuł o
razu, że stoi wobec wielkiego wydarzenia.

Cały pociąg był chłopski.

Ze wszystkich okien, jak spojrzeć w prawo czy w lewo, wyglądał
twarze ogorzałe i rześkie. Chustki, czapki, maciejówki. Stroje z Łow

ı, Kujaw, Mazowsza... Wszystkie wagony były umajone i wszędzie ło jak w ulu weselnym.

Władek, zgubiwszy swój wagon, przedzierał się przez tłum z rozczliwym wołaniem:

— Kujawy, Kujawy!?

Aż mu ktoś odkrzyknął: „Tutaj, gawronie, tutaj!"

Podbiegli. W otwartym oknie, wyciągając ręce do Szczęsnego, stał sieńczyk, za nim jak pisklęta wyzierały znajome dziewczyny i chłoki.

— Brać go, chłopcy, bo ucieknie!

Władek podsadził się z tyłu, Jasieńczyk z innymi chwycił z przodu — i się Szczęsny obejrzał, a już, nogami na ramie majtnąwszy, był środku wagonu.

Trafił na Bolka Jesionowskiego, obok stali inni: Maryśka Kamyków- Michał Żyżma, Janek Niesiołowski... Cała komórka, którą kiedyś Madzią szkolił... Poza tym mnóstwo gospodarzy, których się dobrze ało, albo tylko z widzenia i nazwiska. A w dalszych przedziałach — dzie nieznani, z innych stron, ale wszystko chłopi, tak że zdawało się vsząd ruszyli na jakieś nowosiedliny.

— Nowosielce, gdzie to jest? — pytał się po hałasie pierwszych potań i słów.

— A tu niedaleko, w powiecie przeworskim, wioska mała — tłuczono mu na wyrywki.

— Kopiec tam się poświęci! Michała Pyrza kopiec!

— Cały lud się zbierze i rząd z marszałkiem. I Rydz przemówi!

— I Witos wyjdzie zza kopca — szepnął mu do ucha Jasieńczyk.

— A czy była amnestia? — tak samo z cicha zagadnął go Szczęsny. — y wolno mu wrócić z wygnania?

— Nie, on jednak wyjdzie do Rydza na oczach mas chłopskich i wteten będzie musiał się opowiedzieć: z nami czy przeciw?

— A więc to taka rozgrywka — zastanowił się Szczęsny. — Cóż, rto zobaczyć. Jedźmy.

— Nie będziesz żałował — zapewniali go wszyscy. — Taką zabawę się raz na sto lat!

— A dokąd właściwie jechałeś? — zapytał Władek. — Byłeś przez na Królewieckiej. Jak się tam skończyło?

— Jak się skończyło? Przede wszystkim muszę wam podziękować chleb.

— E, co tam... Zwyczajna składka!

— Nie, dobrze wiecie, że nie zwyczajna. Ja wam tego nie będę po wtarzał, tylko powiem, że te „sojusze“, jakeśmy wasze bochny nazwali otóż wasze „sojusze“ przyszły w samą porę. Z jedzeniem było ju krucho. Trzymaliśmy się jednak, dopóki nie przysłano golędziniaków

— A wtedy?

— Broniliśmy się naturalnie, jak się dało. Dorożkami ich potem wo żono do szpitala, ale naszych natłukli więcej. Jednego chłopaka, n przykład, parę kroków ode mnie, całkiem zadeptali. Rzuciłem się d niego, ale dostałem kolbą w pierś i w głowę. Na szczęście jeden star szewc wyciągnął mnie z pobojowiska, gdy leżałem bez przytomnośc A to by mnie też wzięli. Trzydzieści siedem osób wzięli...

Chciał wymienić, kogo z towarzyszy wzięli, ale w porę sobie uprzy tomnił, że dla tych tutaj są to puste nazwiska. W myśli tylko tę list przebiegł zatrzymując się na najbliższych, przy Weronce z Jankiem Weronka i Janek Bajurski siedzą.

— A Madzia?

Jasieńczyk o nią zapytał. Nie zapomniał widać tamtego lata w Doj mach.

— Madzię złapali przed szturmem. Wiozła dla nas pieniądze z Łodz i inne jeszcze rzeczy. Sprawa beznadziejna. Najmniej pięć lat.

Rzekuciaki czekali w skupieniu, żeby coś jeszcze powiedział o ic towarzyszce młodzieżowej, ale koła pociągu grały Szczęsnemu „ni wolno, nie wolno!“ — do buntu i bólu: dlaczego nie wolno?! Czy to łatw jest przejść nad sobą do porządku dziennego, nie oszaleć z tęsknot gdy wszystko się naraz traci — towarzyszkę, kochankę, człowieka, c uczył i radował...

— Ale strajk wygrano — powiedział młodzieży. — U Grünlanda p nas też wygrano.

— I coście w końcu zyskali?

Szczęsny wytłumaczył. A ten na korytarzu, jakiś obcy, tylko rami nami wzruszył.

— Tyle narodu wygubić dla 22 groszy...

— Ty, głupi — wsiadł na niego Władek — przecież tu o życie idzi o lepsze życie w ogóle, krok po kroku się wydziera! A groszy też n bierz tak sobie lekko, bo 22 grosze pomnożone przez tysiąc bezrobo nych dziennie, to wiesz, ile wyniesie?

W narastający spór wdała się Maryśka, potem Michał, tamtego z k rytarza poparli inni wiciowcy, i przy tym krótkim spięciu ugody z prz bojem Szczęsny ujrzał wyraźnie, że ze swą komórką kazetemową je tu jak rodzynka w cieście stronnictwa ludowego.

— Po coście wleźli na cudze wesele? — spytał Władka, gdy się zeczka wypaliła, bo pociąg zaczął zwalniać, wszczął się ruch przed siadaniem i Jasieńczyk znikł powiedziawszy, że musi się porozumieć ierownikami innych regionów. — Po kiego licha jedziecie z nimi?

— Ażeby się pokazać! Takie mamy zadanie związkowe — pokazać, nie całe chłopstwo jest zielone.

Odpowiedź była jasna, i długi Władek, świeżo po wojsku, był jeszcze dziej niż dawniej zamaszysty i jasny. Widny, powiedziałaby Madzia.

— Czy Jasieńczyk wie?

— Domyśla się pewnie. Raz wprost powiedział: „Farbowane wasze ci!" Nie szkodzi, z nim można... Nie masz pojęcia, jak się odmienił, i się zrobił jednolitofrontowy! Po więzieniu, uważasz, po tym biciu ez policję.

— Jeszcze guza nabije, to i całkiem dojdzie.

Za oknem przesunęły się miękko, nieruchomiejąc łagodnie, żywoty, ustęp i daszek na lanych słupkach żelaznych. Wszystko z galiska mizerne i z pretensją do jakichś lepszych przeznaczeń.

Zatrzaskały drzwiczki wagonów, gwar i szurgot chlusnął z pociągu o peronie rozlewać się poczęła ciżba barwna, zastojała, gorąca. Spięła się przy sieni przelotowej, opłynęła budynek stacyjny z obu on i rozszumiała się powodzią szeroką na bruku dziedzińca het po że i polną drogę w oddali.

Wszystkie regiony nacierały na pompę, w skłębionej masie pomieły się gwary i stroje; ktoś zemdlał, wołano doktora, gdzie indziej ela już na trąbach próbowała — był tłok — i wrzask i bałagan niehowity.

— Kochani bracia i siostry! — błagał ze schodów stacji człowiek tły i ofiarny, obleczony w ślubny garnitur z czarnego sukna na spoe ciało i jeszcze mu szyję zakleszczono białą krochmaloną obrożą. — i goście...

Do wieczora tak by wołał, gdyby z grupy obok nie wystąpił Jasieńk i nie huknął:

— Kto chce pić, ręce do góry?!

Tłum zawył ugodzony w bolące miejsce, najeżył się tysiącem rąk.

— Cichajta, do pioruna! — wrzasnął Jaś po raz wtóry, a kiedy się olwiek uciszyło, zaczął ciskać zdania odważone i pojętne: — Dwaeścia studni jest w Nowosielcach, a ludu przybyło dwieście tysięcy! ieście tysięcy chłopów wiecuje w tej chwili na błoniach Grzęski.

Jesteśmy spóźnieni, jesteśmy ostatni! Kiedy tamci ruszą z wiecu do Nowosielec — wypiją nam wszystką wodę w studniach, wyjedzą wszystko z namiotów i budek!

Uspokoiło się, już go słychać było wszędzie.

— Komitet organizacyjny przysłał nam przewodnika, przysłał, że tak powiem, Mojżesza, co zaprowadzi do wody i żarcia. Witamy, witamy! — kłaniał się Jasieńczyk spoconemu wątlaczkowi w pogrzebowym stroju, i raptem obróciwszy się do ludzi swą ruchliwą krągłą twarzą o sinawym zaroście, ręce jak sztukmistrz podniósł. — I ustawiamy się karnie! Ustawiamy się prędko, bo nie ma czasu do stracenia — jak najprędzej, po porządku! Kujawy! Gdzie są Kujawy?!

— Jesteśmy!

— Wychodzić na drogę! Stawajcie przy milicjancie z chorągiewką Sochaczew?!

— Tu, tu jest Sochaczew!

— Wychodzić na drogę! Zaraz za ostatnim kujawiakiem... Ale przejście, ludzie, zróbcież jakieś przejście! Gdzie się pan pchasz, panie zadziorny? Toć nas akurat filmują, a ten z pięściami, z gębą wściekłą Jezu — cała Polska zobaczy!

Teraz dopiero zauważono za Jasieńczykiem pana z rozwianą czupryną, w sportowym garniturze. Na parapet okienny wdrapał się, szelma. Chciał wszystko słyszeć, wszystko widzieć i co chwila z aparatu do ludzi mierzył.

— Witamy polską spółkę filmową i posuwamy się grzecznie, godnie żeby nas ludzie w kinach podziwiali! Kurpiki z Ostrołęki wychodzą. Żwawo, lekko, z uśmiechem do aparatu, z uśmiechem!

Już go słuchali, już mu wierzyli. Panował. Powiało organizacją i w żywiołowej przed chwilą, bełtającej się na wszystkie strony masie powstawał wartki nurt. Łapano wspólny krok. Delegacja za delegacją wychodziła na drogę formując pochód, razem około tysiąca osób.

Gdy Jasieńczyk przybył na czoło kolumny, gdzie stały Kujawy, ujrzał Szczęsnego i Władka z Maryśką w pierwszym szeregu. Rzekucie otwierało pochód.

— Toście, łobuzy, nie mogli przynajmniej przepuścić mego Przyłęku?! Za moje starania?

— Za swoje starania stawaj przed nami, a Przyłęk może iść z tyłu. Niech się innym razem nie guzdra.

Ruszyli w tym szyku z Jasieńczykiem i Mojżeszem, który się okazał Potoczkiem, gospodarzem z Nowosielec i członkiem komitetu. P

ɛdł z nimi także pan z aparatem, którym Jasieńczyk ludzi straszył pingując, że filmuje. Ten był, jak się wyjaśniło, redaktorem z Warıwy. Na reportaż się wybrał.

Był ładny letni ranek, godzina ósma, nie później. Maszerowali rym krokiem muskani chłodnawym jeszcze powiewem, ale już się rczuwało, że dzień będzie upalny. Jasieńczyk rozprawiał z Potoczem o tutejszej ziemi, zwanej popielicą, o hodowli świń i koni, zwłaza koni remontowych, z czego słyną Nowosielce.

— I pomyśleć tylko — odezwał się do Szczęsnego redaktor — że y ten jubel wywołał właściwie mój kolega!

— Czyżby?

— Z całą pewnością. Kto kiedy słyszał o Pyrzu? Pyrza odkrył ioła, mój kolega, także dziennikarz. Odkrył i powiedział nowosielnom: „A czy wiecie, że Nowosielce mają wójta Michała Pyrza co) lat temu obronił okolicę przed Tatarami? Należy mu się kopiec". tego się zaczęło. A że teraz, wiecie, akurat ostro stanęła sprawa ronności kraju, więc wdały się w to władze naczelne stronnictwa lowego i sprawę rozdmuchały na całą Polskę, na taką mniej więnutę: jak przed laty wójt z Nowosielec obronił ziemię ojczystą przed tarami, jak w 1920 roku inny wójt, z tych samych zresztą stron, Vierzchosławic — wie pan, Witos? — obronił przed najazdem bolwickim, tak i teraz w chłopie polskim jedynie nadzieja. Chłop, ten on i ostoja armii — obroni i zbawi!

— Ale pod warunkiem jakimś, chyba nie za darmo?

— Zgadł pan. Stronnictwo ludowe najwyraźniej chce zastraszyć ację chłopem, to się przecież widzi. Nastraszyć potężną ludową denstracją i zażądać dopuszczenia do władzy. Inaczej ja sobie tej całej orezy wytłumaczyć nie mogę.

— Czy to prawda, że Witos?

— Podobno. Tak mówią, w każdym razie wszyscy wierzą, spodzieją się tego. Zobaczymy... A swoją drogą, chciałbym widzieć minę dza, gdyby tak do niego zza kopca wyszedł z wyciągniętą ręką...

Uśmiechnął się na tę możliwość i kiedy oczy zmrużył, wyobrażając ie to spotkanie banity z pierwszą po prezydencie Osobą, przez duże — Szczęsny byłby przysiągł, że gdzieś już miał z nim do czynienia. ądsiś znał tę romantyczną twarz z baczkami, z młodą sypką bródką biegłego wieku, twarz na pół pańską, na pół chłopięcą, mimo zawłonia. Byłby sobie niechybnie przypomniał, ale w tej chwili Jasieńczyk się roześmiał, że odruchowo do niego się obrócił: „A ty znów zego?"

— Komedia! Boki zrywać! Jak oni się w Nowosielcach wykłócali Kogo zaprosić i gdzie posadzić? Żałuj, żeś tego nie słyszał.

Potoczek, połechtany wybuchem takiego uznania, chrząknął skromni w kułak: „Różnie bywało. Wszystko dlatego, żeśmy starosty do komitet nie zaprosili".

— Obraził się?

— Jeszcze jak! „Nic beze mnie nie zrobicie!" — tak nam zagroził n odchodnym, akurat rok temu, bośmy cały rok ten obchód przygotowy wali. I potem ciągle nasyłał komisarza, żebyśmy podpisywali deklara cję. Komisarz prawie co tydzień przyjeżdżał. Za każdym razem pisa liśmy od nowa, że za wszystko ręczymy i wszystko bierzemy na siebie aż się ksiądz w końcu zląkł: „Ludzie, mówi, a jeśli nie daj Boże przy pałęta się jakaś bolszewia? Czy to można za wszystkich ręczyć? Pójdzie my jak amen do Berezy!"

— Ale trochę toście się jednak bali.

— Ii, sypaliśmy kopiec. Od kwietnia, przez trzy miesiące. Cała wie sypała, to czego się tu bać? Gromadnie się robi! Nie, strachu nie był tylko różne podchodzenie, takie jakieś jątrzne praktyki. Z kamieniem dajmy na to.

— Toście na kopcu kamień ustawili? Ładny przynajmniej?

— A! Udał się nam kamień, udał... Wielki, postawny, taki w sobi dziarstwisty, a po bokach ikrzasty, mówię wam, cudności kamień! O towarzystwa szkoły ludowej w Rzeszowie. Sami ofiarowali. Dobrz ale jaki napis na nim dać? O ten napis poszło. Ksiądz mówi: „Kisi musi być!" A ja się na to nie godzę. To ksiądz zaczyna zawstydzać, c ludzie pomyślą, jeśli nie będzie Kisiela? Co dostojne władze? Nieposza nowanie duszpasterza i można powiedzieć źdźbło bolszewii! Czyli znó przyjdzie komisarz z deklaracjami... Koniecznie chciał swego poprzed nika wywyższyć, bo i on byłby wtedy wywyższony. I tak kręcił, ta jątrzył, że połowa komitetu w końcu się zgodziła, z tą tylko poprawk żeby księdza dać na drugiego, to znaczy pierwszy ma być Pyrz, a po ni ks. Kisiel Piotr, co był u nas za Pyrza. Pod tym się podpisali, a ja ni „Nie dziwuję się wam — powiedziałem do księdza — ale dziwuję s chłopom — i na to nigdy nie pójdę". Wyszliśmy z komitetu, z pleban i kłóciliśmy się przez drogę, a chłopi akurat stali koło sklepu — posł szeli. I to się, kochani, rozniosło! Ludzie się wzburzyli i prosto z sum poszli na plebanię. A myśmy właśnie mieli posiedzenie. Wyszliśmy n ganek. „Czego ludzie chcą? — spytał ksiądz. — Niech ktoś jeden mówi Ale! Krzyki, wrzaski, tyle tylko można było zrozumieć, że jeśli kt jeszcze będzie obok Pyrza, to kamień w tejże chwili rozwalą! Ksią

dumał, podumał: „No, jak tego żądacie, to mojemu poprzednikowi n Bóg zapłaci!“ I musiałem jechać do Rzeszowa, do towarzystwa koły ludowej, żeby nie zmieniali naszego napisu, jak im w liście iądz kazał. A oni wiecie, co mi powiedzieli? „Gdybyście nawet proto- ł przysłali, to i tak byśmy nie zmienili!“

— I jak w końcu zostało?

— A tak jakeśmy chcieli, zobaczycie. U góry krzyż nad cepami kosą, a pod nim „Michałowi Pyrzowi 1624—1936“. Bez Kisiela.

Z tyłu rozległo się: „Jedzie, jedzie!“ Pochód drgnął; zmieszany zwalił ę jak długi z drogi na bok, do rowu i na skraj żyta.

W tumanach kurzu wypadł na nich wóz umajony, okazały — w czte- piękne siwki. Z obu stron, rozrzuciwszy na wietrze dwubarwne stęgi i półrękawki białe, mknęła banderia chłopska na gniadoszach branych, koń w koń, a za nią pluton ułanów.

Z szeregów ludowców raz po raz wołano, niech żyje wojsko polskie Witos niech żyje. Ale ani jeden okrzyk nie padł na cześć pierwszej państwie Osoby i Osoba na wozie, podnosząc sztywno dwa palce do szka czapki generalskiej, wyraz miała postny, z kapeńką tylko ierzchniej życzliwości na okrasę.

— Ten, co powozi — zauważył Potoczek — to mój sąsiad, Wąsacz lam, najstarszy u nas w Nowosielcach.

Pozbierali się na powrót, poustawiali na drodze i ruszyli żwawo, cąc nadrobić czas stracony, ale na górce za zakrętem, w pierwszej potkanej zagrodzie, ujrzeli studnię i czterech milicjantów z zielony- opaskami przy niej.

— Woda! — zapraszali. — Woda dla gości!

Jasieńczyk wybiegł i jął przepuszczać do wodopoju ziemiami: naj- erw ziemię kujawską, potem sochaczewską i tak dalej w porządku, rężyście, na wesoło. Milicjanci pracowali kubłami bez wytchnienia, ąc do dwóch koryt zwykłych, dla bydła. Ludzie podchodzili śpiesznie apełniwszy manierki, butle, konwie, bo i takie widziało się naczynia, zesuwali się zaraz przez podwórze na gościniec.

— Dobrze pracują chłopaki, co? Takiej straży porządkowej mamy y tysiące — nie omieszkał pochwalić się Potoczek. — Wszystko z Ja- sławia.

W ogóle powiat jarosławski najlepiej, podług niego, się spisał, bo zyprowadził 65.000 chłopów z 50-ma sztandarami i trzy orkiestry. ńcut przysłał około 40.000, Przeworsk — 35.000, Rzeszów — 10.000... zozów przybył własnym pociągiem w liczbie 2.000. Z Tomaszowa, Za-

mościa, z Hrubieszowa przyjechali ludowcy wozami, po kilku dniach podróży...

Chałupina, przy której stanęli, leżała z brzegu, sama jedna, nad doliną, co była niegdyś dnem jeziora. Za Pyrza kościółek był oblany wodą z trzech stron, tylko grobla łączyła go z lądem i wsią. Tatarzy nacierali na groblę, a nowosielczanie, okopawszy się pod kościołem, bili do nich z moździerzy, w końcu bejowi ich głowę niechcący urwali, wtedy orda żałobnie zawyła i poszła przez lasy zamojskie za Tanew i Bug.

Rozległa niecka pojezierna znów była wypełniona po brzegi, tylko górka z kościołem sterczała pośrodku jak wyspa. Masy płynęły gęstymi zwałami od Grzęski w stronę kopca, masy nieprzejrzane, niezliczone, w kolorach pstrych, raz ciemne, raz jasne, ale zawsze matowe, z jedną zaledwie strużką srebrzystą, migocącą ostrym blaskiem. Trzeba było dobrze wzrok wytężyć, by dostrzec, że to słońce igra na bagnetach i szablach, na łusce broni pancernej.

Tam, skąd dochodził niewyraźny odgłos trąb i poszum marsza, defilowały przed wodzem naczelnym oddziały piechoty, kawalerii, czołgów, i wysoko w błękicie nieba nurzały się wyjąc samoloty bojowe.

— Jak sądzicie — spytał Szczęsny — czy ta defilada wojskowa przed waszą defiladą — to tak sobie, dla popisu? A może — żeby was trzymać w ryzach, przywołać w razie czego do porządku?

— Ja się boję, że to drugie... — wyznał przewodnik. — Wojsko, słyszałem, dostało ostre naboje, a nasi też mają broń, szczególnie ci, co przybyli wozami. Jest złość w narodzie, Jezus Maria, aż się wszystko gotuje z gorącości, myśmy nawet nie wiedzieli, że tyle tego jest!

— I mnie się tak wydaje, żeście nie wszystko przewidzieli. W każdym razie deklaracji nie trzeba było podpisywać.

— Niech ręka boska chroni, wypluń pan te słowa!

Cóż z tego, kiedy nastroje były naprawdę żrące i zapalne. Nikt by tu za nic nie ręczył. Wszystko było możliwe. Przekonywali się o tym na każdym kroku schodząc w dolinę ku ogólnemu pochodowi.

Jakaś grupa wracała w rozsypce ze zwiniętym sztandarem. Młodzież katolicka z Żołyni. Nie chcieli księżej młodzieży — przepędzili.

Endeków również nie chcieli. Cztery koła ich przyszły i wszystkie zostały rozbite, a sztandary podeptane.

Trzy wozy stały na drodze. Chłopi na nie nacierali wołając: „Zawracajcie! Od księcia pana nie przyjmiemy!“ Potoczek podbiegł, zaczął tłumaczyć: obiad czeka! Obiad na 250 osób w 12 pokojach plebanii. Na czym mają podać? W miskach glinianych, na cynowych talerzach? Książę Lubomirski poszedł im na rękę i przysłał po sąsiedzku swe

rne naczynia, niemały to honor dla komitetu, że na słowo im zawie-
.. Ale chłopi krzyczeli, żeby się wypchał takim honorem! Nie
zeba pańskiego srebra — podać, jak się u chłopa podaje!
Dobrześ w Dojmach powiedział: „Bez dziedzica i bez pleba-
— przypomniał Szczęsny Jasiowi. — Tylko oni jeszcze czegoś chcą
się nasze drogi rozchodzą.
toś pokrwawiony i oszalały uciekał furmanką wśród gwizdu i śmie-
„Pieniążek wieje! Judaszowy Pieniążek!"
kazało się — poseł, były ludowiec Pieniążek, co wszedł do Sejmu
ty Bebe. Przyjechał z braćmi, to ich wszystkich pobili.
a dnie kotliny zrobił się zator. Pochód miotał się na strony, wypi-
ale naprzód ani rusz posunąć się nie mógł. Defilada się skończyła,
ił Potoczek wróciwszy ze zwiadów, wojsko przeszło i konnica chłop-
6.000 koni. Teraz ma iść „chłopska piechota" czyli cały ten lud,
czy sto pięćdziesiąt, czy dwieście tysięcy — kto by tam zliczył!
szka, prezes stronnictwa na Małopolskę, wezwał do marszu pod
ec, gdzie czeka na nich generał Rydz-Śmigły.
Nie chcieli iść! Takie było wzburzenie, kochani, że strach. Ale
es Gruszka odwołał się do rozumu, że trzeba jednak spróbować.
bujmy ostatni raz, niech Rydz przemówi... Wtedy poszli. Ale teraz
coś się stało.
mczasem ci, co powłazili na drzewa, wykrzykiwali:
Rezerwiści się pchają, łobuzy! Rezerwiści i strzelcy!
W mordę lizaków! — wołano z dołu.
Już się robi! Nasi walą!
uchali dalej komunikatów z najwyższych gałęzi: prezes Gruszka
pogodzić — koło z Rakszawy, co stoi na czele, naciera na niego —
go kopnął i Gruszka uciekł na trybunę. Potoczek jęknął:
Prezesa kopnęli, ludzie kochani?!
Widzicie, tego także nie było w programie...
zerwiści, korzystając z zamieszania, wymknęli się na defiladę, ale
lców rakszawiacy nie puścili i sami poszli, a za nimi inni z Łań-
Pochód ruszył.
sieńczyk z Potoczkiem zakrzątnęli się, żeby ze swoim tysiącem
nionych wejść do pochodu, i wtedy właśnie Żebro Władek powie-
do Maryśki:
Teraz na nas kolej.
mykówna wyjęła z torby czerwony proporzec, Władek nadział go
skę i podniósł wysoko nad głową.

Ludzie, których Jaś daremnie prosił, aby się zatrzymali i zrobili d nich miejsce — naraz sami stanęli. Jasieńczyk spojrzał, gdzie wszys patrzyli — za siebie, a tam biła w górę czerwień jara, ognista! Jed jedyny proporzec i dwa transparenty, razem trzy płomyki z szumiąc dokoła zieleni.

Skoczył do Władka, ale poniechał tego w pół drogi, między czerw nym a zielonym. Był pośrodku, był w kropce. Odczuł przecież waż ciszę tej chwili, chwili jak zamarły języczek u wagi, jak kula bila dowa nad krawędzią łuzy. Jedno drgnienie, jedno muśnięcie, a prz chyli się raptem w tę czy w tamtą stronę.

I nie mogąc zaczynać z Władkiem w takiej chwili, patrzył za inny na niewielką grupę, jak się zwarła wokół Szczęsnego, zdecydowana wszystko. Znalazła się wszakże w samym środku obcego stronnictw W dniu bardzo gorącym, gdy księżą młodzież pobito, i endeków, i san cyjnego Strzelca... Mogli ją również uznać za obce ciało i tak sar wyrzucić.

Chwiały się transparenty ludowców „Żywią i bronią!", „Refor rolna!", „Amnestia!", „Sprawiedliwości i pracy!"... I te naprzeci „Ziemi bez wykupu!" i „Władza dla chłopów!" Na czerwieni wyklę z ambony, zakazanej przez władze stronnictwa kłuły oczy słowa n prawdziwsze. Sedno wszystkiego: ziemia i władza!

Ktoś zakrzyknął z lwowska „ta puśćcie, niech idą!" Szeregi się r stąpiły, łamiąc dyscyplinę stronniczą i nawołując się jednością chło ską — „Niech żyje front ludowy!" — i komórka rzekucka popłyn z pochodem ludowców jak goździk w wianku niesionym wysoką wo świętojańską.

Przypomniał się Pierwszy Maj we Włocławku w tym roku, samo tryumfujący, jednolitofrontowy! Chciałoby się zawołać jak w dy „Wakon wziął!" Ale nikogo nie było z Celulozy, nikt by nie zrozum tej komendy warzelnej, chociaż sens jej, że masa gotowa i sztucery s unosił się nad ludem rozkołysanym, świadomym swej liczby i siły.

Posuwali się wolno w ścisku i kurzu, przystając co chwila. Do mi sca defilady było jeszcze daleko.

— Muszę odejść, za bardzo jestem na widoku przy waszym p porcu — powiedział Szczęsny Władkowi — Szpicli tu nie brak, a mną listy gończe wysłano.

— Ale gdzie się spotkamy?

— Idźcie prosto za kościół, do tej olszynki, o której mówiliśmy p studni. Tam się pożegnamy. Tymczasem obejrzę z górki całą defila

niemałym trudem, pracując ciężko łokciami, przedarł się przez ı i w sporej odległości od swoich spotkał redaktora z Potoczkiem, zy przed tym gdzieś się zawieruszyli. Obaj spoglądali z niewielo wzniesienia na czerwone znaki w dali.

- Widział pan?

głosie redaktora nie było oburzenia ani zachwytu. Raczej nutka łości psotnej jak po dobrym kawale. Ale Potoczek pocił się wyie zaniepokojony: „Jakim sposobem oni się dostali?"

idocznie nie był przy tym, jak Władek rozwinął swój sztandar. Nie ział przy nim Szczęsnego.

- Przecież pan ich przyprowadził.

- A coście? Ja bym komunę prowadził?!

- Nie wiem, wszyscy widzieli. Szedł pan z nimi cały czas od stacji vie pod rękę, rozmawialiście z tym chorążym, z tym szurpatym, czy nie?

- Rozmawiałem, bo mi przez myśl nie przeszło...

- Ależ nikt nie będzie tego dochodził, co się myślało! Grunt, że ś pan ich Mojżeszem. Nawet już się jakiś śliski typ dopytywał: dlaczego ten z opaską przyszedł z czerwonymi? Tak sobie, czy z rania komitetu i czy to było w programie?"

- I coś pan na to?

- Ma się rozumieć powiedziałem, że nic podobnego. Nadprogram i omyłka. Każdemu może się zdarzyć. Czasem na równej drodze ı się posunie.

- Ale trzeba uważać, zwłaszcza przy deklaracjach trzeba uważać — chwycił redaktor, mrugając do Szczęsnego — Ksiądz słusznie zegał. Miał klecha niucha!

- Dobrze wam się śmiać — nachmurzył się Potoczek — wam Berie grozi. A mnie się widzi, że ja jeszcze będę miarę z siebie brał na nnę. Bo to, wiecie, komisarz mówił: kto tam przychodzi, musi najw zbić trumnę dla siebie, a potem idzie do spowiedzi i na odwszenie.

- Głupstwo, nie można tak się przejmować... Chodźmy lepiej na ec. Może i pan chce popatrzeć?

- Właśnie tam się wybierałem.

- To chodźmy razem. Żebyśmy się tylko dostali!

- Nie ma mowy. Nie przepchamy się. Szkoda fatygi i ubrania szkoda. h panowie idą do mojej stodółki. Widok stamtąd przestronny, vstko zobaczycie.

Poszli za tą radą — trochę pod górkę, ulicą złej akacji i malown czych chat, potem przez podwórze dostatniej zagrody zatłoczone w zami z Hrubieszowa.

Stodoła stała na skraju łagodnej spadzizny, podstrzeszem do dro i kopca. Przystawiono drabinę, poleźli po niej i siedli rzędzikiem n szczeblach jeden nad drugim: Potoczek, Szczęsny i najwyżej redakt z lornetką i aparatem.

Widziało się całą równinę pokrytą narodem, kopiec niewielki, metró piętnaście wysokości, z szarym kamieniem na czubku. Drogę, któ sunął pochód. Na niej trzy bramy powitalne — dla wodza, dla bisk pów i dla ludu. Wreszcie dwie trybuny na wprost siebie, przez drog na jednej stał wódz w otoczeniu generalicji i obu biskupów przemyskic a na drugiej — panowie ze stronnictwa.

Biskup Barda skończył właśnie kazanie. Ludzie oglądali się za w dzem. Wódz milczał.

— Robi się na sfinksa — zauważył redaktor, patrząc przez lorne kę. — Za mało chamy Edzia uszanowali. Bramą chcą się wykręci A gdzie wiwaty, owacje, marsz generalski?! Nie, nie będzie gada Obraził się.

Na trybunie ludowców ktoś podszedł do bariery. Na chwilę ucichł

— W imieniu chłopów nowosielczan, potomków obrońcy...

Dalsze słowa pogwar zdmuchnął.

— To Słysz, przewodniczący nasz w Nowosielcach i w powiec Franciszek Słysz.

Nic się jednak nie słyszało. Czytał z kartek.

— Nie wiecie przypadkiem, kto mu to napisał: Rataj czy Mik łajczyk?

— Pan by tylko kpił i z każdego się naśmiewał. Czy to chłop sa nie potrafi?

— Owszem, kiedy jest sam bez polityków. Politykę znam od kuch i śmietnika, i mogę wam nawet powiedzieć, gdzie to wszystko by przyrządzone: na Hożej!

Tymczasem Słysz, z kartek dukając, wspomniał widocznie o Witos bo się zerwała burza oklasków i to imię wybiło się ponad wszystk A gdy się uciszyło, czekano na odpowiedź najwyższego czynnika.

Odpowiedzi nie było. Spadkobierca buławy i legionów stał posągow i masy ruszyły w końcu swoją drogą.

— A przecież wieźli go chłopskim wozem, w cztery piękne siwki rzucił znów z góry redaktor — Miałeś, Edziu, złoty róg!

Szli górale, przed trybuną przystanęli, jeden wystąpił, coś powiedział ciupagę podnosząc, pogroził zda się generałowi o głowie wygolonej na oler. Generał odsalutował.

— Rezolucje oddaje. Rezolucje, cośmy na błoniach uchwalili — bjaśnił Potoczek.

— Co za jeden?

— Krzeptowski Wacław, prezes na nowotarskie. Temu to ja niebarzo wierzę. Mnie się zdaje, że jest od nich nasłany.

Na drodze zrobiło się pstro i barwiście. Śpiewając „Nie damy ruszyć aszych węgłów", szło rzeszowskie w kamizelach błękitnych, w sukanach brązowych, z piórami i wstążkami u czapek — przetykane kreowymi „koronówkami" na głowach niewiast, granatem i bordem ich orsetów aksamitnych... Szelest krochmalny białych spódnic dzwonowatych słyszeli zda się jeszcze, gdy dawno minęły, gdy szło już Podarpacie z pierwszym sztandarem czerwonym.

Ubiegli Rzekucie. Nie Rzekucie było tu pierwsze. Byli już tacy, co rzed nim bluznęli Rydzowi czerwienią i śpiewem „Gdy naród do oju"... Nieśli wysoko przed trybunę magnatów swą krzywdę zapiekłą parli, szumiąc szorstko prawdą nieprzejednania. Z różnych regionów ykwitały już proporce podwójne, zielone z czerwonym, i zgodnie raz o raz wybuchało: „Precz z sanacją!"

— Spójrzcie — trącił redaktor Szczęsnego — to zdaje się ta sama łodzież, z którą szliśmy od stacji.

Spojrzał przez ramię. Redaktor podawał mu lornetkę. Na brzuścu łoni była kotwica. Nie patrzył na Szczęsnego, chłonąc krajobraz z dorze znanym skądinąd wyrazem szczeniackiej łapczywości: „Ciekawe, zym to się wszystko skończy"...

Podniósł szkła do oczu zaskoczony odkryciem, z uwagę rozdwojoną. o w dali widziało się młodzież rzekucką, jak maszerowała z Władkiem a czele wznosząc okrzyki: „Niech żyje front ludowy!" Cała przyszłość stro w soczewce odbita. A wyżej, o jeden zaledwie szczebel drabiny, yło minione. Był Jurek z Symbirska, cudacznie zawłosiony na modłę łodopolską, o bródce z ducha. Jurek z kotwicą żeglarską, którą mu achom wytatuował. Z tym swoim zachłannym skupieniem na twarzy, ak gdyby przez dziurkę od klucza podglądał tajemnice wszechświata. ic się w gruncie rzeczy nie zmienił, ciekawski wszystkiego co u Marksa co u Dumasa, żądny przygód i życia — Spinoza od „Trzech muszieterów"!

— Popatrzył pan? Poproszę teraz... Czyżby odchodził? Niemożliwe!

A jednak tak było. Wódz wykręcił się na pięcie i poszedł z trybuny. Na stopniach komuś głową skinął, ten zaraz służbiście zajął opuszczone miejsce. Podawano samochód. O wozie chłopskim nie było już mowy.

Wszyscy trzej śledzili ceremoniał odjazdu. Lornetka znów powędrowała z góry na dół.

— Major — odrzekł Potoczek, spojrzawszy ostatni przez szkła.

— Co pan gada! Na pewno wojewoda Belina-Prażmowski albo hr. Gołuchowski. Nikomu innemu z tych na trybunie nie mógł on powierzyć zaszczytu reprezentowania armii i rządu.

— A ja mówię, że majorowi! Z Łańcuta, z 10-go pułku strzelców konnych. Znam go, tylko nazwisko takie cholerne... Zaraz sobie przypomnę...

— No, jeśli on pierwszego z brzegu oficera postawił do reprezentacji najwyższej Osoby, to jest zły, wściekle zły. Drżyj, ludu niewierny!

Ale lud nic sobie z tego nie robił. Witos do niego zza kopca nie wyszedł ani wódz naczelny nie przemówił. Lud zawiedziony pomstował i walił drogą szeroką daleko za kopiec Michała Pyrza.

— To ci heca. Nikt się tego nie spodziewał, ani Rydz, ani ci tam z Hożej. Będę miał przynajmniej co napisać na pożegnanie z ojczyzną.

— Wyjeżdża pan?

— Tak, jadę do Hiszpanii. Tam się zaczynają dziać ciekawe rzeczy, wie pan?

— Podobno.

— Nie „podobno", ale z całą pewnością! Rzeczy skandaliczne z punktu widzenia prawa międzynarodowego, wstrząsające sumieniem i jedyne dla literata, który chce oddać cały epos stron walczących.

— A pan właściwie po której jest stronie?

— Naturalnie po stronie Hiszpanii ludowej, chociaż są to przeważnie komuniści. Ale nie wszyscy. Nie każdy przecież musi być komunistą.

— Oczywiście — zgodził się Szczęsny, myśląc o drodze swojej i jego. — Jeden musi, a drugi nie. Nie lubi pan, widzę, komunistów.

— Nie to, że nie lubię. To brzmi dziecinnie. Inaczej do tych spraw podchodzę, nie mogę tak po prostu i bez pardonu. W zasadzie nawet przyznaję im rację, ale te ich metody, to nieliczenie się z człowiekiem. Zapominają, że prawa ewolucji są niezłomne, przeskoczyć nie można i każda prawda jest względna...

Nie chciało się słuchać. Ta prawda, którą się miało, sama nie przyszła, ani spłynęła z mądrych książek. Dosyć się z nią uszarpało.

ż drugi raz przeszedł, bocząc się na nich, typ z piernikami, ten co się przyglądał Szczęsnemu pod proporcem Rzekucia. Trzeba uchodzić w tłum. Pożegnać się z młodzieżą w olszynce i ruszać ację.

...o tym wszystkim, o najbardziej ludzkim chciałbym napisać. ego jadę do Hiszpanii.

ech jedzie. Jak mu faszyści przyrżną, ale tak na fest! — to i z głowyskoczą różne pakty-akty z trzema kropkami wieczności, cały isz poglądów. Gdyby tak zgolił romantyczną bródkę, a w sobie rdniał i jakoś się wyprościł, to byłby może z niego człowiek.

skoczył z drabki. Wyciągnął rękę.

Czas na mnie, bardzo żałuję. Ale jeszcze się, myślę, spotkamy. czasem bywaj, Spinoza!

toczek bardzo się zdziwił, że pan redaktor krzyknął — „Hetman!" awet się rzucił za tym niby hetmanem. Ale ten dał już nura w tłum, z dala doszedł jego głos, poważny czy kpiący, trudno było rozać:

Pisz na Grenadę, na główną...

zawa — Włocławek
1950 — 52

Załodze Fabryki Celulozy
im. Juliana Marchlewskiego we Włocławku —
— z podzięką i pozdrowieniem —

Igor Newerly

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI *Przełożył* ANTONI SŁONIMSKI

O TYM

(Fragment poematu, 1923)

Wiara

Mniejsza o to, ile trzeba będzie czekać lat.
Nie lubię jałowych spekulacji.
Ale widzę jasno, jasno do halucynacji,
Że starczy tylko, ot, żebym ten rym zgadł,
A już po stopniach strof, jak w dym
Skoczę w nowy zadziwiający świat.

Jaki? Nie mnie odpowiadać na takie pytania.
Widzę, widzę każdy szczegół:
Powietrze nad powietrzem, jak kamień na kamieniu,
W stuleci jarzącym szeregu
Wykwita wieczne Laboratorium Wskrzeszania.

Oto on. Wysokoczoły milczący chemik.
Przed doświadczeniem brwi marszczy, skupiony.
Księgę wziął. Tytuł księgi: Ludność Ziemi.
Szuka nazwisk, przerzuca strony.
Wiek dwudziesty... Kogo by tu wskrzesić?
Majakowski? Et, poszukajmy kogoś godniejszego,
Tak z wyglądu nie wiele był warty.
Stój! Zatrzymaj się! — krzyknę boleśnie —
Nie przerzucaj tej karty! Wskrześ mnie!

Nadzieja

Myśl wbij mi w czerep,
Serce do piersi włóż,
I krew wlej do żył.
Niech krąży ciałem.
Bo jam swojego na tej ziemi nie dożył,
Bo ja swojego niedokochałem.

Wzrost miałem słuszny,
Ale dla mojej roboty starczyłby i ułomek.
Piórkiem skrzypiałem,
Wtłoczony w pokoiczek duszny,
Wciśnięty, jak okulary w futerał.
Co chcecie darmo będę robił,
Schody szorował, kurze ścierał.

Mogę się nawet zgodzić za portiera.
A czy są u was portierzy?
Byłem wesoły, ale mówmy szczerze,
Czy miało sens beztrosko przez świat iść,
Gdy wokół cierpień krąg się szerzył,
Gdy jeśli który zęby szczerzył,
To żeby zgrzytać nimi albo gryźć?

Zresztą bywa rozmaicie,
I was może czasem smutek najdzie.
Wtedy mnie zawołajcie,
A moje głupie żarty się przydadzą.
Szaradami hyperbol, alegorii,
Będę was bawił rymów błazenadą.

Kochałem. Choć się stare dzieje pamięta,
Czy to co zmieni? Boli? Niech boli. To i co.
Człowiek czasem i ból sobie ceni.
A prócz tego zawsze lubiłem zwierzęta.
Czy macie zwierzyniec? Mogę być dozorcą w Zoo.
Lubię zwierzęta.
Wzruszy mnie czasem byle psina.
Kręci się tu taka jedna koło piekarni.
Do cna wyleniała. Sama łysina.
Nie rozpoznasz maści.
Człowiek by dla niej własną wątrobę wyszarpał.
Jedz, nie żal, kochanie, naści.

łość

A może, może kiedyś, przecież lubiła zwierzęta,
Po ścieżkach tego ogrodu i Ona przejdzie uśmiechnięta.
Uśmiechnięta, jak tylko Ona potrafi,
Jak na tej w biurku fotografii.

Ona jest ładna. Ją na pewno wskrzeszą.
Przecież wasz wiek trzydziesty ogarnie, przeskoczy
Te wszystkie drobiazgi marne,
O które my się krwawiąc potykamy.
Teraz niedokochane — dokochamy
Gwiaździstością nieskończonych nocy.

Wskrzeście mnie choć za to, że czekałem na nią
Powszedniości bzdury odrzucając precz.
Choć za tę jedną rzecz
Należy mi się żyć po raz wtóry.

Czyż nie dosyć już miłość służyła
Za popychadło od stołu i łoża,
W małżeńskie wprzęgnięta stadło?
Wskrześ mnie choć za to, że sercem poety
Czekałem, aż przeklnie małżeńskie bety,
I wstanie i pójdzie światem.

Chcę, żeby już nie musiał nikt
Żebrać o ulgę w cierpieniach,
Chcę, żeby na pierwszy krzyk
Towarzyszu!
Cała odwracała się ziemia.

Dosyć już człowiek ginął,
Dosyć już razy padł
Na śmietnik rzucany odpadkom.
Chcę, żeby teraz w rodzinie
Ojcem był świat
A ziemia matką.

przełożył **Antoni Słonimski**

DEUSZ BREZA

JOKKMOKK

Miasteczko Urzecze nad Bałtykiem w pierwszych latach po drugiej ɔjnie światowej parę razy zmieniało nazwę. Toteż jeżeli ktoś rozpo-ądza mapą z tych czasów, a chce się zorientować, gdzie leży Urzecze, e powinien kierować się nazwą, lecz sięgnąć po cyrkiel i szkolnym osobem wymierzywszy, w którym miejscu wypada środek naszego ugiego zachodniego wybrzeża, w tym punkcie umieścić miasteczko rtowe, o którym mówię.

Gdyby zaś znalazł się w nim po raz pierwszy, niech przede wszyst-n skieruje kroki do portu. Tam zaś niech powędruje na latarnię, órą odszuka z łatwością. Dzieli ją od kapitanatu niewielki ogródek. ı pierwszy rzut oka biorą ją niektórzy za starą warowną wieżę. e — to ona. Jedynie zbudowana w połowie dziewiętnastego wieku, edy to na terenie dzisiejszych Ziem Zachodnich w jednakowym sto-iu szalał szowinizm pruski, co fałszywy gotyk.

Tak więc nie dla walorów architektonicznych warto w Urzeczu skie-wać pierwsze kroki na latarnię. Bynajmniej! Warto je skierować, yż z wyższych kondygnacji latarni, zwłaszcza z jej — jak powiadają zeczanie — k o ł n i e r z a, widać najlepiej port. Jej k o ł n i e r z — prostu bardzo szeroka ni to galeria, ni to krużganek otaczający szczycie instalację świetlną latarni — nadaje się wyjątkowo na nkt obserwacyjny. Pierwsze spojrzenie rzucone z tego punktu na rt upewni nas w tej mierze.

Widać go jak na dłoni. Wzdłuż i wszerz, w poprzek i w skos. Począt-wo robi wrażenie zabaweczki. Akuratne w nim wszystko, kształtne. szczęśliwych proporcjach, zaprojektowane i wykonane czysto. Ła-e do ogarnięcia wzrokiem. Latarnik czy też jego zastępca, który varzyszy otrzymującym zezwolenie udania się na k o ł n i e r z, jaśnia szczegóły. Rzeczka, która się wije i w której ujściu zbudowano ɛt, to Witnica. Sam port ma za sobą kilka pięknych wieków istnienia. zasadzie wygląd jego dzisiejszy jest późny. Modernizowany kilka-ɔtnie, formę ostateczną uzyskał w roku 1871, to znaczy w roku, któryim zaczęły wpływać ze skarbca w Paryżu do skarbca w Berlinie rwsze sumy kontrybucyjne, a jeszcze nie zaczęli odpływać z powro-ı do Francji ostatni jeńcy wojenni.

Z tego czasu pochodzi sam plan portu, a więc zgrabny awanport, ty w dwa falochrony, z których zachodni nieco dalej wybiega

w morze. Oba sprawiają wrażenie pary ramion pływaka - olbrzyma, który rzuca się w morze, chcąc je przepłynąć crawlem. Z tego czasu również pochodzą przeważnie wszystkie baseny, począwszy od basenu osadowego tuż za mostem przerzuconym przez Witnicę tam właśnie, gdzie wody jej z sielskich i przedmiejskich awansują na wody portowe, przechodząc przez baseny stoczniowe, do których przytuliły się doki, i przez rozległe baseny rybackie, kończąc zaś na pięknych dwu basenach towarowych, które dzisiaj zwykle nazywa się, i słusznie, basenami węglowymi.

Ten węgiel to novum w Urzeczu. Fakt, biorąc pod uwagę całe wielowiekowe życie tego portu — niespodziewany, a o znaczeniu fundamentalnym. Gdy bliżej się z nim zapoznać, zmienia się nasze spojrzenie na Urzecze. A kiedy przypatrzeć się dokładniej i wysłuchać starannie wszystkiego, co się ze sprawą węgla w Urzeczu wiąże, wrażenie zabaweczki, o jakie nie trudno, gdy się jeszcze nieświadom niczego spogląda z kołnierza latarni — rozwiewa się całkowicie.

Zgrabny i ujmujący rysunek portu, pono również dzieło jeńca francuskiego, inżyniera portowego z Bordeaux, schodzi na drugi plan. A na pierwszy zaczynają się wybijać bogate tory kolejowe ułożone już po wojnie na nabrzeżach, głównie na nabrzeżu węglowym. Zawiłe bocznice, urządzenia do manewrowania i podtaczania wagonów, transportery różnych kalibrów, krany i dźwigi. Szum morza natychmiast przycichnie w takim momencie dla naszych uszu, jękliwe i alarmujące nawoływania mew raptem przestaną do nas trafiać, tak jak gdybyśmy ogłuchli. Dudnienie węgla, sypanego w bunkier, łoskot transporterów, na których z lekka podrygując węgiel sunie do ładowni, brzęk łopat zwalających to orzech, to kostkę, to miał na taśmy — oto głosy, które odtąd stuszują dla nas wszystkie inne tony i dźwięki.

Jest lipiec. Rok 1950. Pierwszy rok Planu Sześcioletniego w Polsce. A czwarty — ery węglowej w Urzeczu. Nie znało ono tego towaru. Podobnie jak Kołobrzeg, Darłowo, Ustka — znało tylko cukier, papier, spirytus, meble, kopalniaki, i to w nie imponujących ilościach. Miało bowiem, tak jak właśnie wszystkie te miasta, wąskie zaplecze, a nawet— myśląc o podobnych sprawach w kategoriach wielkich portów, które na potężnym zapleczu przede wszystkim robiły olbrzymie handlowe kariery — miało zaplecze rozpaczliwie kuse. Bez żadnej produkcji, która by mogła poważnie wchodzić w grę. A więc bez eksportowego waloru.

ękne ramiona falochronów, pełne elegancji i ozdobności w archi-
onice układu, wrzynały się w morze z dosyć wątpliwym — rzec
no — handlowym skutkiem. Wyciągały się prosto jak strzelił w kie-
ku Kristianstadtu, Ronneby i Karlskrony — portów szwedzkich, któ-
do Ustki, do Darłowa, do Urzecza najbliżej. Wyciągały się —
stymi rękami. A w każdym razie nie z towarem, zdolnym czaro-
i elektryzować armatorów wspomnianych portów, a również mnó-
innych całej Skandynawii, armatorów rozporządzających mniej-
ni jednostkami, różnymi szkunerami, żaglomotorowcami, a nawet
iedy po prostu węglowymi barkami branymi potem na hol, którzy
chętniej przychodzili po towar do drugorzędnych portów niż do
ni, Gdańska czy Szczecina, zdecydowanie nastawionych, ze wszyst-
najrozmaitszymi konsekwencjami takiego nastawienia, na odbior-
kolosów.

łaśnie w tej kapitalnej dla Ustki, Darłowa czy Urzecza i poniekąd
Kołobrzegu sprawie, rok 1947 — to rok przełomu. A stało się to
yniku Planu Odbudowy Gospodarczej Polski, tak zwanego Planu
letniego, który już w pierwszych sześciu miesiącach swego istnie-
dźwignął wszystkie owe cztery porty z marazmu, w jakim tkwiły
edynie od roku 1945, ale od dawien dawna. Wdawać się w cyfry
odobnym opowiadaniu — to uciążliwe, całkiem je pomijać, gdy
a o odbudowie, handlu i eksporcie — to znowu lekkomyślność.
ży się tu choćby jakiś jeden akcent statystyczny. A więc na przy-
weźmy takie Urzecze. W pierwszym kwartale swej nowej ery
ksportowało masy towarowej wartej tyleż, co w latach przed-
nnych wart był eksport tego portu z całego roku.

archiwach Ministerstwa Żeglugi łatwo znaleźć można niejedno
o o zmaganiach, które doprowadziły do takiego zwycięstwa.
rchiwach dawnego Centralnego Urzędu Planowania również.
ównie w archiwach Komitetu Miejskiego w Urzeczu Polskiej Par-
obotniczej, który był nerwem całej sprawy. Początkowo niewia-
o było, do czego naprzód ręce przyłożyć. Trudności piętrzyły się.
port, podobnie jak w Ustce czy Darłowie, zasadniczo wyszedł
ojny w nienajgorszym stanie, ale bez wyposażenia, bez taboru,
najważniejsza — nie przystosowany do zadań, które mu jego
kraj lecz nowe państwo postanowiło narzucić. Ludzie pokonali
udności. Robotnicy portowi, kolejowi, pracownicy kierownictwa,
apitana poczynając, na młodzieży biurowej i to takiej, która pier-
raz w życiu zetknęła się z morzem, kończąc.

O tych rzeczach istnieje już literatura, a przynajmniej materiały d niej, zatem publicystyka, reportaże, szkice. Gdyby ktoś chciał szerz temat podjąć, rzecz prosta, powinien najpierw podkreślić poryw i ent zjazm mas proletariackich, jak również poryw i entuzjazm najlepszy jednostek z warstwy inteligencji technicznej. Ich poryw i ich patri tyzm. To decydowało. Lecz niedobrze będzie, jeżeli w swoim ujęci pominie jeszcze jeden czynnik. A mianowicie przywiązanie, któ zrodziło się, przywiązanie nie tylko do warsztatu pracy, ale i do teren i do tła, na jakim się mieścił. Bo ładnie tu. Podobnie jak w Da łowie, jak w Ustce, także Urzecze wabi oko i chwyta za serce. Da s lubić. Kto stąd wyjeżdża, choćby na krótko, tęskni. A i pracow dla niego miło.

Obejrzeć je jako całość najlepiej jednak nie z latarni. Racz z d o n ż o n u. Wspaniałej ośmiobocznej wieży, pozostałej z zamk krzyżackiego, o której kapitan Haładyn, pierwszy przybysz do Urzec po wyzwoleniu, w ten sposób się wyraził i którą do dziś tak się określ Z niej dopiero rozciąga się widok! Wstępując kamiennymi, krętyn schodkami pod górę można już coś niecoś dostrzec przez strzelnic ale to nie to. Ze szczytu, wychyliwszy się za blanki ogarnia się p stokroć więcej. Pasma lasów bukowych podchodzących pod sam brze Linię brzegu, poza samym ujściem Witnicy, wszędzie spadzistą. Str mizny porosłe gąszczem rokitnika. Przez jego cierniste, zbite ma przebiegające gdzieniegdzie w dół ścieżki.

Po przeciwnej stronie horyzontu też się coś szkli. To jeziora i mokr dła. We wszystkich kierunkach zdążające sznureczki rowów mien się. Odwadniają czarne torfowe role. Od czerni odcinają się bielą kęp brzóz. Ale te szuwary, kładki rzucane na uginający się moczar, des pomosty na polach przez kwartały trzcin — to daleko. Tereny bliż miasta wznoszą się wyżej. Są suche i piaszczyste. Dróżki w ogródkac boiska, ziemia wokół szklarni, których tu mnóstwo, żółci się. Tych ogró ków — też wiele. Otaczają zarówno wille wystylizowane na domki r backie jak też — na odwrót — domki rybackie różnymi interwencja budowniczych podciągnięte do poziomu willi. Bliżej portu jedna a zwłaszcza w sąsiedztwie elewatora zbożowego, doków i stoczni r backiej, głównie zaś koło mostu na Witnicy, styl budownictwa ryba kiego występuje w całej czystości i w całej słusznej dumie. Te par miasta są szczególnie pociągające. Również park zaplanowany wzniesieniu, na którym znajduje się i ów d o n ż o n. Park, który ci

e się łukiem do samego wybrzeża. Dużo tu jodły i sosny. Powie-
e przez to cudowne. Pachnie naraz i morze, i kwiaty, i las.
Pełno tu. A i na plaży poniżej parku — również. Jest lipiec. Aż do
rwszych dni września nic się pod tym względem nie zmieni. W go-
dach, w domach wczasowych, na ulicach, na ścieżkach leśnych, na
anach, w zaroślach, a przede wszystkim na pięknym piasku plaży —
no. Dopiero początek jesieni poradzi tym tłumom. Miasto opusto-
je. Nadejdą miesiące wietrzne i zimne. Zapadnie w sen również
ort.

to na znacznie dłużej oraz w znacznie wcześniejszym terminie
porty w Ustce czy Darłowie. Oto bowiem falochrony, które oglą-
ne z latarni rysują się na tle morza tak powabnie, nie są szczęśliwie
prowadzone. Ich projektant, francuski inżynier z Bordeaux, znał się
ć może doskonale na swojej robocie, wyraźnie jednak nie znał się
Bałtyku. Trudną sprawę wejścia z redy do awanportu rozwiązał
alnie. I Ustka cierpi na podobną dolegliwość, i Darłowo również.
e nie w tak dotkliwym stopniu jak Urzecze. Gdy nadejdzie okres,
począwszy od października, potężnych westów, gdy zawieją one, i to
szerokim zasięgu swoich możliwości, bo nieomal od południowego
północnego zachodu, trzeba śmiałości nielada albo raczej, mówiąc
zerze, piekielnego szczęścia, żeby wejść do portu gładko.

— W takie ramiona to dziwki mógł sobie brać w swoim Bordeaux —
wiadał o przeklętych falochronach zastępca kapitana w Urzeczu,
nandor pilotów, dbały o ten swój tytuł, Łędyński. Wygodny to był
owiek, stosunkowo tu od niedawna, który wszystko złe w porcie
swojej pracy zwalał na falochrony.

Ale choć malowniczo, a z pewnością dosadnie, nie trafnie mawiał.
y bowiem pierwszej jesieni po uruchomieniu portu szwedzki szku-
J o k k m o k k spróbował wejścia właśnie przy silnym wietrze
morza, ciśnięty gwałtownym podmuchem dostał z burty głowicą mola
, że poszedł w drzazgi. Było to w okresie szczególnej łapczywości
wedów na węgiel — przez parę ładnych lat wojny dosyć się wy-
rzli. Armatorzy z Kristianstadtu czy Karlskrony pchali do Urze-
czy Ustki wszystko, co tylko było zdolne utrzymać się na wodzie.
i w angażowaniu ludzi okazywali również daleko idącą pobłażli-
ść, jak w wypadku kapitana owego nieszczęsnego szkunera J o k k-
o k k, który mimo kategorycznego sprzeciwu Urzecza, zamiast rzu-
kotwicę na redzie, co mu zlecono z kapitanatu drogą radiową,
cydował się na wejście do portu. Kapitan chciał za wszelką cenę

przespać noc nie w kubryku, lecz w hotelu, przespał ją zaś ostatecznie, ukołysany martwą falą, na dnie morza. Tego rodzaju były te falochrony, niby to ramiona, w które tylko było dziwki brać z portowych tawern z Bordeaux. Groźne były.

Lecz Piotr Grudzielski, od sześciu miesięcy technik portu w Urzeczu, przed wojną i bezpośrednio po wojnie, i to przez okres pełnych dwu lat, robotnik transportowy, później pracownik w związku transportowców, na koniec absolwent średniego zakładu technicznego, doskonały praktyk we wszystkim, co dotyczyło stauerki i trymerki, obecnie zaś już nie tylko praktyk, ale człowiek o przygotowaniu teoretycznym — w ramionach falochronów nie widział ani materiału do pieprznej metaforyki, ani również faktu wypływającego niejako z wyższego porządku rzeczy, z którym koniec końcem pogodzić się należy — widział zasadniczo rzecz biorąc element, który mu dezorganizuje plan.

Stary kapitan Haładyn, sześćdziesięcioletni oficer marynarki jeszcze ongi floty niemieckiej, uparty i wytrwały, wielkich zasług dla Urzecza, wysoki, długonosy fajczarz, który z lat pracy w flocie niemieckiej, a później polskiej znał właściwie dobrze tylko Bałtyk — tak się bowiem składało, że więcej pracował w zarządach portów niż na morzu, a więcej na promach pomiędzy Szwecją czy Danią i wybrzeżem wschodnim Bałtyku, niż gdzieś dalej — mawiał o falochronach poddając się całkiem bez protestu woli boga Neptuna w tym zakątku misy wodnej świata: — No cóż, panowie, chcecie, Bałtyk jest Bałtyk!

— Panie kapitanie — powiadał mu Grudzielski, który ledwo się pojawił na terenie Urzecza, zaraz zagłębił się w wykresach i statystykach. — Ale jednak w Ustce czy Darłowie jest inaczej.

Kapitan słuchał i słuchał. Myślał o porcie urzeckim takim, jakim go ujrzał po raz pierwszy. Dziś dumny się czuł z jego wyglądu. Słuchał więc słów Grudzielskiego z pewną niechęcią. A kiedy milczeć dłużej było niesposób, wyjmował fajkę z ust i orzekał.

— Poniekąd inaczej. Lecz w gruncie rzeczy wszędzie jest prawie to samo. Bo wszędzie jest Bałtyk.

— Oni jednak pracują prawie o trzydzieści dni dłużej w roku niż my! — napierał technik.

Napierał, ale u kapitana nie natrafiał na tego rodzaju zrozumienie, którego oczekiwał; u jego zastępcy zaś, komandora Łędyńskiego, nie natrafiał na żadne. Dla Haładyna rzeczywistością było mniej więcej tylko to, co istniało przed wojną. Jeszcze coś ponad to — wydawało mu

urojeniem. W życiu Łędyńskiego w ogóle nie było miejsca na
bne kwestie. Grudzielski więc rozgryzał rzecz sam. I zwolna roz-
ł ją aż do sedna. Było dla niego sprawą oczywistą, że urząd mor-
w Szczecinie słusznie postąpił w 1947 roku, zatwierdzając dla
ecza łatanie dawnych falochronów. W tym czasie nie przyszedł
cze moment na poważniejsze inwestycje w portach II klasy. Ale
idzie naprzód! Co słuszne onegdaj, już dziś jest ciasne. Fakt, że
falochrony, a ściślej mówiąc zachodni, spaskudzi mu całą linię
y rocznej w porcie, nie dawał mu spokoju. Liczył i przeliczał.
ł o tym do Szczecina i do Warszawy. Do jego rąk trafiła nawet
na ciekawa dokumentacja niemiecka sprzed wojny. Wyczytał
ej, że poważnie omawiano rewizję sytuacji falochronów w Urzeczu.
ak, mimo wszystko, ówcześnie Berlin nic nie postanowił. Piotrowi
dzielskiemu łatwo było pojąć czemu. Napór masy towarowej przy
ym zapleczu widać nie był wówczas tak natarczywy, by ze sprawy
ić rzecz pilną. Więc się wlokła. Ale dziś dźwignąć warsztat, w któ-
yle trudu włożyli ludzie, i państwo, i Partia, dając mu szanse pracy
cze o trzydzieści dni więcej niż pracuje — to nie bagatela przy
ej strukturze zaplecza portu w Urzeczu, zaplecza sięgającego hen!
aż po Zabrze, Tarnowskie Góry i Dąbrowę Górniczą. Pogadał
rtią i u siebie na terenie portu, i na terenie powiatu, i na terenie
wódzkiego komitetu. Doprowadził do sporządzenia planu, pod
y kapitan Haładyn dał podpis. Plan, na którym zachodni falo-
n w Urzeczu skręcał pod kątem prostym na wschód, osłaniając
osób zdecydowany wejście do portu od Nordu. Toż czyniąc, co
ił stary falochron, tylko konsekwentnie i całkowicie. A przez to
ecznie. Jak to często bywa z planami rewolucyjnymi, jeśli się je
wna i przyłoży do planów starych.

apitan Haładyn, kiedy już raz dał podpis, nabrał nieco innego sto-
u do sprawy. Odwiedzał od czasu do czasu Warszawę. Teraz więc
ajbliższą bytnością obszedł wszystkie instancje, od których zależał
planu, wszystkie urzędy i wydziały w Ministerstwie Żeglugi
Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego. Gdzie zajrzał,
dzie naglił o to, aby projekt nadesłany z Urzecza, jak się wyrażał:
Natychmiast wszedł na stół przyspieszonych studiów i decyzji.
oro jednak w początkach lipca rzeczywiście przyszło z Warszawy
ierdzenie, okazało się, że ma całkiem inny pogląd na to, co dalej
n fantem robić. Inny niż fanatyk i inicjator planu, technik Gru-
ski.

— Na ten rok już jest zapóźno — oznajmił. — Przygotujemy si za to spokojnie i solidnie na przyszłą jesień.

Usłyszawszy to technik Grudzielski aż zaniemówił na moment z zdumienia. Lecz z wyrazu jego twarzy kapitan Haładyn wyczyta wszystko.

— U was to tak wszystko teraz łapu-capu — oświadczył z niezado woleniem, nie wypuszczając fajki z ust. — Trzymają i trzymają rzec w centrali i nagle — łup! To jest absurd, by sobie wyobrażać, że m zdążymy jeszcze na ten sezon.

Piotr Grudzielski otworzył oczy jeszcze szerzej. Dla niego akurat ta kim samym absurdem było odwlekać sprawę, jak dla kapitana Haładyn w wytworzonej sytuacji ją przyspieszać.

— Panie kapitanie — zawołał. — Z Warszawy przyszło rozstrzyg nięcie z grubsza biorąc w tym samym czasie, w jakim liczyliśmy, ż przyjdzie. Nie wcześniej. Przecież to jest inwestycja, która będzie nasz gospodarkę kosztowała ładne parę groszy. Więc w Warszawie nie możn było nic zdecydować bez uzgodnienia sprawy z Ministerstwem Finan sów i Ministerstwem Handlu Zagranicznego. A może jeszcze i z in nymi resortami.

— A proszę bardzo — staremu Haładynowi poczerwieniały polic ki — tylko że ja potem przez te uzgadniania i naradzania się nie bęc leciał z robotą na złamanie karku.

— Ale w czterdziestym piątym i szóstym a zwłaszcza w siódmym pan kapitan leciał.

— Owszem, leciało się. — Przyznawał kapitan, lecz dodawał. — T były czasy specjalne. Całe życie w ten sposób nie można!

Przemawiały przez niego nie tyle wiek i zmęczenie, co niechęć i ni ufność w stosunku do ciągłego przyspieszania tempa wokół, ciągły zmian, które uważał za niepoważne i zbyteczne.

— A poza tym — spróbował uprzytomnić jeszcze Grudzielskiemu w rejestrach Lloydu Urzecze figuruje jako port niedostępny począws już od października. Na pierwszego stycznia wyjdzie nowy rejestr, zap damy sprawę do niego na czas, i na przyszłą jesień faktycznie prz stąpimy do aktywności w tych miesiącach dotychczas dla Urzec martwych.

— A czyż my bezwarunkowo musimy w tym roku koniecznie fig rować w rejestrach Lloydu? Obsługujemy głównie kilka portów szwed kich. Wystarczy je zawiadomić i będą przychodzić po węgiel szkune od nich gęsiego! Jeden po drugim. Jak złoto.

- Ale to jest nieformalne!

- Ale to jest konkretne! W 1947 roku, kiedy w letnich miesiącach yła mniej więcej o tym czasie i Ustka, i Darłowo, i my, czyśmy rowali w Lloydzie? Też nie!

apitan Haładyn nic na to nie odparł. Wstał. Starannie wytrząsnął ę do popielniczki. Przedmuchał ją. Poczem skierował się do drzwi adującego z jego gabinetem pokoju i zapukawszy, a następnie odawszy na odzew, wreszcie je otworzył. Wszytko z nadzwyczajnym, azowym wprost opanowaniem. Robi Anglika! — rzekłby o nim ym momencie komandor Łędyński. — Znaczy, że jest wściekły! — iągnąłby z tego faktu taką konkluzję. Kapitan rzeczywiście był oce niezadowolony i przyzywał na pomoc właśnie jego osobę.

- No? — zapytał, kiedy mu wyłuszczył sprawę.

ecz po pierwszych słowach Łędyńskiego, które spływały powoli go grubych, skrzywionych niechętnie warg, odwrócił się z niekiem. Nie z tego względu, by komandor nie szedł mu na rękę i nie ył mu odwodem, tylko że był to odwód nadzwyczaj marnej wagi nkowej.

- A dajcież spokój przynajmniej w tym roku — zwracał przemokomandor do technika Grudzielskiego. — Mamy i tak już wystarącą harówkę. Jak się nam jeszcze zwali na łeb ta przebudowa, yscy wykitujemy. A jak nie wykitujemy w lecie, wykitujemy na eni, kiedy zaczną do nas przychodzić po węgiel te wasze szkunery wasze dodatkowe miesiące, w które człowiek mógł przynajmniej e trochę oddechu złapać po letniej orce.

- Et! — warknął Haładyn, którego wściekłość widocznie tak wzroże przebiwszy się przez warstwę sztucznej angielszczyzny, zaczera pożywki z całkiem innych psychicznych pokładów. Machnął ręką echęcią na granicy obrzydzenia. — Et!

imo całej złości niczego więcej by nie dodał do swego lakonicznego adczenia. Przez gardło by mu żadne dalsze słowa nie przeszły. Ale z jego dodatkowych wyjaśnień Grudzielski orientował się w sytua- A i najpewniej sam Łędyński, w gruncie rzeczy obojętny na stko, co nie było stołem i spódnicą, który jak całe lato długie, jednej nocy spokojnie sam nie przespał, nigdy nie syt łatwych ojów wśród letniczek. Po owej porze letniej, porze dlań godowej, umiałe, że życzyć mógł sobie jesiennego zacisza. Lecz nigdy w spotak jawny i bezceremonialny. W ogóle — w poważnej dyskusji. właszcza wobec człowieka tego pokroju co Grudzielski. Właśnie

z uwagi na jego obecność, prócz gniewu, stary Haładyn poczuł i wsty
Bądź co bądź należał do jednej i tej samej warstwy co komand
Łędyński. Zawodowej, przedwojennej, technicznej inteligencji. Prz
swe wystąpienie komandor ją kompromitował w oczach takiego Gr
dzielskiego, zdaniem Haładyna z pewnością jej niechętnego.

— No, a jak pan sobie wyobraża sprawę J o k k m o k k a! — por
szył nową stronę zagadnienia, podchodząc do technika, który wyc
fawszy się z pokoju Łędyńskiego, w gabinecie kapitana pochylił s
nad planem. — Też że się go usunie jeszcze w tym roku?

Żałosny kapitan J o k k m o k k a, kiedy burtą już nadział się
głowicę mola, w przerażeniu uprzytomniwszy sobie swój błąd, natyc
miast palnął drugi. Całą jego istotą targnął spóźniony żal, a wnet za ni
spóźniona skrucha. Co najgorsze jednak — ogarnęła go również spó
niona uległość wobec zaleceń kapitanatu portu w Urzeczu. W wynik
czego, zamiast już siedzieć, gdzie siedział, wydał rozkaz cofnięcia si
tak jak gdyby zamierzał skierować się na redę. Znalazł się wtedy rz
czywiście poza bramą wejściową do portu, ale — z mocno naruszony
bokiem i z równie mocno naruszoną zdolnością do manewrowania. Tot
w pięć minut potem, następnym potężnym pchnięciem szkwału rzucon
zatonął o pięćdziesiąt metrów od głowicy zachodniego falochro
w prostej linii na wschód. Marnie skończył kapitan, bo w zamieszan
spiesząc do łodzi ratunkowej, wprawdzie jak przystało jako jed
z ostatnich, zwalił się ze sztormtrapu w morze. Przy sztormie, jaki pan
wał, nie sposób było coś dlań uczynić. Fale i ciemność go pochłonęł
Mało co wart był, choć jest nieboszczykiem, trzeba to sobie powiedzie
Tyle akurat — co musiał być wart jego szkuner! Jak to przede wszys
kim i jasno wynikało z faktu, że się jego wrakiem nie zainteresow
dawny właściciel, armator z małego szwedzkiego portu Ronneb
W swoim czasie.

Bo gdyby dziś zmienił do szczątków handlowe i uczuciowe nastawi
nie, już byłoby za późno. Dawno bowiem został przekroczony termi
w którym wygasła jego pełnia praw w tej mierze. Teraz już nie mi
żadnych. Prawa przeszły zgodnie z odpowiednimi przepisami ustaw
dawstwa morskiego na państwo, na którego wodach terytorialny
J o k k m o k k zatonął. Ale mimo tej zmiany w zakresie własnoś
żadne zmiany nie nastąpiły, rzecz prosta, w jego jakości. Nadal poz
stawał niewiele wart. Tym tłumaczyć sobie trzeba, że wydobycie wra
odwlekało się i odwlekało. W nawigacji nie przeszkadzał, a w żadny
z przedsiębiorstw Ratownictwa Okrętowego pożądliwości nie budz

wił więc sobie, należycie oznakowany, martwo i cicho. Stępką piachu aż po zęby, rufą w wodzie, mając tylko na powierzchni kawak masztu, górę nadbudówki sterowej, część pokładu i falszburty przy iobie, no i żałosny, zeżarty rdzą i solą, cienki jak nos — bukszpryt, że w wodzie siedział szkuner nie poziomo, a lekkim skosem. Nędznie ę to wszystko przedstawiało. Ale w lecie i ta jego nędza przyciągała ekawych. Podpływały kajaki okrążając wrak. Podpływały i odpłyały. Lecz miał wrak również swoich ciekawskich o wiele bardziej porczywych. Od niedawna wprawdzie, ale wciąż niesytych jego toarzystwa.

A mianowicie chłopców z brygady Służby Polsce, brygady skieroanej po raz pierwszy owego roku na pracę i naukę do portu w Urzeu. Tak niesytych i tak uporczywych, że często aż jest śmiesznie, edy się spojrzy na wrak z k o ł n i e r z a latarni. Bo ani daszku stewki nie widać, ani piędzi pokładu, ani jednej wolnej stopy falszburty, i nawet ostrego jak trupi nos bukszprytu. Na wszystkim siedzi, rowi się, zabawia bractwo junackie z SP. Czasami tylko na moment o jedynie, kiedy woda jest wyjątkowo czysta, właśnie raptem przeje się kołysać i huśtać i — martwieje. Grupa nadal oblepia szczątki ıtku, lecz jak skamieniała. Wszystkie oczy skierowane w wodę, zystkie głowy spuszczone. To — w głębi, na skutek dobrej widoczści, zamajaczyło coś, czego dotąd nie było widać. Ale po chwili znoı wszystko zaczyna się kręcić, kłębić, przewalać. Tylko maszt jeden eruchomy sterczy, jak gdyby kij wbity w to mrowisko.

— A co z J o k k m o k k i e m? Też się go usunie w tym roku? — wtórzył kapitan Haładyn. Musiał powtórzyć, gdyż technik Grudziel- za pierwszym razem nie usłyszał. Twarz miał wąską, chudą, cerę ko ospowatą, oczy bladawe, zielonkawo-niebieskiej barwy, raz ostre, az niemal mętne, tak jak na przykład w momencie, zanim go stary ładyn nie przywołał ponownie postawionym pytaniem do przymności.

— A pewnie że musi zaraz iść precz — odparł wówczas kapitanowi.

— Co to znaczy z a r a z?

— To znaczy w tym miesiącu.

Znowu w kapitanie obudził się na tę odpowiedź duch opozycji. Dyskuvano szczegół po szczególe. W końcu kapitan zaczął się poddawać, hnik napierał, Łędyński nieomal że nie zabierał głosu, wyrażając drwiącym, to znowu kwaśnym i zmęczonym wyrazem twarzy, co lzi o całej sprawie.

— Ach, wy, wy, na wszystko macie odpowiedź — kapitan raz czy drugi zgorszył się, tak jak gdyby to była rzecz nie na miejscu. — A trudno, musicie się z tym pogodzić, że na świecie są trudności!

— To cóż, przełamie się. Po to są!

— A pewnie że po to. Ja się też trudności nie boję, tylko się do trudności ostrożnie odnoszę. Liczę się z nimi. A nie tak wszystko szturmem! gwałtem! uporem!

— Ale przecież jednak, panie kapitanie — przypomniał kapitanowi Grudzielski — pan kapitan pod planem położył swój podpis.

— Planować, to jedno — uniósł się Haładyn — a brać się za wykonanie, to drugie.

W spojrzeniu technika, zielono-niebieskim, o którym niekiedy można było myśleć, że jest bezbarwne i mdłe, nagle coś stężało.

— A po cóż więc planować?! — nasrożył się. — To nie byłoby ani poważne, ani odpowiedzialne!

— Jaż nie mówię — kapitan Haładyn zaczynał się męczyć — żeby nie przystępować do tych inwestycji. To znaczy nie mówię, żeby do nich nie przystępować od razu. Tylko przestrzegam, żeby na efekt nie liczyć jeszcze w tym roku. Tu trzeba dziesiątki rzeczy przygotować! Setki rzeczy przemyśleć!

— Znajdą się na to głowy! — oznajmił technik.

— Co znowu za głowy?! W Szczecinie — znaczy? Czy też jeszcze raz w Warszawie?

— Tu!

— W Urzeczu?

— A w Urzeczu.

— Co proszę?

— W Urzeczu! W porcie!

— Et! — uciekł się nieodmiennie do swego ulubionego słówka kapitan, lecz bez akcentu wzgardy, jaki je zabarwił, kiedy zwrócone było swym ostrzem w komandora Łędyńskiego. Teraz nie pobrzmiewało ani wzgardą, ani zniechęceniem. Kapitan wyrażał nim jedynie, że przestaje cokolwiek rozumieć. — Otóż co powiem: et!

Ale zanim technik Grudzielski zareagował, kapitan sprecyzował za niego jego myśl. Wyraził się w sposób karykaturalny, niemniej jednak to uczynił. Bowiem jeśli przestawał rozumieć, nie znaczy, by przestał przewidywać. Zgadywał dobrze, do czego Grudzielski zmierza. Tylko że ani nie pojmował sensu, ani nie doceniał znaczenia tego kroku.

– Do ludu się odwołacie? — wycedził chłodno, siląc się na flegmę. V ten sposób nazywał wszelkie dyskusje z udziałem czynnika pra-niczego. Wszelkie rozstrząsania produkcyjne, debaty kierownictwa eprowadzane wspólnie z radą zakładową. Wszelkie wiece, zbiórki, sówki, na których nie zadowalano się wyłącznie tym, by komuni-vać zarządzenia, ale zapytywano niejako robotników o zdanie.

– A pewnie — przytaknął Haładynowi Grudzielski. — Zebranie ecyduje. A jak zadecyduje pozytywnie, jak się zapali do sprawy, zy się też myśl w głowach ludzkich. Ruszy się i znajdzie sposób.

– Święci niebiescy! — powtórnie przyszło Haładynowi odstawić wej duszy na bok Anglika i przemówić szczerym głosem. — Co się ruszać?! My jesteśmy myślą! Ja, pan, Łędyński. My trzej — no arszawa! Nie widzę celu, żeby się, jeśli o te rzeczy chodzi, bawić iuciubabkę! Zechcemy, staną za nami! Nie zechcemy, nie staną rcem!

– A jak nawet najbardziej uparcie zechcemy — zerwał się z krzesła dzielski — a pracownicy nie będą mieli serca do tej roboty, zostanie na czas wykonana, czy nie? Nie zostanie!

– At, panie — wzruszył ramionami Haładyn — od początku świata nikogo nie przekonywał do roboty, chyba że batem, i robota szła!

– Taka też to była i robota!

– No więc dobrze — kapitan, westchnąwszy głęboko, zamknął wę. — Jutro z samego rana o ósmej — zebranie. Zwykłym porząd-n rzeczy w sali gospody ludowej, żeby się wszyscy mogli pomieścić.

iwnął głową w stronę Łędyńskiego, który z ustami lekko rozchylo-ni siedział zadumany. Słuchał jednak wszystkiego pilnie, jak to jasno ikało z prośby, którą przedstawił w związku z rezultatem narad itana i technika.

– Co do mnie, tylko zgłaszam wniosek — rzekł — żeby w żadnym adku raz już ustalona kolejka urlopów nie uległa zmianie. Zwłasz-że ja się pod tym względem nie piszę ani na żadne przesunięcia, ani adne rezygnacje.

kierował się w stronę swego pokoju. A kiedy jego mocno opięte, ygujące, zwaliste tyły znikły w drzwiach, które zamknął za sobą o bardziej nerwowo niż zwykle, Haładyn spuścił oczy na stół i dłuż-chwilę trwał w milczeniu. Na koniec uniósł twarz i odszukawszy rzenie Grudzielskiego, głosem, w którym pobrzmiewała nuta osobi-nuta w jego głosie szczególnie rzadka, powiedział:

— Ja życzę sprawie, tak jak pan ją chce widzieć, jak najlepiej. Mni wszystkie lata przeszły na ciężkiej pracy. Od młodości do dziś. Ni jestem z żadnego pańskiego rodu, ani fabrykanckiego, ani kupieckiego Na poddaszu się urodziłem, na korepetycjach, na wkuwaniu w łe innym szkołę średnią przechodziłem, do morskiej szkoły dostałem si przez protekcję, za tę protekcję płacąc wyżyłowaniem się z sił, zmar nowanym wakacyjnym wypoczynkiem i umęczeniem, od którego czło wiek mało że do mdłości nie dochodził, przygotowując we dworze jedn pałę zakutą z matematyki do powakacyjnej poprawki. Udało się. W na grodę zaawansowałem na ucznia wspomnianej szkoły. Nie można m zarzucić ani że kogoś wyzyskiwałem, ani że się wałkoniłem. Ani wał końsiwa, ani gałgaństwa. Toteż ja wszystkiemu w ogólności, co si u nas dzieje, dobrze życzę. Wam wszystkim. Panu też. Ale nie mog powiedzieć, żebym ja się z panem rozumiał.

— Czego konkretnie? — zapytał Grudzielski.

— A ot czego — po namyśle odparł stary Haładyn. — Tego na przy kład, że jak ja panu coś powiem, człowiek, który parę ładnych la w morskich rzeczach siedział, to mnie pan patrzy na ręce. A zwoła pa ludzi bez nauki, bez przygotowania i wtedy od razu przepada gdzie ze szczętem pańska podejrzliwość, rodzi się zaufanie. Stąd próg międz nami!

— Nie dlatego ich słucham... — zaczął Grudzielski.

W tym momencie Haładyn przypomniał sobie termin, który zna z gazet i przemówień. Jego zdaniem posługiwano się nim z przesada Z przesadą tak znaczną, że zbyteczne były komentarze. Przytoczył g więc ironicznie, pewien, że pomiesza Grudzielskiemu szyki.

— Czujność! Ha?

Do drzwi zapukano. Z przerwą po każdym uderzeniu, których liczy ani Haładyn, ani Grudzielski nie potrzebował. Obaj wiedzieli, że nastąp ich trzy. Było coś tępego i pretensjonalnego w tym sygnale. Ukazał si Łędyński. Przynosił wiadomość, że w związku z omawianą przed chwil sprawą ofiarowuje się wydębić ciężki sprzęt ratowniczy ze Szczecin dokąd gotów jest się udać. Zanim przybył do Urzecza, przez kilka la siedział za biurkiem w tamtejszym urzędzie morskim, mógł więc by w tym wypadku rzeczywiście pomocny.

— A dobra — rzekł kapitan. — Bardzo dobrze.

— To ja teraz wyskoczę na miasto — powiedział komandor. — A panowie ustalą pomiędzy sobą, kiedy miałbym jechać.

Wyskakiwał tak przy każdej sposobności, trzymając się portu czy :terech ścian swego gabinetu tylko wtedy, gdy kapitan był wyraźnie złym humorze. Zniknął. Ale zaraz się pojawił za oknem. I to pojawił ę nie w przelocie, lecz na nieco dłuższą chwilę. Zapewne żadnych anów nie miał, co zrobić z wolnym czasem. Bo stał i namyślał się. Na oniec wolnym krokiem skierował się w stronę latarni, za którą rozciął się park.

— Po ten sprzęt — zakomunikował nagle kapitan — lepiej żeby i pan ę też wybrał do Szczecina.

— Pan Łędyński nie wystarczy? — zapytał Grudzielski.

Powiedział to zwyczajnym tonem, Haładyn jednak przekrzywiwszy owę bystro się w niego wpatrzył.

— Zdaje się, że to ma być aluzja do tego, co poprzednio było mó- ione — rzekł wreszcie. — Jeśli tak, to ja mogę tylko stwierdzić, że an komandor — to zupełnie specjalne zagadnienie.

— A mało takich u nas?

— Mało! — zniecierpliwił się wtedy kapitan. Sobie rezerwował prawo krytyki takich ludzi jak Łędyński. Sobie i swoim, nie żadnym Gru- zielskim. Z całą stanowczością dodał: — Komandor czasem bywa edbały, ale tylko w drobnostkach. A poza tym, to jest człowiek cenny specjalista!

Po tym wybuchu rozmowa złagodniała. Nie tyle jednak kosztem yłego Łędyńskiego — na którego, ledwo go wybroniwszy, kapitan m począł się uskarżać — co ze względu na to, że niebawem stała się czej teoretyczna i oderwana. Problem starej inteligencji i jej stosun- u do młodej, i na odwrót — problem nowej i jej właściwego stosunku starej, przedwojennej, przez dobrą chwilę zajął całkowicie ich uwagę. ary Haładyn samą sprawę nie bardzo rozumiał, technik zaś, rozu- iejąc ją doskonale, nie potrafił zamknąć jej w szczęśliwych i jasnych rmułach. Niemniej przeto w dyskusji coraz rzadziej i coraz słabiej czynały pobrzmiewać początkowe przykre i szorstkie akcenty. Ka- tan nie proszony i nie pytany zaofiarował się, że na następny dzień zygotuje punktację trudności do przedyskutowania w gospodzie. estety przed samym odejściem znowu przyszło technikowi zmącić tę rmonię. Sprawiły to pewne jego dalsze refleksje wiążące się ze spra- ą narady.

— Ja się jednak, panie kapitanie, zastanowiłem — rzekł podnosząc ę już do pożegnania — że na pierwsze zebranie powinien przybyć

tylko aktyw. Aktyw partyjny, aktyw rady zakładowej, jednostki wybijające się w przodownictwie i we współzawodnictwie.

— Wy się na tym lepiej rozumiecie, decydujcie — zgodził się kapitan.

— My sami w komitecie partyjnym rzecz obgadamy wnet. A na jutro aktyw starszych i młodszych ściągnie się — rozwijał dalej swoją myśl technik Grudzielski. — Bo i przyjść musi również aktyw ze Związku Młodzieży Polskiej i należało by też pomyśleć o chłopcach z kierownictwa naszej brygady Służby Polsce.

— Jakto: pomyśleć!

— No, zawezwać ich na naradę!

— Junaków?!

Właśnie to usłyszawszy, kapitan o mało co się nie przeżegnał. I rzeczą właściwie mu obojętną i w istocie wykraczającą poza jego zainteresowania, przejął się bardziej niż wszystkim, co dziś usłyszał.

— Junaków? Zlitujcie się! To już zupełną smarkaterię zaprasza się do rady?

— Ależ, panie kapitanie — przypomniał technik — przecie tak niedawno była o tym szczegółowo mowa, kiedy pierwszy raz ściągnęliśmy na podobne zebranie przedstawicieli ZMP.

— A teraz ma być zrobiony krok następny! Przyzywacie całkowitych szczeniaków. A z kolei jeszcze pójdzie się dalej, po delegatów zwracając się do żłobków. A wreszcie co nam zostanie? U niemowląt przy piersi będziemy opinii zasięgać?!

— Panie kapitanie! — zmartwiał pod wpływem tego wyskoku Grudzielski.

— No, dobrze już, dobrze! Wołaj pan tych swoich smyków. Co mnie to w gruncie rzeczy obchodzi!

— Pracują ich ręce, pracują ich serca. Czemu nie mają razem z nami pracować ich głowy? Jest ich kilkudziesięciu. Ja bym nie lekceważył ich entuzjazmu.

— A więc, proszę. Niech przychodzą!

Na drugi dzień na zebraniu sprawa natychmiastowego przystąpienia do robót przeszła gładko. Od dawna zresztą grunt był przez komitet partyjny na terenie portu przygotowany. A nawet, jeśli rzecz idzie o przedstawicieli organizacji transportowców, trymerów — głównie mowa oczywiście o trymerce węglowej — to tutaj raczej doły napierały na organizację partyjną niż egzekutywa na doły. Trymerka — to nie biurko komandora Łędyńskiego, przy którym da się w jesienne słotne

i odsypiać letnie niewywczasowanie. Odsypiać da się bez kłopotu pensję. Martwy port dla trymera, to już inna sprawa. Inna sprawa inna kalkulacja. Gorsze położenie dla kieszeni. A i gorsze samopoucie dla rąk, które swędzą. Dla rąk mających z dawna nawyk do acy, a od niedawna w Urzeczu wdrożonych do współzawodnictwa. mo myślenie nad nowymi jego metodami w podobne puste dni sienne nie wystarczy. Chce się prób i praktyki.

Zaraz za naradą aktywu portowego poszło zebranie ogółu. Masówka, której zabierało głos z ćwierć setki osób, począwszy od kapitana ładyna, kończąc na przewodniczącym koła ZMP-Stocznia, sztywm, o drewnianych ruchach, a który uciszał salę, jak mówił, Staszku bekierze. Masówka podobna w Urzeczu, to wcale nie bagatelka. Od mego węgla zwala się na nią do dwustu osób, ze stoczni drugie tyle. poza tym z obsługi kolejowej, z magazynów, z hangarów, ze stacji lotów, ze straży, no i rzecz prosta — z samego kapitanatu. Przychodzą zasadzie wszyscy. Zdarzają się, jak to zawsze i wszędzie, wyjątki. choroba, to znowu pilne zajęcie, albo nawet wypadkowo brak zainresowania. Bywa! Wszędzie jednak raczej niż w hufcu Służby Polsce. m to aż oczy wyłażą i ręce się trzęsą do każdej sprawy w porcie. Nic iwnego! Dla większości chłopców to są cuda-niewidy! Pochodzą przeażnie ze wsi albo z popalonych w czas wojny i jeszcze nieodbudowach miasteczek. Z biedniackich chałup i zapadłych osad. Do tego jeśli dać ich wiek, zrozumiałe, że aż tracą z podziwu dech, tak ich porywa zajmuje i ten port, i to morze.

Po zebraniu aktywu — zebranie masówki. Po zebraniach, przemóeniach, naradach i uchwałach — robota. Lipiec nie dobiegł końca, już zdawało się, że od niepamiętnych czasów draga sprowadzona ze czecina tam i sam spacerując po redzie bagrowała teren, którym biec ał przyszły falochron. Jej turaz kubłowy chrzęścił, dudnił, klekotał, rąc piasek i żwir z dna, sypiąc na transporter, który przerzucał zystko na przycumowaną do dragi szalandę. Waliły się tego góry całe jej pokraczne, nieckowate dno. A kiedy już góry było dość, nadgał holownik, brał szalandę na hol, sunął z nią w morze, w bok za obszar torów wodnych, klapy szalandy otwierały się, góra błota wiru w oczach malała, zsiadała się, zapadała, aż póki nie zatonęła morzu ostatnia garść piachu, ostatni kamień.

Jednocześnie z tegoż Szczecina zwerbowana ekipa nurków, zatrudnioch w Przedsiębiorstwie Robót Czerpalnych i Podwodnych, krzątała wokół miejsca, gdzie zatonął J o k k m o k k. Można ją było obser-

wować godzinami, ale czy z keju patrząc, czy z kołnierza latarni, krzątanina ich dla człowieka nieświadomego rzeczy nie przedstawiała się poważnie. Całymi dniami beznadziejnie udeptywali ciaśniutki pokładeswego nurkowego promiku. Przebierali się w skafander, rozbierali się, złazili w wodę, wyłazili, zawieszali na niskim, mizernym maszcie promiku rurę, zwykłą blaszaną rurę od pieca, tyle że pomalowaną na czerwono i nazwaną niewiadomo za co i po co baranem. Zawieszali, odwieszali. Na znak że ktoś z ekipy zaczął pracować pod wodą, albo że pracę ukończył i że wolno się koło nich kręcić. Przyglądał się tej rurze z uwagą bagermajster, szyper dragi. Ku jego przestrodze głównie zawisała. Przyglądał się i podporządkowywał jej sygnalizacji. Szkodę by bowiem mógł wyrządzić, albo też i sprowadzić nawet nieszczęście, gdyby się tak za blisko ze swoją maszynerią kubłową przymknął ku miejscu, gdzie pracuje nurek. Bagermajster dawał więc na nią baczenie. Ale na niezorientowanych, nie rozumiejących, co to baran, turaz i draga, na nie związanych niczym z portem letnikach i gapiach z lądu, niewielkie ta cała krzątanina na promiku robiła wrażenie. Nawet kiedy ze stoczni dostarczono na miejsce albo raczej nad miejsce, gdzie w mule i wodzie tkwił Jokkmokk, osiem olbrzymich, cylindrycznych, drewnianych pontonów, widowisko nie nabrało powagi. Kolebały się tylko po fali te gigantyczne, niezgrabne w ruchach, kolosalne beczki. Motano je, przesuwano, manewrowano nimi. Wrak z potrzaskanymi wręgami lewej burty nie miał być podnoszony przez plastry na pęknięcia i następnie przez uruchomienie pomp, wydobywających z uszczelnionego kadłuba całą wodę, ale dzięki zastosowaniu nowej metody, metody marynarki radzieckiej, właśnie takich pontonów. Powiązano je w pary stalowymi linami, zatopiono i znowu powierzchnia wody stała się czysta, a na pierwszy plan jeszcze raz powrócił mały nurkowy promik ze swą monotonną, nieefektowną krzątaniną. Tyle się widzi, jeśli na roboty zapoczątkowane przez technika Grudzielskiego spojrzeć od ich strony zewnętrznej i to od strony lądu.

Zaś skierowawszy wzrok z morza na ten odcinek nabrzeża, który kapitanat przydzielił na prace wiążące się ze sprawą przebudowy falochronu, przeważnie nie da się dostrzec nic, bowiem całe to miejsce najczęściej osłania nieraz przez całe godziny ani na moment nie ustępująca chmura kurzu. Słychać natomiast nieco więcej. Piekielny jazgot betoniarek, hałaśliwe szczękanie młynów do gruzu, a w rzadkich chwilach kiedy ten cały huk i jazgot ucichnie, słychać po tym hałasie nieomal że kojące pobrzękiwanie szufel przesypujących żwir i piach. Gdy

ura się rozpłynie, jawią się przede wszystkim zwracające na siebie zką uwagę potężne ni to pudła, ni to skrzynie. Są z cementu. Wielkie stodoły. To — kesony. Elementy — tak o nich wyrażać się czył wszystkich w porcie kapitan Haładyn — z których powstanie e molo.

ą puste. Z łatwością mieszczą w sobie prawie że cały wagon balastu. dopiero wówczas wypełni się je, gdy staną na miejscu. Na odpodniej podmurówce z kamienia, sugestywnym, ścisłym, mocarnym lem, jeden obok drugiego, tak akurat jak tego wymaga linia budoego falochronu. Mimo niezmiernego ciężaru posiadają one swą sną pływalność. Toteż kiedy są gotowe, spławia się je, holując katnie i ostrożnie na miejsce. Następnie dopiero zatapia się je ładuw nie z dragi żwir i piach. To im cięży. Praca przy nich jest wtedy ezpieczna. Dają pchać w siebie całymi godzinami balast, ale na dno z nagła.

takich oto właśnie skrzyń, nieogarnionych cementowych waliz, ia się falochrony. Pomiędzy elementami jest jeszcze miejsce ak zwane zamki, po prostu zaś luki, w których umieszcza się cetnae wąskie worki cementu. Rygluje on, wiąże w całość i w jedność dwa adujące z sobą kesony. Każdy sztorm, szkwał, huragan, najzdraszy przebój, każda masa wodna, która spróbuje taki keson, zwią na mur ze swą bracią, z miejsca ruszyć — diabła zje, zęby połamie akim kesonie i na takim zamku. Siły straci. Z uwzględnieniem wiście, że keson jest uczciwie jeden z drugim zcementowany, praicie po sam czub wypełniony należnym balastem i od góry przy dobrze przylegającą i spojoną z całością betonową nawierzchnią.

rygadę Służby Polsce, szumnie tytułowaną do niedawna Brygadązznia, prawie że w całości tu dano. W stoczni więcej było pętasię niż pracy, a i nauki niewiele. Po naradzie z kierownictwem, nik Grudzielski wystąpił do komendy Służby Polsce w powiecie ką zmianę. Sam nie był jej entuzjastą bez zastrzeżeń, ale roboty karskie, żwirowe, gruzowe musiały być wykonane. Na Żuławach owali junacy, na Śląsku przy przeprowadzaniu słynnej „magistrali kowej", w stolicy przy rozbiórkach. Biorąc to wszystko pod uwagę enda z powiatu zgodziła się. A i młodzież nie była od tego. Na powie, o krok od plaży, wożąc się bez końca po morzu przy każdym keso godzinami pomagając na dradze przy pobieraniu balastu z dna elewaniu go w keson — dobrze się wiodło. Pewnie że niemało też stania przy młynie, łupania kilofem w uparte twarde mury przed-

potopowego fortu, przeznaczonego do rozbiórki, i kopania w kółko piaſ chu. Ale w sumie chłopcy czuli się zadowoleni.

Na spanie wyporządzono im specjalny budynek. Willę za ostatnim hangarem towarowym, o kilkaset metrów od parku. Nawet niebrzydką ale silnie wyszabrowaną. Spali tam i tam również jedli. Pani Karu sowa, gruba, mała, zawsze czegoś niespokojna, gotowała im. Jej oczy niebieskie jak niezapominajki i tak małe jak te kwiatki ginęły w tłu stej twarzy. Przed wojną i podczas wojny pracowała w szpitalach Ciężko — zdrowie straciła, toteż kiedy z zaburzańskiego miasteczka przyszło jej wybierać sobie nowe miejsce zamieszkania i nowe zajęcie nie powróciła do starego. Tym nowym czuła się oszołomiona. To prawda że nocy nie zarywała i że przez cały dzień nie musiała krążyć od łóżka do łóżka. I że spokoju zażywała więcej. Tylko że, kiedy chłopcy wracali z pracy, ten spokój się kończył. Nie tylko spokój — świat się kończył! Karusowa trochę się czuła nieswojo. Inna rzecz opieka nad chorymi, nad reumatykami na przykład, bo na takiej sali pracowała ostatnio, inna rzecz — nad junakami. I nawet — bardzo inna. Ale się przyzwyczaiła. Oni do niej. Ufali jej. Jej się zwierzali, kiedy mieli kłopoty. U niej często zostawiali swe szczupłe grosze. U niej niekiedy również korespondencję, żeby przeczytała i poradziła, co odpisać. A prawdę mówiąc, żeby najczęściej sama odpisała, ile że dzień za dniem w takim Urzeczu leciał jak z bicza strzelił. I to rzecz obojętna, gdzie się miał zajęcie, przy gruzie, przy forcie czy przy złomie. Bo i przy złomie pracowała niewielka część dawnej Brygady-Stocznia.

— Ty cóżeś tak znowu skołczał — właśnie na placu, gdzie leżał po ściągany z terenu całego portu złom, który teraz chłopcy przenosili do podstawionych wagonów, zagadnął w ten sposób Kostek Drzewiecki Romualda Gontarskiego, dowódcę brygady, znieruchomiałego z jakim zardzewiałym żelastwem w ręku. — Cóżeś tam znalazł takiego?

Romuald pracował od tygodnia przy złomie, ponieważ w kapitanacie mu powiedzieli, że przy ładowaniu chłopcy strasznie dużo czasu mitrężą i bałaganią się. Gadają, myszkują, przerzucają z miejsca na miejsce różne rupieci, zamiast porządnie pracować. Nakładł im do uszu uszczypliwych słów, po czym udał się do Stacha Albekiera, do ZMP, bo pod kierownictwem tej organizacji Służba Polsce się rozwija, i poradził się czyby nie było dobrze na jakiś czas przenieść się z odcinka betonu na odcinek złomu. Przeniósł się, żeby robocie dać inne tempo, a oto teraz stał i dumał nad kawałkiem żelaza.

Śruba jakaś była, czy co? — odparł Drzewieckiemu — Popatrz, o prześcipnie porajbowane!

A to, pewnie będzie reszta od niej — pochylił się ku ziemi wiecki.

zyłożyli. Zgadzało się. I znowu coś do czegoś przypasowali. Raz, i, dziesiąty. Czasem orientując się, od czego to odłamki, czasami — Niekiedy domyślając się, niekiedy ani w ząb niezdolni odgadnąć. jak bowiem część do części już to pasowała, już to nie, tak samo dnym wypadku domysł pasował do rzeczywistości, a czasem nie. z pewnością w żadnym wypadku nie pasowało zachowanie Romu- Gontarskiego do zamierzeń, z jakimi na teren zarzucony złomem był.

Jakie to różności, a różności tu leżą — dziwił się Kostek. — I że ę ludzie nad tym tak namozolili, a teraz pójdzie to w piec!

A może nie pójdzie? — zadumał się Gontarski.

Pójdzie wszystko! — stwierdził Drzewiecki. — Tak pan Grudziels- owiedział.

Dosyć będzie tego marudzenia! — nagle zreflektował się Gon- ki — jak do huty, to do huty! Jak w piec, to w piec! Nie da rady!

e łatwiej czasem o gest psychiczny niż o prosty gest dłoni. Łatwiej yrzeczenie się w słowie niż o skrupulatność w czynie. Magnetyzm ntów, rurek, obręczy, pancerzy, siatek żelaznych, żeliwnych, stalo- n, a niekiedy mosiężnych, albo, co już było pokuszeniem wprost tnym, aluminiowych — działał. Komu złom w tym było widzieć, elc do odtrącenia nogą, a komu zabawkę. Albo nawet nie zabawkę, nt do mnóstwa różnych myśli, oraz garść drożdży do marzeń.

Kostek, co się z tobą wyprawia! — Gontarski zaśmiał się z zaże- aniem. — Bo ci oczy przewiążę i będziesz złom zbierał jak ciuciu- ka!

A ty też se spraw ciemne okulary! — odciął się Drzewiecki.

Już! Szlus! Amen! Wieczne odpoczywanie! Umarł dla nas złom utach! Zwijać się! Do bani z tym ciągłym gadaniem!

tym zaklęciu z kwadrans toczyła się robota w ciszy. Szło zresztą żelastwo nie pociągające. Ale już z pewnością na moment — jeśli na dłużej — przy resztkach rozbitej kabiny samolotu, zapewne ofia- statnich miesięcy frontu, kiedy gęsto na jego linie padały zestrze- ne przez broń sowiecką niemieckie pościgowce i bombowce, łaby się ich robota, gdyby nie okrzyk, który dobiegł uszu całej nadki pracującej przy złomie.

— Chłopaki! Wrak podnoszą! Wrak podnoszą! Choduu!

Cisnęli wszystko, co kto miał w ręku. A ci z pustymi rękami nie się gnęli po następne brzemię. Poskoczyli ku wołającemu.

— No! Gazuu! Zaraz go będą hulać w górę!

Wrzeszczał mały Piotruś Korotko, mikrus — het! precz! gdzieś spo Nowego Sącza. Piegowaty, ryży, nieco krzywy, ale jak strzała nie dościgły, kiedy rozpuścił swoje chude nogi.

— Co jest! — opanował się Romuald Gontarski. — Nie schodzić z pra cy! Wolnego!

Wtenczas Piotruś przypomniał sobie o dyscyplinie i zameldował:

— Jest zezwolenie z kapitanatu od pana Grudzielskiego, żeby popa trzeć, towarzyszu dowódco. Tylko, na rany, już! Bo cały wylizie, zanim przylecim!

— Biegiem! — wyrzucił z piersi komendę Gontarski.

Prasnęło bractwo z siłą o ziemię żelastwo, bo znaleźli się co pilniejs którzy na pierwszą refleksję Gontarskiego już zrezygnowali i schyli się po nową robotę. Cisnęli, aż całe pole złomu zadźwięczało. I pognal Korotko natychmiast znikł im z oczu. Rzucili się za nim ze złością, ni wiedząc, gdzie swoje błyskawiczne kroki skierował. Ale gdy wypadli n plac przed magazynami, za którymi rozciągał się teren zawleczony zło mem, zrozumieli, że pędzić trzeba o nic nie pytając i na nic się ni oglądając — prosto na molo wschodnie. Bo stamtąd wszystko będzi widać najlepiej, gdyż J o k k m o k k zatonął przecie nieopodal jeg głowicy. Zaledwie dobiegli i zdyszani wmieszali się między kolegó z pracy przy gruzie i cemencie, gdy zaczęło się.

— Oj — zdążył jeszcze raz i drugi krzyknąć albo raczej jęknąć Ko tek Drzewiecki. — Oj.

A już wokół zatopionego statku przeleciały pierwsze ni to fale, ni t lekkie wzgórki. Takie jak gdyby z dna jakiś morski olbrzym, krztusza się, wyrzucał ze swej paszczy masy wodne. Pozornie na powierzchn prawie nic się nie zmieniło. Stał promik jak zwykle. Zaś w polu widz nia jeszcze dwa czy trzy inne. Na nich trochę załogi i pompy motorow I nawet mało co krzątaniny. Mniej niż normalnie, tylko jakiejś bardzi nerwowej. Na niewielkiej motorówce uwijał się od promiku do promik kierownik robót podwodnych na Urzecze, którego chłopcy znali. Pro wadził motor, więc siedział, obok Grudzielski, też w pozycji siedzące Jedynie stary kapitan Haładyn na motorówce stał prosto i sztywno ja wmurowany. Nawet specjalnie nie rozkraczając nóg.

— Oj — powtórzył Kostek. To zaciskał pięści, to im folgował. — Oj! Oj!

Raptem bowiem w jednej zgranej chwili cztery promiki jak gdyby ię z lekka odsunęły. Parami. Na dany przez kierownika znak równo-ześnie z tym poruszeniem wykonały swój manewr dwa holowniki, tórymi czasowo rozporządzało Urzecze. I w kilka sekund potem, v ciszy, w spokoju, tylko z jakimś lekkim chybotem, jaki miewa pow-tający z ziemi na nogi koń, wyłonił się z wody wrak. Już nie krzywo, ie koso, jak leżał na dnie, ale równo i prosto. Wynurzył się w sposób ak harmonijny i czarodziejski, że nie jeno chłopakom, lecz wszystkim a molo i na pirsach, i tym którzy przyglądali się całej operacji z k o ł-i e r z a latarni, również wydarło się takie samo westchnienie, jak d paru chwil już na kredyt wyrywało się Kostkowi Drzewieckiemu.

— Jeju! Jeju! — składał on teraz w zachwycie ręce i nawoływał. — Jo, patrzcie się ludzie, ludzie. Patrzcie że się!

Lekka mgła a również zupełny brak obycia ze sprawami starych, niszczonych jednostek dokonały tego, że wrak J o k k m o k k, żałosny nwalida, z zapadniętym bokiem, z poszyciem wyleniałym od rdzy i wo-ly morskiej, pokrytym jak świerzbem drobną muszlą — wydał się hłopcom zgromadzonym na molo istnym cudem.

— Takie coś — szeroko otworzył usta Korotko.

— To ci dopiero— pojaśniał cały Drzewiecki.

— I co z nim będzie? — zwrócił się z tym zagadnieniem do stojącego bok komandora Łędyńskiego Romuald Gontarski.

— Ano — oznajmił komandor — będzie się go palić.

— Palić — zmartwiała cała gromada junaków, słysząc te słowa. — ak to?

— A tak to. Wyjmie się motor, bo się może jeszcze na co przydać. resztę potnie się palnikiem na kawałki i lu! do huty!

— Ojej — pobladł Drzewiecki.

— Nie — odruchowo wzbronił się temu dać wiarę Korotko.

— Co się martwicie — pogardliwie skrzywił usta Łędyński. — Wasz ył?

Udzieliwszy tych objaśnień i takiej pociechy zwalisty, otyły koman-or oddalił się. Nie kontent ze świata, ponieważ obiecał znajomej, że ą ściągnie do portu na podnoszenie wraka. Ale nie dotrzymał, bo łap-ap wszystko poszło, jak to przy owym systemie pontonów, kiedy nikt ie może przewidzieć ściśle pory oderwania się stępki od dna. Opróżnia

się z wody beczkowate pontony, powiązane parami liną, przechodzącą pod spodem wraka. Pompuje się, pompuje i pompuje. Do momentu, w którym zespół tych beczek nie nabierze pływalności. Wtedy nagle jak potężnym korkiem wrak zostaje szarpnięty w górę. Liny go unoszą niczym na rękach. Woda od jednego zamachu rodzi okręt. Już od razu — w kołysce z pontonów. Kto tego ciekaw, coraz to zagląda na kej, żeby się przekonać, jak tam sprawa. Nieraz całą dobę albo i dwie tak się dowiadując. Ale nie dla komandora Łędyńskiego tego rodzaju więzy. Spóźnił się do biura pod jakimś pretekstem o kilka godzin i diabli wzięli rozrywkę obiecaną jego chwilowej pani.

— Bzdurne nowalie! — wścieka się zdążając z powrotem do kapitanatu — Moskiewskie wynalazki! Z czasem się w ogóle nie liczą, to dla nich akurat dobry taki system nieobliczalny! Nas razi!

Późnym wieczorem u siebie w mieszkaniu powtarza swojej prowizorycznej miłości te refleksje, kiedy przyszedł już moment na wymianę myśli. A o tej samej porze inne refleksje nie dają zasnąć ani Romualdowi Gontarskiemu, ani Kostkowi Drzewieckiemu.

— Spalić — mówi do siebie jeden.

— Na złom — powtarza w duchu drugi.

A choć słowa odmienne, jednego i drugiego, a najpewniej jeszcze paru innych, kto wie zaś, czy nie wszystkich torturuje to samo. Następnego dnia z rana pięćdziesiątka par oczu suchych, gorejących przyglądała się, jak J o k k m o k k na długim holu prowadzony był przez wejście do portu, przez cały awanport, przez kanał kapitański i dalej i dalej do miejsca przy nabrzeżu stoczniowym zwanego przerażająco — choć zapewne nieco za ambitnie jak na możliwości techniczne Urzecza — łamalnią statków. Tak prowadzony jest i tak podąża w swój los, pogodzony z nim i bezbronny, tyle że niby trochę się ociągając i ociągając.

— Jak krowę do uboju! — współczuje Kostek.

— Jak hycel psa! — wybucha Korotko.

A od tego wybuchu krok do zagajenia narad. A od zagajenia — do wynurzeń najszczerszych. A od wynurzeń też niedaleko do niejasnych projektów. A potem w drodze do kapitanatu — do całkiem śmiałych i rezolutnych planów. Na swoje szczęście, kiedy wpadli na korytarz przed gabinetem Haładyna, natknęli się na Grudzielskiego. Zabrał ich do siebie. Tu choć serca dalej biły jak młot, wszelkie słowa na ustach wiotczały. Po kolei to ten, to ów podrywał się i, mnąc furażerkę w spotniałych dłoniach, kończył jąkając się przemowę na tym samym słowie, od jakiego ją napoczął.

— J o k k k m o k k k...

Nie bardziej wygadany okazał się nawet sam dowódca.

— J o k k k m o k k k... — tyle zdołał wypowiedzieć.

Lecz zwolna wyklarowało się, o co chodzi.

— Ażeby pan kapitan zmienił postanowienie — wydusić zdołał vreszcie z siebie Kostek Drzewiecki — i przekazał J o k k m o k k a aszej brygadzie do remontu.

Na to hasło ze wszystkich kątów padać zaczęły szybkie jak strzały nformacje, uzupełnienia i ważne szczegóły. Jasne się stało dla Grudzielkiego, że plan nie był szkicem, ale owocem solidnych i wszechstronych rozważań.

— Da się J o k k m o k k a w stoczni na slip i zamiast spalić, odnovi się go!

— Jednakowoż chłopcy — podrapał się za uchem Grudzielski — viecie wy, jaka teraz robota u nas pilna. Jak ja mam od niej was drywać?

— Oj nie — aż zatrzęsła się izba od chóru wzburzonych głosów prosujących mylne ujęcie Grudzielskiego. — My będziemy się nim zajmovać po pracy!

— Zgoda — rzekł Grudzielski. — Przynajmniej co do mnie. Ale zecz musi zdecydować kapitan. Chodźcie, chłopaki.

Przed drzwiami gabinetu starego Haładyna powziął inną myśl taktyzną. Odesłał junaków do swego pokoju, a sam przekroczył próg gabietu kapitana.

— Niech mu pan powie — usłyszał w ostatniej chwili błagalny szept poczuł, że go ktoś gorączkowo za rękaw pociąga — niech mu pan owie, żeby jego ułaskawił.

— Kto znowu? Kogo? — Grudzielski się odwrócił.

— No, jego — szybkonogi, ryży Pietrek Korotko drżącym głosem yjaśnił — J o k k m o k k a.

Kapitan Haładyn w tym względzie również pozował się na Anglika, e wysłuchiwał nawet najbardziej dla niego oburzających nonsensów, ie przerywając do końca. Im większą w trakcie takiego słuchania uwaę przenosił na fajkę, tym pewniej wróżyć sobie było można, że sprawę, której się dowiaduje, inaczej rozstrzygnie niż życzy sobie jego rozmówca. Ale w tym wypadku im usilniej starał się o opanowanie, tym ardziej zaczynała go drażnić rzecz z rodzaju tych, do których postanovił nigdy się nie wtrącać. W pewnej chwili nie wytrzymał, załamał się wpadając Grudzielskiemu w słowa, rzucił:

— To jest zawracanie głowy!

Po tym orzeczeniu temperatura dyskusji od razu niebotycznie skoczyła w górę.

— Bo wy w ogólności jesteście zupełnie jak wariaci na punkcie młodzieży — zawołał w pewnym momencie Haładyn. — Akurat tak samo jak nie macie uszu dla miarodajności i kwalifikacji, a tylko zawsze i wszędzie dla wszelkiego samouctwa i niekompetencji, podobnie wszystko u was idzie w kąt, skoro tylko może mieć w tym interes jakiś żółtodziób!

— Kto — wy? — spytał Grudzielski. — Czy — ja?

— Pan i nie pan! Ja mówię o kierunku! O całym nowym porządku u nas w najszerszym znaczeniu. Dla mnie to jest nieodpowiedzialne podbijanie młodzieży bębenka. Ot, jak w tym wypadku. Ledwie się jej zachciało rozrywki, już szast — prast slip, dok, wrak na ich rozporządzenie. Wrak, co do którego były inne plany.

Kapitan długi nos zwiesił nad stołem.

— Ja was nie zwojuję — rzekł na koniec z rezygnacją. — Ale powiadam, że z tego nie wyjdzie nic mądrego. Żadna komisja żeglugowa nie puści J o k k m o k k a na pełne morze, niechby sobie cała szczeniakeria wybrzeża ręce urobiła po łokcie i postawiła się na głowie. W efekcie przyniesie nam ten pański pomysł jedynie stratę czasu i materiału. A pańskim pupilom najprzykrzejsze w świecie rozczarowanie. I w ogóle nic im konkretnego nie da!

— A co im dadzą — zniecierpliwił się technik Grudzielski — miesiące przy piasku, gruzie i złomie? Czy to będzie w porządku, jeśli mając sposobność, żeby im dać coś więcej, tylko z niebogatym bagażem przeżyć i doświadczeń odeślemy ich znad morza? My przecież mamy w stosunku do nich obowiązki.

— To już jest inna sprawa. Nie moja rzecz. Nie moja kompetencja.

W głosie jego wyczuwało się ironię. Port przecież był portem, a nie szkółką, sierocińcem czy poletkiem doświadczalnym, w co jego zdaniem się zamieniał.

— Ja swoje powiedziałem — dodał po chwili. — Dla mnie to jest kompletne zawracanie głowy. Ale dzisiaj wszystko jest do góry nogami. Nie uczony przewodzi ludziom, którzy zęby zjedli na swojej specjalności. Pierwsze miejsce rezerwuje się regularnie dla tych, co dopiero czegoś chcą się uczyć, nigdy zaś dla tych, którzy coś umieją. Więc powiadam: w takim razie proszę bardzo. Ja się wrakiem J o k k m o k k a przestaję interesować. Całkowicie umywam ręce. Tylko domagam się

względnie, żeby mi były wszystkie formalności związane z tą cudacz-
decyzją przeprowadzone.

– Sądzę, że uzyskam w tej sprawie zezwolenie Szczecina — rzekł
ıdzielski. — Jestem tego nawet pewien.

– Ja też — z nutką sarkazmu zgodził się z jego nadziejami kapitan.
Już to smarkacze u was w łaskach, w łaskach.

echnik portu Grudzielski wstał, lecz kapitan na moment jeszcze go
rzymał. Wskazał mu krzesło, z którego Grudzielski przed chwilą
podniósł. Kapitan nie cofnął ręki, białawej, niemłodej, pocentko-
ıej małymi, brunatnymi plamkami, nadal wytkniętej w tym samym
runku. Prawą ręką Haładyn manipulował koło fajki. Poprawił jej
ożenie. Wskazującym palcem zgiętym, powolutku ubijał w niej tytoń.
iś roztargniony i zakłopotany. Nareszcie wyraźnie niepewien siebie,
ıo zwrócił się ni to z życzeniem, ni to z wyznaniem do Grudziel-
go:

– Proszę mnie nie brać — rzekł — za człowieka bez serca, bez du-
Za starego, skostniałego trotla, który odciął się ze wszystkim od
dego pokolenia. A nadto proszę mnie nie brać za kogoś, kto nic
nie rozumie na potrzebach młodzieży. Na jej tęsknotach i na jej
ıicjach. Rozumiem ja się na nich doskonale. I wiem o tym różne
czy. Jak czasem ciężko, kiedy porywom życie stawi tamę. I jak
ko także patrzeć, kiedy młodemu u skrzydeł balast zawiśnie. Wiem
tym swoje. Mam dziecko.

– Nie słyszałem — powiedział Grudzielski.

– Mam właśnie. Zdolne. Z wielkimi ambicjami. I ze skrzydłami —
anymi.

– A co takiego? — spytał Grudzielski.

apitan zamiast słownych wyjaśnień szeroko rozczapierzywszy palce
akrotnie dotknął piersi dłonią. O chorobę płuc mu szło.

– Od dawna? — zagadnął Grudzielski.

– At — machnął ręką stary Haładyn głęboko westchnąwszy. Widać,
d tak dawna, że szkoda było liczyć.

la porządku technik Grudzielski zajrzał jeszcze do komandora Łę-
skiego, pod którego kompetencje podpadały wszystkie portowe spra-
inżynierskie. Ten zaśmiał się szerokim, zadowolonym śmiechem,
vo usłyszał, o co chodzi.

– A pewnie! Czemużby nie! — pochwalił całą rzecz. — Lepsze to,
eli by mieli się nożami dźgać czy na dziwki chodzić!

Grudzielski zmarszczył się na to przypuszczenie.

— Świętym, panie, w tym wieku się nie jest — niczym nie zrażon Łędyński ciągnął dalej. — Nie dziś to jutro ich zaswędzi. Niech się pa zresztą Karusowej zapyta, co to za kompania!

— A co pani Karusowa ma im do zarzucenia?

— Bałaganią się! Wydzierają się po nocach!

— Przesada! Przechodzę tam nocą i cicho jest!

— Ściany napisami zawieszają!

— Co to znowu za napisy?

— A ja tam nie wiem. Niech się pan jej zapyta!

Otyły, leniwy Łędyński przeciągnął się. Zerknął dyskretnie na zega rek, bo oczekiwał telefonu. A że poza tym łagodnej był natury i nic g prócz własnych spraw nie obchodziło, dodał, po trosze wycofując się z swego oskarżenia, po trosze odejmując mu ostrze.

— Takie stare babska jak Karusowa zawsze się będą gorszyć byl czym, a takie wyrostki jak te nasze zawsze będą broić i łobuzować si To zresztą, prawdę mówiąc, w większości jeszcze dzieci.

Grudzielski przypomniał sobie dziecko kapitana, o którym prze chwilą i po raz pierwszy, odkąd był w Urzeczu, usłyszał.

— Też już stare babsko! — odparł na jego pytanie w tej mierze Łę dyński, nieoczekiwanie dla Grudzielskiego i w sposób brutalny precy zując sprawę lat owego „dziecka". — Była tu raz, ale zaraz musia wyjechać!

— Czemu? — zagadnął Grudzielski i aby wszystkiego się dowiedzie a więc również czegoś konkretnego o tych „skrzydłach" progenitur kapitana, u których jej los „zawiesił balast", dodał: — Czy się za muje?

— Gruźliczka w ostatnim stadium! Zdaje się asystentka jakiejś kat dry na uniwersytecie jagiellońskim. Fizyczka czy chemiczka! A najwa niejsze że truposz, i do tego wredny, na urlopie! Niech ją Pan Bóg m w swojej opiece! Brr!

Gdy technik portu Grudzielski stanął w drzwiach swego pokoju, żade z chłopców go nie zauważył. Istotnej bowiem natury spór absorbow wszystkie ich zmysły i trzymał na uwięzi wszystkie siły ich ducha.

— J o k k m o k k on się nazywać nie może — stwierdzał kateg rycznie Drzewiecki. — Nowe życie uzyskuje w nowym kraju, to mu mieć nową nazwę.

— Może Urzecze? — padła pierwsza propozycja.

— Może Świt?

— Może Giewont?

Wybuchał pomysł i wtedy wszystkie oczy zwracały się ku wnioskowcy. Stał on jeszcze przez moment z otwartymi ustami, jarząc się cały świetle tej koncentracji spojrzeń i uwagi. Trwał tak przez kilka, niekiedy nawet kilkanaście sekund, podczas których ważyła się spra- jego projektu. Aż na koniec czuł, jak bez dyskusji, najczęściej kompletnej ciszy, kolejno jeden po drugim spływał z niego wzrok. nioskodawca zamykał usta, opadały mu powieki. Słyszał:

— Nie!

— Może Kalina?

— Nie!

— Może Karusia?

— Bez żartów, panowie!

— To może Grażyna?

— Jaka Grażyna?

— Ta — Mickiewicza!

Minęło pięć sekund, dziesięć. A wreszcie:

— Nie!

Pietrek Korotko zaś przy tej okazji pouczył:

— Nie może być żeńska nazwa, jak on był dotąd J o k k m o k k!

— Nie rozumiem! — odezwał się jakiś głos.

— Jak był męskiego rodzaju, musi zostać męskiego. Tego się nie ienia — uściślił swoją myśl Pietrek.

Spór ten, acz zasadniczy, z pozoru zatrącający o fizjologię, w rzeczystości zaś bliski wielkim dylematom nominalistycznym czy też schotycznym, musnął tylko umysły zebranych, bo nagle padła propozycja ardzo poważnych szansach.

— Będzie się nazywał: J u n a k!

Piktel z nią wystąpił. Włodek Piktel — o złotych palcach kolekcjoner kawostek ze złomu, i to, kiedy je złożył z różnych części — ciekastek pierwszej wody, wielki majster-klepka, a jak się teraz właśnie azało, i — głowacz.

— Pycha! Będzie się nazywał J u n a k! J u n a k S/S n a k! — zakrzyczano.

Ale Romuald Gontarski, dowódca ich brygady, jak każdy dowódca konieczności trochę biurokrata, a ze światła, które spływa na człoka wraz ze stanowiskiem — polityk i statysta, musiał ich zmartwić:

— To nie jest nazwa, którą się możemy rozporządzać dowoli — pouł. — Należy uzyskać na nią zezwolenie z Komendy Głównej!

A ponieważ było jasne, że nim przyjdzie zezwolenie, upłynie dużo wody, każdy papier bowiem ma krok żółwi, z drugiej zaś strony również niewątpliwe było, że dawny Jokkmokk potrzebuje nazwy zaraz — bo jakże bez nazwy będzie się o nim mówić, a mówić się będzie o nim stale od dziś — przyjęto ostatecznie imię: Mężny.

— Jeśli on nie może być Junak, to może po linii właściwości, jakie powinien mieć junak? — zaczął w pewnym momencie na głos myśleć Drzewiecki.

Pod tym kątem poddano błyskawicznemu przeglądowi różne cnoty, zalety i postulaty wiążące się z pojęciem junaka. Do jednostki ludzkiej wszystkie pasowały jak ulał, ale do jednostki morskiej nie wszystkie. Stąd wziął się ów Mężny.

— S/S Mężny. Uchwalono! Przyjęto! Zatwierdzono!

W tym momencie również spostrzeżono, że w drzwiach stoi i przysłuchuje się naradom Grudzielski. Nie pytając, co przynosi, z tą młodzieńczą ufnością, która o niczym nie wątpi, kiedy w grę wchodzą własne pragnienia i zamiary, zwłaszcza kiedy patronat nad nimi obejmą ludzie tego pokroju co Grudzielski — od razu poddano go indagacjom organizacyjnym, a przede wszystkim technicznym. Ani słyszeć nie chciano, by z miejsca nie miał się udać na teren, gdzie bez żadnego pojęcia o tym, że stał się Mężnym, dotychczasowy Jokkmokk kąpał w brudnych wodach jednego ze stoczniowych basenów swoje stare, wysłużone, obite boki. Mimo że Grudzielski ruszył spiesznym krokiem, niebawem okazało się, że wlecze się w ogonie wypadków hen! w tyle za całością brygady chłopców. Bo ci już byli przy statku, krzycząc, radząc, postanawiając tysiące rzeczy.

— Gdzie tak gonicie, złoci moi! — usłyszeli w przelocie do portu głos pani Karusowej, zdążającej w przeciwną stronę. — Pali się?

— Jakto pali się? — poderwał się w przerażeniu Kostek Drzewiecki.

— Już się go palić nie będzie! — zawołał Korotko.

— Czego się nie będzie palić? — zdumiała się Karusowa.

Ale oni na to tylko wybuchnęli śmiechem, dopiero się zorientowawszy w nieporozumieniu. Zawtórowali im najbliżsi towarzysze. Odkrzyknęli byle co pani Karusowej i po tej krótkiej wymianie zdań bez opamiętania poniosło ich naprzód. Zostawili za sobą Grudzielskiego. Nieporozumienie nieporozumieniem, a swoją drogą już co prędzej chcieli być na miejscu, żeby zdążyć, zanim się co złego stanie czy co najmniej rozpocznie. Przybyli jednak na czas. Pilna rzecz jedynie, gdy się ma z wrakiem do czynienia, to ewentualny demontaż maszyn. Póki siedzą zato-

e, właśnie woda i cieniutka otoczka rdzy chroni je przed prawdzi-
, poważnym procesem utleniania. Biada jednak temu, kto wydo-
szy wrak, nie pospieszy się i pozwoli, by motory, kiedy spłynie
ch woda i kiedy obeschną, pozostały na powietrzu. Wykończy je
n sposób bezpowrotnie. Rdza bowiem i tlen jak gdyby rozjuszone
że przez tak długi okres nie mogły się wykazać, od razu z miejsca
puszczają wściekły i błyskawiczny atak zniszczenia. Kiedy chłopcy
dli na wrak, zastali ekipę stoczniowców właśnie zajętych siłownią.
ano chłopców przegnać, ile że przeszkadzali. Oburzyli się będąc
ia wręcz przeciwnego. A mianowicie zdania, że im się przeszkadza.
tecznie po symbolicznym wzięciu w posiadanie szkunera, na razie
i się swymi zwykłymi sprawami. Kto żwirem i gruzem, a kto zło-
. Pracowali jak nigdy dotąd, z nerwem i werwą. Ale ledwo zawyła
na obwieszczając koniec roboty, zmiotło ich w jednej chwili z tere-
Obiad zjedli jak brygada nie — chłopców, ale — błyskawic, i zape-
obyłoby się bez zwykłych żartów i przekomarzań z panią Karuso-
gdyby ich pierwsza nie zaczepiła.

Niesie was gdzie? — spytała. — Co to ścigacie się łyżkami?

A nie słyszała pani o naszym statku? — zdziwili się.

c nie słyszała. Nic nie wiedziała. A kiedy się dowiedziała, taką im
likowała refleksję.

Ej, statku im się zachciewa! Więcej w głowie statku, oto co by
am przydało!

Pani Karusiu! — zawołali na to — Warkocz znowu cały dzisiaj
laszu pływa!

Żebym ja ci jeszcze twojego czuba do tego warkocza w gulaszu
lodała! — krzyknęła pani Karusowa. — Który znalazł chociaż włos,
ı pokaże!

ezdrowej tuszy, serca słabego, zawsze gotowała przy oknach na
ż otwartych, stąd czasem do garnków i kotłów wpadł czy liść ze
u, czy gałązka. Przygadywano jej, że to kawał grzebienia, warkocz
włosy. Jeśli dopadła prześladowcę, brała go za czub. Pisku zawsze
z tego i śmiechu co niemiara. Dziś ledwo śmiech wybuchł, ucichł.
że aż zdumiała się pani Karusowa. Podeszła do gazetki ściennej,
ąc, że może powściągliwość i pośpiech przy stole tłumaczy się ja-
grubszego kalibru żartem umieszczonym na tablicy gazetki. Żar-
tak śmiałym, że lepiej przy jego lekturze było zostawić panią Ka-
wą samą. Ale na tablicy nie było nic nowego, ani na ścianach gęsto
wdzie pokrytych kartonikami różnych haseł, cytat i maksym.

Jednych natury ideologicznej, innych natury higienicznej. Bogact
ich było znaczne. Nic tu jednak nie przybyło. A tymczasem chłopcy
w doku obstąpiwszy Grudzielskiego, który im się tam przypadko
nawinął, prażyli go ogniem pytań.

— A czy w tym roku on wypłynie? — pragnął wiedzieć Drzewie

— A czy możliwe, żeby to była własna jednostka Służby Polsce?
interesował się Gontarski.

— A czy aby nie zamienią nam motorów na inne? — żądał wiążący
zapewnień w tej mierze znawca maszyn a jak widać i ludzi, Piktel.

Noc najbliższa przeszła im jeszcze niespokojniej niż poprzednia, mi
że posiedli to, co chcieli. Ale marzenia płoszą sen z równą zajadłoś
co niepokoje. Próżno Gontarski, sam sobie zadając gwałt, wołał o ci
Pilnował się zakazu, to prawda, ale kiedy dochodził do jego uszu sz
mobilizował w nim przede wszystkim ciekawość, a dopiero leniwie
za nią podążało jego poczucie dyscypliny. On bowiem sam także
rzył. O tym również — co koledzy. Marzyć jednak kolegialnie nie
tym samym, co marzyć samemu. Zwłaszcza w bliskiej i zżytej z s
gromadzie. Wreszcie naszeptawszy się do zupełnego upadku sił i na
szawszy się nawzajem, niepostrzeżenie i kolejno jeden po drugim poc
zasypiać. Lecz jeszcze nie na dobre, bo od czasu do czasu budził się
ten to ów ze strasznym krzykiem. Lęk, którego doznawali przez
wczorajszy wieczór i wczorajszą noc, wypłoszony z ich świadom
przez fakty dzisiejszego dnia, wślizgiwał się w ich dusze zamrocz
snem i trawił je, przebiegając przez nię swym starym, wydrążonym
przednio korytem. Śnili, że setką palników naraz cięty, niczym Św.
bastian z pobożnych obrazków tylomaż przeszywany strzały, J
k m o k k — jeszcze rzecz prosta w ich majakach występujący pod st
nazwą — rozlatuje się na kawałki, zaścielając szczątkami teren
wielkości, co teren, z którego zbierali złom. To znowu śnili, że s
stają się celem — ostrych jak lanca i żelazu dających z łatwością r
a cóż dopiero ciału — płomieni wybiegających z drżącym sykiem z d
noustych główniczek palników. Podrywali się na pryczach, robiąc ci
piersiami jeszcze przez chwilę, ocierając pot, i nareszcie przeżyw
wszystko, co dać może na jawie i w sennych marach pierwsze zetkni
z wielkim wydarzeniem w ich własnym życiu, zapadali w sen
kamień.

Tydzień przeleciał, jeden, drugi, jak gnane zawieruchą. Piach, g
żwir, cement, czego się tylko tknęli w godzinach zajęć, słuchał się
jak gdyby ich ręce stały się rękami czarodziejów. Złom tylko fru

tknięty, niczym w filmie rysunkowym czy w bajce. Sprawiał to ie humor chłopców, świetne samopoczucie, z tym, że u niektórych vne odgrywał rolę jeszcze inny wzgląd. Rodzaj wyrachowania, że biej się sprawią przy pracy, tym na większe przywileje mogą liczyć szystkich sprawach dotyczących Mężnego. Ani chwili wolnej yli w stanie bez niego wyżyć. Dnia ubywało, poczynał się sierpień, zch zapadał coraz wcześniej, lecz oczy chłopców nawykały do ku i wrak zatrzymywał ich przy sobie na coraz późniejsze godziny. ali się najpierw do jego okaleczonego boku. Naprzykrzali się d wszelką ludzką wytrzymałość wszystkim majstrom i nie-maj- w stoczni, wszystkim pracującym w warsztatach na terenie kich urzeczańskich doków. Budowano tu i remontowano jedynie rybackie. Gdyby nie to, z poradnictwem w sprawie Mężnego ności nie wszystko by szło tak gładko. Ale ten i ów z majstrów swymi ambicjami i swymi umiejętnościami powyżej zwykłego nictwa, zaczem służył swą wiedzą czy tylko swą pasją, dla której najdował ujścia w swojej codziennej robocie.

ż przy takiej współpracy zwolna doprowadzono do ładu rozch- wręgi zmiażdżonej burty, wyregulowano ster, którego mecha- otamowany był jedynie chyba milionem muszel. Odczyszczono to. szczono poza tym pokład, sterówkę, kluzy i bukszpryt, który nadal budzić grozę swą cienkością, tyle że się teraz świecił. Chłopcy vali, co się dało, gmerali, w czym było można, toczyli między sobą bardziej fachowe dyskusje. Wszelkie subtelności terminologiczne już dawno za sobą. Szkuner nie miał dla nich żadnych tajemnic. o minął czas pierwszych naiwnych pytań, o znaczenie takich słów kingston", czy „stewa", czy „kambuz". A również dawno minął kiedy w stosunku do Mężnego nic nie było z rozumu, a wszyst- o z wiośnianego zachwytu. Marzenia ich związane z Mężnym iły się wskutek tej wiedzy, lecz może nawet przez to stały się e bardziej uparte. Wiedza zaś, której nabrali, jeśli szło konkretnie ner S/S Mężny, była wiedzą o ograniczoności jego przyszłych ciowych. Nie roili dla niego żadnych szaleńczych wypraw ani rotnikowych, ani podbiegunowych. Widzieli jego późniejszą egzy- ę skromniejszego pokroju. Może było w tym i trochę patriotyzmu onego w nich już dla Urzecza. Nie przybywały doń statki z tak ch rejsów. Stracony byłby więc dla tego portu Mężny, jeśliby o rodzaju wdał się karierę. A może w ich planach poza odrobiną tyzmu w stosunku do ich czasowej i przybranej lokalnej ojczyzny,

może było i coś więcej i coś znacznie bardziej skomplikowanego. C
subtelny uczuciowy splot, w którego skład wchodziła i pewnego rodz
skromność i powściągliwość chłopców w myśleniu o własnych osob
w tak zuchwałych i z pewnością wymagających olbrzymiej nauki ka
goriach nawigacyjnych jak zwrotnik czy bieguny, i — pewnego rodz
lęk, że równie śmiałe loty Mężnego po prostu mogłyby ich z r
rozłączyć. Tak więc ostatecznie zdaniem chłopców z urzeczańsk
brygady Służby Polsce najlepiej dla Mężnego byłoby, gdyby zac
sobie kiedyś w przyszłości po remoncie chodzić od jednego portu
szego wybrzeża do drugiego. Od Tolkmicka do Szczecina, wędru
kabotażem przez wszystkie miasta i miasteczka, którymi ono jest
bogato usiane. W Urzeczu sprawiedliwie miałby swój port macierzys
ponieważ port ten leży w samym środku. W ten sposób może pozos
by ich ten szkuner.

— No, jak tam? — zaglądał do junaków od czasu do czasu koman
Łędyński. — Ochrzciliście już swoją łajbę?

— Tak.

— Ale jak? Uczciwie, po marynarsku, po portowemu, czy j
z wody?

Powtarzał swój dowcip, nigdy go o nic nie wzbogacając ani w form
ani w treści. Ani gestu nie odmieniając, ani efektów akustyczny
które mu towarzyszyły. Komandor unosił w górę i przekrzywiał gło
w bok, po czym kilkakrotnie prztykał się w podgardle. Jednocześ
otwierając stopniowo usta naśladował bulgot płynu lanego z flas

— A czegoś takiego nie było? — mrużył jedno oko. — Z wody tyl
No! Przyznajcie się!

(Dokończenie w następnym numerze)

Tadeusz Brez

ACIEJ ŻUROWSKI

Wiktor Hugo klasyk ludowy

Wśród czterech wielkich postaci, do órych uczczenia w tym roku wezwa- całą postępową ludzkość Światowa ıda Pokoju, znalazł się na wniosek legata chińskiego autor N ę d z n i- ó w, najżarliwszy głosiciel idei spra- edliwości społecznej, jakiego wyda- literatura francuska. Piękny i zruszający fakt, że wnioskodawcą ł delegat kraju tak odległego od oj- yzny Wiktora Hugo, przypomniał, jego twórczość jest bliska i droga e tylko Francuzom. Nie można by- wybrać lepiej. Nazwisko żadnego in- go pisarza francuskiego nie wywo- tak żywego echa na całym świe-, jak nazwisko Wiktora Hugo. Uro- ystości związane ze stupięćdziesięcio- ciem jego urodzin uprzytomnią też lionom ludzi, jak zadziwiająco aktu- ne są i mniej znane przejawy jego iałalności, jak wiele jego wypowie- i ma zastosowanie w naszej walce pokój i postęp. W obliczu niebez- eczeństwa, jakie zagraża ludzkości ze ony imperializmu anglo-amerykań- iego, Wiktor Hugo ukazuje się nam e tylko jako jeden z współtwórców grożonej przez wojnę kultury, przed- wiciel najlepszych tradycji narodu ncuskiego, ale zarazem jako czynny sz sojusznik, którego słowa brzmią ś nawet bardziej aktualnie, niż wte- , kiedy je pisał.

Apel Światowej Rady Pokoju jest lnocześnie historycznym wydarze- m w dziejach pośmiertnej sławy ktora Hugo. Oto największy poeta ncuski, czołowa postać francuskie- romantyzmu, najbardziej nieprze- nany obrońca demokracji w okre- drugiego cesarstwa, natchniony pro- gator wielkich haseł humanizmu, z okazji stupięćdziesięciolecia urodzin nie został i nie zostanie godnie uczczony przez oficjalne czynniki swojego kraju. Zmarszalizowany rząd dzisiejszej Francji nie znalazł funduszów, żeby wznieść mu w Paryżu nowy pomnik na miejsce tego, który zniszczyli okupanci hitlerowscy. W ubiegłym roku doszło do niebywałego w historii kultury skandalu: władze miejskie Paryża pozwoliły postawić na środku placu, gdzie przed wojną stał pomnik Wiktora Hugo, limuzynę reklamującą fabrykę samochodów Forda; miejsce związane dla wszystkich Francuzów z postacią narodowego poety stało się symbolem zaprzedania niezależności Francji w niewolę amerykańskiego kapitalizmu. Tegoroczne uroczystości organizuje komitet powstały z inicjatywy pisarzy komunistycznych z Ludwikiem Aragonem na czele, skupiający również pisarzy dalekich od komunizmu, a reprezentujących postępową część społeczeństwa francuskiego, której twórczość Wiktora Hugo nie przestała być droga. Manifestacjom na cześć autora N ę d z n i k ó w i L e g e n d y w i e k ó w towarzyszy systematyczna kampania prasy reakcyjnej, pomniejszająca lub zgoła obrzucająca obelgami postać wielkiego pisarza. W ten sposób rok 1952 przyniesie ostateczne rozstrzygnięcie wątpliwości, czy twórczość Wiktora Hugo może być uważana za własność burżuazji, czy ma jeszcze coś wspólnego z kulturą dzisiejszej burżuazji francuskiej.

Wątpliwości takie istniały przez dłuższy czas i nie jest dziwne, że mogły powstać. Wiktor Hugo nigdy w sposób stanowczy nie zerwał z klasą, z

której wyszedł, i nigdy świadomie nie zajął postawy rewolucjonisty. W poglądach jego wiele było chwiejności, braku konsekwencji, wpływów drobnomieszczańskiej utopii i proudhonowskiego pseudo-socjalizmu. Sam zresztą zdawał sobie sprawę, że nie był konsekwentny. Pod koniec życia, przygotowując do druku swoje wypowiedzi polityczne od r. 1841, poprzedził je przedmową, w której scharakteryzował siebie — pisząc w trzeciej osobie — z podziwu godnym objektywizmem:

„Był stronnikiem Napoleona w roku 1813, stronnikiem Burbonów w roku 1814; jak prawie wszyscy ludzie początku tego stulecia, był wszystkim, czym było stulecie; nielogiczny a uczciwy, legitymista i wolterianin, wyznawca poetyckiego chrystianizmu, liberalny bonapartysta, za czasów monarchii szukał po omacku socjalizmu; dziwacznie prawdziwe są te odcienie i dziś zdumiewają; był zawsze człowiekiem szczerych intencji; pośród tych złudzeń usiłował prostować swoje poglądy; wszystkie możliwe przybliżenia do prawdy, jedno po drugim, nęciły, a niekiedy zwodziły jego umysł; te kolejne omyłki — w których, powiedzmy to, nigdy nie było kroku wstecz — zostawiły ślad w jego dziełach".

Nie zdążył Wiktor Hugo stwierdzić, że chociaż przez całe życie rzeczywiście szedł naprzód, to jednak w ocenie konfliktów klasowych i w stosunku do rozwoju ruchu robotniczego spóźniał się znacznie. Nie zrozumiał aż do końca, jak naiwną utopią było przekonanie, które głosił z uporem, że sprawiedliwy porządek da się osiągnąć w demokracji burżuazyjnej, jeżeli zrealizuje ona w pełni hasła Rewolucji Francuskiej. W tej zasadniczej jego omyłce widziała burżuazja przez pewien czas szansę uczynienia z niego „swojego" pisarza. Z biegiem lat okazało się wszakże, że jedynie przekonywającą wymowę mają w jego dziełach te strony, które mu podyktowała naprawdę głęboka i szczera solidarność ze sprawą proletariatu, a nie te, na których próbował zażegnać konflikty społeczne bez naruszenia podstaw ustroju. Ostrość i bezkompromisowość, z jaką ukazywał sytuację klasy robotniczej i jej żądania, coraz bardziej zniechęcały do niego burżuazję i coraz żywszy oddźwięk znajdowały w czytelnikach proletariackich.

Wiktor Hugo dostrzegał zresztą w niejednym momencie swego życia, że sam nie wiedząc kiedy przechodzi na drugą stronę barykady. Bardzo wyraźnie świadczy o tym wypowiedź dopiero niedawno wydobyta z pozostałych po nim rękopisów.

„Ponieważ broniłem we wszelkiej postaci wszystkiego, co oznacza wolność, sprawiedliwość, ludzkość, kulturę, narodowość, rozum, prawdę, inteligencję, sławę, wielkość, pokój, braterstwo, postęp; ponieważ zwalczałem we wszelkiej postaci wszystko, co oznacza samowolę, despotyzm, anarchię, kłamstwo, barbarzyństwo, przemoc, ucisk, tyranię, obłudę, podłość, brak tolerancji, inkwizycję, niesprawiedliwość, przesąd, nienawiść, ogłupienie — jestem w oczach burżuazji potworem. Nie brak takich, co mówią, że trzeba mnie zastrzelić jak psa. Biedna burżuazja! I to wszystko tylko dlatego, że się boi o swoją pięciofrankówkę!"

Niewątpliwie, nie możemy ani nie mamy żadnej potrzeby brać dosłownie takich oświadczeń, jak następujące, które pochodzi z r. 1869: „Mój socjalizm datuje się od roku 1828, mam więc prawo o nim mówić". Socjalistą Wiktor Hugo nie był, a w okresie największych swoich sukcesów za monarchii lipcowej, odkąd wszedł do Akademii, został parem Francji, następnie zaś podczas rewolucji r. 1848 i na początku istnienia drugiej republiki, kiedy uwierzył w misję dziejową cynicznego

ptiera, jakim był Ludwik Napole- wielokrotnie nawet zajmował wisko, które mu nie przynosi zytu. Ten jednak okres wyjątko- ulegania burżuazji ledwo zasłu- na wzmiankę w porównaniu z jaką przedtem autor Hernaño, Ruy Blasa i Katedry Notre Dame odegrał w ltowaniu postępowego nurtu ro- yzmu francuskiego, i z postawą, zajął po r. 1851.

nach stanu Ludwika Napoleona ołał przełom w rozwoju ideolo- ym Wiktora Hugo, pomógł bo- byłemu parowi otrząsnąć się z złudzeń. Prowadzona w czasie ziętnastoletniego wygnania walka urpatorem, przyjaźń z Hercenem ribaldim oraz ciągłe kontakty z ni działaczami niepodległościowy- bliżyły go do awangardy europej- demokracji rewolucyjnej. Walki oleńcze w najdalszych zakątkach znajdowały w nim entuzjastycz- orędownika.

częściej w jego wypowiedziach cznych — warto to przypomnieć vstępuje sprawa polska. W r. 1852, cznicę powstania listopadowego, zbiegła się z zakończeniem we ji plebiscytu mającego usankcjo- ć tytuł cesarski Ludwika Napole- wygłosił Hugo przemówienie na cznościowym bankiecie. „Ta uro- ość jest mi droga — mówił do ze- ch tam Polaków. — Droga po- nie. A wiecie dlaczego, obywa- Nie tylko dlatego, że przypomi- am wasze bohaterskie przebu- e w roku 1830, ale także, ale e wszystkim dlatego, że głosi ę rewolucji w tym samym dniu, e w tej samej godzinie, kiedy lizm oddaje swoje głosy za cesar- n... Polska, dwudziesty dziewiąty ada 1830 roku! Co za naród, co ocznica!... Obywatele, pijmy za pomyślność idei, która nie umiera! Pijmy za pomyślność narodów, które zmartwychwstają!" Nie był to zresztą pierwszy dowód sympatii Wiktora Hugo dla naszego narodu. Już w r. 1830 wyraził on swą solidarność z powstaniem listopadowym, a w r. 1846 wygłosił w izbie parów przemówienie w sprawie niepodległości Polski.

29 listopada 1853 r. znów przemawia do Polaków. W r. 1863, na wezwanie Hercena, który pisze do niego: „Wielki bracie na pomoc! Wznieś hasło cywilizacji!", ogłasza w Kołokole apel do armii rosyjskiej, aby odmówiła posłuszeństwa swoim dowódcom i zamiast tłumić powstanie styczniowe zwróciła się razem z Polakami przeciw caratowi, który jest wspólnym wrogiem obu narodów — „W Polsce macie przed sobą nie wroga, ale przykład". Francuski poeta reprezentuje więc to samo stanowisko, co rosyjski rewolucjonista: „Jesteśmy z Polakami — pisał Hercen w Kołokole — bo jeden skuwa nas łańcuch". I jeszcze raz w tym samym roku, w liście do uczestników zebrania, na które nie mógł przybyć z powodu choroby, manifestuje Wiktor Hugo swoje gorące uczucia dla polskich powstańców.

Jak bardzo zbliżył się w tych latach do rewolucyjnego internacjonalizmu, świadczy jego przemówienie o Garibaldim, gdzie powiedział:

„Niech chłop rosyjski, niech fellah, niech proletariusz, niech parias, niech Murzyn sprzedawany na targu, niech biały człowiek, którego ciemięża, nie tracą nadziei. Ich łańcuchy połączone są w sieć i nawzajem się podtrzymują, ale niech jeden łańcuch pęknie, a cała sieć się rozpadnie. Stąd solidarność despotyzmów... Ach, jak piękną rzeczą jest siła rzeczy! Jest coś nadludzkiego w wyzwoleniu. Wolność to boska otchłań, która przyciąga; rewolucje mają w sobie nieodpartą siłę..."

Jednocześnie pogłębia się w nim poczucie społecznej funkcji pisarza. W okresie, kiedy jego współcześni masowo uciekają od rzeczywistości, kiedy w literaturze francuskiej triumfuje hasło sztuki dla sztuki, Wiktor Hugo odważnie przeciwstawia się tej ucieczce. Podejmuje zdanie Laharpe'a, zarzucające Szekspirowi, że poświęcał swoją sztukę zainteresowaniom pospólstwa, i powiada:

„Niech i tak będzie. Poeta poświęca swoją sztukę pospólstwu. Jeżeli istnieje coś wielkiego, to właśnie to... Poświęć swoją sztukę „pospólstwu", poeto! Poświęć ją tym nieszczęśnikom, wydziedziczonym, zwyciężonym, bezdomnym, bosym, wygłodzonym, wzgardzonym, zrozpaczonym; poświęć dla nich, jeżeli tego trzeba i kiedy tego trzeba, swój wypoczynek, swoje powodzenie, swoją radość, swoją ojczyznę, swoją wolność, swoje życie. Pospólstwo to ludzkość cierpiąca nędzę".

Tej postawie — bynajmniej nie obcej Wiktorowi Hugo od początków niemal jego twórczości — zawdzięczamy N ę d z n i k ó w, jeden z najwspanialszych w literaturze światowej protestów przeciw krzywdzie społecznej.

Dla bardzo wielu uczestników tegorocznych uroczystości nazwisko Wiktora Hugo kojarzy się przede wszystkim, a może nawet wyłącznie z N ę d z n i k a m i. Nie jest to wcale tak krzywdzące uproszczenie, jakby się mogło wydawać. Ten najpopularniejszy jego utwór — to rzeczywiście cały i najdojrzalszy Wiktor Hugo. „Jestem przekonany, że ta książka będzie, jeżeli nie najwyższym, to jednym z najwyższych szczytów mojej twórczości" — pisał on sam do swego belgijskiego wydawcy w przededniu ukazania się N ę d z n i k ó w. Jest w nich cały Hugo, bo ta powieść rosła z gromadzonych skrupulatnie materiałów i doświadczeń przez najlepsze lata jego życia. Wydana została w r. 1862, powstawała już od r. 1845, pomysł gotów w r. 1832, a najdawniejsza tatka, zawierająca w zarodku całą storię Jana Valjeana, pochodzi — rz zdumiewająca — aż z r. 1823, to z czy z czasów, kiedy młody poeta, piero co wydawszy swoją pierw książkę, był jeszcze piewcą burbońsk monarchii. Tą notatką jest wyzna autentycznego galernika, dostarcz Wiktorowi Hugo przez przyjaciela:

„Mimo wszystko chciałem być u ciwym człowiekiem, ale diabli na ten paszport! Był żółty i miał na u w o l n i o n y z c i ę ż k i c h b ó t. Musiałem to pokazywać ws dzie, gdzie przechodziłem... Ładna re mendacja! Galernik! Budziłem stra dzieci uciekały i drzwi zamykały przede mną. Nikt nie chciał mi pracy..."

Jan Valjean zjawił się zatem w obraźni pisarza na samym progu j twórczości.

Wieloletnia krystalizacja N ę d n i k ó w związana była z pogłę niem się stosunku Wiktora Hugo zagadnienia niesprawiedliwości społe nej, ale równocześnie i z refleksj nad nową formą powieści, ludowej tylko w tematyce. Lud był istotn bohaterem jego pierwszego arcydz powieściowego K a t e d r y N o t D a m e. Teraz chodziło o stwor nie powieści współczesnej, która przedstawiła konflikty epoki i za zem dotarła do czytelników, dla k rych te konflikty były kwestią ży lub śmierci — do mas ludowych Fr cji i całego świata.

Z pełną świadomością dążył wi pisarz do połączenia w N ę d z n k a c h swojego posłannictwa s łecznego i swojego internacjonalizm

„Problemy społeczne przekracz granice państw — pisał w r. 1862 wydawcy włoskiego przekładu sw

zieła. — Rany, na które cierpi
ość, te wielkie rany, które po-
ają kulę ziemską, nie zatrzymują
a niebieskich lub czerwonych li-
przecinających planigloby. Wszę-
gdzie człowieka nęka niewiedza
rozpacz, wszędzie, gdzie kobieta
daje się dla chleba, wszędzie, gdzie
ko cierpi na brak książki, z któ-
nogłoby się uczyć, i ogniska, przy
m mogłoby się ogrzać — ta książ-
nędzarzach stuka do drzwi i mó-
„Otwórzcie, przychodzę w waszej
vie". W obecnym, tak jeszcze
cym momencie naszej cywilizacji,
arz ma na imię C z ł o w i e k.
ywa on męki agonii i jęczy we
stkich językach... Pisałem dla
stkich, z głęboką miłością dla mo-
kraju, ale Francję mając na
edzie nie bardziej niż inne narody.
iarę jak posuwam się po drodze
, jestem coraz prostszy i coraz
iej staję się patriotą ludzkości. To
zresztą dążność naszych czasów i
o promieniowania Rewolucji Fran-
ej. Wobec ciągłego rozwoju cy-
acji książki nie mogą już być wy-
le francuskie, włoskie, niemieckie,
ańskie, angielskie; muszą być
ejskie, powiem więcej — ludz-
Stąd nowa logika sztuki i pewne
czności kompozycyjne, zmieniają-
szystko, nawet dawne, ciasne wy-
nia smaku i stylu, które muszą
ozwijać jak wszystko inne."
go osiągnął swój cel. Historia Ja-
aljeana, Fantiny i Kozetty zwy-
o przebyła wszystkie granice prze-
ące planigloby. Artyzm N ę d z-
k ó w nie przestał zresztą być
nującym zagadnieniem, na które
cy i historycy literatury wciąż
e za mało zwracają uwagi. Ta
eść, która od kilku pokoleń po-
i wzrusza miliony ludzi, która
dziewięćdziesiąt lat protestuje z
mą siłą i nie straciła do dziś nic
ze swego radosnego wdzięku, napisana jest przecież według jakiejś nieprawdopodobnie doskonałej recepty na literaturę ludową. Wchłonęła rzadko spotykaną w ambitnej twórczości dozę elementów pospolitej powieści sensacyjnej i taką ilość publicystyki, która normalnie dla utworów beletrystycznych bywa zabójcza, a wciąż bije rekordy poczytności — mimo to, czy dlatego?

Równie niezwykłym zjawiskiem jest poezja Wiktora Hugo, polityczna w K a r a c h, liryczna w K o n t e m p l a c j a c h, epicka w L e g e n d z i e w i e k ó w. I ona dotarła do masowego czytelnika, podbijając go patetyczną retoryką, żarem uczucia i siłą wyobraźni. Niezwykłość zjawiska polega na tym, że Hugo był w zakresie metafory poetyckiej żywiołowym i odważnym aż do zuchwalstwa nowatorem. Późniejsza poezja francuska wraz ze swoimi skrajnymi, schyłkowymi kierunkami przejaskrawiła i wynaturzyła jego osiągnięcia. On sam natomiast nigdy nie zatracił miary i w naturalny sposób zawsze łączył sugestywność słowa poetyckiego z wyobraźnią ludową.

Po upadku drugiego cesarstwa, wróciwszy z wygnania, Hugo w inny jeszcze, bardziej bezpośredni sposób okazał swój patriotyzm i swoje przywiązanie do ludu francuskiego. Z oblężonego przez Prusaków Paryża nawoływał Francuzów do nieustępliwej walki z najeźdźcą, a kiedy wybuchło powstanie Komuny, zajął wobec niego stanowisko, które tym większej wymagało odwagi, że Komuny Paryskiej nie rozumiał. Zawsze bowiem, nawet wówczas, gdy gloryfikował walki wyzwoleńcze i mówił o nieodpartej sile rewolucji, sądził, że rewolucja 1789 r. wytknęła ludzkości drogę do sprawiedliwego ustroju, który osiągnie się bez dalszych przewrotów, przez pokojowo

wywalczone ustępstwa burżuazji na rzecz klasy roobtniczej. Przywrócenie we Francji republiki, która wskrzesiłaby hasło wolności, równości i braterstwa, uważał za dostateczną dla swego kraju rękojmię przezwyciężenia przeciwieństw klasowych. Przyznawał wprawdzie, że to zdradziecka burżuazja swoim postępowaniem doprowadziła proletariat paryski do rewolucji, ale od programu politycznego i taktyki komunardów odżegnywał się. Gdy wszakże rząd wersalski uzyskał przewagę i rozpoczął krwawe represje, Wiktor Hugo bez wahania stanął po stronie zwyciężonych. Namiętnie protestował przeciw masakrom paryskim, a po ostatecznym stłumieniu rewolucji niestrudzenie, aż do skutku zabiegał o amnestię dla uchodźców i deportowanych. „Chcę być z wami" — oświadczał teraz, bohatersko stawiając czoło fali nienawiści, która prześladowała samo nawet wspomnienie Komuny i udzieliła się wszystkim, najwybitniejszym nawet ze starszych pisarzy jego epoki. Tego już reakcja francuska nie darowała autorowi N ę d z n i k ó w. Nie wybaczyła mu też, że przez ostatnie lata życia oskarżał fanatyzm i klerykalizm jeszcze silniej, niż czynił to przedtem, że mocniejszym niż kiedykolwiek głosem występował przeciw zbrojeniom wojennym, których gorączka znowu zaczynała ogarniać Europę.

Kiedy umarł otoczony miłością narodu i niezliczonych swoich wielbicieli na całym świecie, pogrzeb jego był na zewnątrz wspólną jeszcze uroczystością burżuazji, proletariatu Francji i przedstawicieli narodów, w których obronie Wiktor Hugo walczył za życia. Już wtedy jednak, w maju 1885 r., rozległy się zgrzyty. W imieniu Akademii Francuskiej miał przemawiać Maksym Du Camp, autor K o n w u l s y j P a r y ż a , ordynarnego paszkwilu na Komunę. Weterani 1871 r. oświadczyli, że nie dopuszczą do jego przemówier i Akademia przysłała innego mów Emila Augier. „Ludzie Komuny mi w gruncie rzeczy rację — przyznał kilka lat później reakcyjny monogr fista poety. — Wiktor Hugo bardz należał do nich niż do Akademi Przed pogrzebem ukazało się w pras wezwanie do „wszystkich skazanych proskrybowanych za udział w Kom nie, których bronił Wiktor Hugo, czestników walk 1871 r., członkó Związku Kombatantów Komuny wszystkich organizacji wygnańców, is niejących w Paryżu", aby wzięli udz w kondukcie. Augier dyskretnie prz mycił w swoim krótkim przemówien zdanie, że ta część twórczości Wikto Hugo, która związana jest z walka politycznymi epoki, popadnie, z korz ścią dla jego sławy, w zapomnien Przemawiający w imieniu poetów prz wódca parnasistów, Leconte de Lis ograniczył się do frazesów, a in parnasista, Hérédia, sławny cyzelat sonetów, mniej dziś znany jako aut panegiryku na cześć cara Aleksa dra III, poprzedniego dnia wykręcił od zaszczytu uczestniczenia w war honorowej przy trumnie, którą wyst wiono pod Łukiem Triumfalnym.

Wszystko to było jeszcze skrom tylko zapowiedzią procesu, który odt toczył się nieprzerwanie i dobiegł końca w czasie tegorocznego jubileus Największy poeta Francji stał się zupełnie nienawistny burżuazji. Niewa pliwie, klasyk to bardzo niewygod dla dzisiejszych rządców Francji o ich amerykańskich mocodawców — e tuzjasta ruchów wolnościowych, obroń Johna Browna, bohatera walk o wyzw lenie amerykańskich Murzynów, oska życiel wszelkiej krzywdy społecz i wszelkiego ucisku, głosiciel idei poko

Maciej Żurowski

LIPIEC 1830

Gdy ze snu miasto me wyrwane
Z piersi już dobyć tchu nie może,
Kiedy się budzi uwiązane
Na bezlitosnych praw powrozie,
Na zbrodnię serce odpowiada:
Wam nie pomoże nawet zdrada!
Już dziś jutrzejszy blask się jarzy!
Ludu nie zwabi się jak dziecka.
Nie zejdzie z drogi, choć zdradziecka
Ręka przestawi drogowskazy.

Prawdo, ty umiesz opór każdy
Porazić słów twych piorunami.
Przemoc nie zdławi cię, nie zmiażdży,
Bo kneble można rwać zębami.
Król ci do Luwru może drogę
Zagrodzić, może on Twój ogień
Zgasić rękami swych pajaców.
Lecz dłoń się sparzy nieostrożna.
Lecz zamknąć twoich ust nie można,
Jak się zamyka drzwi pałacu.

Czyżby dziedzictwo ojców naszych
I to, co zdobyliśmy sami,
Cały wysiłek ludzkiej rasy,
Czyżby to wszystko było dla nich?
Czyż prawa, tytuł naszej chwały
Miałyby paść, jak gmach nietrwały,
W oczach człowieka, bez litości,
Pod zbrodniczymi ich rękami?
I czyżby miał być zmarnowany
Czterdziestoletni trud wolności?

To dla nich miecz nasz blaskiem chwały
Oświecił kraje i krainy.
A więc to tylko dla zabawy
Spadały głowy z gilotyny.
To dla tej zgrai nędznych katów
Ojcowie nasi dali światu
Wzór godny cnót starożytności.
Dla nich się miasta wyludniły,
I pola, co się zieleniły,
Pokrywa biel człowieczej kości.

Głupcy, wam mrzonka świat przesłania,
Oślepia oczy, bo nie widzą,
Że za waszego panowania
Chmurami pokrył się horyzont.
Nie widzą głupcy zaślepieni,
Że naokoło świat się zmienił,
Że łuna bije spoza chmury,
Że dal rozcina błyskawica
I że ludowa groźna lwica
Coraz to patrzy na pazury.

SZTUKA I LUD

I

Sztuka jest szczęściem, wzrusza, zachwyca,
Burzę rozdziera jak błyskawica,
W pogodę lśni blaskiem zorzy.
Radość największa, powszechna chwała
Na czole ludu błyszczy wspaniała
Jak gwiazda na czole Bożym.

Sztuka jest pieśnią prostą i czystą.
Świat w niej rozbrzmiewa mową ojczystą,
Miasteczka nucą ją gajom,
W niej się mężczyzna zwierza kobiecie
I serca wszystkich ludzi na świecie
Chórem ją zgodnym śpiewają.

Sztuka jest myślą, co bez oręża
W walce o przyszłość świata zwycięża
Nad Tybrem, Renem, Dunajem.
Wzrusza niewoli niebo i ziemię
I budzi ludy wolności tchnieniem,
A wolnym już wielkość daje.

II

O Francjo miła, niezwyciężona,
Śpiewaj swe wdzięczne pieśni, wpatrzona
W niebo, co słońcem się śmieje.
A pieśni twoje, ludu serdeczny,
Cały świat słyszy, słucha w nich wdzięczny
Sobie śpiewaną nadzieję.

Ludu mój miły, śpiewaj o świcie,
Śpiewaj o zmierzchu! Z pieśnią przez życie!
Trud twój jest źródłem radości.
Pożegnaj drwiną wiek, co zachodzi,
Pieśnią powitaj wolność, bo wschodzi,
A szeptem mów o miłości.

Ludu do pieśni! Italio święta,
Węgry męczeńskie i z krzyża zdjęta
Polsko rozdarta na części!
Ludu do pieśni! Zadrżyj, tyranie,
Bo w pieśni ludu przez łzy śpiewanej
Słychać lwa pomruk złowieszczy.

WESOŁE ŻYCIE

I

Łotry, głupcy, oszuści, wszechwładni panowie,
Zasiadajcie do stołu! Rozkosze gotowe
Tylko na was czekały.
Używajcie żywota, raz się tylko żyje!
Ten lud otumaniony, który żywcem gnije,
Do was należy cały.

Sprzedajcie państwo! Lasy wytnijcie, a ziemię
W pustynny piach przemieńcie. Niech rodzą kamienie!
Wasze nastały czasy!
A ręka niech wam nie drży! Niechaj śmiało kradnie
Nędzarzom wsi i miasta grosze ich ostatnie!
Bierzcie jak z własnej kasy!

Używajcie rozkoszy! Niech was to nie zraża,
Że na gnijącym wyrku rodzina nędzarza
Na śmierć głodową czeka!
Ojciec rękę wyciąga i o zmiłowanie
Żebrze, a biednej matce aż serce się łamie,
Że dziecko nie ma mleka.

II

Złoto! Lista cywilna! Pałace wspaniałe!
Na własne oczy w norach miasta Lille widziałem
Prawdziwe piekło z bliska.
Pod ziemią żyją widma ludzi umęczonych,
Rachityzm na ich członkach żałośnie skręconych
Żelazną pięść zaciska.

Stęchły zaduch piwniczny powietrze przenika,
I z żałosnym współczuciem patrzą na gruźlika
Ślepca umarłe oczy.
Trzydziestoletni starzec nie poznał młodości,
A czuje jak śmierć co dzień w krew, mięśnie i kości
Swoją truciznę tłoczy.

Chłód, tylko deszcz o szybki okienne zacina.
Widzę was, robotnicy, nędzna suteryna
I życie zmarnowane.
Kołowrotek się kręci na jawie i we śnie.
Glisty snują się w sinym blasku, który pełźnie
Przez szyby zapłakane.

Nędza — myśli mężczyzna patrząc na kobietę.
Biedne serce ojcowskie jakby z krzyża zdjęte,
Tylko rozpacz w nim żywa!
Kiedy córka z ulicy wraca i boleśnie
Patrząc, chleb mu podaje, on bierze, lecz nie śmie
Spytać ją, skąd przybywa.

Tam beznadzieja drzemie łachmanem okryta.
Wiosna życia, co wszędzie różami zakwita,
Tam jest podobna zimie.
Dziewica, róża w słońcu, tam jest przezroczysta.
Wychudzona na szkielet i naga jak glista.
Tam ludzkość z głodu ginie.

W lochach piwnicznych żyje nędzarzy tłum niemy.
Zapomniało ich słońce i nieludzkiej ziemi
Pochłonęły przepaście.
Kiedy mała dziewczynka z twarzą jak starucha
Mówi nie zapytana, ze zdumieniem słucham,
Że lat ma osiemnaście.

Dziecinę swoją kładzie matka nieszczęśliwa
Do nory wygrzebanej. Pieszczotą okrywa
Dziecko drżące jak pisklę.
Tam ziemia jest gościnna. Dziecinę przybyłą
Wita bowiem serdecznie gotową mogiłą.
Ona zastąpi kołyskę.

O miasta Lille piwnice! O wcielenie piekła!
Pamiętać będą oczy, z których łza wyciekła,
Te cuchnące rudery!
Widzę dziki wzrok dziewcząt i nie zapomniałem
Widma dziecka przy piersi matki skamieniałej!
O Dante Alighieri!

Majątek wasz panowie z tej się rodzi męki.
Ona żywi rozrzutność twojej hojnej ręki,
Jaśniewielmożna zgrajo!
Krople wody z piwnicznych ścian, z płaczących okien,
A z serc umierających krople krwi, potokiem
Do twoich kas spływają.

Tyrania wciąż obraca swe mordercze tryby,
A śruba podatkowa, ten geniusz ohydy —
Takie nastały czasy —
W dzień i w noc się zawzięła na nas niestrudzona
I żywych ludzi miażdży tak jak winogrona,
By złoto szło spod prasy.

Z tych agonii nieludzkich, z boleści głębokiej,
Z ciemności, gdzie promyka nadziei swym okiem
Nigdy nikt nie zobaczył,
Z tych nor, gdzie tylko czarne słońce nędzy świeci,
Z tej stłoczonej gromady ojców, matek, dzieci
W bezgranicznej rozpaczy,

Tak, z tej góry nieszczęścia i straszliwej nędzy
Toczą się hałaśliwie strumienie pieniędzy
Złote, srebrne, miedziane;
Sięgają po pałace, sławę i honory,
Chodzą w wieńcach różanych radosne potwory,
Krwią ludzką malowane.

III

Rajskie życie! Spełniajcie kielichy panowie!
Gra muzyka, na szybach blaski lśnią tęczowe,
Gną się stoły pod jadłem;
A za bramą pałaców waszych, piękne młode
W noc ciemną na ulice wypędzone głodem
Drżą dziewczyny upadłe.

Tych ohydnych rozkoszy wspólnicy okrutni,
Płatni mówcy, żołdacy, sędziowie przekupni,
Zarozumiałe klechy!
Nędza blasku dodaje wspaniałym pałacom!
Ubodzy ludzie głodem i gorączką płacą
Za te wasze uciechy.

W parku Saint-Cloud wchłaniając jaśminy i wiosnę
Rój półnagich faworyt objętych miłośnie
Lśni w malowniczej grupie.
A gdy wieczorem festyn zacznie się wspaniały,

To każda z nich z uśmiechem w swoich ząbkach białych
Żywe dzieciątko schrupie.

Lecz furda! Co tam smutek! Rozjaśnijcie twarze!
Czy po to jest się księciem, prałatem, cesarzem,
By odmawiać różaniec?
Ten lud, który pod waszym butem ledwie dyszy,
Powinien być szczęśliwy, że śmiech wasz usłyszy
I zobaczy wasz taniec.

Co się w kieszeń nie zmieści, to się zmieści w kufrze!
Śpiewaj Troplongu! Śpiewaj Barochu! Sibourze,*)
Winem napełnij szklankę!
Żryjcie! Niech się ludowi kiszki z głodu skręcą!
I urządźcie ponad tą najstraszliwszą nędzą
Wasz najwspanialszy bankiet!

IV

Tratują ciebie ludu, groźna barykado,
Zwycięska w walce! Wczoraj trwogę siało bladą
Czoło twe krwią zalane.
Dziś pod nogi rzucona! Dziś ciebie panicze
Tratują pojazdami. Dziś dla nich ulice
Tobą wybrukowane!

Za twe pieniądze Cezar głodem ciebie morzy.
A ty jak pies, którego właściciel batoży,
Idziesz przy jego nodze?
Dla niego — dostojeństwa, dla ciebie — łachmany
I córek twych niesława. Bo on ich wdziękami
Zabawia swoje żądze.

V

W głosie poety zabrzmi mściwy głos historii.
Nie stłumi go, oprawcy, śmiech błazeńskiej sfory,
Ani drwina niczyja.
Pomszczona będziesz Francjo, matko moja biedna,
Bo z wyżyn nieba zstąpi i wrogów twych przegna
Słowo, które zabija.

Podli, wy się rzucacie na lud pohańbiony
I w jego biednym ciele zanurzacie szpony
Z furią dzikiego zwierza!
Nie spuszczacie z ofiary zbójeckiego oka,
Mówiąc: — Co tam poeta! On zawsze w obłokach!
— Z obłoków grom uderza!

---

*) Osobistości II Cesarstwa: Sibour — arcybiskup Paryża, Troplong przewodniczący senatu, Boroche — przewodniczący Rady Państwa.

MOMOTOMBO

„Chrzest wulkanów jest starym zwyczajem sięgającym pierwszych lat podboju. Wszystkie kratery Nikaraguy zostały wówczas poświęcone. Wszystkie oprócz krateru Momotombo. Żaden misjonarz, który się udał by umieścić krzyż na jego szczycie, stamtąd nie powrócił".

Squier: „Z podróży do Ameryki Południowej".

Widząc trzęsienia ziemi plon niepożądany
Król Hiszpanii nakazał ochrzcić te wulkany,
Które jego zamorski kraj niepokoiły.
I wulkany bez słowa na chrzest się zgodziły.
Jedynie Momotombo króla nie usłuchał.
Iluż mnichów z imieniem Ojca, Syna, Ducha
Na ustach i ze wzrokiem wzniesionym do góry
Zanosiło sakrament na ten szczyt ponury!
Kto się tam wejść odważy, ślad po nim zaginie.

O Momotombo, nagi i łysy olbrzymie,
Co śniąc nad brzegiem morza, ofiarujesz ziemi
Tiarę wykutą z cienia i blasku płomieni,
O góro niebotyczna, co winien ci człowiek,
Że nie chcesz z ręki jego przyjąć Boga? Powiedz!

Wtedy wstrzymując lawę, która siała grozę,
Momotombo te słowa rzekł poważnym głosem:

O Bogu stąd wygnanym ja mam złe wspomnienie.
Skąpiec, by ukryć złoto, rył dokoła ziemię;
Żywił się ludzkim mięsem, z otwartego pyska
Woń zgnilizny buchała tak jak dym z ogniska.
Mieszkał w ponurej grocie zamkniętej dla światła,
A ozdobą świątyni był kat arcykapłan.
U stóp miał stos piszczeli, usta jego głodne
szukały wciąż pucharu, by pić nową zbrodnię;
Żmija miast bransolety zdobiła mu ramię,
Krew ludzka z ust mu ciekła. Ten czysty firmament
On kalał czarnym widmem grozy i zniszczenia.
Często gniew mnie porywał i trzęsła się ziemia.
Dlatego gdy na drżącej ze wzruszenia fali,
Stamtąd, gdzie słońce wstaje, przyszli ludzie biali,
Serdecznie powitałem nowych gospodarzy.
Duszę, myślałem wtedy, widać w barwie twarzy;
I tym jest człowiek biały, czym niebo niebieskie;
Dobry jest Bóg, którego ten człowiek jest dzieckiem;
Zbrodnie się nie powtórzą i dobro zwycięży.
Rad byłem, gdyż w pogardzie miałem dawnych księży.
Lecz gdy się przypatrzyłem przybyszom przy pracy,

Kiedy z bliska ujrzałem nowych podpalaczy,
I żagiew ich płonącą, tę żagiew przeklętą,
Którą wy nazywacie Inkwizycją Świętą,
Kiedy poznałem sposób, w jaki Torquemada
Do serc ciemnych dzikusów ziarno prawdy wkłada,
I jak Trybunał Święty rozprasza ciemności,
Jak uczy, dając żywy wzór doskonałości;
Kiedy w Limie ujrzałem olbrzymi słup ognia
Pożerający dzieci, kiedy jak pochodnia
Ludzkie życie płonęło, i kiedy dym czarny
Wił się na piersiach kobiet ginących w męczarni,
Kiedy sam nawet byłem bliski uduszenia
Przez trujące wyziewy ich całopalenia;
Ja, który żarem moim tylko noc spalałem,
O własnej serdeczności ze zgrozą myślałem.
I przyjrzawszy się Bogu cudzoziemca, rzekłem:
Czy warto stare piekło przegnać nowym piekłem?

WYGNANIE

— Patrz wygnańcze, kwitną kwiaty,
Radość się budzi w naturze.
Maj kwieciste włożył szaty,
By ofiarować ci róże.

— Pamięć wygnańca
Inne mi róże podaje.
Kiedy daleka jest Francja,
Nawet maj nie jest majem.

— Patrz wygnańcze, darń cmentarną
Wzruszyło słońce majowe.
Maj pod skrzydła swe zagarnął
Nawet kamienie grobowe.

— W oczach wygnańca
Twarz drogiej zmarłej mi staje.
Kiedy daleka jest Francja,
Nawet maj nie jest majem.

— Patrz wygnańcze, w cichym sadzie
Gniazda pod liści sklepieniem,
Maj w nie białe skrzydła kładzie
I nieskończone westchnienie.

— Serce wygnańca,
W piersi mej serce się kraje.
Kiedy daleka jest Francja,
Nawet maj nie jest majem.

*
* *

Ja kwiat ten na wzniesieniu dla ciebie zerwałem.
Na stromo ponad falą zawieszonej skale,
Którą widziały tylko orle oczy z bliska,
Wyrósł i kwitł spokojnie w szczelinie urwiska.
Cień chłodem swym omywał groźny występ skalny;
I wtedy w moich oczach, jak łuk tryumfalny,
Który na polu chwały wznoszą ręce dumne,
Tam gdzie słońce złożyło w kamienistą trumnę
Promień swój, noc wznosiła pyszny łuk z obłoków.
Żagle w dal odpływały i malały w oku.
U stóp mych dachy domków w kotlinie drzemały
Niewidzialne, jak gdyby blasku dnia się bały.
Ja kwiat ten, miła moja, zerwałem dla ciebie.
Blady jest i bezwonny, bo w skalistej glebie
Niewiele dla korzonków swoich znalazł strawy;
Ma gorzki i surowy zapach morskiej trawy.
Rzekłem mu: los gotował tobie, kwiecie biedny,
Śmierć smutną w oceanu nieskończonej bezdni,
Gdzie giną algi, żagle. Lecz ciebie śmierć czeka
Na sercu, tej najgłębszej otchłani człowieka.
Więdnij na piersi tkliwej, w niej świat jest zamknięty.
Przeznaczeniem twym były burzliwe odmęty
Morza, ja miłości ofiaruję ciebie.
Wiatr targał, pienił fale; na gasnącym niebie
Dzień powoli umierał, aż opadł bez siły.
O, jakże smutne wtedy myśli moje były!
Gdy dumałem, wstał wieczór i otchłanią czarną
Do wstrząsanej dreszczami duszy mojej wtargnął.

WIECZÓR W BRETANII

Mgła przenikliwa i wrzosy bure;
Do wodopoju zmierzają woły;
Na czarnym niebie wstał księżyc goły
I blask znienacka rzucił na chmurę.

Nie wiem gdzie, kiedy, źle czy też dobrze
Mistrz Iwon stary grał na swej kobzie.

Podróżny idzie, w landach noc ciemna;
Cień stąpa z tyłu, cień kroczy z przodu;
Zachód jest blady, blask lśni od wschodu,
Tu zmierzch się kładzie, tam wstaje pełnia.

Nie wiem gdzie, kiedy, źle czy też dobrze
Mistrz Iwon stary grał na swej kobzie.

Pod siwą strzechą pająk sieć mota;
Obwisłą wargę wysuwa strzyga;
Chochlik połyska w błędnych ognikach
Jak w tulipanie słupek ze złota.

Nie wiem gdzie, kiedy, źle czy też dobrze
Mistrz Iwon stary grał na swej kobzie.

Już rwą się żagle, już maszt się chwieje,
Śmierć patrzy w oczy rybackim kutrom.
Dziś! mówi woda; wiatr mówi: jutro!
W oddali głosy tracą nadzieję.

Nie wiem gdzie, kiedy, źle czy też dobrze
Mistrz Iwon stary grał na swej kobzie.

Z Avranche daleko jest do Fougères;
Ubitym traktem karoce jadą;
Mrok się wyraża z taką przesadą,
Że jak trzask z bata brzmi każdy szmer.

Nie wiem gdzie, kiedy, źle czy też dobrze
Mistrz Iwon stary grał na swej kobzie.

W ostępie leśnym ogień migoce;
Stary cmentarzyk na wyniosłości;
Skąd Pan Bóg bierze tyle ciemności,
By nią napełnić serca i noce?

Nie wiem gdzie, kiedy, źle czy też dobrze
Mistrz Iwon stary grał na swej kobzie.

Na wydmie błyszczą srebrne kałuże;
Siadł orzeł morski na jasnym stoku;
Ostro się odbił w pasterskim oku
Lot oszalałych diabłów na chmurze.

Nie wiem gdzie, kiedy, źle czy też dobrze
Mistrz Iwon stary grał na swej kobzie.

Z komina szary pióropusz pełznie;
Drwal się ugina pod swym brzemieniem;
Słychać jak szumią rwące strumienie,
Słychać jak szumią drżące gałęzie.

Nie wiem gdzie, kiedy, źle czy też dobrze
Mistrz Iwon stary grał na swej kobzie.

Wilkom się z głodu śnią sny głodowe;
Rzeczułka płynie, obłok pomyka;
Za szybką widać w świetle płomyka
Główki dziecięce jasno różowe.

Nie wiem gdzie, kiedy, źle czy też dobrze
Mistrz Iwon stary grał na swej kobzie.

przełożył **Zbigniew Bieńkowski**

N KOTT

Wiktor Hugo

Żyją ci, którzy walczą". Wiktor go był pisarzem walczącym i Wik- Hugo żyje wśród nas, tak jak żyje ród wszystkich wolnych ludów ata. „Przed stu pięćdziesięciu laty pisał niedawno Aragon — Francja a światu człowieka, w którym at ją zawsze rozpozna, jak Włochy Dantem, Anglię w Szekspirze, Ro- w Puszkinie, i Niemcy w Goethem. ecko, które ojciec, żołnierz Cesar- a nazwał Wiktorem, a którego po- owe cesarstwo jest dziś tak wiel- że słońce wschodzi i zachodzi na ziemiach i nie ma kraju, gdzieby znano dzisiaj imienia Wiktora go".

Wielkość Wiktora Hugo można zmie- wielkością drogi, jaką przeszedł. ie jego obejmuje niemal cały wiek więtnasty, był jednym z naj- kszych synów tego wieku. W jego życiu i w jego książkach, bo życie jego tak jak życie Mickiewicza jest także świadectwem i dziełem, w jego wielkości, ale również w jego tragicznych pomyłkach i załamaniach, odczytujemy dzieje trzech rewolucji, które zmiotły trzy trony, trzech rewolucji, którę zrodził gorący bruk paryski.

Jest w Nędznikach wspaniała scena, kiedy paryski ulicznik, Gavroche, zbiera pod ogniem karabinowym porzucone pociski dla walczącej barykady. Na salwy wojsk rządowych odpowiada zuchwałą uliczną piosenką. „Ów malec — pisze o nim Wiktor Hugo — miał w sobie coś z Anteusza, dla ulicznika dotknąć bruku, to jak dla tego olbrzyma pchnąć ziemię". Wiktor Hugo jest także podobny do mitycznego Anteusza, kiedy dotknie ziemi, kiedy stanie wśród paryskich barykad wyrasta na trybuna ludu, sta-

je się głosem Francji. Tej Francji, która walczyła z despotyzmem i umiłowała wolność, tej Francji, która stawiała barykady w roku 1830, 32 i 48, która nie chciała ugiąć karku przed zaborcą w roku 1870. Natchniony głos Wiktora Hugo był głosem tej Francji, którą nazywano krainą wolności; głos ten słyszymy i dzisiaj, jest on głosem narodu francuskiego, który walkę o wolność i narodową godność prowadzi dalej, którego nikt nie rzuci na kolana, którego nikt nie zmusi, aby wyrzekł się tradycji Woltera, Russa i Wielkich Encyklopedystów, tradycji wielkiej rewolucji, Komuny Paryskiej i Ruchu Oporu, który zdrajcom i zaprzańcom odpowie tak jak Wiktor Hugo odpowiedział angielskiemu ministrowi lordowi Palmerston:

„Kiedy my wymawiamy słowa postęp, rewolucja, wolność, ludzkość — wy, godni litości, uśmiechacie się i wskazujecie nam noc, w której jesteśmy pogrążeni i która was spowija. Czy wiecie, co ta noc oznacza? Z niej wyłoni się niebawem potężna i promienna idea. Demokracja — wczoraj była nią Francja; jutro będzie nią Europa".

Tak pisał człowiek, który był „cudownym dzieckiem" rojalistycznych salonów w okresie Restauracji, który był parem Francji za Ludwika Filipa, który został proskrybowany przez Ludwika Napoleona i był przez dziewiętnaście lat wygnańcem politycznym. Aby zrozumieć wielkość Wiktora Hugo, trzeba odczytać drogę jego życia. „Jeśli to prawda — pisał z wygnania w przedmowie do O d i b a l l a d z roku 1853 — że Murat (szwagier Napoleona, potem marszałek Francji i król Neapolu) pokazywał z niejaką dumą bicz pocztyliona obok swego królewskiego berła i mówił: „Tak zaczynałem!", myślę, że z dużo słuszniejszą dumą można pokazać rojalistyczne ody dziecka i młodzieńca obok poematów i książek demokratycznych człowieka dojrzałego... Wznieść się z szopy do pałacu, to rzecz rzadka i piękna; wznieść się od błędu do prawdy, to rzecz jeszcze rzadsza i piękniejsza... W tej ciężkiej walce z przesądami, wessanymi z mlekiem, w tym powolnym i uciążliwym podnoszeniu się od fałszu do prawdy, które w pewnym sensie tworzy z życia człowieka i z rozwoju jego świadomości symbol ludzkiego postępu, za każdym przebytym stopniem musiałem opłacać ofiarą materialną swój wzrost moralny, wyzbyć się jakiejś próżności, rezygnować z dóbr i zaszczytów świata, wystawiać na ryzyko swój los, dom rodzinny, życie..."

Ojciec Wiktora Hugo, plebejusz z pochodzenia, był żołnierzem rewolucji i napoleońskim generałem. Matka, była rojalistką z kontrrewolucyjnej Wandei. W dzieciństwie zobaczył jeszcze Wiktor Hugo podbitą Europę przez Cesarza; Neapol przypominający wielki wojskowy obóz i pusty Madryt nienawidzący okupantów. Mijał, jeżdżąc za ojcem w napoleońskich furgonach, pułki żołnierzy idące na wciąż nowe fronty i zdziesiątkowane oddziały inwalidów wracające do kraju. Potem przyszła Restauracja. Miał lat szesnaście, kiedy otrzymał pierwszą nagrodę literacką, miał lat siedemnaście, kiedy odurzony sławą Chateaubrianda założył pismo K o n s e r w a t y s t a l i t e r a c k i, miał lat dwadzieścia, kiedy wydał swoje pierwsze ody i otrzymał od króla pensję w wysokości tysiąca franków. Nazywano go *l'enfant sublime*. Przytuliły go otworzone na nowo salony arystokratów, którzy powrócili z emigracji.

Pierwsza fala romantyzmu była wyrazem reakcji na rewolucję francuską, wyrazem buntu i przerażenia feuda

wobec rodzącego się porządku talistycznego i rządów burżuazji, ucieczką w mroczny świat mi- i idealizacją średniowiecza. Mi- em i bardem tego wstecznego ro- tyzmu był Chateaubriand. Ale antyczna krytyka świata, którym lzi pieniądz padała nie tylko z ów św. Trójcy, ale również z ipowań artystycznej młodzieży, ezentującej szerokie kręgi rady- ego drobnomieszczaństwa. Postę- y nurt romantyzmu był wyrazem tu wobec ograniczenia swobody i ności życia, wobec powolnej prze- ny wszelkich wartości duchowych towar, mający określoną cenę na ku, wyrażał pragnienie wolności ostek i narodów, wiązał się z de- ratycznymi ruchami rewolucyjny- W latach, w których debiutował tor Hugo obóz romantyczny przed- iał jeszcze wielką mgławicę ideo- czną, w której ciasno splatały się sobą tendencje wsteczne i po- owe.

Poglądy literackie są wtedy w każ- z obozów w niezgodzie z pogląda- politycznymi". (Balzac).

le ta jaskrawa wewnętrzna zeczność programu literackiego i tycznego nie mogła trwać długo. tałtowanie się postępowego nurtu antyzmu uległo gwałtownemu śpieszeniu za panowania Karo- X, które przyniosło nawrót białe- terroru, kontrolę nad sumieniami i lami oddało jezuitom, a rządy nad ncją feudalnej kamaryli. Rozcho- się odtąd na zawsze drogi Wik- Hugo i legitymistów. Bohaterem pierwszej powieści, wydanej w 1826, jest Bug Jargal, bohaterski wódca powstania niewolników na Domingo w roku 1791. Ten sam Jargal, któremu płomienny ch, nieznany, niestety, naszym historykom sztuki, poświęcił Daniel Chodowiecki.

Tom Poezji wschodnich dźwięczy już nutą aktualną. Niech nas nie złudzi wschodni kostium. Nie jest on tylko poetycką dekoracją. Wiersze poświęcone są wyzwoleńczej walce narodu greckiego, ich żarliwość budziła zachwyt Puszkina. Wiktor Hugo oddaje hołd greckiemu chłopcu, który wśród ruin rodzinnego miasta marzy o zdobyciu broni, aby ją zwrócić przeciwko najeźdźcom. Po raz pierwszy człowiek z ludu zjawia się w wierszach Wiktora Hugo i rzuca groźne ostrzeżenia królom, jak w owym słynnym wierszu, napisanym na półtora miesiąca przed rewolucją, Marzenia przechodnia na temat króla.

Wcześniej wydana przedmowa do Cromwella jest pierwszym wielkim manifestem i pierwszym wielkim triumfem romantyzmu.

Hugo przywołuje na pomoc wielki przykład Szekspira, z tradycji teatru francuskiego wybiera Moliera i Beaumarchais'go jako wzory godne naśladowania. Walczy o pokazanie w teatrze pełni życia, jego patosu i jego brzydoty; walczy z narzuconą przez arystokratów cenzurą dobrego smaku. Posłuchajmy: „Szekspir — oto dramat, który stapia w jednym podmuchu groteskowe i wzniosłe, potworne i komiczne, tragedię i komedię..." I dalej: „Wszystko, co jest w naturze, jest w sztuce".

Przedmowa do Cromwella jest dowodem, jak silny podmuch realizmu niósł ze sobą nurt postępowego romantyzmu.

Teatr stał się trybuną polityczną. Premiera Hernaniego, która przyszła po królewskim zakazie grania wcześniejszej sztuki Wiktora Hugo Marion Delorme, była wielką polityczną batalią. Batalią wygra-

ną przez romantyków. Anegdota historyczna przekazała nam pamięć o gwizdach lóż i wściekłych oklaskach parteru, o czerwonej kamizelce Gautiera, która przerażała arystokratycznych widzów. Premiera H e r n a n i e g o była nie tylko starciem romantyków z klasykami, starciem dwóch estetyk i dwóch ideologii. Była również starciem dwóch publiczności. Na premierę sztuki o bandycie i buntowniku, który zwycięsko rywalizuje z królem o serce kobiety, przybyły, jak je nazywano wtedy pogardliwie, bandy Hugo, knociarze z mansard paryskich, kamieniarze, którzy obtłukiwali pomniki i uważali się za rzeźbiarzy; muzycy, poeci i studenci, prawnicy bez spraw i klientów, lekarze bez chorych, cała owa paryska cyganeria, w tym samym stopniu artystyczna, co polityczna. Tej publiczności arystokratyczni klasycy nie mogli darować Wiktorowi Hugo. Było to zwycięstwo kawiarni, poddasza i redakcji nad arystokratycznym salonem. Przed siedmiu laty w dalekim Wilnie i w dalekiej Warszawie toczył się ten sam spór, spór nie tylko romantyków z klasykami, ale parweniuszów z posesjonatami i dygnitarzami ze stolicy. Czytelników i wielbicieli Hugo nazywano „bandą" i „brudną czeladzią", czytelników i wielbicieli Mickiewicza nazywano „pińskimi głowami", a jego czytelniczki „brudnymi litewskimi pomywaczkami".

Premiera H e r n a n i e g o była literackim prologiem rewolucji lipcowej. Wolności, jakiej bronił Wiktor Hugo, lud nadał wkrótce nowe znaczenie. Bo przecież w tej Francji legitymistów i liberałów, orleanistów i bonapartystów, wielkich feudałów, którzy rządzili, i bankierów, którzy chcieli rządzić, był jeszcze lud francuski, lud, który nie zapomniał Konwentu i nie zapomniał zburzenia Bastylii.

W ciągu trzech lipcowych dni powstanie ludu paryskiego zmiotło z tronu Burbonów. Ale klasa robotnicza była jeszcze zbyt słaba i zbyt niedojrzała, aby odważyć się na sięgnięcie po władzę. Lud zdobył Tuilleries i je opuścił. Zwycięstwo ludu przeraziło burżuazję. Jej oficjalny organ, *Journal des Debats*, nazwał zwycięstwo robotników „inwazją barbarzyńców". Ale kiedy robotnicy spokojnie wrócili do domów, burżuazja otrząsnęła się ze strachu i sięgnęła po władzę.

„Po rewolucji lipcowej — pisze Marks w W a l k a c h k l a s o w y c h w e F r a n c j i — liberalny bankier Laffitte odprowadzając z triumfem swego kompana, ks. Orleańskiego, do Hôtel de Ville, rzucił następujące słowa: „Odtąd będą panowali bankierzy". Laffitte zdradził tajemnicę rewolucji. ...„W dni lipcowe robotnicy wywalczyli burżuazyjną monarchię".

Wiktor Hugo pozostał demokratą liberalnym.

Przyjdą jeszcze lata wielkich złudzeń i wielkich pomyłek. Ale widok barykad czerwcowych pozwolił Wiktorowi Hugo zrozumieć jedno, zrozumieć, że Francja — to lud francuski, że lud będzie decydował o historii narodu. Barykady czerwcowe związały Wiktora Hugo z narodem francuskim, związały silniej niż sam sobie początkowo zdawał sprawę, silniej niż kogokolwiek z współczesnych mu pisarzy francuskich.

Napisze teraz o sobie z bolesną prawdomównością: „Był czas, że Wandeę niemal bardziej ukochał nad Francję". W spiesznie rzucanych na papier notatkach D z i e n n i k a r e w o l u c j o n i s t y z r o k u 1 8 3 0 odczytujemy:

„Królowie mają dzień dzisiejszy, ludy mają dzień jutrzejszy".

„Ostatnią racją królów — pocisk matni, ostatnią racją ludu — uk uliczny".

jeszcze owo wspaniałe zdanie, e przypomni nam głos Mickiewi- z okresu T r y b u n y: „Pewnego wybuchnie w Europie powszech- wojna, wojna królestw przeciwko yznom".

wreszcie ów krótki szkic prawa orczego: „Art. 1. Każdy Francuz wyborcą. Art. 2. Każdy Fran- jest wybieralny". Hugo tytułuje fragment „Bardzo dobre prawo orcze", ale dodaje w nawiasie dy lud będzie umiał czytać".

sarz w tych latach przerasta ideo- : twórczość jego jest coraz silniej zana z ludem, świadomość — ob- na jeszcze złudzeniami mieszczań- go liberała. Twórczość Wiktora o podobnie jak twórczość Mickie- a, Słowackiego i Puszkina po- rdza fakt, że drożdżami wielkiego stępowego romantyzmu był ruch dowo-wyzwoleńczy i ruch rewolu- y w Europie. Romantyzm był yższym artystycznym wyrazem i ludów o wolność i wyzwolenie eczne, rósł razem z tą walką, co- głębiej dostrzegał istotne społecz- rzyczyny poniżenia człowieka. Sta- się sztuką narodu, orężem walczą-

roku 1831 wychodzi zaczęta jesz- przed rewolucją lipcową pierw- wielka powieść Wiktora Hugo w o n n i k z N ô t r e D a- Jest ona odważnym i całkowitym aniem z tą wizją średniowiecza, usiłowali narzucić reakcyjni ro- ycy. Nie ma w niej nic z pobożności poezji mrocznych katedr, którą ystywał się Chateaubriand, z mi- nych wzlotów duszy, które uosa- miała strzelista architektura goty- wzniosłego heroizmu wypraw krzy- ch, ze średniowiecza ślepej wiary i kornego posłuszeństwa. W cieniu wielkiej katedry dostrzega Wiktor Hugo krzątające się i zapobiegliwe mieszczaństwo, gniewny pomruk ludu powstającego przeciw duchowieństwu i sądowi królewskiemu, zwycięską myśl uczonego i geniusz nieznanego artysty.

W pierwszym dziesięcioleciu monarchii lipcowej teatr był trybuną polityczną Wiktora Hugo. Wielkie historyczne dramaty, nasycone gwałtowną retoryką agitacyjnego przemówienia, patetyczne i melodramatyczne zarazem, zawierały pełne drapieżnej aktualności aluzje polityczne.

Wiktor Hugo narzuca swoim bohaterom na ramiona historyczny kostium. Nie jest jeszcze zdolny pokazać człowieka współczesnego, bohatera walk ulicznych i ruchów spiskowych. Ale swoich historycznych plebejuszów wyposaża Wiktor Hugo w żarliwość i szlachetność współczesnych mu republikanów, obdarza ich wysokim poczuciem godności osobistej i moralnym pięknem karbonariuszy.

Teatr Wiktora Hugo był szkołą demokratycznych uczuć. Kiedy w trzydzieści lat później Napoleon III musiał w końcu pozwolić na wystawienie sztuk Hugo, namiętne brawa republikanów przerywające raz po raz przedstawienia dowiodły, że ładunek polityczny tego teatru nie ostygł. Teatr Wiktora Hugo uczył dalej nienawiści do despotyzmu.

Wiktor Hugo zadał śmiertelny cios klasycyzmowi. „Nigdy jeszcze nie pojawiło się w Europie — pisał współcześnie Bieliński — tak zgodne i silne dążenie do zrzucenia z siebie pęt klasycyzmu, scholastycyzmu, pedantyzmu czy też głupicyzmu (wszystko to jest jednym i tym samym). We Francji pojawił się Wiktor Hugo..."

Wiktor Hugo stoczył walkę o wiersz i język narodowy. Nauczył łamać

średniówkę w klasycznym aleksandrynie, nadał mu nową melodyjność, uczynił z niego sprawne narzędzie dramatycznego dialogu. Sięgnął śmiało do żywej mowy ludu, wrócił narodowemu językowi słowa wygnane przez pedantów ze słowników Akademii i sceny francuskiej.

Na pułk aleksandrynów stojących
w ordynku
Wiatrem od rewolucji idącym
powiałem,
Na stary słownik czapkę zatknąłem
frygijską...
Nie ma słów patrycjuszów i słów
plebejuszów.

W roku 1848 robotnicy paryscy wymuszają na burżuazji ustanowienie republiki. W roku 1848 burżuazja francuska jako klasa zdradza ostatecznie sprawę postępu, ostatecznie wyrzeka się własnej przeszłości rewolucyjnej, staje przeciwko narodowi. „Burżuazja — pisze Marks w 18 Brumaire'a — słusznie zdawała sobie sprawę z tego, że wszelki oręż, ukuty przez nią przeciwko feudalizmowi, zwraca się swym ostrzem przeciw niej samej, że wszystkie wytworzone przez nią środki oświaty buntowały się przeciwko jej własnej cywilizacji, że wszystkie stworzone przez nią bogi odwróciły się od niej. Pojmowała, że wszystkie tak zwane wolności obywatelskie i postępowe instytucje atakowały jej panowanie klasowe i zagrażały zarówno jego podstawie społecznej jak i jego wierzchołkowi politycznemu, a przez to stały się „socjalistyczne".

W okresie drugiej republiki, kiedy burżuazja staje przeciw narodowi, Wiktor Hugo zostaje z narodem, kiedy burżuazja staje przeciw ludowi, Wiktor Hugo zostaje z ludem. Jeszcze przez czternaście miesięcy od lutego 48 do czerwca 49 będzie wahał się i błądził, będzie łudził się i łamał w wnętrznie. Zostanie wybrany do zgr madzenia ustawodawczego z tej sam listy, z której kandydował Thiers Ludwik Bonaparte. Będzie niemy świadkiem czerwcowej masakry robo ników, ale odważy się wystąpić prz ciwko wydaniu sądowi Blanca i L dru-Rollina, będzie głosował przeciw ko wnioskowi, że Cavaignac — mo derca robotników — „dobrze zasłuż się ojczyźnie". Po latach napisze: „W r ku 1848 byłem tylko liberałem; dopie w 1849 zostałem republikaninem. Z baczyłem prawdę, wtedy, kiedy by zwyciężona".

Zerwanie z reakcyjną większośc zgromadzenia nastąpiło w chwili, ki dy rząd chcąc zdobyć względy kle wysłał korpus ekspedycyjny do Włoc dla zduszenia rewolucyjnej władzy r publikańskiej w Rzymie i przywróc nia tam świeckiej władzy papież Wyprawę tę nazwał Hugo hań Francji. „Pewien wielki biskup mówił z trybuny parlamentarnej - powiedział w słynnej książce, że p pież ma dwie ręce zawsze otwarte że z jednej z nich płynie nieustann na świat wolność, a z drugiej mil sierdzie. Oto widzicie panowie, p pież zamknął obie ręce".

Pisarz staje się trybunem ludu. W rasta w walce politycznej, śmiałym odważnym głosem demaskuje wczora szych liberałów, którzy przygotowu zamach stanu, którzy odebrać chcą l dowi wszystkie wywalczone wolnoś którzy narzucić chcą Francji ciem noc despotyzmu i klerykalizmu. Rea cyjne zgromadzenie nie dopuszcza do głosu, obsypuje go wyzwiskami obelgami. „Niech pan to każe zag w teatrze, panie Hugo" — woła jed z deputowanych.

Zacytujmy oficjalne sprawozda z obrad.

Viktor Hugo: Pan, widać zna moje wisko, ale ja nie znam pańskiego.
łos z sali: Bourboussou.
Viktor Hugo: To lepiej niż się spo-ewałem.
o wzbudziło taką wściekłość reak-
Wiktor Hugo wystąpił przeciwko ynym wolterianom, którzy rzucali teraz w objęcia kleru i chcieli mu ać nadzór nad oświatą. Żądał ki bezpłatnej, przymusowej i świec-. Wystąpił przeciw partii kleryiej: „I to wy — krzyczał — chce- być władcami nauczania! Ach! ma poety, nie ma pisarza, nie ma zofa, nie ma myśliciela, którego cie uznali! Wszystko, co zostało isane, odkryte, wymarzone, wydo- i stworzone przez geniusz ludzki, rby cywilizacji, dziedzictwo poko- wspólny spadek rozumu i inteli-cji, wszystko to odrzucacie!... Gdy- mózg ludzkości leżał tutaj, przed zymi oczyma, do waszej dyspozy- otwarty jak karta książki, poczy-yście w nim skreślenia".
rzemówienia Wiktora Hugo mają czenie nie tylko historyczne. Kie-wsłuchujemy się dziś w ten mocny patrioty, myśli nasze biegną do ncji nie sprzed stu laty, ale do ncji obecnej, do tej Francji, któ-żyzne winnice imperialiści amery-scy zamieniają na lotniska i ko-y, do tej Francji, gdzie Henri tin za walkę o pokój zesłany jest katorgę, do tej Francji, której mi-rowie torują drogę do władzy fa-towskim bojówkom de Gaulle'a, Paryża, w którym żył Diderot i ac, Delacroix i Courbet, Pasteur rre Curie, a w którym dzisiaj rząd jmuje Eisenhowera i Adenauera. cztery tygodnie przed zamachem ı Ludwika Bonaparte mówił Wiktor :
óż się roztacza nad naszymi o-i. Wszystkie nasze wolności dosta-ły się w zasadzkę i zostały skrępowane; powszechne głosowanie zdradzone, wydane, okaleczone. Zamiast rządu ogromna intryga, historia może ją nazwie spiskiem, który z pięciu tysięcy urzędników czyni rodzaj masonerii bonapartowskiej w łonie narodu; każda reforma odkładana lub obalana; nieproporcjonalne podatki ciążące nad ludem; stan oblężenia w pięciu departamentach; Paryż i Lion pod dozorem; odrzucona amnestia; uchwalone deportacje; jęki w cytadeli algierskiej, tortury w Belle-Isle, kazamaty, w których nie pozwala się, aby gniły materace, ale w których pozwala się gnić ludziom; prasa prześladowana, sędziowie usuwani, za mało sprawiedliwości i za dużo policji, nędza na dole, anarchia na górze; samowola, przemoc, nierówność".

2 grudnia 1851 Ludwik Bonaparte dokonuje zamachu stanu. Wiktor Hugo razem z Carnotem i Favrem organizują komitet oporu. Tropieni przez policję rozdają proklamacje, odwiedzają barykady, próbują zorganizować opór zbrojny. Masy tylokrotnie oszukane nie odpowiadają na wezwanie. Wiktor Hugo musi opuścić Paryż. Przedostaje się do Belgii. Na pierwszych listach proskrybowanych jest jego nazwisko obok nazwiska rzeźbiarza Davida d'Angers.

„Za to — pisał — że broniłem pod wszystkimi postaciami wolności, sprawiedliwości, ludzkości, że zwalczałem pod wszelkimi postaciami samowolę, despotyzm, anarchię, kłamstwo, barbarzyństwo i ucisk, jestem w oczach burżuazji potworem. Biedna burżuazja robi to jedynie dlatego, że boi się o swoją pięciofrankówkę".

Wiktor Hugo przebywał na wygnaniu dziewiętnaście lat. Kiedy Napoleon III ogłosił w roku 1857 amnestię dla proskrybowanych, pisarz odpowiedział dumnie: „Wrócę do Francji, kiedy wróci do niej wolność". Kiedy mu Belgia odmówiła azylu przenosi się na skalistą

wysepkę Jersey, otwartą na Atlantyk, leżącą na wprost Normandii. Kiedy rząd angielski, chcąc się przypodobać Napoleonowi III, każe mu i tę wyspę opuścić, przenosi się Wiktor Hugo wraz z grupą przyjaciół na drugą wyspę normandzką Guernesey.

Jeszcze w Brukseli, zaraz po przybyciu pisze Wiktor Hugo swój słynny pamflet Napoleon Mały, który odegrał ogromną agitacyjną rolę w walce z drugim Cesarstwem. Hugo pokazuje jak na tronie francuskim zasiadł pospolity zbrodniarz, oszust i morderca. Ale pisarz widzi jedynie nikczemną postać Ludwika Bonaparte, jego czyni odpowiedzialnym za przewrót, nie dostrzega klasy, która go wydała, nie dostrzega, że za Ludwika Bonaparte jest odpowiedzialna burżuazja francuska. Marks pisze słusznie:

„Wiktor Hugo ogranicza się do gorzkich i dowcipnych inwektyw pod adresem odpowiedzialnego autora zamachu stanu. Samo wydarzenie przedstawia jako grom z jasnego nieba. Widzi w nim tylko akt przemocy jednostki. Nie dostrzega, że przypisując tej jednostce bezprzykładną w dziejach świata moc inicjatywy osobistej, nie pomniejsza jej przez to, lecz ją wyolbrzymia. ...Ja, przeciwnie, pokazuję, jak walka klas we Francji stworzyła okoliczności i stosunki, które bardzo przeciętnemu i groteskowemu osobnikowi pozwalają odgrywać rolę bohatera".

W Brukseli powstają także pierwsze wiersze wielkiego cyklu: Kary *(Les Châtiments)*, który jest szczytem twórczości Wiktora Hugo i jednym z najwspanialszych pomników politycznej poezji wszystkich narodów. Jest to wzór republikańskiej poezji, która uczy walczyć o wolność, nienawidzieć przemocy i kochać ojczyznę. Pięknie pisał Aragon: „Tutaj Hugo stał się człowiekiem już nie wzniosłych, ale dalekich idei, lecz sprawy, która narzuca działanie i wskazuje jego kierunek. Ma swoje miano: stał się człowiekiem pa tii. Z dawnego monarchisty, z pa Francji historia uczyniła konsekwer nego republikanina, najbardziej nie giętego, najbardziej przekonanego. P łączyła czyn ze śpiewem, myśl z pra tyką, przemieniła człowieka, który s uchylał od decyzji, w kapitana w czas burzy. Wszedł na statek, już się n ogląda za sobą".

Ten wielki cykl wierszy jest szko namiętności i szkołą odwagi, szkołą p gardy i szkołą patriotyzmu. Tylko wt dy, kiedy poeta wyraża uczucia lud głos jego staje się tak potężny. Je w tych wierszach patos i ironia, liryz i szyderstwo, płacz i gniew. Są w ni wszystkie ludzkie uczucia i użyte w nim wszystkie środki artystyczn Wiktor Hugo nie lęka się głosu podni sionego do krzyku, kiedy trzeba krz czeć, nie wstydzi się brutalnej inwel tywy, kiedy konieczna jest obelga, n ukrywa szlochu, kiedy trzeba płaka Słychać w tych wierszach wściekłe derzenia oceanu o granitowe skały w spy Jersey.

Na wygnaniu napisał Wiktor Hu Nędzników. Każdy z nas cz tał tę książkę, każdy z nas wzruszał s tą książką i nikt z nas nie zapom nigdy jej bohaterów. I najważniejsz każdy z nas chciałby, aby właśnie książkę przeczytał jego syn i jego córk

Dlaczego? Bo właśnie ta książka czy wiary w człowieka i w jego prz rodzoną szlachetność, bo pragnie pok zać wielkość człowieka i jasno odgr nicza dobro od zła. W wierszach po tycznych Wiktor Hugo nie lękał się ni nawiści i gniewu. W Nędznikac nie wstydzi się miłości do ludzi, nie lę się ukazywania prostych ludzkich czuć. Możemy ostro osądzać utopiz Wiktora Hugo i jego naiwną wiarę „zarażanie" dobrem. Ale jedno jest p wne, że od wielkich socjalistów ut

ych przejął Wiktor Hugo to, co by-
v nich najcenniejszego: wiarę w ro-
ı ludzki, wiarę w szlachetność czło-
ka, porywający ludowy optymizm.
oświadczenia roku 48 zostały zam-
ęte przez Flauberta w zdaniu: „Na-
vam mieszczaninem każdego, kto my-
płasko... Albowiem burżuazji nie
ıowi pewna klasa, pewna warstwa
eczna, lecz wszyscy, którzy myślą
o, płasko i nikczemnie". Flaubert
ıawidził mieszczaństwa. Ale nie wy-
cza nienawidzieć, trzeba wiedzieć,
o się nienawidzi. Flaubert nienaziił mieszczaństwa za głupotę, za
dę mieszczańskiego bytu. Wiktor
o nienawidził mieszczaństwa za los,
zgotowało ludowi. Flaubert bał
ludu i dlatego jego nienawiść do
szczaństwa była bezpłodna, proziła do nienawiści człowieka. „Unu-
ı ich wszystkich w tym samym
ie" — tak pisał o bohaterach swoich
ieści. Wiktor Hugo nienawidził mieaństwa, ale tej nienawiści odpowia-
ı głęboka miłość dla francuskiego
ı. Dzięki niej stworzył postacie Ja-
Valjean, Gavroche'a i Kosetty.
iktor Hugo spojrzał na historię od
ny mas uciemiężonych i wyzyski-
ych. Społeczna historia Restaura-
i Monarchii Lipcowej, to nie tylko
je ojca Goriot i Rastignaka, tra-
na kariera Juliana Sorela i Lucja-
de Rubempré, ale również dzieje
rnika Jana Valjean i sieroty Ko-
r.
w tym jest wielkość Wiktora Hugo
powieściopisarza.
spojrzenie na historię od strony
uciemiężonych i wyzyskiwanych
ıjdujemy i w P r a c o w n i k a c h
r z a, i w ostatniej z wielkich po-
ci Wiktora Hugo, w napisanym
koniec życia R o k u 1793.
tej powieści obok surowego i mą-
o kodeksu rewolucyjnej etyki od-
ıujemy utopizm Wiktora Hugo.

Czymże jest ten utopizm? Jest w tej powieści zastanawiająca scena, kiedy komisarz Konwentu mówi do dowódcy rewolucyjnych wojsk:

— „Znowu pogrążasz się w marzeniach rewolucyjnych". I słyszy odpowiedź:

— „To znaczy w realnej rzeczywistości".

Czymże jest utopizm Wiktora Hugo? Jest marzeniem ludu o przyszłości i wiarą w tą przyszłość. Jest wielkim optymizmem utopijnych socjalistów. Jest marzeniem, które pomaga walczyć.

Pamiętamy, co pisał Lenin o marzeniu: „Gdyby człowiek był zupełnie pozbawiony zdolności marzenia w ten sposób, gdyby nie mógł od czasu do czasu wybiegać naprzód i w wyobraźni przyglądać się całkowitemu i wykończonemu obrazowi tego tworu, który dopiero zaczyna kształtować się w jego rękach — gdyby tak było, to absolutnie nie mogę wyobrazić sobie, co pobudzałoby człowieka do przedsiębrania i doprowadzenia do końca wielkich i męczących prac w dziedzinie sztuki, nauki i życia praktycznego... Rozdźwięk pomiędzy marzeniem a rzeczywistością nie wyrządza żadnej szkody, jeżeli tylko osoba marząca poważnie wierzy w swe marzenie, jeżeli uważnie przypatrując się życiu porównywa swe obserwacje ze swymi zamkami na lodzie i w ogóle sumiennie pracuje nad urzeczywistnieniem swojego marzenia".

Posłuchajmy marzeń Wiktora Hugo: „Otóż przede wszystkim znieście pasożytnictwo: pasożytnictwo — księży, sędziów i żołnierzy. Następnie wyzyskajcie należycie wasze bogactwa, zamiast wyrzucać mierzwę do kanału, rzućcie ją na rolę. Trzy czwarte ziemi we Francji, to ugory; uprawiajcie te ziemie, znieście nieużytki i pastwiska, podzielcie grunta gminne. Wyzyskajcie ową wielką pogardzaną dotychczas pomocnicę — przyrodę. Zaprzęgnijcie do pracy powiewy wiatru, wodospady, wszyst-

kie prądy magnetyczne. Istnieje cała sieć żył podziemnych, przez które płynie woda, olej i ogień: należy otworzyć taką żyłę podziemną, a tryśnie z niej woda dla waszych studzien, olej dla lamp, ogień dla waszych mieszkań. Zastanówcie się nad ruchem fal, nad przypływem i odpływem morza i wieczną zmiennością wody. Co to jest ocean? Wielka, nieużytkowana siła. Jak głupia jest ziemia, że nie umie wykorzystać pracy oceanu!"

I po siedemdziesięciu latach odpowie Wiktorowi Hugo polski poeta:

Towarzyszu dzieci, owoców
i życzliwego klimatu,
jest kraj, gdzie zmienia się wnętrze [owoców,
jest kraj, gdzie zmienia się człowieka [wnętrze,
jest kraj, gdzie plan zmienia klimat.

I dalej trwa ten dialog poetów przez stulecia. Mówi Wiktor Hugo:

„Gdyby Bóg chciał, by człowiek cofał się wstecz, dałby mu oko z tyłu głowy. Kierujmy zawsze nasz wzrok ku jutrzence, ku narodzinom, ku rozkwitowi. Ci, co odchodzą, zachęcają wstępujących w życie. Trzeszczenie starego pnia jest wezwaniem dla młodego pędu... Człowiek nie po to został stworzony, by dźwigać łańcuchy, lecz po to, by rozwinąć skrzydła. Niechaj zginie człowiek płaz. Niechaj poczwarka przeistoczy się w motyla, niechaj robak ziemny stanie się jako kwiat i niechaj rozwinie swe skrzydła do lotu".

I odpowiada mu poeta socjalizmu:

Towarzyszu radości, niech rozrasta się [ogród,
gdzie dostatki tej ziemi, gdzie chleb [jej bezpłatny,
legendy Europy i fantazje Azji
plan i świadomość ogarnie.
Plan i świadomość,
wszystko, co człowiek dał Bogu,
stanie się ludzką potęgą.

Lata wygnania przynoszą nie tylk najświetniejsze dzieła Wiktora Hugo Wielki starzec na granitowej wyspi Guernesey staje się symbolem republi kańskiej Francji i symbolem braterstw wszystkich ludów walczących o wol ność. Nieugięty patriota jest jednocześ nie płomiennym internacjonalist W jakimkolwiek kraju toczy się walk o wyzwolenie narodowe, ilekroć czło wiek zostaje prześladowany z powod odmiennego koloru skóry lub republi kańskich przekonań, gdziekolwiek wol ną myśl usiłuje zdusić przesąd, fana tyzm i ciemnota — Wiktor Hugo zabie ra głos.

Ze szczerym wzruszeniem bierzem dzisiaj do ręki tom pism Wiktora Hug z okresu wygnania, Czyny i sło w a. To już nie liryczny pamiętnik choćby największego poety, ale pate tyczna kronika walk narodowo-wyzwo leńczych.

Wśród wystąpień publicystycznyc Wiktora Hugo znajdujemy dwa prze mówienia, dwie odezwy, które czytamy jak gdyby dzisiaj były napisane. Ic oburzenie jest naszym oburzeniem, ic gniew — jest naszym gniewem. W ro ku 1859 sąd amerykański skazał n śmierć przywódcę powstania Murzynó przeciwko niewolnictwu, Johna Brown

„Katem Browna — oznajmiam to n cały świat (albowiem królowie odchodz narody zaś zostają i powinny znać cał prawdę) — katem Browna będzie ni prokurator Hunter, nie sędzia Parke nie gubernator Wyse, nie mały sta Wirginia; katem Browna będzie — cia ki przebiegają po ciele na samą my o tym i strach bierze to wypowiedzie — cała republika amerykańska... Ta niech Ameryka wie i zastanowi się na tym; jest coś bardziej przerażająceg niż Kain zabijający Abla, to Washing ton zabijający Spartakusa".

W tym samym czasie Cyprian Norwi pisał:

ch! Waszyngtonów i Kościuszków
[cienie,
ięźów, co z kończyn obcego narodu
iańczyć ci przyszli, Ameryko! z młodu,
y nie zwać c u d z y m cudze
[wyzwolenie —
zy, patrząc z szczytów, gdzie jest
[źródło wzroku,
icnie te z czasem nie zmylą się raczej?
wołającym o pomoc, w rozpaczy,
zarny pokażą sztandar na obłoku. —
ludzie bladzi, stłumieni i cisi,
zekną, iż w Brownie Ameryka wisi?

Głos poety w służbie wolności jest eśmiertelny. Głos ten porywa nas dziś do walki. Obecność Wiktora Hugo śród nas, to również i to, że możemy go głosem, jego słowami protestować. marca Belojannis i jego trzej towaysze zostali zamordowani przez grecch monarcho-faszystów z rozkazu amsady amerykańskiej. W roku 1866 iktor Hugo pisał:

„Krzyk do mnie przybywa z Aten. eroiczni obywatele Krety! Uciemięni dzisiaj, będziecie zwycięzcami ju. Wytrwajcie. Nawet zduszeni, zaumfujecie. Protest konających jest ą.

Te mocarstwa, które są przeciwko am, te koalicje ślepych sił i uparcie zymających się przesądów, stare, brojone tyranie są już bliskie upad. Z tiarą papieską na dziobie, z turnem na rufie, stary okręt monariczny tonie. Tonie o tej godzinie w eksyku, w Austrii, w Hiszpanii, w ksonii, w Rzymie i gdzie indziej. trwajcie!

Nie będziecie zwyciężeni. To, co jest rzenką, nie może być grobowcem.

Tymczasem krew płynie i Europa na się patrzy. • Morderstwo, przemoc wałt spadły o tej godzinie na Grecję. Niszczyć urodzaje i palić wsie uznane tało za pożyteczne.

To nic, sprawa Grecji stanęła na porządku dziennym.

Zostanie rozwiązana, i rozwiązana, jak wszystkie sprawy tego wieku, przez wyzwolenie.

Kiedy?

Wytrwajcie!"

Bojownik o wolność ludów był jednocześnie bojownikiem o pokój. Przed stu trzy laty, w Paryżu przewodniczył Wiktor Hugo na pierwszym międzynarodowym zjeździe „Przyjaciół pokoju". Powiedział: „Mówcie, żeście rzucili fundament pod światowy pokój, głoście wszędzie tę dobrą nowinę i siejcie wszędzie tę wielką myśl. Ogromny i ostateczny postęp, o którym będą wam mówić, że jest marzeniem, a o którym ja mówię, że go zrodzicie, zostanie zrealizowany. Przypomnijcie sobie całą drogę, jaką przeszedł ród ludzki. Zastanówcie się nad przeszłością, ponieważ przeszłość, często oświetla przyszłość. Otwórzcie księgę historii i zaczerpnijcie w niej siły dla waszej wiary".

W obronie światowego pokoju przemawia Wiktor Hugo w roku 1867. Otwiera kongres pokoju w Lozannie w roku 1869. „Proch armatni — mówił — będzie prochem wiertniczym, saletra, która obecnie służy do przebijania piersi, będzie miała za zadanie przebijać góry".

Ale Wiktor Hugo, wielki trybun ludów, wiedział, dlaczego walczy o pokój. Na tym samym kongresie w Lozannie mówił: „Jakiego chcemy pokoju? Czyż chcemy go za wszelką cenę? Czyż chcemy go na każdych warunkach? Nie! Nie chcemy pokoju z pochylonymi plecami i z opuszczonym czołem; nie chcemy pokoju pod despotyzmem; nie chcemy pokoju pod kijem, nie chcemy pokoju pod berłem królewskim!"

Wiktor Hugo nie chciał nigdy pokoju na kolanach. Kiedy po klęsce Sedanu

i obaleniu cesarstwa, nazajutrz po ogłoszeniu Trzeciej Republiki, wrócił do głodującego i oblężonego przez Prusaków Paryża, rzucił swoje płomienne wezwanie do patriotów francuskich, wezwanie, które Maurice Thorez przedrukował w styczniu roku 1943, w ukazującej się nielegalnie H u m a n i t é.

„Niech w ulicach naszych miast zapadnie się nieprzyjaciel, niechaj okna posyłają mu śmierć... Będziemy prowadzić wojnę dniem i nocą, będziemy ją prowadzić w górach, na równinach, w lasach. Powstańcie! Powstańcie! Walczcie bez wytchnienia! Niszczcie hordy wrogów. Brońcie Francji bohatersko, z desperacją. Nie znajcie litości, patrioci".

W styczniu 1871 roku Wiktor Hugo zostaje wybrany deputowanym z Paryża razem z Gambettą, Ludwikiem Blankiem i Garibaldim. Zgromadzenie obraduje w Bordeaux, aby być jak najdalej od zrewolucjonizowanego Paryża. W ogromnej większości składa się z zaciętych wrogów republiki i ludu, którzy pod osłoną pruskich bagnetów chcą przywrócić stary porządek. Kiedy Wiktor Hugo zabiera głos w obronie Garibaldiego, którego wybór bezprawnie unieważniono, nikt nie chce go słuchać. Mowę jego przerywają śmiechy i gwizdy. W tym zgromadzeniu sprzedawczyków i zdrajców znalazł się nawet pewien wicehrabia bretoński, który miał zuchwałość postawić następujący wniosek: „Zgromadzenie odbiera głos panu Wiktorowi Hugo, ponieważ n i e m ó w i p o f r a n c u s k u".

Dla wicehrabi bretońskiego Wiktor Hugo nie umiał mówić po francusku. W blisko osiemdziesiąt lat później godni następcy łajdaków z Bordeaux odważyli się w parlamencie francuskim powiedzieć, że Maurycy Thorez nie mówi po francusku.

Wiktor Hugo opuścił to niecne zgromadzenie. 18 marca 1871 roku, w dr obwołania Komuny, na placu Basty zaległa nagła cisza. Za trumną kroc starzec z obnażoną głową, to Wikt Hugo odprowadzał na cmentarz Pè Lachaise ciało swego syna. „Gwarc prezentowała broń — pisze histor Komuny — i utorowała drogę prz barykady sławie i śmierci".

Wiktor Hugo nie zrozumiał historyc nego znaczenia pierwszej w świe dyktatury proletariatu. Opuścił Par Ale kiedy Wersalczycy zatopili Kom nę w potokach krwi, pisał: „O, sędz wie, sądzicie zbrodnie jutrzenk A kiedy rząd belgijski odmówił Kom nardom prawa azylu, Wiktor Hu ogłosił słynny list otwarty:

„Protestuję przeciwko deklaracji rz du belgijskiego. Ci zwyciężeni są dzi łaczami politycznymi, a ci spośród fra cuskiego zgromadzenia, którzy pow dują rozstrzelanie Komunardów Juli sza Vallèsa, Bosqueta, Lefranqui'e Bruneta i Dąbrowskiego są zbrodni rzami. Azylu, którego zwyciężonym o mawia rząd belgijski, ja im udziela Gdzie? W Belgii. Czynię Belgii ten z szczyt. Udzielam azylu w moim mieszk niu, w Brukseli, na placu Barykad nr

Burżuazja francuska nie mogła W ktorowi Hugo zapomnieć obrony K muny. Za jego życia, w dniu jego śmie ci, do dzisiaj. Zrobiła wszystko, aby pomniejszyć. Wiktor Hugo bowiem jest tylko wielką kartą literatury fra cuskiej, ale wielkim synem ludu fra cuskiego. Słowa jego, przykład i ksią dalej walczą. Słowa jego, przykł i książki dalej są groźne. Uczą miło ojczyzny, braterstwa ludów i wiary człowieka. Uczą nienawidzieć zdrajc narodu i przemocy jednego narodu n drugim. Uczą walczyć o pokój i post Są naszym dziedzictwem, dziedzictw wszystkich ludów świata wolnych a walczących o wolność.

Jan Kot

Narada filmowa

DWARD OCHAB:

W imieniu KC PZPR witam i pozdra-
iam uczestników narady, poświęconej
gadnieniom rozwoju filmu polskiego.

Na naradę tę filmowcy przychodzą z
kaźnym dorobkiem.

Niewątpliwie poważnym osiągnięciem
szej kinematografii są takie filmy
bularne jak Młodość Chopina i
ierwsze dni, czy dokumentarne,
k Światowy Kongres
o k o j u, jak piękny film o nie-
iertelnym dziele Wita Stwosza i
erwszy polski film kolorowy o zespole
azowsze.

Niewątpliwie zasługuje na podkreśle-
e wysoki poziom pracy operatorów,
az poważny postęp w dziedzinie mu-
cznego opracowania filmów; wystar-
y tu wspomnieć np. o pięknej opra-
e muzycznej filmu o Wicie Stwoszu
o doskonałym zharmonizowaniu czę-
i muzycznej z całością filmu o Cho-
nie.

Utrzymała swą mocną pozycję nasza
ronika Filmowa, odgrywająca donio-
ą rolę w kształtowaniu świadomości
poglądów milionów widzów w mieście
na wsi.

Pracę filmowców naszych w ciągu
atnich dwu lat cechuje duży wysi-
k w kierunku zbliżenia się do realiz-
i socjalistycznego, w kierunku twór-
go wykorzystania przełomowych do-
iadczeń i osiągnięć przodującego fil-
u radzieckiego.

Uznając dobrą wolę, rzetelny wysiłek
órczy i niemały dorobek kierownic-
a, artystów i pracowników naszej ki-
matografii powinniśmy jednak skupić
agę przede wszystkim na licznych i
ważnych brakach i błędach w pracy
mu polskiego, aby słabości i braki o-
zej widzieć i szybciej usunąć.

W filmie fabularnym i dokumentarnym zbyt często spotykamy się z powierzchownym traktowaniem ważnych zagadnień, z nieumiejętnością wydobycia na pierwszy plan zagadnień społecznie najdonioślejszych, z nieśmiałym połowicznym oświetleniem problemu przestawienia wsi na tory socjalistyczne, z fragmentarycznym tylko uwzględnieniem takich tematów jak zacieśnienie braterskiej przyjaźni z ZSRR, jak problematyka obrony kraju, jak Śląsk i jego rola w życiu Odrodzonej Polski, jak walka z sabotażem imperialistycznym itd.

Należy zwrócić uwagę na częste fakty niedoceniania ostrości walki klasowej w Polsce, której na przykład nie umieli dostrzec twórcy takich filmów jak: Załoga czy Miasto nieujarzmione, zwrócić uwagę na tendencje do mdłego koloryzowania i ocukrzania rzeczywistości, co zostało skrytykowane przez kierownictwo partyjne, np. przy ocenie niektórych plakatów filmowych poświęconych jesiennej akcji skupu zboża i żywca.

W większości filmów naszych, zwłaszcza fabularnych, za mało jest jeszcze dumy klasowej i narodowej z historycznych zdobyczy wywalczonych przez nasz naród pod kierownictwem klasy robotniczej, za mało jest ofensywnego ducha walki klasowej, tak charakterystycznego przecież dla całego naszego życia społecznego, życia rozwijającego się burzliwie poprzez łamanie starych form i zaciekłego oporu starych, przeżytych i przegniłych klas wyzyskiwaczy w mieście i na wsi.

W większości dotychczas wyprodukowanych filmów brak jest rzetelnej pasji i napięcia dramatycznego, filmy te nie ujarzmiają, nie pochłaniają widza,

a więc i wpływ ich na kształtowanie się świadomości mas nie jest dostatecznie głęboki.

Do poważnych niedociągnięć w pracy naszych filmowców należy zaliczyć brak należytej troski o wypracowanie i doszlifowanie każdego szczegółu tła i akcji, każdego szczegółu rysunku psychologicznego zarówno pierwszo- jak i drugo-planowych postaci, w takim zakresie, w jakim rysunek ten jest niezbędny dla zapewnienia siły i sugestywności obrazu.

Filmy nasze zarówno fabularne jak i dokumentarne czy oświatowe wyraźnie nie nadążają za potrzebami życia, zarówno jeśli chodzi o ich ilość, jak i o jakość czy tematykę.

Zastanawiając się nad potrzebami braków i błędów w pracy filmu polskiego dochodzimy do wniosku, że głównymi źródłami słabości naszego filmu jest zbyt powierzchowna znajomość życia i praw rządzących rozwojem społecznym, zbyt luźny związek kierownictwa i kolektywów twórczych filmu polskiego z codzienną, napiętą, bohaterską walką klasową proletariatu, a zwłaszcza z życiem i walką partyjnej awangardy ludu i narodu polskiego.

Twórcy filmu powinni zawsze postawić sobie pytanie, jak ten nowy, realizowany przez nich film pomoże klasie robotniczej i całemu ludowi pracującemu w walce o lepsze, sprawiedliwsze życie, o życie na wyższym poziomie materialnym i kulturalnym, w jakim stopniu potrafi wyzwolić nowe siły, nowe szlachetne porywy w naszej klasie robotniczej, w jakim stopniu pomoże w walce z sobkostwem, z pasożytnictwem, z całą spuścizną obcej i wrogiej ideologii czy i o ile ułatwi i przyspieszy nasz marsz ku socjalizmowi.

Służąc klasie robotniczej artysta służy przodującej, kierowniczej sile narodu, a więc służy całemu narodowi, wy korzystuje swój talent, wiedzę i pasj twórczą w najpiękniejszy i najszlachet niejszy sposób, wypełnia najlepiej i naj bardziej celowo swój obowiązek wobe społeczeństwa.

Służymy klasie robotniczej, pracuje my, aby robotnicy, a pod ich kierow nictwem cały lud pracujący lepie uświadomił sobie swe aktualne zadani polityczne i swą misję historyczną, ab masy pracujące ostrzej widziały, głę biej nienawidziły, skuteczniej zwalcza ły i likwidowały wroga klasowego, ab lepiej uzbroić lud pracujący do wyko nania naszych wielkich planów gospo darczych i kulturalnych, aby pogłębi uzasadnioną dumę klasową i narodo wą i przyspieszać proces krystalizowa nia się narodu socjalistycznego, ab umacniać braterską przyjaźń polsko radziecką i zacieśnić łączność z mię dzynarodowymi siłami walczącymi pokój i postęp, aby wychowywać ma sy w duchu socjalistycznego humaniz mu, umacniając w nich niewzruszon pewność zwycięstwa wielkiej spraw pokoju i socjalizmu.

Aby twórcy filmów polskich mog na swym wyjątkowo ważnym odcin ku pracy i walki jeszcze lepiej wypel niać swe obowiązki, jeszcze lepiej słu żyć narodowi, muszą oni dostrzega w życiu walkę nowego ze starym i da wać tej walce wyraz artystyczn w swej twórczości. Muszą nasze film być pełne prawdy życiowej i prawd przeżycia artystycznego.

Tylko głęboka i codzienna łączno z walczącą klasą robotniczą rod w sercach artystów i twórców płomie miłości i nienawiści klasowej, płomie jeszcze gorętszego umiłowania narod i nieprzejednanej nienawiści do imp rialistów i ludobójców, płomień, któr poprzez dzieło sztuki może i powinie zapalić serca milionów do jeszcze ba

ziej świadomej i skutecznej pracy walki dla dobra Polski Ludowej.

Głębokie studia nad znalezieniem ajlepszej formy artystycznej dla wyażenia uczuć ożywiających przodująe klasy narodu i płonących w sercu wórcy, głęboka troska i niezmordoana praca nad nieustannym podnoeniem poziomu kunsztu artystycznep, nad doskonaleniem formy dostosoanej do treści filmu i podporządkoanej tej treści, jasność koncepcji potycznej i artystycznej filmu, to niepędne warunki dalszego podnoszenia oli i wagi sztuki filmowej w życiu rozwoju naszego narodu.

Żadna z dziedzin sztuki nie ma tak gromnych możliwości, aby pokazać całej wielkości i potędze, w całej rasie i piękności wielostronne, bujne, vórcze życie naszego narodu, wyzwonego z pęt niewoli klasowej i narowej, budującego socjalizm w oparu o przyjaźń i pomoc Związku Razieckiego.

Niechajże pracownicy naszej młodej nematografii pamiętają zarówno o rch ogromnych możliwościach, jak i o gromnej odpowiedzialności wobec nadu za należyte wykorzystanie poyślnych warunków obiektywnych, worzonych dla sztuki filmowej przez asz rząd robotniczo-chłopski i ustrój dowo-demokratyczny.

Niechajże przykładem, wzorem i bodźm w pracy twórczej będą dla nich oświadczenia i osiągnięcia przodująj w świecie kinematografii wielkie mocarstwa socjalistycznego, kineatografii ożywionej duchem i kieroanej inspiracją wielkiej partii Leni i Stalina.

Twórczo wykorzystując wzory rajeckie, pokażcie piękno i patos wal o socjalistyczny rozwój naszego zemysłu i rolnictwa, pokażcie, jak śnie nowy człowiek w Polsce Ludowej, świadomy twórca, wierny żołnierz wyzwolonego narodu.

Demaskujcie zbrodnicze oblicze imperializmu anglo-amerykańskiego i jego agentur, obnażajcie nicość i zgniliznę kultury zmurszałego świata kapitalistycznego, pogłębiajcie w masach nienawiść i pogardę do imperialistycznych agresorów, barbarzyńców, wyzyskiwaczy, ludobójców, łajdackich organizatorów wojny bakteriologicznej, wrogów człowieka i ludzkości.

Pełniej i szerzej niż dotychczas wydobywajcie nasze wielkie postępowe tradycje narodowe, tradycje Modrzewskiego i Kopernika, Kostki Napierskiego i Stefana Czarnieckiego, Kościuszki i Kuźnicy Kołłątajowskiej, Mickiewicza i Słowackiego, Józefa Bema i Jarosława Dąbrowskiego, a zwłaszcza bohaterskie tradycje rewolucyjne polskiej klasy robotniczej, tradycje I Proletariatu, SDKPiL, KPP, PPR.

Pokażcie milonom widzów, a zwłaszcza milionom młodzieży prawowitych i wiernych spadkobierców i kontynuatorów tych tradycji, sławnych żołnierzy I i II Armii Polskiej, którzy walcząc u boku potężnej Armii Radzieckiej, krwią swoją cementowali sojusz polsko-radziecki i zjednoczenie narodu w niepodległym państwie polskim z niewzruszonymi, opartymi o decyzję Stalinowską i wolę wyzwolonych narodów granicami na Odrze i Nysie.

Pamiętajcie o słowach towarzysza Bieruta, że przykład, pomoc i przyjaźń ZSRR, to podstawa naszych zwycięstw i pokażcie tę historyczną i przełomową dla naszego narodu rolę ZSRR nie tylko w filmach dokumentarnych, ale również i w fabularnych.

Pokażcie w wysoce artystycznych filmach przodujących ludzi naszego kraju, przodujących robotników-nowatorów Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego, Warszawy i Łodzi, Wrocławia i Wybrzeża, PGR i POM, przodującą inteli-

gencję techniczną i twórczą, wiernie służącą ludowi pracującemu, przodujących chłopów i młodzież wiejską walczących o zwycięstwo wolnej od wyzysku, zmechanizowanej gospodarki zespołowej w rolnictwie, pokażcie najlepszych patriotów polskich walczących o pokój, o zwycięstwo socjalizmu.

W kierowanej przez partię pracy i walce przodujących patriotów polskich pokażcie piękno i wielkość naszej stalinowskiej epoki, patos budownictwa socjalistycznego, słoneczne perspektywy komunizmu.

Aby te zadania o ogromnej doniosłości społecznej nasza młoda sztuka filmowa należycie wykonała, musicie krytycznie zanalizować dotychczasowe błędy i słabości, krytycznie przejrzeć, dotychczasowy arsenał środków artystycznych i dotychczasowe formy organizacji produkcji filmowej, systematycznie analizować doświadczenia kinematografii radzieckiej, lepiej uzbroić się ideologicznie, mocniej wiązać się z klasą robotniczą, głębiej studiować klasyków marksizmu, uważniej studiować dokumenty i wskazania PZPR.

Kierownictwo partyjne nie wątpi, że w toku obrad omówicie również takie doniosłe zagadnienia, jak zacieśnienie współpracy filmowców z literatami i muzykami, podniesienie poziomu krytyki i publicystyki filmowej, pełne wykorzystanie dotychczasowej bazy produkcyjnej i rozpracowane przez Rząd plany poważnego rozszerzenia tej bazy w niedalekiej przyszłości, a zwłaszcza że omówicie szczerze i gruntownie zagadnienie walki o podniesienie poziomu ideologicznego i umocnienie ducha ofensywy socjalistycznej wśród filmowców polskich realizujących wielkie, trudne i doniosłe zadania artystyczne, społeczne i polityczne.

Partia, Rząd i społeczeństwo zainteresowane są w rozwoju bojowego, wysoce ideowego i artystycznego filmu polskiego, filmu walczącego skuteczni o nowy ustrój i nowego człowieka o pokój i Plan 6-letni, o rozkwit i szczęście naszego narodu, o pełne zwycięstwo socjalizmu.

W imieniu KC PZPR życzę wam po myślnych obrad i nowych sukcesów w pracy dla dobra klasy robotniczej i narodu polskiego.

Edward Ochab

STANISŁAW ALBRECHT:

Trzeba stwierdzić, że podstawow przyczyną, nie pozwalającą na pełn wykorzystanie wszystkich możliwośc tkwiących potencjalnie w naszej je szcze niedostatecznie rozwiniętej bazi techniczno-produkcyjnej jest brak tek scenariuszowej. Brak ten również i te matycznie zacieśnia nasze horyzonty wpływając zdecydowanie hamując na rozwój twórczości. Oczywiście hasł rzucone w swoim czasie nie przeszł zupełnie bez echa. Wprawdzie są jesz cze pisarze, którzy z nieukrywanym lekceważeniem odnoszą się do prac scenariuszowej (choć potrafią z entu zjazmem mówić o dobrych filmach) nawiązano jednak zdecydowanie żyw szą i wszechstronniejszą współprac z ludźmi pióra przy — co trzeba pod kreślić — niewątpliwie słabym zainte resowaniu Związków Literatów t dziedziną pracy.

W ramach zapoczątkowanej i rozbu dowanej w tym okresie produkcji fil mów kukiełkowych i rysunkowyc ustalony został systematyczny kontak z grupą pisarzy i plastyków specjaliz jących się w tej dziedzinie pracy.

Podobne zjawisko mamy do zanot wania na odcinku filmu dokumentarne go. Włączenie do pracy w PKF i filmac krótkometrażowych literatów i publi cystów daje w zakresie ustalenia s form współpracy jak najlepsze rezul taty. Dobre wyniki osiągnęliśm również przez zainteresowanie kad

kowców i techników pracą nad ıariuszem i realizacją filmu oświa-ego i instruktażowego.

zasadzie — ani jeden z produko-ıych ostatnio filmów fabularnych powstał bez udziału ludzi pióra.

ężar zagadnienia nie polega jed-na literackim rodowodzie scena-za — takie rozumienie problemu ›by oczywistym spłyceniem zagad-ıia — ale na jego literackiej war-i. Istotniejszym zatem stwierdzeniem formalnego dokumentowania udzia-›isarzy w pracy nad filmem jest to, ›o raz pierwszy literacka jakość ma-ıłu scenariuszowego zaważyła w spo-zdecydowany na wartości filmów. osi się to w pierwszym rzędzie do u Pierwsze dni, nakręconego na stawie nagrodzonej w roku 1950 po-ci Bohdana Hamery Na przy-d Plewa. Przykład to tym oczy-szy, że chociaż realizacja nie wydo-wszystkich możliwości, tkwiących iterackim materiale, walory scena-za zaważyły na wartości filmu. szności tego twierdzenia nie pod-a fakt, że dzięki dużemu osobiste-wkładowi reżysera w pracę nad em poprawione zostały dramatur-ne i ideologiczne potknięcia powie-

akim przekonywającym rezultatem ęgnięcia literackich walorów sce-usza z mistrzostwem jego realizacji Młodość Chopina — film bę-twórczym sukcesem tow. Forda i gnięciem naszej kinematografii, po-rdzającym jej wielkie możliwości. alka o uzyskanie scenariusza filmo-› nie dała jednak w sumie zadowa-ych rezultatów. Sytuacja na tym nku jest niedobra. Sformułowane mawianym okresie po raz pierwszy ówienia tematyczne i organizowa-a tej bazie konkursy dały nam sze-nowel i konspektów. Śledziliśmy ocześnie rozwój naszej twórczości dramaturgicznej i powieściowej. W roku 1951 ocenie z punktu widzenia przydatności dla filmu poddanych zostało dwieście kilkadziesiąt różnych prac literackich; nowel, scenariuszy, powieści, dramatów. Wszystkie te wysiłki nie zapewniły nam jednak w efekcie szerszego oddechu, nie stworzyły jasnej perspektywy na odcinku scenariuszowym. Niewątpliwie niezależnie od konieczności dokonania samokrytycznej oceny braków i błędów naszej pracy i wyciągnięcia z tej oceny wszystkich nasuwających się wniosków, stan ten jest w pewnym stopniu odbiciem ogólnej sytuacji w naszej literaturze. Na przykład schematyzm i deklaratywność, występujące w większości ocenionych przez nas prac scenariuszowych, są obciążeniem nie tylko filmowych utworów literackich.

Niejednokrotnie spotykamy się z zarzutem, że stawiamy zbyt wygórowane żądania autorom, że szukamy doskonałości, ryzykując popadnięcie w kryzysy produkcyjne w razie jej nieosiągnięcia. Wydaje się, iż pogląd ten jest niesłuszny. Podstawowym źródłem nieporozumień jest stawiany z naszej strony wymóg, aby scenariusz miał siłę i wartość słusznego politycznie i artystycznie uogólnienia — uogólnienia w skali podyktowanej warunkami odbioru filmu, docierającego do milionowych rzesz widzów. Proces tworzenia obrazu w sztuce, a w twórczości filmowej szczególnie, wymaga właściwego wyrobu cech typowych, a eliminacji, tych, które nie służą artystyczno-ideowej syntezie. Na tym zasadniczym momencie już w fazie rozpracowania scenariuszowego załamały się próby ekranizacji wielu naszych sztuk teatralnych i powieści, począwszy od Popiołu i diamentu Andrzejewskiego, a skończywszy na Zwycięstwie Warmińskiego. Istotna treść owej siły utypowiania filmu, stawia nas najczęściej w trudnej

sytuacji wobec autorów, podejmujących trud pisania scenariusza. To jest jednocześnie tajemnica owej specyfiki, owej „magii filmowej", fałszywe rozumienie której spycha niejednokrotnie autora na manowce pisania nie o faktach, które tworzą życie, ale komponowania rzekomo „filmowych" obrazków.

Ponadto pisarze powinni sobie zdać sprawę, że film, że scenariusz to gatunek twórczości rządzący się, jak powieść lub dramat, pewnymi określonymi prawami wyrażania ideowych i artystycznych koncepcji, posiadający swoistą konstrukcję i dramaturgię, swoistą miarę upływu czasu, swoisty tok i rodzaj dialogu. W zamian za to daje niezmiernie szerokie możliwości artystycznego wypowiadania się.

Scenariusz powinien być, jak to postulował Gorki pod adresem sztuk scenicznych, „aktualny, nasycony treścią i akcją", a równocześnie powinien otwierać pełne perspektywy i możliwości przed realizatorem filmowym. Przykład P i e r w s z y c h d n i potwierdzający tezę, że scenariusz stwarza przesłanki dla pracy reżysera i w znacznym stopniu, ale nie całkowicie, przesądza wartość filmu, i przykład G r o m a d y, wskazujący jak realizacja pogłębia i unaocznia niedociągnięcia scenariusza, zmusza nas do podtrzymania hasła prymatu scenariusza, nie pozwala jednak do tego zagadnienia ograniczyć naszych rozważań. Nie mówimy przecież jedynie o scenariuszu, mówimy o filmie.

Schematyzm i deklaratywność — zjawiska, którym wypowiedziano na tej sali nieubłaganą walkę przed paroma miesiącami, są niebezpieczeństwem czyhającym na twórcę filmowego, szczególnie w momencie, gdy wymagania tematyczne wprowadzają go w niedostatecznie dotąd rozpoznane środowisko. Schemat przesłania prawdę życia, lub co gorsza pokrywa niewiedzę o nim, gdyż maskuje — mówiąc słowami tow. Hoffmana — brak rzetelności poznawcz Realne widzenie świata, antyteza dekl ratywności — to jeden z kanonów szt ki filmowej, która ma ambicję wciel w życie postulaty socjalistycznego re lizmu.

Film dokumentarny ma do zanotow nia w tym względzie najdotkliwsze o ciążenia. W bardzo wielu wypadka schematyzm w ujmowaniu tematu i d klaratywność komentarza zastępowa istotną treść naszych rewolucyjny przemian, co w znaczny sposób obniży wartość artystyczną i agitacyjną film

Takie filmy jak: M i s t r z o w i s z y b k i c h w y t o p ó w, C h l O j c z y ź n i e, N o w a H u t J e d n a z w i e l u, choć por szyły bardzo istotne i politycznie wa kie problemy, nie posiadały ambi artystycznego przetworzenia ukazyw nej rzeczywistości. Deklaratywność k mentarza, idąca w parze ze swoisty filmowym wydaniem „wszystkoizm w takim filmie jak D o r e d a k c n a d s z e d ł l i s t, posunięta została granic karykatury. Podobnie niest ocenić należy film o Dzierżyńskim, kt ry mimo dużego wysiłku ze strony re lizatorów grzeszy jaskrawym schem tyzmem i deklaratywnością, przeład waniem komentarza, pełen jest łatwi i niedomagań warsztatu twórczego.

Ogólnie biorąc błędy te są wyniki powierzchownej, niepogłębionej zna mości życia, niedociągnięć w pracowaniu i ocenie prac dokumen cyjnych, niedoskonałości pracy re serskiej oraz zaniedbania troski o stematyczne podnoszenie jej artysty nego poziomu.

W tym miejscu trzeba nam jedna całą stanowczością stwierdzić, że dą nie do osiągnięć artystycznych nie n że odrywać uwagi twórcy od zapewn nia dziełu jasnej i słusznej treści id wej. Walka o doskonalenie form wy zowych — zgodnie ze wskazaniami

dy październikowej — oznacza wzmo-
nie skuteczności ideowego oddziały-
nia sztuki realizmu socjalistycznego.
Lekceważenie tej zasady w ostatnio
ealizowanym filmie Bajka w Ur-
sie przejawiło się w tendencji do
ysto warsztatowych formalnych po-
ukiwań. Świadczy to o szkodliwym
wrocie do przezwyciężonych już for-
alistycznych upodobań.

Równolegle dają się zauważyć w na-
ej twórczości niedomagania polegają-
na naturalistycznej obserwacji ży-
. Zarówno w Gromadzie jak
w Premierze Warszawskiej
turalistyczne widzenie szczegółu za-
mniło ogólną wymowę i trafność ar-
tycznego uogólnienia.

Jedną z zasadniczych naszych trudno-
w ogóle a w szczególności w fil-
ch poświęconych tematyce współ-
esnej, jest urzeczywistnienie główne-
wskazania socjalistycznego realizmu
pokazanie pozytywnego bohatera.
ak tej postaci niosącej główną ideę
natu i porywającej swą postawą wi-
charakteryzuje Miasto nieu-
rzmione, Dwie brygady i
łogę. W filmie Gromada brak
stał się nawet przyczyną (szczegól-
w pierwszej wersji filmu) ponure-
pozbawionego świateł i radości o-
azu naszej wsi. Zaciążyła nad fil-
m postać wszechwładnego kułaka,
remu autorzy nie potrafili przeciw-
wić postaci bohatera pozytywnego,
ysowanego blado i mizernie zarów-
w działalności społecznej jak w ży-
prywatnym. Również w Premie-
e Warszawskiej — postaci Mo-
szki, potraktowanej anegdotycznie
ednostronnie, a więc naturalistycz-
, brak znamion wielkości. Widzowi
dno uwierzyć, że ma do czynienia
ostępowym, walczącym artystą, a ta-
była obiektywnie jego historyczna
a. Pod tym względem spełnia po-
laty realizmu socjalistycznego w
znacznym stopniu Pierwszy start,
dzięki żywej i sympatycznej postaci
Tomka Spojdy. Wyraźnie zarysowaną,
przekonywającą i prawdziwą postać
bohatera, rosnącego i kształtującego się
na oczach widza, posiada — głównie
dzięki walorom reżyserskim i aktor-
skim — film Pierwsze dni.

Film jest twórczością zespołową: pisa-
rza, realizatora, muzyka, plastyka, aktora.

Wzajemny stosunek wszystkich ele-
mentów twórczości filmowej, spojony
koncepcją ideową całości, decyduje o
jedności treści i formy obrazu. Za-
chwianie właściwych proporcji prowa-
dzi do mniejszych lub większych nie-
domagań ideowo-artystycznych.

Nasi twórcy, zarówno reżyserzy, jak
operatorzy, nie wykazują dostatecznej
wrażliwości na czar i piękno naszego
krajobrazu, tak ważnego czynnika pol-
skości naszych filmów. Obok emocjo-
nalnie wyrazistych, choć owianych
mgłą smutku i melancholii pejzaży, w
Młodości Chopina, zapadają w
pamięć wesołe i barwne obrazy wsi
podkarpackiej w Gromadzie. Za-
wężone zaś widzenie morza i wybrzeża
naszego w Załodze pozbawia od-
dechu i nuty romantyzmu, tak potrzeb-
nej szczególnie w młodzieżowym filmie.

Niezwykle ważnym elementem dzieła
filmowego jest muzyka. Bardzo dużym
osiągnięciem naszej twórczości jest
kompozycja Serockiego do Młodo-
ści Chopina, która nie uroniła nic
z piękna Chopinowskiej muzyki.

Na szczególne podkreślenie zasługuje
śmiała artystycznie, trafna i niezwykle
udana próba pokazania procesu naro-
dzin etiudy rewolucyjnej Chopina. Za-
sługuje również na wspomnienie umie-
jętne podkreślenie walorów muzyki
Moniuszki w Premierze War-
szawskiej, przez kompozycję tła
czy przez przeciwstawienie, jakim jest
pastiche konwencjonalnej i epigońskiej,
włoskiej muzyki operowej. Ciekawa,

dzięki sięgnięciu do źródeł historycznych, jest muzyka filmu Dzieło Mistrza Stwosza.

Inne kompozycje odznaczają się dużą starannością, nie wychodzą jednak swymi ambicjami poza ramy wąsko pojętej ilustracyjności. Za wyjątkiem piosenek w Pierwszym Starcie i w Załodze — nie starają się czytelnym motywem porywającej, radosnej pieśni czy melodyjnej frazy muzycznej utrwalić się na dłużej w pamięci widza.

Trzeba stwierdzić ogólnie, że wysiłkom i trosce naszych twórców nie zawsze towarzyszy pełnia dojrzałości ideologicznej i znajomości życia. Nie zawsze również słusznym założeniom ideowym odpowiada ich artystyczny wyraz. Daje się zaobserwować wiele jeszcze ideowo-artystycznych spłyceń, brak wyrazistości i siły wzruszenia, niebezpieczne przechylenia w kierunku naturalistycznego widzenia szczegółów.

Trzeba by nam postawić w zasadzie zarzut braku rozmachu zarówno w planowaniu tematyki jak i w skali realizatorskich zamierzeń i dokonań. Brak jeszcze naszym filmom potężnego, radosnego patosu, który tkwi przecież w perspektywach i przewidywaniu przyszłości. Nie potrafiliśmy w naszych filmach oddać w pełni piękna, urody i radości naszego nowego życia. Często obserwujemy zamiast epickiego oddechu, pasji i polotu — schematyzm i oschłość realizacji, zamiast przejawów indywidualności twórczej — przeciętna poprawność, zamiast soczystości barw — lakier. Realizm socjalistyczny wymaga od nas nie naturalistycznej fotografii, nie pojedynczych obserwacji, ale artystycznego uogólnienia pełnej, bogatej prawdy życia. Bez śmiałych, wybiegających naprzód koncepcji twórczych, nie można zadowolić pragnień narodu nie można odtworzyć wielkości przeżywanego momentu dziejowego.

Jeżeli mimo wysiłków stwierdzan nienadążanie naszej sztuki za potrzeb mi życia, jeżeli mówimy o schematy mie, o uproszczeniach, o małości n szych niektórych dokonań, to przycz tych zjawisk nie należy tłumaczyć j dynie nieumiejętnością naszych pisar i artystów, ale również niedociągni ciami pracy naszego aparatu.

Przełamaliśmy pewne trudności wz jemnego porozumienia się z ludź pióra, korzystamy ze stałej współpra wielu pisarzy i artystów, których n zniechęca słabość aparatu program wego, nie zawsze trafnie umiejące formułować zamówienie społeczne, a umiejętnie pomagać tym, którzy z p nią dobrej woli podjęli trud pracy c filmu. Jeżeli ogół literatów oraz związ twórcze (ZLP, SPATiF) wciąż jeszc nie poświęcają dostatecznej uwagi spr wom twórczości filmowej, to jest w ty wiele naszej winy, winy zamawiającego

Próby planowania bardziej dalek wzrocznego pozostawały dokumenta bez treści, ponieważ nie uwzględnia zainteresowań bieżących i zamierz twórczych tych pisarzy, których wsp pracę przewidywaliśmy i postulowal my jednostronnie. Aczkolwiek plan wanie długookresowe w twórczości, zwłaszcza w kinematografii jest szc gólnie trudne, gdyż każe nieomyln i z maksymalną polityczną dalek wzrocznością przewidywać aktualno i węzłowość tematów na 2—3 lata n przód, to jednak — jak uczy doświa czenie — jest to jedyna droga, by o powiedzieć na problemy najistotni sze, uniknąć żywiołowości i pośpiech płynących z obawy przed przestoje w atelier, a przede wszystkim — us wić najracjonalniej współpracę z liter turą i innymi dziedzinami sztuki.

Dość wczesne i jasne ustalenie pla programowego i w miarę precyzyj trafne sformułowanie zamówienia p adresem pisarza, muzyka, plastyka, r

izatora powinno — dzięki możliwości runtowniejszego przetrawienia zada-a — zabezpieczyć artyście możliwie ajlepsze wyniki twórcze i pełne poczu-e autorskiej odpowiedzialności. Wy-rany temat twórca powinien sam lub pracy kolektywnej z realizatorem tystycznie przetworzyć, przemyśleć, rzeżyć. Zamiast plan postulować lub arzucać, należy wypracować formy rzedyskutowania i ustalenia go razem pisarzami i realizatorami w ra-ach organizacji związków twórczych, spólnie ponosić odpowiedzialność za ość i jakość scenariuszy, za kierunek zwoju polskiej twórczości filmowej, jej losy.

Wspólnie wypracowany plan i bliska espołowa współpraca pisarzy z reali-atorami oraz szeroka mobilizacja do działu w twórczości filmowej przed-awicieli innych gałęzi sztuki muszą ać pozytywne rezultaty.

Na VI Plenum KC naszej Partii mó-ił towarzysz Bierut: „Dumni jesteśmy tego, że nie stoimy w miejscu, że ięki żarliwości i twórczym poszukiwa-om — mamy mimo wahań i popeł-anych błędów pewne osiągnięcia w auce i literaturze, w teatrze i malar-wie, w muzyce i w filmie.

Nie wolno się nam jednak zadowalać otychczasowymi osiągnięciami. Jest aszym gorącym pragnieniem, aby po-stały u nas dzieła godne naszej wiel-ej epoki, godne naszego narodu.

Nie szczędźmy więc krytyki, zachę-ajmy do śmiałych poszukiwań twór-ych w naszym przebogatym, pulsują-m, nowym życiu. Jeszcze głębiej się-ijmy do naszej wspaniałej spuścizny ulturalnej. Jeszcze usilniej czerpać owinniśmy z nieocenionego dorobku zonych i artystów wielkiego kraju cjalizmu".

Droga naszych doświadczeń prowadzi zez błędy i niedomagania. Mamy du-, bardzo duże osiągnięcia ale mamy też poważne zawody i klęski. Nasza twórczość filmowa we współpracy coraz owocniejszej z twórczością innych dzie-dzin sztuki polskiej, może niezbyt szyb-ko i wyboistymi ścieżkami — przecież jednak stale dźwiga się ku górze. Wol-no więc nam stwierdzić, że mamy wszelkie dane, aby robić piękne i do-bre filmy, które będą mobilizować naj-szlachetniejsze dążenia i namiętności odbiorcy, które będą wychowywać go w duchu socjalizmu, które wejdą do skarbnicy trwałego dorobku kultural-nego narodu. **Stanisław Albrecht**

WANDA JAKUBOWSKA:

Na dzisiejszej naradzie dowiedzieliś-my się z wielką radością i z wielkim entuzjazmem o tym, że zapadła już de-cyzja Prezydium Rządu o zwiększeniu naszej produkcji filmowej. Ta decyzja już siłą rzeczy stawia w innej sytuacji naszą naradę.

Oceniając etap, który przeszliśmy od zjazdu w Wiśle do zjazdu dzisiejszego, prezes Albrecht nie mógł się uchronić od pewnej pesymistycznej nuty. Sam fakt wyprodukowania 7 filmów pełno-metrażowych w tym okresie, fakt, iż poziom tych filmów, jak wszyscy wie-my, nie przewyższa tak dalece poziomu naszych poprzednio produkowanych fil-mów, aby widać było wyraźny krok naprzód, ilościowy i jakościowy wzrost naszej produkcji jako całości — już to samo jest dowodem, że cofaliśmy się, gdyż, niestety, stać w miejscu nie moż-na. Jest to tym groźniejsze i tym bar-dziej dla nas wszystkich przykre i tra-giczne, że przecież życie w Polsce idzie naprzód. Kraj nasz rozwija się wspa-niale i przykra jest świadomość, że my, Film Polski, twórcy filmowi, nie bierze-my w tym rozwoju udziału, a jeżeli, to w jakimś bardzo niedostatecznym stop-niu. W dodatku jesteśmy na odcinku, który powinien wyprzedzać, mobilizo-wać i pomagać Partii i Rządowi w re-

alizowaniu zarówno Planu 6-letniego jak i w budowie socjalizmu, w walce o pokój. Oczywiście prawdą jest to, co mówili i podkreślali wszyscy, że film ma ogromne, może nawet całkowicie jeszcze nieznane możliwości mobilizowania społeczeństwa.

Ważne jest, abyśmy poznali przyczyny, z powodu których dotychczas, jak to się mówi, wleczemy się w ogonie tego, co się w Polsce dzieje. Niewątpliwie istnieje wiele przyczyn obiektywnych. Kinematografia nasza jest kinematografią bardzo młodą, która nie miała zbyt mocnych tradycji. Były pewne tradycje postępowe, dobre, ale niteczka tych dobrych tradycji była bardzo cieniutka. Byliśmy bodajże jedynym krajem na świecie, który nie tylko nie miał kinematografii, ale w którym jej podstawy zostały doszczętnie zniszczone. Nasza przedwojenna kinematografia straciła nie tylko bazę materialną, ateliers, ale również straciła ludzi. Jedni poginęli, inni odpadli. Nie mieliśmy nigdy szkolnictwa filmowego. My, starsze pokolenie, jesteśmy samoukami. To wszystko niewątpliwie wpłynęło na to, że tak ciężkie były początki naszej kinematografii po wojnie.

Nasza produkcja stoi w miejscu, i to od dłuższego czasu. Prawda, że zmieniła się tematyka naszej kinematografii. Nie kręcimy teraz takich filmów, jak Dwie godziny, czy Jasne łany, czy Dom na pustkowiu. Stan ten zmienił nie tylko zjazd w Wiśle. Doszliśmy już dzisiaj w Polsce do tego etapu, że ani w 1950, ani 1951 r. żadnemu reżyserowi nie przyszłoby do głowy realizować tego rodzaju filmy. Reżyser musi iść z życiem. W całym kraju dokonał się przełom. Wydaje mi się, że filmowcy nadążają za nim wolniej niż przeciętny obywatel.

Jakie są przyczyny obecnych trudności naszego filmu?

Przede wszystkim fakt, że robim filmów mało. Był taki moment w na szej kinematografii, kiedy nie umieliś my we właściwy sposób sięgnąć p wzory radzieckie. Chcieliśmy robić ma ło, ale za to dobrze. Zapomnieliśm o jednym — że na to może sobie po zwolić kinematografia bogata, o ogrom nych tradycjach, o ogromnym dorobku w której istnieje wspaniała kadr twórcza, w której istnieje doskonał współpraca zarówno z literaturą i mu zyką, jak i z wszystkimi innymi dzie dzinami, kinematografia o bardzo sil nej bazie ekonomicznej.

Przyjęliśmy tezę nie licząc się z na szymi warunkami i postulowaliśmy — mało a dobrze. Co z tego wynikło? Ma ło a źle. Dlaczego? Dlatego, że musim przede wszystkim nabyć wiedzę, mu simy się nauczyć rzemiosła. Dopier z opanowanego rzemiosła może wyło nić się umiejętność i sztuka filmowa Zakładając z góry małą ilość filmów d produkcji, hamowaliśmy perspektyw rozwoju naszej kinematografii.

W okresie, kiedy powstawało tak sza lenie mało filmów, pisarz nie mógł mie nadziei, że jego film będzie zrealizo wany, że jego scenariusz potraktuje si poważnie. Jestem przekonana, że jeże zwiększymy naszą produkcję, to cho ciaż dotychczas mieliśmy rocznie dw czy trzy scenariusze filmowe, możem ich mieć co najmniej 8 albo 9, gdy z rozległych perspektyw rozwoju kine matografii będzie o wiele łatwiej zmo bilizować do współpracy pisarzy.

Wanda Jakubowska

ALEKSANDER FORD:

Zastanawiając się nad sprawą scena riusza stwierdzić trzeba, że jedn z największych przeszkód w rozwoj tego gatunku u nas była mała ilość fi mów zrealizowanych. I to nie tylk dlatego, że literat nie mógł liczyć n filmowe zrealizowanie swego pomysł

le też dlatego, że — jak wiemy z prak-
ki filmowej, a zwłaszcza specjalnie
liskiej nam radzieckiej praktyki fil-
nowej — scenariusz może powstawać
lko na solidnej bazie warsztatu.

Wiemy, z dyscypliny innych sztuk,
Czechow swą twórczość sceniczną
ozwinął na bazie warsztatu Stanisław-
kiego M c h a t — wiemy, że Żerom-
ki mógł eksperymentować na bazie
e d u t y. Takie same przykłady
ógłbym w nieskończoność jeszcze po-
awać w odniesieniu do wielkich twór-
ów filmowych.

Więc solidniejszy warsztat, większa
ość filmów niewątpliwie wpłyną tak-
na to, żeby ludzie literatury stawali
ę twórcami filmów, scenarzystami.
o film wymaga odpowiedniego gatun-
u literatury filmowej. Zresztą nie bę-
ę tego tematu rozwijał, bo jest zbyt
oszerny.

Sprawa druga, o której mówiła towa-
yszka Jakubowska — sprawa pracy
zespole. Otóż trzeba zdać sobie spra-
ę z tego, że w świecie amerykańskim
bo zamerykanizowanym pracuje się
edług tzw. systemu Taylora tzn. gru-
uje się ludzi w sposób powierzchow-
y — ten reżyser, tamten operator, ar-
itekt itd.

W rezultacie współpracują ludzie,
tórzy nie znajdują tzw. wspólnego
zyka, którzy o sobie bardzo często
iewiele wiedzą, i oni mają stworzyć
ednolite dzieło artystyczne. Rzecz ja-
na, że praca ta będzie mniej lub
ardziej poprawna, ale zawsze wyłącz-
e rzemieślnicza. Z takiej pracy nie
oże wyłonić się prawdziwe dzieło
tuki.

Otóż wydaje mi się, że dojrzała już
rawa stworzenia twórczych zespołów,
ztałtowania jednolitego stylu oraz
głębiania ideowego i artystycznego
teorii i praktyki filmowej.

Aleksander Ford

JAN CIECIERSKI:

Chciałbym kilka słów powiedzieć o filmie, w którym brałem udział. Otóż film P i e r w s z e d n i był kręcony w hucie Ostrowiec.

Wielka część życia była pokazana w środowisku robotniczym przy warsztacie pracy, częściowo w domu, jak również w czasie masówki. Te wszystkie elementy, na które składa się życie robotnika, były przez scenarzystę pokazane a przez reżysera uwidocznione. Jestem bardzo dumny z tego, że oko reżysera padło właśnie na mnie i że mnie dane było odegrać rolę robotnika, tego fundamentu naszego państwa. Ale roli tej nie zagrałbym tak żywo i tak przekonywająco, gdyby film nie był nakręcany na terenie huty, gdyby nie brali w nim udziału prawdziwi robotnicy i gdyby oni razem z nami nie pracowali. Robotnicy twierdzą, że uczyli się grać patrząc na nas. Mieli oni też swoje zadanie filmowe do wykonania, oni też grali. My, aktorzy, uczyliśmy się od nich codziennej pracy w hucie. Stworzyliśmy w ten sposób film, który, mam wrażenie, ma bardzo wiele cech prawdy, tego realizmu, który jest podstawą naszej sztuki.

Jan Ciecierski

WŁODZIMIERZ JAKOWLEW:

Jeżeli produkcja filmowa ma być powiększona, to w pierwszym rzędzie trzeba myśleć o produkcji odpowiedniej ilości scenariuszy i tutaj ostatnie słowo powinno należeć do pisarza. Pisarze nie powinni zrażać się trudnościami, na jakie napotykają przy oddawaniu swych scenariuszy, i nie powinni rezygnować z kinematografii. Literat wspólnie z reżyserem pracując nad scenariuszem musi się liczyć z trudnościami wynikającymi z dwóch różnych postaw: pisarza i reżysera, postaw, które

w początkowym etapie tej współpracy nie zawsze są zgodne.

Nie poruszało się tutaj zagadnienia, czy kilku autorów może pracować nad jednym scenariuszem. Mój przedmówca mówił, że czasem jeden autor ma dobre dialogi, ale źle daje sobie radę ze stroną fabularną, natomiast inny radzi sobie z fabułą i kompozycją, ale trudność sprawiają mu dialogi. W tym wypadku współpraca obu może dać dobre rezultaty.

Między innymi należy zwrócić szczególną uwagę na ten etap pracy, kiedy nad scenariuszem razem z literatem pracuje scenarzysta i operator, który organizuje cały materiał. Nie poruszone było zagadnienie odcinka przygotowawczego, który ma ogromne znaczenie zwłaszcza dla filmów kolorowych, bo wtedy prócz opracowywanego scenariusza roboczego należy postawić zagadnienie kolorystyczne — szczególnie zająć się dramaturgią koloru. Wypróbować charakteryzację, dobrać odpowiednie stroje. Technologia filmu kolorowego polega na tym, że niektóre kolory, wydawałoby się zupełnie dobre, na ekranie nie wychodzą. Jako przykład przytoczę film P r e ż w a l s k i, gdzie mundur robi wrażenie szarego, a właściwie jest zielony. Zagadnieniami koloru od strony twórczej należy zajmować się już od pierwszej chwili.

Włodzimierz Jakowlew

STANISŁAW NADZIN:

Nie sądzę, ażeby była istotna potrzeba powtarzania tu słusznych, ale jednocześnie aż zbyt oczywistych argumentów o potrzebie, więcej, o konieczności społecznej i politycznej przyswojenia widzowi kinowemu wspaniałej i pięknej historii bojowej ludowego Wojska Polskiego, jego głębokich tradycji ludowo-rewolucyjnych, jego porywających patosem przemian i jakościowego przyrostu rzeczywistości dnia dzisiejszego. Sądzę, że nie ma również istotnych powodów szczegółowego argumentowania społecznej i politycznej potrzeby wychowywania naszego społeczeństwa a przede wszystkim naszej młodzieży — na wzorach odwagi i poświęcenia, oddania władzy ludowej i patriotyzmu, którego niezliczone dowody dał żołnierz Pierwszej i Drugiej Armii Wojska Polskiego na szlaku bojowym od Lenino do Berlina. Żołnierz, który okupił naszą wolność i szczęście ofiarą krwi, żołnierz, który krwią swoją serdeczną przypieczętował nierozerwalne braterstwo broni z Armią Radziecką, nierozerwalny sojusz z narodem radzieckim, sojusz, który jest najdroższym skarbem naszego narodu, budującego dziś w oparciu o przyjaźń, przykład i pomoc ZSRR — socjalizm w naszej Ojczyźnie. Sądzę wreszcie, że częściowo tylko spełnia swoje zadanie stworzenia bodźca do powstania filmu o tematyce wojskowej — uświadomianie literatom i filmowcom, ewentualnym przyszłym twórcom tego filmu, na który czekamy, całej powagi sytuacji międzynarodowej, przypominanie im o zagrożeniu pokoju, o zagrożeniu naszej wolności i niepodległości przez imperializm amerykański, o konieczności mobilizowania narodu do tego, aby w razie napaści wroga spotkać go w pełnym duchowym i materialnym uzbrojeniu.

Zbyt długo może zatrzymałem się nad sprawami, o których przed tym powiedziałem, że mówić o nich może i nie trzeba. Po prostu temat jest porywający. Otóż to i ażeby temat — wojsko — z tematu, który może porwać, stał się tematem, który faktycznie porwa twórcę, należy ukazać literatom i realizatorom filmowym całe jego bogactwo, całą różnorodność kryjących się w nim artystycznych możliwości całe pię

ıo, prawdę i patos postaci ludowego ołnierza, piękno, prawdę i patos jego ynów bojowych, piękno prawdę i pa- s samej istoty naszego Wojska.

Wojsko nasze jest wojskiem nowym, ojskiem nowego typu. Rodziło się ono kształtowało w trudnych warunkach ojennych, w ostrej walce klasowej... ımiętajmy, że wróg klasowy specjal- e ostro walczył przeciwko naszemu owemu, ludowemu wojsku, że stoso- ał w tej walce najbardziej perfidne etody. Nie jest przypadkiem, że wal- ı z prawicowo-nacjonalistycznym od- yleniem w wojsku trwała najdłużej na tym odcinku była bodajże naj- ęższa.

Czyli — Wojsko nasze jest w pełnym go słowa znaczeniu wojskiem demo- atycznym.

Wojsko nasze wykształciło w ludziach, zorując się na wspaniałym przykła- ie Armii Radzieckiej, najpiękniejsze chy żołnierza, obywatela-patrioty: ęstwo, odwagę, nieustraszoność w alce, bezwzględność i gotowość do iarnej walki wraz z całym narodem zeciwko wrogom naszej Ojczyzny. arunki, w jakich armie nasze prowa- iły boje z hitlerowskim najeźdźcą, alki o wyzwolenie społeczne i naro- we, walka o byt narodu zagrożony zez ludobójców — warunki te spra- ły, że za przykładem Armii Radziec- ej narodziło się w naszym Wojsku espotykane dotąd w dziejach sił rojnych, niemożliwe w ogóle w ja- ejkolwiek innej armii poza Armią ıdową — zjawisko masowego boha- stwa.

W Wojsku naszym pojawili się, wy- śli nowi ludzie. Nowy żołnierz, któ- go ofiarność płynęła i płynie z pa- otyzmu i ze świadomości słuszności rawy, o którą walczył i której bronił. owi dowódcy, którzy zdobywali wie- ę wojskową na polach walki i w no- wych już szkołach oficerskich ludowego państwa. Oficerowie polityczni, których odpowiedzialność, a w czasie bojów często bohaterska praca, nie miała wzorów w dziejach naszych sił zbrojnych.

Narodziny tego nowego człowieka, nowego żołnierza i dowódcy — zawierają w sobie pełny i najszlachetniejszego gatunku dramatyzm, godny tego, ażeby znalazł swój artystyczny wyraz, ażeby — przetrawiony twórczo przez literatów i realizatorów filmowych — stał się dorobkiem milionów widzów kinowych, całego naszego społeczeństwa, a przede wszystkim młodzieży.

Stanisław Nadzin

LESŁAW WOYTYGA:

W dyskusji istnieje tendencja stawiania sprawy w ten sposób: jeżeli widzimy błędy w filmie, to dlaczego nie widzieliśmy ich w scenariuszu?

Teraz widzimy błędy w filmie. Scenariusz literacki nie jest jednak utworem niezależnym od filmu. Nie można produkować scenariusza zamiast filmu. Poza właściwym tekstem literackim istnieje bogaty margines twórczy, który wypełnia realizator; on dopiero ustawia wszystkie sytuacje, które scenariusz tylko szkicuje; każdy dialog, jego waga, jego sens i znaczenie, jego wydźwięk polityczny są w ostatecznym rachunku od tej sytuacji zależne. Nie można powiedzieć, że istnieje jakaś obiektywna wartość dialogu czy scenariusza literackiego, która przesądza absolutnie o wartości filmu. Scenariusz jest podstawą, jest kręgosłupem filmu, ale twórczy margines reżysera niczym przez to nie zostaje umniejszony tak po linii artystycznej, realizatorskiej jak i po linii odpowiedzialności. Muszę przy tym powiedzieć, że na tym odcinku komórki programowe nie mają wyłącznie tylko

samych błędów na swoim koncie. Przecież towarzysze i koledzy realizatorzy orientują się, że w ostatnim okresie, a nawet wcześniej, nie powstał bodaj ani jeden film, który byłby wyprodukowany na podstawie pierwszej wersji scenariusza; wydaje się, że między pierwszą i ostatnią wersją filmu leży jakiś bogaty odcinek pracy i to właśnie pracy programowej, pracy ideologicznej.

Począwszy od Miasta nieujarzmionego — filmu, który łączy dwie epoki: „do Wisły" i „po Wiśle", a skończywszy na Gromadzie każdy film był poddawany krytyce i przy czynnym udziale komórek programowych był poprawiany i to poprawiany słusznie. Tego dorobku pracy programowej w Filmie nie można chyba pomijać. Zachował się przecież pierwszy wariant, np. Pierwszego startu czy Dwóch brygad i istnieje ich ostateczna wersja. Nie waham się powiedzieć, że istnieje cała bogata dziedzina pracy nad filmem, wypełniona twórczą pracą komórek programowych i Rady Artystycznej. Trudno mi jest jednak mówić o tym szczegółowo i dlatego rzucam tylko przykłady, bo nie wszyscy mieli okazję z tymi sprawami się zetknąć. Trzeba w tym miejscu powiedzieć o jednym podstawowym braku naszej krytyki — polega on na tym, że w jakiś rażący sposób rozmija się ona z życiem. W naszym tygodniku ilustrowanym film Pierwszy start był tak druzgocąco krytykowany, jak dziś Gromada. Wydawało się, że to jest jakaś klęska kinematografii. A tymczasem do dziś, to znaczy w ciągu niespełna 2 lat, film ten obejrzało w Polsce około 3 milionów widzów. Załoga w pierwszych 5 tygodniach została obejrzana przez 900.000 ludzi. W Poznaniu nie schodziła z ekranu prawie przez miesiąc przy 100%-wej frekwencji. A przy słuszności wszystkich kryty nych argumentów trzeba przecież miętać o tym, że film wywiera głęb wpływ wychowawczy, przez to ch ciażby, że pokazuje przekonywają jak rzetelny stosunek do nauki pr nosi rzetelne korzyści w życiu. Mów no o tym dość szczegółowo na kon rencji prasowej. Wydaje mi się, w Załodze sprawa ta została b dzo sugestywnie udokumentowana; twierdzają to dziesiątki listów, nad łanych do redakcji naszego tygodni Film. Na przykład w jednym z ni młodzież pisze: „Na naszym kole ZM owskim takiego rodzaju bumelant Antek Bugaj nie mógłby się utrzym Zdekonspirowalibyśmy jego nieuct szybciej". Inni piszą, że z tego filmu u się, jak powinien pracować kolekty To jest jakieś konkretne oddziaływ nie i nie może być krytyki, która tego rodzaju rzeczy pomijała. Sądzę, dla komórek programowych byłoby r czą bardzo cenną, gdybyśmy w tym kresie usłyszeli więcej uwag krytyc nych. Nie mówię tego wszystkiego tyl w celu obrony pracy naszego pionu pr gramowego — bo jak już mówiłem, tym odcinku popełniliśmy wiele błędó Dobrze się stało, że narada wytknęła i zasygnalizowała. Robocze konferenc które po niej niewątpliwie nastąpią, b dą miały wdzięczne pole do krytycz analizy i szczegółowych dociekań.

Lesław Woytyga

WŁODZIMIERZ SOKORSKI:

Dyskusja nosiła charakter krytycz nawet ostro krytyczny, a tym sam ujawniła szereg braków i niedomag w pracy samego Centralnego Urzę Kinematografii oraz jego poszczególny ogniw, jak również ujawniła szereg b ków i niedomagań w stosunku Zwi ku Literatów do zagadnienia scenar sza. Była więc dyskusją, która z tr ką i żarliwością, a czasami nawet z

ntami pewnej niesprawiedliwości w osunku do tego czy innego zagadnie-a, stawiała sprawy istotne i to sta-ała je z naszych pozycji.

Chciałbym przy tym podkreślić czyn-, twórczy, bardzo cenny udział lite-tów w naszej dyskusji. I to jest ten dosny, nowy moment w porównaniu zjazdem w Wiśle, gdzie raczej myś-y mówili do literatów, niż oni do nas. tej konferencji literaci, poczynając sekretarza generalnego Związku, rzego Putramenta, poprzez szereg zemyślanych, słusznych wystąpień nych kolegów i towarzyszy, nie tylko nieśli bardzo wiele do sprawy walki scenariusz, lecz śmiało, razem z rea-atorami filmowymi wzięli pełną od-wiedzialność za losy polskiej kine-atografii.

Byłoby rzeczą niesłuszną, gdybyśmy rościli sobie zagadnienie w ten spo-, że rozszerzenie bazy technicznej owoduje samo przez się powstanie elkiego nurtu twórczego. Chciałbym zed tym złudzeniem poważnie prze-zec.

Trzeba sobie przecież otwarcie powie-ieć, że w gruncie rzeczy przy więk-m rozmachu dyrekcji programowej i szej organizacji produkcji, nie mó-ąc o bardziej czynnym udziale litera-w w walce o polski scenariusz i pol-film, moglibyśmy nawet i teraz pro-kować nie 4, ale co najmniej 6 filmów cznie. I że zagadnienie scenariusza, a co innego nas dotąd limitowało.

Sądzę, że musimy sobie powiedzieć, do sprawy scenariusza zarówno dy-cja programowa jak i ci, którzy pi-i scenariusz, odnosili się dotąd z nie-stateczną powagą, z niedostatecznym zumieniem jego znaczenia jako dzieła rackiego, w stosunku do jego zasług. enariusz jest specyficznym dziełem li-ackim specyficznej gałęzi sztuki. Od-aływanie bowiem filmu jest bez po-vnania szersze niż każdej innej dzie-dziny sztuki. To, że film oglądają mi-liony ludzi, to, że film ma wielką siłę emocjonalnego oddziaływania na psy-chikę człowieka — to wszystko nakłada na nas i na scenarzystę olbrzymią od-powiedzialność.

Scenariusz istotnie musi zawierać odpowiedź na zasadnicze zagadnienia chwili. Dzięki bowiem temu, że obraz filmowy w konkretnym zjawisku i po-przez konkretną sprawę ludzką staje się dostępny i bliski milionom ludzi, nasza odpowiedzialność za treść jego i sens jest szczególnie wielka. Stąd też należy sobie powiedzieć, że największym naszym błędem w dotychczasowej pra-cy było to, że przedtem, zanim pisarz zaczął scenariusz pisać, nie omówiono z nim, nie dyskutowano zagadnień, nie wskazano mu koniecznej dokumenta-cji. Słowem, nie było przygotowawczej pracy, która by ustrzegła pisarza przed częściowo daremnym wysiłkiem.

Jednocześnie należy postawić postu-lat, żeby dyrekcja programów i przy-szłe biuro scenariuszowe CUK-u pra-cowały i eksperymentowały śmielej, wychodziły do spraw ludzkich, do pi-sarzy, żeby zaczynali pracę przygoto-wawczą przed tym, zanim pisarz za-bierze się do pracy. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie będziemy robili zmian w już gotowych scenariuszach. Należy jednak pamiętać, że scenariusz jest dziełem twórczym i jak każde dzieło twórcze posiada swój kręgosłup, swoje założenia ideowo-formalne i że nie mo-żna bezkarnie ich zmieniać, przerabiać i doklejać.

To jest pierwsze zagadnienie dotycząc-e scenariusza, jego wagi i naszej odpo-wiedzialności za pracę pisarzy bez na-rażenia ich na niepotrzebny trud. Dru-gie zagadnienie to problem samego fil-mu, jako dzieła artystycznego, które stanowi konkretną i zamkniętą w so-bie całość. Mieliśmy w tej materii cie-kawe wystąpienia aktorów, które w

gruncie rzeczy poważnie nas oskarżają. Oskarżają nas o lekkomyślne postępowanie z dziełem filmowym, nad którego koncepcją pracowali razem i autor, i reżyser, i każdy aktor. I nie można tego dzieła zmieniać, wykręcać dowolnie. To jest sprawa istotna, do której trzeba podchodzić bardzo ostrożnie, z całą świadomością wewnętrznej logiki każdego dzieła. Wiemy, że będziemy nieraz jeszcze mówili o konieczności zmian. Lecz nie wolno nam wykraczać poza generalną linię samego dzieła filmowego. Musimy sobie powiedzieć, że wszelkie zmiany mają swoje konsekwencje zarówno ideologiczne jak i artystyczne. Jest to więc zagadnienie złożone i trudne. Jest to zagadnienie tworzywa artystycznego, związanego z procesem twórczym zarówno autora jak i aktorów. Nieraz poprawiony film załatwia politycznie tę lub inną sprawę lepiej, ale przestaje być filmem artystycznym, a tym samym traci siłę swego oddziaływania. Dlatego kładąc bardzo poważny nacisk na przedyskutowanie wspólne z reżyserem, z całym kolektywem twórczym konspektu scenariusza i koncepcji samego filmu, musimy wszelkie zmiany czynić bardzo ostrożnie, żeby dzieła nie zepsuć, pozostawiając krytykę recenzentom filmowym i głosom, jakie padną w dyskusji, na zebraniach, w prasie.

Następne zagadnienie dotyczy stosunku do własnych osiągnięć i do własnych błędów. Podkreśliłem na początku, że nasza narada miała słusznie krytyczny charakter, ale byłoby niesłuszne, gdybyśmy z niej wyszli z przekonaniem, że znajdujemy się w jakimś ostrym czy krytycznym etapie naszej twórczości filmowej.

Trzeba mocno krytykować swoje błędy i dokładnie poszczególne filmy analizować, ale trzeba jednocześnie widzieć ich osiągnięcia, gdyż to w równym stopniu jak krytyka pomaga nam i naprzód.

Stąd też chciałbym podkreślić jeszc jeden problem, może nawet najbol śniejszy. Problem względności kryt riów w ocenie naszych poszczególny filmów i poszczególnych naszych osi gnięć.

Na przykład — w swoim czasie mi liśmy znacznie ostrzejszą ocenę film Skarb, niż w chwili obecnej, poni waż okazało się, że w praktyce fil ten odegrał poważną rolę wychowav czą, kształcącą, rozładowującą wiele u razów, rolę niewątpliwie na swój sp sób mobilizującą i nasze społeczeństw i postępową część społeczeństwa zagr nicą. Bywa jednak odwrotnie, byw że film z biegiem czasu traci swo wartość. Stąd też nasze kryteria, któ kształtujemy, musimy budować w opa ciu o konkretną konfrontację doświa czeń z reakcją widza. Natomiast lin generalną, obok tego rodzaju praktyc nych kryteriów, są ogólne ideologiczn marksistowskie przesłanki dla ocen dzieła artystycznego, które powinny t być trwałymi wytycznymi pracy rea zatorów, aktorów i autorów scenari szy.

Sądzę, że od czasu zwłaszcza nara twórczej w Radzie Państwa w paździ niku ubiegłego roku, z udziałem to Bermana, uczyniliśmy bardzo poważ krok naprzód w sensie przezwycięż nia deklaratywności i fałszywej sch matyzacji.

Są to zagadnienia, które z każdy dniem po tej naradzie zaczęły się j niej i prościej kształtować. To nie zn czy, że przed tym ich nie widzieliśm Nastąpiło jednak uogólnienie ideol giczne i artystyczne, które w znaczny stopniu pogłębiło widzenie wi spraw, dotąd stawianych w sposób n pełny. I dlatego, wychodząc z ty założeń, trzeba sobie zdać z tego sp

, że jeżeli film Pierwsze dni w adzie leży w płaszczyźnie nowych teriów, to film Gromada zatra- się w naturalizmie szczegółów i zgu- zarówno człowieka jak i sprawy lkie.

hciałem przy tym podkreślić jeszcze en moment w dyskusji, który za ma- został w ostatecznym rachunku wy- yty. Wprawdzie każdy z nas mówił ezspornym ideowym i artystycznym ągnięciu tow. Forda, lecz nie zwróci- ny uwagi na to, że film pt. Młodość Chopina posiada dla nas nież walor nowatorstwa formalnego, vatorstwa wynikłego z właściwego i pokiego zrozumienia założeń realizmu jalistycznego. W ten sposób osiąg- cie tow. Forda pokazuje nam, jaką rzymią siłą jest oddziaływanie słusz- h założeń treściowych, ideologicz- h i tekstowych, jeżeli jednocześnie pne miarą talentu artysty i jeżeli są powiedziane językiem nowatorskim, ałym oraz wysoce artystycznym.

ądzę, że tow. Ford potrafił rozwią- w sposób właściwy wiele spraw owych i formalnych, zdobywając się dużą siłę syntezy i uogólnienia ide- -artystycznego. Wystarczy, jeżeli am chociażby przykład sugestywne- momentu powstawania Etiudy Re- ucyjnej. A takich scen można zna- wiele, scen o wyrazie politycznym, yrazie obyczajowym, o wyrazie mi- nym.

ą one świadectwem śmiałego trak- ania założeń realizmu socjalistycz- o, w warunkach kiedy autor podaje tną prawdę rzeczywistości nie w sób naturalistyczny, lecz w oparciu łówną, niejako generalną tezę ideo- czną i artystyczną utworu. I to jest aj zasadnicza zaleta filmu, o wiel- ładunku ideologicznym i głęboko pdowej formie.

iedy mówimy już o Młodości Chopina, trzeba podkreślić jeszcze jedną jego zaletę, mianowicie dużą wartość plastyczno-malarską. Jest to osiągnięcie bardzo poważne, którego dotychczas nie docenialiśmy i które dotychczas nie stało jako problem przed Centralnym Urzędem Kinematografii.

Ostatnia sprawa, jaką chciałem w podsumowaniu poruszyć, to zagadnienia warsztatu realistycznego w pracy reżysera i aktora filmowego. Są to sprawy istotne i decydujące dla przyszłości kinematografii i szkoda, że zarówno my jak i zwłaszcza sami realizatorzy mówili o tych sprawach tak mało. W ten sposób w znacznym stopniu zgubiliśmy problematykę estetyczno-ideologiczną i zawężaliśmy sprawę przyszłości filmu do sprawy bazy technicznej. Było to niestety również piętą achillesową oświadczenia sekcji filmowej SPATiF-u. Również niedostatecznie wydobyliśmy ogromną rolę muzyki, zwłaszcza pieśni filmowej, za mało mówiliśmy o zagadnieniu krytyki artystycznej oraz jej roli w walce o marksistowskie widzenie zarówno problematyki filmowej jak i samego warsztatu twórczego. Są to niewątpliwie zagadnienia godne przyszłej specjalnej konferencji.

Jeżeli jednak obecna konferencja potrafi nam załatwić pewne podstawowe zagadnienia, związane ze scenariuszem, z prawdą widzenia życia bez tuszowania jego konfliktów, lecz i bez naturalistycznej przypadkowości, jeżeli rozwiąże współpracę filmu z literaturą, podniesie wymagania ideowo-formalne, to można będzie powiedzieć, że narada filmowa zdała egzamin. Dlatego, podnosząc jej znaczenie, jednocześnie jednak kwituję niestety bezsporny fakt, że zagadnienia metody twórczej realizmu socjalistycznego oraz warsztatu pracy realizatora i aktora filmowego nie potrafiliśmy do końca rozpracować na tej

naradzie i że to nas oczekuje w najbliższej przyszłości, nie mówiąc już o tym, że sprawy te powinny stać się przedmiotem codziennej pracy krytyki artystycznej i naukowej.

I rację mają aktorzy i realizatorzy filmowi, przypominając nam, że w krytyce filmowej, i to nawet nie tylko dziennikarskiej, sprawy dotyczące pracy realizatora i aktora powinny znajdować pełniejsze i głębsze niż dotąd naświetlenie. I pełniej, szerzej powinniśmy przenieść doświadczenia dyskusji nad scenariuszem w Związku Radzieckim. Zwłaszcza trudno nie wspomnieć na dzisiejszej konferencji o liście grupy czytelników w sprawie powieści Łasica, nagrodzonej pierwszą premią w tegorocznych nagrodach Stalinowskich. Sądzę, że zwłaszcza krytyka musi bardzo dokładnie przeanalizować, przemyśleć ten list, który zarówno dla niej jak i dla naszych twórców posiada ogromne znaczenie. Ten list uczy nas, jak nie wolno sobie upraszczać zagadnienia kształtowania psychiki i światopoglądu człowieka, zwłaszcza, jeżeli chodzi o przeniesienie na ten proces mechanizmu walki klasowej. Jak nie wolno upraszczać sobie problemu dojrzewania świadomości politycznej, jak nie wolno szablonować życia człowieka w myśl recepty: kułak, średniak i biedniak. Jak te procesy są znacznie bardziej złożone, skomplikowane, ponieważ nurt procesów rewolucyjnych nie tylko znosi z areny dziejowej określone klasy, lecz rozsadza je od wewnątrz, rozsadza spoistość ich rodzin. Jak problem konfliktów klasowych w konkretnym człowieku jest problemem walki, zwycięstwa lub klęski konkretnej, żywej jednostki.

U nas nieraz właśnie krytyka bardzo często zagadnienie to upraszcza. Wprawdzie krytyka nasza robi również pewne postępy, podobnie jak wszystkie inne dziedziny sztuki, lecz zjawisko uproszczenia cechuje ją jeszcze w bardzo d żym stopniu. Jest to tym bardziej szko liwe, iż wielu ludziom wydaje się, to właśnie Partia istotnie sprawy te ten, a nie w inny sposób, widzi i ch żyby je tak, a nie inaczej rozumia Czas już powrócić do rzeczywisty konfliktów, pozytywów i negatyw naszego życia, do spraw żywych lud do problematyki i do partyjnego dzenia spraw świata i ludzi.

W tych warunkach list grupy c telników ucieszył nas tym więcej, że konferencji w Radzie Państwa toczy walkę z deklaratywnością i schema zmem, że toczymy walkę o prawdzi widzenie złożonej i wielorakiej rzec wistości. Zwłaszcza pamiętajmy, o ty że sformułowania w tym liście, do czące samej roli sztuki mającej pom gać ludziom zrozumieć istotę zjawi które w nich zachodzą na gruncie i pulsów walki klasowej, nabierają wypadku sztuki filmowej tym więks go znaczenia, że dzieła nasze ogląda przez miliony ludzi powinny dać k demu człowiekowi klucz do otwar samego siebie i do umiejscowienia mego siebie w wielkim procesie d jowym, którego jesteśmy współtwór mi. I to jest sprawa, o której nie w no nam zapominać.

Dlatego, jeżeli prowadzimy walk wielkie idee, o przebudowę nasz społeczeństwa, o socjalizm, o Sześc letni Plan, o Pokój, to powinniśmy myśl tego listu „grupy czytelnikó który formą, głębią myśli i prost prawdy przypomina wiele innych po bnych wypowiedzi, zawsze pamięta tym, że sprawa socjalizmu to jest sp wa naszego narodu i naszego człowi i że wszystkie nasze sprawy należy dzieć przez człowieka i stwarzać człowieka. Dla nowego człowieka no epoki, epoki zwycięskiego socjalizm

Włodzimierz Sokor

IGNIEW MITZNER

Kłopoty Adolfa Dygasińskiego

ygasiński przyjechał do Krakowa w u 1871. Przybywał z Pragi, gdzie tynuował na filologii studia rozpo- te w Szkole Głównej i przerwane vstaniem. W ruchu powstańczym ł czynny udział, ale — jak relacjo- e córka Dygasińskiego, Zofia Woler- ra — do wspomnień z tych czasów lubił nigdy powracać. Doświadcze- , które wyniósł z powstania, nie by- najradośniejsze i najbardziej budu- e. Autor B e l d o n k a nigdy nie edstawił wyraźnie swych poglądów ruch 1861—1864. Pewne światło na zagadnienie rzuciła relacja Posnera, oszona w okresie międzywojennym. owiedział on o swojej i młodego Że- nskiego wizycie u Dygasińskiego, chodziło o rozpoczęcie zbiórki na karb Narodowy", zainicjowanej zna- broszurą Jeża.

Zaczęliśmy — opowiada Posner — kać ludzi, którzy by tę myśl w życie elić chcieli. Poszliśmy do Dygasiń- ego. Uważaliśmy go za jednego z większych — powstaniec, pisarz ge- lny, nauczyciel kilku pokoleń... Słu- ł nas uważnie w ciągu dłuższego su, a potem rzekł: „Piękna to myśl, erzecie trochę pieniędzy — może du- — ja jednak myślę: kto te pieniądze radnie..." Dotknięty do żywego tą agą Żeromski zawołał: „Jakto? Jeż e zbierać pieniądze na obronę naro- vą, a pan boi się, aby tych pieniędzy rozkradli?!" — „Tak, ja pamiętam vstanie — miał odrzec Dygasiński — niętam, jak wszędzie składali pienią- , duże, wielkie pieniądze — i cóż? każdym mieście prowincjonalnym jduje się wielka kamienica, którą lu- e nazywają „narodową", to znaczy arodowych pieniędzy powstałą".

Sądzić wolno, że nie był to zasadniczy powód rozczarowania pisarza. Stanowisko, które zajmuje w czasie pobytu w Krakowie w latach 1871—1877, dowodzi, że przyczyn upadku narodowego dopatrywał się w roli, jaką w życiu narodowym odegrała i odgrywała wówczas jeszcze nadal arystokracja i szlachta.

W liście z dnia 1 października 1871 roku, pisanym do narzeczonej, córki bogatego ziemianina z okolic Kielc, Dygasiński pisał:

„... przedziela więc nas duma dwóch stronnictw. Bo jeśli dumnym jest z rodu swego i fortuny jakiś tam prawnuk hetmana czy wojewody, to bodajże dumniejszym od niego jest człowiek, co wyszedł z ludu. Różnica jest tylko taka, iż pierwszy zastawia się tarczą herbową swych przodków, szczyci się pracą naddziadów i ich znaczeniem — drugi jest to bohater bez przodków, na swoją rękę. Ja wprawdzie nie mogę mieć pretensji do takiego bohaterstwa, nie zrobiłem nic na świecie imponującego, a tylko to jedno sprawia mi wewnętrzne szczęście, że się nigdy nie poniżyłem sam, ani poniżyć się nie dałem nikomu bezkarnie. Jest to cecha wszystkich ludzi wyszłych z tłumu; porywa ich mimowoli jakiś rodzaj zuchowatej buty, opartej jedynie na: „dosyć mi tego, że jestem człowiekiem".

Pracę literacką Dygasiński rozpocząć miał później, wyjątkowo późno, bo po czterdziestce, po wyjeździe z Krakowa i osiedleniu się w Warszawie. Niemniej jednak ów krakowski okres trudów, prac pedagogicznych, tłumaczeniowych i wydawniczych, walki politycznej z obozem „stańczyków" i walki o byt — dla kształtowania się oblicza i poglą-

dów pisarza miał niewątpliwie wielkie znaczenie.

Nowe światło na krakowskie lata Dygasińskiego rzuca jego nieznana dotychczas korespondencja z przyjacielem, Janem Baudoin de Courtenay. Wyjątki z tych kilkunastu listów, zawartych w niebieskiej teczce, pozostałej wśród papierów po wielkim uczonym, dają możność zarówno zrekonstruowania przeżyć Dygasińskiego w owym okresie, jak i jego poglądów, w szczególności na „stańczyków" i całą ówczesną reakcję szlachecko-arystokratyczną, panoszącą się w Krakowie i w całej Galicji.

Jeśli autor listów jest nam dobrze znany, to trzeba przypomnieć i postać adresata, niesłusznie w pamięci naszej zatartą. O tym wielkim polskim uczonym, który trud swego życia podzielił między Rosję i Polskę, w Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej czytamy:

„Baudoin de Courtenay Jan (1845—1929) — wybitny językoznawca, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli językoznawstwa ogólnego i porównawczo-historycznego, założyciel tzw. „Kazańskiej" a potem „Petersburskiej" szkoły lingwistycznej. Profesor uniwersytetu: kazańskiego (1875—1883), Juriewskiego (1883—1893), krakowskiego (1893—1900) i petersburskiego (1901—1918). Członek rzeczywisty Akademii Krakowskiej (od 1887 r.) i członek-korespondent Petersburskiej Akademii Nauk (od 1897 r.). W 1918 roku udał się do Ojczyzny, do Polski, gdzie też spędził ostatnie lata swego życia. Pracował w dziedzinie językoznawstwa słowiańskiego, indoeuropejskiego i ogólnego".

Zgodnie z poglądami swojej epoki w zagadnieniach językowych podzielał Baudoin de Courtenay stanowisko subiektywno-idealistyczne. „Niemniej jednak — pisze Wielka Encyklopedia Radziecka — Baudoin de Courtenay był w pełni samodzielny w swych konstrukcjach naukowych i pod wielor względami wyprzedzał współczesne n zachodnie językoznawstwo".

„Uważając za rzecz najważniejszą czytamy dalej — poznanie żywych jęz ków i przede wszystkim żywych gw ludowych, w których usiłował odnale zaczątki przyszłych zmian, Baudoin Courtenay pozostawił po sobie wybit prace w dziedzinie południowo-słowia skiej dialektologii. Korzystając w swy pracach w dziedzinie językoznawstw ogólnego głównie z materiałów języko polskiego i rosyjskiego, poświęcił ka demu z tych języków również specjal prace badawcze. Prócz tego redagov i w znacznym stopniu uzupełnił trze i czwarte wydanie S ł o w n i k z n a c z e n i o w e g o ż y w e g j ę z y k a w i e l k o r o s y j s k i g o (Tołkowyj słowar żywowo wie koruskawo jazyka) W. I. Dala (190 1909, 1912—1914)".

Wielki językoznawca był wybitn i konsekwentnym demokratą, wie krotnie zabierał głos w sprawie mni szości uciskanych w Austrii, Włoszech, w carskiej Rosji, a następ w Polsce. W roku 1913 za opublikov nie broszury, wypowiadającej się równouprawnieniem narodów zamie kujących Rosję został skazany na k twierdzy. Po przybyciu do Polski w ku 1918 wielokrotnie zabierał głos pr ciwko prześladowaniu Żydów, Ukra ców i Białorusinów, w obronie wol ści myśli i w sprawie rozdzielenia k cioła od państwa.

Dygasińskiego z człowiekiem tym czyły jak najserdeczniejsze stosu Toteż w listach Dygasiński spowi się zarówno ze swych zamiarów, tr osobistych niepowodzeń, jak i ze sw poglądów na to, co się wówczas w licji działo. Oto kilka fragmentów z korespondencji:

12 czerwca 1872

„Powoli doprowadziłem projekt sta-
a się księgarzem i wydawcą do tego,
ma już jakie takie nogi. Na wakacje
dę do Rabki, gdzie kąpiący się będą
zeze mnie zaopatrywani obrokiem li-
rackim. Zważ, jakie to ofiary ponosi
eraz jednostka celem przyniesienia
żytku bliźnim swoim. Do wód jedzie
karz, aktor, komediant, ksiądz i ja —
ięgarz i nauczyciel; jadą piekarze,
eźnicy i cukiernicy. Biedni ci chorzy:
częśliwi ci chorzy w Rabce! Na przy-
ły rok myślę założyć czytelnię ksią-
k w Szczawnicy i Krynicy przez czas
pieli; książki ruskie byłyby mi na
kę w tym przedsiębiorstwie.

Chciałbym też w Krakowie otworzyć
dzaj salonu, gdzie bez piwa i kawy
ogłaby publika płci obojej delekto-
ać się gazetami itp. Taka instytucja
spierałaby księgarnię, przygotowując
j stosunki. Pieniędzy atoli mam mało!
en brak jest lepem, który przytrzy-
uje skrzydła, a bezskrzydłym — łapy.
óż mówisz o księgarzach ruskich? Czy
ożna liczyć cokolwiek na znalezienie
nich kredytu... Ślę do Ciebie suplikę,
yś mi doniósł, czy mogę liczyć na
łoszenie się do mnie (do: „Księgarni
ieł tanich i pożytecznych") po książki
lskie i ruskie, a może czeskie, Sło-
an południowych?

Ci ostatni jak stoją ze swoimi biblio-
kami? I w ogóle zażądaniami karmy
erackiej, nie wiem. Czy lubią książki
ytać, a raczej kupować, czy mają bi-
oteki ludowe itp.? Jak stoi w Rosji
ydawnictwo książek ludowych; czy to
rzeczy tanie?...

Nic Ci o Krakowie nie doniosę... Cały
aków zajęty jest wystawianiem pom-
ka Straszewskiemu, niegdyś cukierni-
wi, który założył ogród przy cukierni,
y wabić gości, a z tego urosły kra-
wskie planty. Skwary panują, częste burze, biją pioruny pracowicie w stary Kraków. Przed trzema dniami uderzył piorun w dom redaktora D i a b ł a, stąd głuche i pełne trwogi biegają słowa o sprawiedliwości Pana nad Pany, o upokorzeniu szatańskiej potęgi w mieście słynnym z cnót i bogobojności".

12 listopada 1872

„Ja obuczam żaki, dotąd (13-tu). Biblioteka wlecze się z nienajlepszym sukcesem... W maju otworzę księgarnię w Krakowie. Mam zamiar urządzić ją po europejsku, zobaczymy... O koncesję podałem już do rządu, ale czy dadzą? Ja daję mało kapitału, ale tylko pracę i ze 2.000 guldenów, resztę daje wspólnik mój".

26 grudzień 1874.

„Kochany Janie!

Wasze korespondentki są w przyzwoitym formacie, więcej się zmieści liter i nie wiem dlaczego taka oszczędność w Austrii pod tym względem..."

Dalszy ciąg tego listu napisany po rosyjsku. Oto tłumaczenie:

„Niedawno spotkałem się z Szujskim i dowiadywałem się w sprawie polskiego słownika — zdaje się, że wszyscy oni są zmartwieni z powodu Twojej odmowy. W tych dniach zjawił się tu rosyjski filolog, jakiś Salizjew; wiele o nim mówią w mieście, przywiózł listy polecające od bardzo czcigodnych osobistości z Pitra; uczy się polskiego, opowiadają, jakoby był wysłannikiem rządu, czy aby tutejsza Akademia nie jest groźna dla panslawistycznego ruchu w Rosji. Myślę, że to wszystko bzdury. Mówią jeszcze przeróżne rzeczy, ale tu jestem zmuszony milczeć. Mówią, że przysłano go również do mnie, był w moim sklepiku, pytał o Twoje dzieła i Malinowskiego i nazwał Ciebie „poczciwym chłopem Kutienaj", pewno Twój Kolega".

27 kwiecień 1875

„Świętochowski był w Krakowie, gawędziłem z nim coś do drugiej w nocy u Pollera. Gwałtu, co się dzieje! Malinowski przepadł w tych dniach z katedrą — mówiono mi sekretnie, że jednogłośnie; a jakie to świnie, czemu go łudzili swoją przyjaźnią i obietnicami, po czym powiedzieli, że ponieważ jest m...l, więc nie godzien być tutaj. *Voila bon motif!...*

Co do mnie, ciągnę swój wóz żywota jak umiem; trzeba żyć i basta. Szkoda, że będziesz teraz tak daleko. Korespondencja trudniejsza... Ja obecnie sprowadzam Bedeckera, Almanach i Eisenbahnkarten z całego świata; w myśli roję sobie plany bogatego żniwa za te facecje, bo wkrótce z północy na południe będą leciały dzikie gęsi, bociany, kaczki i inne przelotne dwunogi".

List ten wymaga pewnego objaśnienia. Chodziło o katedrę lingwistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Kandydatura Baudoin de Courtenay'a spotkała się z opozycją „stańczyków". Mimo poparcia, jakie udzielił początkowo jeden z autorów Teki Stańczyka — Szujski. Równocześnie — jak wynika z tego listu — nie wyraził zgody na objęcie katedry przez Baudoin de Courtenay'a w Krakowie rosyjski minister oświaty, Dymitr Tołstoj. W tej sytuacji Baudoin de Courtenay wskazał na kandydaturę swego przyjaciela, Lucjana Malinowskiego. Wraz z nim podjął on w kilka lat później wielkie dzieło słownika staropolskiego, które obecnie, po latach przeszło 70-ciu, ma być doprowadzone do końca.

Z listu tego wynika, iż w owym czasie Baudoin de Courtenay powołany został na katedrę w Kazaniu. Porównanie z innymi listami Dygasińskiego pozwala nam odcyfrować słowo „m... l". Jest to „moskal", rzucane przez „stańczyków" na wszystkich tych, którzy przeciwstawiali się ich polityce bez względnej lojalności w stosunku do Wiednia i pragnęli ułożyć na płaszczyźnie przyjaźni stosunki narodu polskiego z narodem rosyjskim. Dla „stańczyków" „moskalem" był zarówno Malinowski jak i sam Baudoin de Courtenay.

31 grudzień 1875.

„Jest tu Aleksander Świętochowski. Napisał nowy dramat — arcydzieło. Zdolna to głowa niepospolicie. Wspomina na Cię prawie codziennie. Interesa mo je uprawiam i księgarnia mi dosyć sła bo idzie, ludzie są głupi i czytać ni chcą — co im po tym, kiedy szelmy jeś co nie mają".

Ten dramat Świętochowskiego — t Ojciec Makary. Wydał g Dygasiński drukiem w roku następnym i w ten sposób przypieczętował swó los na terenie Krakowa. „Stańczycy" z słynnym w owym czasie kaznodziej ksiądzem Golianem na czele, rozpęta taką nagonkę na nieszczęśliwego księ garza, że musiał zmykać, aby się oprze aż w Warszawie. Oto echa tej walk

28 kwiecień 1876.

„Niepospolity bój, jaki tu prowadz Świętochowski, powołał mnie do Land wehry przeciwko „stańczykom", jezu tom i innym narodom mieszkającym n tej ziemi, w której przybyszem (obco krajowcem) jestem. Skończyła się wo jenka, a mnie zaczęły boleć zęby, bola ły i bolały długo. Bolą nawet dziś je szcze...

Świętochowski wysłał Ci był książ swoje: Makary, Niewinn Ueber Moralgesetze (ro prawa na stopień doktora), wszystk pod opaską...

W Krakowie głucho i głupio, m kram idzie tępo, obecnie nawet ksia żek do nabożeństwa nie sprzedaję. Ob się ta dziura przeklęta w piekło z padła! W Galilei głód, przez dziesięć l autonomicznych rządów już dają lud

i trzecią pożyczkę rządową — *schoe-e Geschichte.* Ale za to ludzi wielkich ak makiem zasiał. I co Ci tu pisać, ój drogi; bronię się od zwątpienia ałymi siłami (nie myśl, że od zwątpie-ia w Pana Jezusa).

Jeżeli napiszesz kiedy do mnie, to apisz obszernie *ad personam Tuam.* linisterium nie zatwierdziło dla Kra-owa katedry lingwistyki...

Wspominaliśmy Cię długo z Święto-owskim, dobrześ zrobił, że nie je-eś w Krakowie".

) *czerwiec 1876.*

Blankiet: Redakcja i administracja i a b ł a.

„Kochany Janie Chrzcicielu, w Ole-, Ewangelisto etc.! Iż się zwróciłeś ku nie, przeczże nie miałbym wysłuchać osu Twego. Tak mówi Pan do sługi wego Dawida. Nieprawości moje po-łonęły mnie jako żywot zgłodniałego łonie wszelakiego rodzaju pożywie-ie.

Chciałem napisać coś dowcipnego z iblii i *ganz unbewusst* napisałem po-yższe frazesy, ale widząc, że nie mo-ę być dowcipnym, chcę być poważnym upełnie przeciwnie jak Ochorowicz w z i e n n i k u p s y c h o l o g a: ciał być poetyczny i 24 października chnął — patrz pagina nie pamiętam óra...).

Strzeż się, aby Cię w Krakowie nie ysadzili dynamitem i żałuję mocno, że ię na katedrę wezwali. Jesteś bowiem oskal..."

Ten blankiet D i a b ł a to nie zypadek. Gdy w roku 1875 Kazimierz artoszewicz nabył D i a b ł a i objął go redakcję, Dygasiński zostaje jed-m ze stałych współpracowników, jak wnież obejmuje naczelne przedstawi-elstwo D i a b ł a, o czym infor-uje napis na czele numeru: „Prenu-eratę, listy i artykuły należy nadsy-ć pod adresem: Głównej Ajencji w Księgarni A. Dygasińskiego w Krakowie". Niestety, większość utworów w D i a b l e zamieszczanych, a właściwie niemal wszystkie z wyjątkiem kilku wierszy Rodocia są anonimowe. Pozostaje zagadnieniem otwartym odszukanie, co w D i a b l e było pióra Dygasińskiego.

Następny list pochodzi z późniejszego okresu. Czuje się w nim echa nagonki na zajmującego się polityką księgarza:

„Kochany Janie!

Gwałtu jak wyli i wyją jeszcze na Ciebie, zbrodniarzu. I „Tygodnie", i „Dnie" i „Miesiące" i „Czasy". Po co Ci też potrzebne wywoływać wilka z lasu; czy Ty lub uniwersytet zyskuje na tym? A przecież znać musisz solidarność prasy naszej: „Kto obraża mnie, ten obraża Ojca mego, który jest w niebiesiech..."

W S z k i c a c h ja wspomniałem o pracach Twoich i miałem zamiar umieścić kilka słów w odpowiedzi na krytyki przeciw Panu B. d C., ale boję się, żeby mi nie powybijali okien, albo żeby dziennik nie ucierpiał.

...Co się tyczy księgarni w Petersburgu, ja bym chętnie podjął tę sprawę. Cóż, kiedy potrzeba multum kapitału, a obok tego starania długie o konsens...

Ja tu ruszyłem łyków krakowskich i wydawać będę treściwy polityczny dziennik. Ale cóż mi z tego, kiedy to wszystko honorowe dzieła, a mnie potrzeba centów, aby dzieciom (druga córka rośnie) dać papu. Oczekuję Twego listu, może mnie też jeszcze zaproponujesz jakim petersburskim znajomościom...

Szujskiego zerżnę strasznie w S z k i c a c h i w D i a b l e.

Kilka dalszych listów Dygasińskiego do Baudoin de Courtenay'a pochodzi z następnych lat dwudziestu. Ostatni nosi datę 2-go grudnia 1896 roku. Listy te dotyczą między innymi rozpoczęcia wydawnictwa W i s ł y, przesyłki książek, materiałów do artykułów, o

które zwraca się Dygasiński do Baudoin de Courtenay'a, jak również i spraw rodzinnych. W liście z 26 marca 1887 roku Dygasiński prosi swego przyjaciela o udzielenie pomocy swemu szwagrowi, Henrykowi Lisowskiemu, który „za socjalizm przesiedział lat pięcioro na Syberii... Lisowski jest człowiekiem z charakterem i pracownik — tyle go mogę przedstawić".

Dwa krótkie listy dotyczą ciężkiej doli pisarza, zmuszonego pod koniec życia zarobkować guwernerką:

„Kochany Janie!

Ponieważ nie jestem w Warszawie, lecz na wsi, przeto pannie Wolskiej posłałem cztery listy do redaktorów: Kłosów, Kuriera Warszawskiego, Przeglądu Tygodniowego i do Paprockiego. Nadto posłałem list do jednej z dobrze znajomych mi pań, aby — w razie potrzeby — pomogła pannie Wacławie w wyszukaniu lekcji, jeśli by chciała dawać. Widzisz, że mi dziwnie idzie, skoro na starość muszę się brać do prywatnej belferki. Mam za to spokój i przyrodę. Nie rozpisuję się szczegółowo, bo już noc, a po trochu ślepnę.

Rad bym Cię kiedyś zobaczyć, czy nie przyjedziesz do Warszawy? Czy Herman Benni jest w Dorpacie?

Co prawda wybierałem się już raz do tego miasta, ale mi schodzi zawsze na braku różnych rzeczy.

Ściskam Cię serdecznie i pozostaję Twoim

Adolfem Dygasińskim".

Popów, p. Serock, gub. łomżyńska

14 stycznia 1890 r.

Drugi list brzmi:

„Kochany Janie!

Dowiaduję się, że jesteś w Krakowie, a ciężko mi o czymkolwiek się dowiedzieć, ponieważ od roku siedzę na zapadłej wsi wołyńskiej, na dobre rzemiosło preceptorskie pełniąc. I w tym chędogim staniczku nadziewam się jeszcze parę lat pozostawać..."

Baudoin de Courtenay objął jednak katedrę w Krakowie. Przyjacielowi jego powiodło się gorzej. Belferka, poszukiwanie środków do życia zagnało wielkiego pisarza do Petersburga, gdzie na kilka miesięcy przed śmiercią kończył Gody życia.

I w tej ostatniej książce brzmią echa krakowskich i późniejszych walk Dygasińskiego:

„Wolność jest godna, aby za nią oddać życie".

Zbigniew Mitzner

O cyklu „Między wojnami"

hciałbym z góry określić charakter ıjej wypowiedzi. Nie będzie to re-ıja ani też bezwzględna obrona ısnych książek. Po prostu chciałbym z wami podzielić garścią doświad-ń zdobytych w czasie pracy nad cy-m Między Wojnami — cy prawie 5-letniej.

ak wiadomo w ciągu tych lat wiele czy się zmieniło. Zmieniła się histo-ludzie, a ostatnio zaczęli się podob-zmieniać także i krytycy. Rzecz pro-przemiany tych lat nie ominęły nie. Kiedy w r. 1947 zasiadałem do nia Samsona, byłem autorem ıch książek: Miasta niepoko-nego i Drewnianego ko-a. Dwóch książek obarczonych nie-pliwymi błędami, z których jedna ała przez krytykę przyjęta bardzo ıwo — myślę o Drewnianym niu, druga może zbyt pochlebnie nyślę o Mieście niepoko-nym.

amierzałem więc z kolei napisać cią książkę: jedną książkę o czte-ı ludziach, w losach których mo-ıtem przełomowym byłby wybuch ny 1 września 1939 r.

a pierwotna koncepcja zaciążyła nad odą mojej pracy. Może to Was ıteresuje, że pisałem książki z cyklu ędzy wojnami w nieco in-ı porządku, niż ukazywały się one druku. Kiedy ukończyłem pierwszą ić Samsona (do września 1939), ząłem pisać pierwszą część Anty-ny, którą również doprowadziłem o do wybuchu wojny, poczem za-em się do Troi. I *da capo:* ciłem do Samsona, napisa-jego drugą część, potem drugą ć Antygony i wreszcie drugą część Troi. Dopiero wiosną 1949 r. dobiłem do czwartego tomu: Człowiek nie umiera był jedyną książką cyklu, którą napisałem jednym ciągiem od początku do końca; praca nad nią zajęła mi prawie dwa lata, do wiosny 1951 r.

Pierwotną, jednotomową koncepcję porzuciłem więc w trakcie roboty. Zamiar wydał mi się formalistyczny i niezbyt realny: książka liczyłaby z górą 1000 stron i mogłaby się ukazać dopiero w 5 lat po Mieście niepokonanym. Oczywiście nie starczyłoby mi cierpliwości na tak długie milczenie. Zacząłem więc wydawać tom po tomie i poprzestałem na ogólnym nagłówku Między wojnami.

Krytyka dość wcześnie okrzyknęła te książki modnym podówczas zawołaniem „socjologicznej konstrukcji losu ludzkiego". Przyznaję ze wstydem, że byłem jednym z autorów tego błędnego sformułowania, zrodzonego z rozmów i dyskusji w Kuźnicy. Zresztą określenie to padło w stosunku do moich książek zrazu w formie pełnej uznania, a dopiero później wytoczono mi o to pretensje. Nikt oczywiście nie pytał mnie o zdanie, byłem w sytuacji człowieka, któremu pewnego dnia przypięto bez powodu order, a w kilka dni później, również bez powodu, zdarto mu go wraz z epoletami.

Kiedy zasiadałem do pracy nad cyklem, nie miałem w głowie żadnej „socjologicznej konstrukcji", chodziło mi tylko o to, aby uwydatnić w tych książkach związki życia ludzkiego z historią, ze zjawiskami społecznymi, i aby ukazać wpływ tych zjawisk na los człowieka. W trakcie pracy zacząłem rozumieć, że jedyna odpowiedź, jaką mogę dać

na pytanie, od czego zależy przebieg życia ludzkiego na ziemi, jakie siły mają rozstrzygający wpływ na los człowieka — że odpowiedź na to pytanie brzmi następująco: ustrój kapitalistyczny niszczy moralnie i fizycznie człowieka, który z nim nie walczy; jedynym dla niego ratunkiem jest walka z tym ustrojem, czyli związanie się z rewolucyjnym ruchem naszych czasów — z ruchem klasy robotniczej.

Na to pytanie, i wiele podobnych, musiałem dać odpowiedź przede wszystkim sam sobie. Musiałem sięgnąć wstecz, do spraw związanych z międzywojennym dwudziestoleciem, gdzie tkwiły pierwsze moje obserwacje, pierwsze zebrane prawdy. Wtedy, w r. 1947, kiedy zaczynałem pisać cykl Między wojnami, zdawałem sobie sprawę, że jego tematyka jest nieco zapóźniona, że najpewniej spotkam się z niecierpliwością krytyki, która zażąda ode mnie szybkiego wkroczenia w tematykę współczesną. Wiedziałem jednak, że szybko zdobyć się na to nie potrafię: musiałem załatwić swoje niezałatwione sprawy, rozwiązać problemy, na które nie miałem jeszcze jasnej odpowiedzi. Nie czułbym się w porządku wobec siebie i innych, gdybym te sprawy pozostawił odłogiem. Było to jakby szukanie brodu, właściwej drogi, którą — rzeczywiście bardzo powoli — usiłowałem dotrzeć na drugi brzeg — na brzeg naszych czasów.

Oczywiście, popełniałem po drodze błędy i nie zawsze szedłem we właściwym kierunku. Czy krytyka umiała mi słuszny kierunek wskazać? Nie we wszystkich wypadkach.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że mój cykl nie zaspokoi tak częstego postulatu naszych krytyków, mianowicie nie da „pełnego przekroju społeczeństwa" — będzie tylko obrazem częściowym, ułamkowym, ukaże co najwyżej wybrane przeze mnie zjawiska. Ja
to zjawiska?

Wybrałem 4-ch bohaterów, z któr
pierwszy jest Żydem, drugi aferzy
trzeci inteligenckim estetą, czwarty
akowcem. Zespół ten nie daje pełn
obrazu społeczeństwa polskiego w
tach 1935—1945.

Ale moim zamiarem nie było uka
nie pełnego obrazu tych czasów,
tylko ukazanie ostatecznych, kraf
wych konsekwencji pewnych pos
i stanowisk politycznych, moraln
i intelektualnych, dla tych czasów
rakterystycznych.

Każdy z moich bohaterów jest do
wadzony w pewnym momencie sw
życia do jakiegoś progu czy skraju s
dotychczasowej drogi: jeśli ten
przekroczy, jeśli postawi nogę w
stronę, dokąd go pchają złe siły k
talistycznego społeczeństwa, jeśli p
oczy ostatni moment, w którym jes
może się ocalić — będzie zgubiony

Niektórych bohaterów musiałem
święcić, innych udało mi się uratov
I przede wszystkim to — przebieg
cia ludzkiego zawisły od społeczn
przyczyn, dochodzenie świadom
ludzkiej do prawdziwych swych źró
klęski i zwycięstwa ponoszone na
drodze, poszukiwanie i błądzenie —
przede wszystkim, wydaje mi się,
właściwą materią czterech książek z
klu Między wojnami.

■

Zacznijmy od Samsona. Sa
son wywołał pewne zdziwienie wś
czytelników Miasta niepo
nanego. Dlaczego młody człow
który tak sentymentalnie opisał W
szawę okupacyjnych lat, w swej
stępnej książce uczynił bohaterem Ży
Dostawałem listy z zapytaniami,
cały cykl będzie o Żydach i dlac
nie piszę dalszego ciągu Mias
niepokonanego. Zaczęło

c od nieporozumień z czytelnikami... szczęście jednak wkrótce przypły- inne listy i odgłosy, które zachę- mnie do dalszej pracy.

eśli idzie natomiast o krytykę, to tyka zareagowała na S a m s o n a życzliwą wstrzemięźliwością, nie ędząc mi jednak zarzutów. Sprowa- ły się one przeważnie do zarzutu ematyzmu. Ten termin, dziś tak sze- o używany, padł z ust naszej powo- nej krytyki po raz pierwszy właśnie azji S a m s o n a. Mogę się więc żać za ojca schematyzmu we wspól- nej literaturze polskiej.

arzucono mi ramowość i konstrukty- n głównej postaci. Pisano o Jaku- Goldzie, jakby o mojej hipotezie oczej czy figurze logicznej, którą ołałem do życia na swój własny ek. Tu i owdzie padało określenie jologiczny schematyzm".

y rzeczywiście był to schematyzm? e i był, ale inny — inny niż ten, y dziś się zwalcza.

e broniłbym Jakuba Golda z pozy- epiki realistycznej, nie broniłbym oparciu o wielkie wzory realizmu ycznego, które na pewno przekazały bohaterów o bogatszej psychologii, łniejszych i bardziej skomplikowa- przeżyciach. Broniłbym go ina- i z innych pozycji.

m jest Jakub Gold? Jest to postać na z kilku podstawowych cech czy ć ludzkich: prostota, niewinność, ść do matki, przyjaźń dla kolegów, na wiara w świat. I taki oto czło- zek, zbudowany z prymitywnych o cnocie społecznej, styka się ze em straszliwym, niszczącym, tnym. Zależało mi na tym, aby ta ontacja — konfrontacja prostaczka rojem kapitalistycznym — wypa- najostrzej, najjaskrawiej. S a m- nie jest książką o męczeństwie w, akcja jej z niewielkimi zmia- nami mogłaby się dziać w Ameryce, a Jakub Gold mógłby być chłopcem z murzyńskiej dzielnicy Nowego Jorku; S a m s o n jest po prostu historią człowieka, którego system kapitalistyczny wybiera na swoją ofiarę, dzie- jami prostaczka rzuconego w piekło fa- faszyzmu.

Czy Jakub Gold jest postacią typową? Recenzja niepisana, „recenzja warszawska" głosiła, że nie. Młody inteligent żydowski był przecież zazwyczaj chłopcem uzdolnionym, wybijającym się — i przez to ściągał na siebie wiele uczuć zawiści. Takiego Żyda trzeba było pokazać.

Pomijając naiwność powyższej analizy źródeł rasizmu, gotów jestem przyznać, że Jakub Gold nie jest postacią typową dla drobnomieszczaństwa żydowskiego w dwudziestoleciu. Jest postacią prawdopodobną, chociaż nie typową. Natomiast wydaje mi się, że zjawisko, które za pomocą tej postaci starałem się uwydatnić, jest zjawiskiem typowym. Zjawisko to polega na tym, że system kapitalistyczny wytwarza siły niszczące człowieka. Że wybiera swoje ofiary spośród ludzi, których jedyną winą jest odmienny kolor skóry czy włosów i których jedynym przestępstwem staje się w końcu sam fakt ich istnienia. Zjawisko to — czyli krótko mówiąc nienawiść i morderstwo jako naturalne funkcje kapitalizmu — jest na pewno zjawiskiem typowym dla co najmniej stu lat rządów burżuazji i dwudziestu lat faszyzmu; natomiast Jakub Gold jest postacią nietypową dla warstwy drobnomieszczaństwa żydowskiego w latach międzywojennych.

Głosy krytyki o S a m s o n i e stworzyły wachlarz dość różnorodnych sądów, od bardzo surowych do przesadnie pochlebnych. Jeden z krytyków np. pisał o tej książce, że: „...pilnie strzegąc prawidłowości historycznego

rysunku zagubił autor całkowicie jednostkowy i indywidualny wymiar, bez którego nie budzi się wielkich wzruszeń i bez którego nie ma wielkiej sztuki. Stworzył ramy bez żywej wewnętrznej treści".

Zarzut bardzo ciężki. Ale jednocześnie inny krytyk, nie mniej odpowiedzialny, napisał o Samsonie zdania wręcz przeciwne: „Brandys za pomocą bardzo, zdawałoby się, prostych środków artystycznych, oddaje pełną głębię uczuć ludzkich, rysując sylwetkę swego ukrywającego się, a następnie walczącego bohatera".

Co ma o tym sądzić autor? Nie pomogła mu ani pierwsza recenzja, która jego zdaniem zbyt surowo książkę zganiła — ani druga, która oceniła ją zbyt pochlebnie. Nie mógł się pogodzić z tym, że Jakub Gold to postać bez wewnętrznej treści, ani z tym, że jest to „pełna głębia uczuć ludzkich".

Pomogła mu dopiero trzecia recenzja. Henryk Markiewicz w Dzienniku Literackim wydrukował krytykę Samsona, w której uderzył mnie następujący cytat: „...ażeby wzmocnić socjologiczną motywację dziejów bohatera, autor uczynił Jakuba — aż do przedśmiertnego wyboru walki — tylko obiektem działania sił zewnętrznych, niejako „punktem ich przyłożenia". W konsekwencji musiał jak najbardziej ograniczyć pole jego świadomości, zhiperbolizować jego prostoduszność... Takie uproszczone „równanie ludzkiego losu" osłabia jego konkretną, życiową prawdziwość, chociaż w sensie dydaktycznym jest do pewnego stopnia dozwolone".

Tutaj krytyk dotknął newralgicznego punktu powieści, pomógł mi zobaczyć rzecz, której sam bym zapewne nie dostrzegł — a co najważniejsze przemówił do autora językiem ani zbyt pochwalnym, ani zbyt złośliwym — po prostu: krytycznym językiem marksisty. Przemawiając tym językiem najlepiej pomaga się pisarzom.

*

Przejdę do Antygony. Jes tom cyklu, który wzbudził najwi zastrzeżeń. Oczywiście znowu ze wz du na postać bohatera. Ksawery Sz lej był aferzystą, niebieskim ptaki hochsztaplerem — to prawda. Aferz nie działają na głównych liniach p cesów rozwojowych, najwyżej kr się między tymi liniami — to ta prawda. Jednym słowem Ksaw Szarlej nie jest postacią typową.

Lecz znowu odpowiem: mimo że K wery nie jest postacią typową, niem zjawisko, które starałem się przy j pomocy obnażyć — jest zjawiskiem powym.

Jakież to zjawisko? Nazwałbym zatarciem granicy między procede kapitalistycznym a procederem p stępczym. Kapitalista, któremu się udaje, jest przestępcą — nawet w św tle kapitalistycznych kodeksów. Na miast kapitalista, któremu się udaje jest tych kodeksów twórcą. Oto jed różnica między starą Orszyną, d dziczką Kalenia, a Ksawerym Sza jem, aferzystą złapanym na gorą uczynku. Orszyna to kapitalistka, rej się powiodło: jest wielką posiad ką, producentką nie tylko towar lecz także moralności, obrządków, To ona potępia Ksawerego — któr nie udał się kapitalistyczny proce Ksawerego-przestępcę, który pros przytułek. Treść moralna tych dw postaci jest przecież identyczna, ró ca między nimi tkwi tylko w bi sach.

Sądzę jednak, że zasadniczy błąd powieści tkwi głębiej i zawarty w moich własnych słowach, które ur ściłem w komentarzu autorskim Antygony: „Świat zrodził c wieka-narzędzie, człowieka-potwier

ię, człowieka-wykonawcę sił rządzących światem". Błąd ten polega przede wszystkim na niemarksistowskiej, fatalistycznej interpretacji losu ludzkiego. Problem podobny — pisał wówczas Henryk Markiewicz w swej recenzji Antygonie — ...roztrząsa bardzo interesująco radziecki krytyk Lew Timofiejew: „Człowiek jest dzieckiem swojego narodu, swojej klasy — pisze - ale jednocześnie w życiu swym nie odtwarza on w sposób mechaniczny tego, co zostało w niego wniesione przez naród i klasę. Jego osobista wola, jego osobisty rozum rozstrzygają o tym, w jakim stopniu wypełnił on swój obowiązek, w jakim stopniu zorientował się w życiu... W decydujących momentach człowiek zostaje jakby sam na sam z losem, cała odpowiedzialność spoczywa na nim, nikt nie będzie myślał i rozstrzygał za niego. I pełną miarą będzie płacił za swoje błędy".

Proszę mi wybaczyć ten przydługi cytat, ale słowa te wywarły na mnie głębokie wrażenie i do dziś wdzięczny jestem krytykowi za to, że mnie z nimi zapoznał. Dzięki nim zrozumiałem niewątpliwy błąd ideologiczny zawarty w Antygonie. Nie o to — wydaje mi się — chodzi, że litowałem się nad Szarlejem, kiedy był obdarty i chory. Błąd mój polegał na tym, że ukazałem występki Szarleja jako nieuniknioną i niezawinioną konieczność, wywołaną przez zło ustroju kapitalistycznego. Błąd więc nie tkwił w akcentach litości w stosunku do Szarleja, lecz raczej litość, jaką mu okazałem, była wynikiem błędu ideologicznego, który ciążył na tej książce — wynikiem kapitalistycznej, antymarksistowskiej interpretacji życia człowieka w społeczeństwie kapitalistycznym.

*

Kiedy wydałem Troję — miasto otwarte, krytyka miała już wyrobiony stosunek — jeśli nie do moich książek, to przynajmniej do ich bohaterów: mianowicie uznała ich za łobuzów, grandziarzy i zgniłków. Cytuję z recenzji prasowych. Zakrawało na to, że te epitety w pewnym stopniu odnoszą się także i do mnie. Oczywiście, niesłusznie — swych negatywnych postaci nie podawałem przecież za wzory przykładnego życia, przeciwnie — wydaje mi się, że potępiłem je dość surowo.

Krytyka, oceniając Troję — miasto otwarte, poprzestawała zazwyczaj na analizie dwóch jej postaci: Juliana Szarleja i Wacława Pankrata. Z każdą z nich załatwiano się na swój sposób — pierwszej zarzucano nietypowość, drugiej — papierowość. Zdaje mi się jednak, że krytyka w tym wypadku poszła po linii najmniejszego oporu. Przecież bohaterami Troi — w moim rozumieniu — nie są dwaj ludzie, ale dwa konflikty.

W pierwszej części tego tomu osią, wokół której obracają się fakty, jest trzyosobowy konflikt: Szarlej — Bielski — Pankrat. „Apolityczny" i „ponadklasowy" inteligent mimo woli, przypadkiem, w rozmowie ze swym przyjacielem — faszystą, wydaje w ręce policji działacza komunistycznego. Jeden z recenzentów zarzucił mi: Cóż za fantastyczne przypadki! Ja bym się z tym nie zgodził. Tego przypadku uparcie bym bronił, jest to przypadek, który miał swoją przyczynę. Gadulstwo Szarleja, na skutek którego Pankrat zostaje aresztowany na granicy — w tym „przypadku" nie ma dowolności, uważałbym go raczej za — może szkicowy ukazany — splot pewnych procesów społeczno-politycznych nurtujących ówczesne społeczeństwo. Gdyby Pankrata aresztowano na granicy, bo, przypuśćmy, niechcący wybił szybę w pociągu lub sprowokował awanturę — wtedy zarzut dowolności tego przypad-

ku byłby całkowicie słuszny. Ale przecież Pankrat nie został aresztowany w tych okolicznościach! Nie — to komunista został wydany w ręce faszyzmu przez chwiejnego burżuazyjnego inteligenta, który do faszyzmu miał swoje inteligencko-burżuazyjne ciągoty.

W drugiej części T r o i moim zamiarem było nie tyle ukazanie jednego bohatera — ile konfliktu trzech ludzi: Cebrowskiego, Lutrechta i Pankrata.

Plenum Sierpniowe zastało mnie w przerwie między pierwszą a drugą częścią tego tomu. Nie wiedziałem, co dalej robić z Julianem Szarlejem. Czy przedstawić go w czasach powojennych w zwyczajnym opowiadaniu pisanym w 3-ej osobie, czy też poprzez cudzą narrację, czy wreszcie dalej ciągnąć jego przerwany pamiętnik. Tego lata odbywał się Kongres Wrocławski, okres ten przypadł na początek walki z oportunizmem prawicowo-nacjonalistycznym w łonie naszej Partii. I niewątpliwie te wypadki miały znaczenie dla drugiej części T r o i. Konflikt między Cebrowskim a Pankratem miał wyrażać, zgodnie z moją intencją, walkę o czystość linii partyjnej. Cebrowski, człowiek partyjny, usiłuje przyciągnąć Lutrechta, człowieka „z tamtej strony". Ale przyciąga go za pomocą myślenia „tamtej strony" i zaciera czystość argumentów partyjnych, marksistowskich po to, żeby łatwiej podważyć stanowisko przeciwnika. Pankrat wie z doświadczenia, że taki „przerost taktyki" trafia zazwyczaj rikoszetem w ideologię, i ostrzega Cebrowskiego przed tym, rozumiejąc, że człowiek partyjny łatwo może tą drogą stoczyć się na stronę wrogich racji i wrogiego myślenia.

Tak widzę dwa konflikty T r o i, dwa „trójkąty" polityczne — oczywiście potraktowane szkicowo. Na pewno nie zostały one ukazane w sposób tak bogaty i pełny jak „trójkąty" miłosne w dziełach wielkich klasyków literatury, ale pamiętajmy o tym, że polityka jest dla literatury rewelacją dużo świeższą niż psychologia i miłość. Byłoby chyba krzywdą dla współczesnego autora wymagać od niego takiej pełni w ukazywaniu nowych zjawisk, jaką wielki realizm XIX w. osiągał po pięćdziesięcioletnich doświadczeniach. Nie mówiąc już, rzecz prosta, o różnej częstokroć skali talentów.

O T r o i — m i e ś c i e o t w a r t y m krytyka pisała na ogół niechętnie i z pewnym wahaniem. Recenzji ukazało się w ogóle tylko dwie czy trzy; krytyka, uważając zapewne moje książki za anachroniczne wobec rozpoczętej właśnie walki o tematykę budownictwa socjalistycznego — po prostu przestała o nich pisać. Od tego momentu stosunek krytyki do moich powieści przypomina mi pewne powiedzenia z R e w i z o r a Gogola: „Lekarstw kosztownych nie stosujemy. Człowiek prosty, jeżeli ma umrzeć, i tak umrze... jeżeli ma wyzdrowieć, to i tak wyzdrowieje... Zresztą panu doktorowi byłoby nawet trudno porozumieć się z pacjentami — nie zna on zupełnie naszego języka, ani słowa!"

W tym okresie milczenia, kiedy krytyka postępowa, straciwszy zaufanie do moich książek, czekała, czy „same wyzdrowieją" — nagle odezwał się niespodziewany „sojusznik". Mianowicie recenzent T y g o d n i k a P o w s z e c h n e g o polecił swym czytelnikom powieści z cyklu M i ę d z y w o j n a m i, jako pouczające jeśli chodzi o „materialne przyczyny życia ludzkiego". Mocno mnie to zaniepokoiło. Dlaczego T y g o d n i k P o w s z e c h n y zalecał swym czytelnikom moje książki, a nie książki Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina? Przecież, jeśli idzie o „materialne przyczyny życia ludzkiego", to z nich najwięcej

żna się dowiedzieć. A jednak Lenina zalecali, tylko właśnie mnie!

Oczywiście, kiedy twój wróg cię wali — bądź czujny. W moich książh były poważne skazy, które zachę- tygodnik metropolitalny do tych hwał. Wyciągnąłem stąd wniosek, w następnych książkach muszę tych z — skaz ideologicznych — unik-. Ale z drugiej strony w kokieterii— tylko w szaleństwie — również by- metoda. Tygodnik Po- szechny liczył, być może, na goryczenie autora, którego postępo- marksistowska krytyka od pewnego su zaczęła traktować nieufnie. Jasne, tutaj spudłował. Stąd jednak pły- wniosek, który chciałbym skierować naszych krytyków: kiedy wróg wali postępowego pisarza — bądźcie ni, czyście nie popełnili w stosunku niego błędów.

•

ądzę, że wiele niejasności ideologicz- tkwiących w pierwszych trzech ach cyklu zdołałem wyjaśnić w to- ostatnim pt. Człowiek nie iera. Wydaje mi się, że dałem tam aźniejszą odpowiedź na pytanie, jak ży rozumieć życie ludzkie, jak osą- losy człowieka.

czywiście, i ta książka nie jest wol- od błędów — być może innej natu- niż te, które zaciążyły na poprzed- . Mam nadzieję, że wytknie mi je ejsza dyskusja, a z czasem i kry- w pismach literackich, która — mi się zdaje — jeszcze ostateczne- ądu o tej książce nie wydała.

ciałbym tylko odeprzeć kilka za- ów, związanych przeważnie z boha- n tej powieści — Tolem Szarlejem. rzucano mi, że niesłusznie i nie- zebnie kazałem mu przez parę mie- prowadzić ciężarówkę. Czy czło- który przechodzi z pozycji akow- go inteligenta na pozycje świado- mego proletariatu, koniecznie musi w tym czasie być szoferem ciężarowego samochodu, czy w ogóle pracować fizycznie jako robotnik?

Na pewno nie. Ale ja Tola Szarleja pokazuję w specyficznej sytuacji. Toczy się wojna klasowa. Wprawdzie w Polsce wojny domowej, wojny z kontrrewolucją w takiej formie i w takich rozmiarach jak w Związku Radzieckim — nie było, lecz elementy tej wojny istniały. Były powiaty i województwa ogarnięte w pierwszym okresie po Wyzwoleniu krwawą, niemal regularną walką z bandami faszystowskimi. Cóż więc dziwnego, że „uczciwy inteligent" zaciągnął się w tym czasie na szofera partyjnego wozu, który wchodzi w skład agitacyjnej kolumny samochodowej, walczącej z faszystami? Przecież w podobnej sytuacji inteligenccy bohaterowie Aleksego Tołstoja czy Konstantego Fiedina spotykali się z robotnikami w okopach lub w samochodach pancernych. Z tego, że Szarlej przez parę miesięcy prowadził partyjny wóz, wcale nie wynika, że autor widzi w pracy fizycznej jedyną możliwość odkupienia inteligenckich błędów — takie stanowisko oczywiście byłoby niesłuszne — lecz tylko to, że Szarlej był dzielnym człowiekiem, który uważał za swój obowiązek pomóc ludziom walczącym z faszystami.

Drugi zarzut wiąże się z poprzednim. Mianowicie — według niektórych głosów krytycznych — powinienem był dla zachowania jednolitości kompozycyjnej cyklu ograniczyć dzieje moich bohaterów wyłącznie do grupy inteligenckiej, ukazanej tylko na tle i jakoś tam powiązanej ze środowiskiem robotniczym.

Propozycje te, nie wydają mi się możliwe do przyjęcia. Bo cóż to jest kompozycja, cóż to jest „jednolitość kompozycyjna"? Czyżby to był autonomiczny, zaklęty krąg, który musi się szczel-

nie zamykać we wszystkich punktach? Byłby to formalistyczny stosunek do kompozycji. Jakże by wyglądał mój cykl, gdybym dla owej „jednolitości kompozycji“ ograniczył się do spraw inteligenckich! Drogą nie tylko Tola Szarleja, ale i moją — była droga do pozycji ideologicznych proletariatu, a trudno te pozycje ukazać — nie ukazując robotników. Nawet dla „jednolitości kompozycji“ takich wyrzeczeń od pisarza żądać nie należy.

Ostatnia sprawa — to sprawa ogólnego tytułu mojego cyklu. Zarzucano mi, że jest on nieścisły i można go rozumieć jako złą wróżbę. Dlaczego tytuł cyklu, którego akcja rozgrywa się w latach 1934 — 1947, brzmi M i ę d z y w o j n a m i? Czyżbym był puszczykiem i wróżył nową wojnę?

Nieporozumienie płynie stąd, że przywykliśmy określać terminem „lat międzywojennych“ dwudziestolecie między pierwszą a drugą wojną światową. To określenie może się okazać nietrwałe, historia może go nie utrzymać na dłużej. Natomiast historia na pewno zanotuje, że w latach 1935 — 36 i następnych oraz w latach 1945 — 1952, trwał przełomowy dla ludzkości cykl wojen narodowo-wyzwoleńczych: w Abisynii i Hiszpanii, w Chinach, Vietnamie, Korei... Sens tych wszystkich wojen był jeden i ten sam. Sądzę, że również dla indywidualnych losów ludzkich ten okres między wojnami narodowo-wyzwoleńczymi jest bardziej znamienny, niż lata 1918 — 1939. Dlatego przede wszystkim broniłbym tytułu M i ę d z y w o j n a m i.

*

Na zakończenie chciałbym przypomnieć naradę w sprawie literatury i sztuki, która odbyła się w październiku ub. r. w Radzie Państwa. Zabierając tam głos w dyskusji, mówiłem o pewnych niedociągnięciach naszej krytyki i jako ich główne źródło wskazywałem niedrzałość ideologiczną.

To samo mógłbym powiedzieć o r — o pisarzach. Główne nasze trudno w stworzeniu wielkiej literatury soc listycznej mają jedną zasadniczą pr czynę, do której nieuchronnie trze dotrzeć, jeśli się jest uczciwym wob siebie samego. Tą przyczyną nasz trudności w osiągnięciu pełnej tre i formy realizmu socjalistycznego jest niedostatecznie mocne osadzenie gruncie ideologicznym.

Ażeby temu zaradzić, konieczne je wydaje mi się, stworzenie silnej wi która by połączyła pisarza z klasą botniczą i państwem ludowym. Tę w pisarz powinien przede wszystk umieć stworzyć sam w sobie. Oc wiście, nigdy tego nie osiągnie po czy powieściopisarz, który pojmuje więź jako „domiar ideologiczny“ w mierzony przez Ministerstwo Kult i Sztuki. Wydaje mi się, że powinniś ją rozumieć, jako zupełne i całkow przeniknięcie wszystkich naszych po i naszej wyobraźni przez poczucie c my i solidarności wobec Polski Lu wej i jej klasy robotniczej.

Tylko wtedy można pisać prawd współczesności, tylko wtedy można fałszować jej obrazu, jeśli się pot prawdziwie kochać jej drogę do pr szłości: trudny, pełen wybojów tra po którym niełatwo się posuwać, którym nie zawsze się kroczy w zwy skim, lekkim marszu; a przecież jest najambitniejsza, najwspanialsza dro jaką kiedykolwiek wybrała walcz ludzkość.

Sądzę, że pisarz, który tak widzi i zumie nasze życie — jest pisarzem munistycznym. I jestem przekonany wielką, prawdziwą powieść o nasz czasach — potrafi napisać tylko

Kazimierz Bran

W ŚRÓD KSIĄŻEK

JÓZEF DUNIN-BORKOWSKI: *Wybór poezji*. Wydał, opracował i wstęem opatrzył Adam Ważyk. PIW, Warszawa, 1950; str. 108.

Wybór wierszy Józefa Dunin-Borkowiego (1809—1843) może być symptoatycznym przykładem, jak ważna płodna w następstwa jest praca przyominająca żywotne tradycje naszej kulry. Od wydania Wyboru upłynęło ółtora roku, a już ten, bądź co bądź eta nie pierwszej wielkości, wzbogał nową antologię liryki polskiej, już ał się materiałem opublikowanej pra naukowej (Maria Jasińska w Prach polonistycznych Łódzkiego Tow. . Mickiewicza, rocznik 1951), nie mówiąc już o bieżących recenzjach w pra literackiej. Można nie wątpić, że lsze prace naukowców i wydawnictw zedsiębrane w tym kierunku poszeą i wzbogacą dziedzictwo kulturalne rodu o niejedną cenną pozycję.

Józef Dunin-Borkowski był poetą emalże zapomnianym, historie literatury co najwyżej wspominały o nim, tomiast teksty jego utworów w zadniczej i znakomitej większości nie ły drukowane od r. 1856, a więc od z mała wieku. Z puścizny tej Ważyk rdzo słusznie wysuwa na czoło cykl netów, uznając w ich realizmie jważniejsze osiągnięcie ideowo-artyczne. Dlatego też uwagi o sonetach ch zajmą w niniejszej recenzji najęcej miejsca.

W cyklu tym poeta dał obraz swoych stosunków obyczajowych mieczańsko-szlacheckich w pierwszej powie XIX wieku. Kiedy czyta się niebóre z sonetów przypominają się od zu hrabiowie Respektowie z Fanaszego. To przecież ta sama obyczajowość pozoru, to samo pragnienie utrzymania dobrej opinii o domu przy pomocy starannie przygotowanych efektów, mających przekonywać o zaletach umysłowości prezentowanych jako kandydatki na żony córek, rządzi postępowaniem Respektowej i matek z wierszy Borkowskiego. Trzeba powiedzieć, że Borkowski ostrością, celnością demaskatorstwa wcale nie ustępuje Słowackiemu. Następuje tylko zmiana scenerii, matki Borkowskiego używają innych, dostosowanych do miejskich warunków sposobów. Zasada jest ta sama: wydanie córki za mąż — to kwestia złapania bogatego zięcia, kwestia utrzymania albo podniesienia rozpadających się fortun. Niewątpliwie, nie jest przypadkowe, że właśnie sprawy kojarzenia małżeństw zajmują w cyklu sonetów najwięcej miejsca, że w nich talent satyryczny poety zabłysnął najsilniej. Zakłamanie etyczne życia, którym rządzi pieniądz, najjaskrawiej odbija się w tych chwilach, kiedy najpiękniejsze, najbardziej bezinteresowne uczucia ludzkie: miłość lub przyjaźń okazują się perfidnie upozorowane.

Jest w tym jakieś szyderstwo rasowego satyryka, że dla wyrażenia tego rodzaju treści użył formy sonetu, którą w epoce Mickiewicza wypełniały na ogół inne treści — przypomnijmy chociażby Sonety krymskie czy młodzieńcze sonety Słowackiego. W ogóle zarysowany w sonetach stosunek poety do świata daleki jest od owego romantycznego, uczuciowego subiektywizmu — jest chłodny, racjonalistyczny, oparty najwyraźniej na tradycji XVIII-wiecznej. Najlepiej może zaobserwować można to zjawisko w pointach utworów, które dążą często do

intelektualnej syntezy problemu. Oto końcowe tercyny sonetu R a n e k i w i e c z ó r:

Grzegorz z rana gra w karty, w wieczór
[tnie morały,
Stach z rana czułym mężem, a w wieczór
[jeleniem,
Ten z rana wolny, w wieczór pod
[pantoflem cały,
Ten z rana ludzki, w wieczór żegna się
[z sumieniem,
Ta z rana plotki nosi, a w wieczór
[pochwały.
Czyż was wielkim człowieka nazywać
[imieniem?

Poeta słówka nie mówi o swoim subiektywnym stosunku do przedstawianych spraw, zestawia tylko fakty, a przecież zagadnienie moralnego osądu postaci nie pozostawia czytelnikowi najmniejszych trudności. Zdanie ostatnie bardzo wyraźnie apeluje do ideologii racjonalistów i ono dopiero w pełni wyjaśnia kryteria osądu autora. Moim zdaniem pointa ta jest za szeroka, maksymalistyczna, drobne fałsze i zakłamania nie wytrzymują zestawienia z bardzo ogólnym morałem końcowym. Z armaty nie można strzelać do myszy. Cały wiersz przecież uzasadnia powszechność takiego postępowania w pewnym środowisku.

W niektórych sonetach pojawiają się bardzo charakterystyczne akcenty współczucia dla zmuszonych do polowania na męża dziewcząt. I one tym jaśniejszą czynią postawę poety: szyderczy ton pod adresem stosunków obyczajowych wiąże się z obroną człowieka, którego stosunki te dehumanizują. Oto zakończenie sonetu P o l o w a n i e:

Ty na jego skinienie uważaj
[z pośpiechem,
Dlatego niby nie chcąc usiadaj na
[przedzi
A ty wiecznie potakuj i bądź jego
[echen

Niezbyt przyjemna była rola panny na którą ci wszyscy podający herbat i cytrynę wujowie patrzyli, jak na dc brze sprzedawany towar i na któr spadała cała odpowiedzialność za nie udaną transakcję. „Wiecznie potaku i bądź jego echem“ — i takie słow mówić 20-letniej dziewczynie, prze którą otwiera się życie! Brr, jak dz siaj daleko odeszliśmy od tego. Dw najlepsze chyba sonety z cyklu P o l o w a n i e i P y t a n i a i od p o w i e d z i zawdzięczają swoj głęboko poruszającą wymowę tej dosko nale oddanej tragikomedii salonowe w której biedne dziewczęta doświad czały na własnych uczuciach twardyc praw komercjalizacji stosunków mi dzy ludźmi, w której dzieci były dl rodziców obiektem sprzedaży, a wszyst ko odbywało się pod maską uśmiech zabawy, dobrego tonu. Znów przyp mina się Diana Respektówna.

Obrona piękna i wartości moraln bezinteresownych uczuć ludzkich je w sonetach Borkowskiego elementer w którym już dostrzec można spec fikę romantyzmu. Satyra XVIII-wiec na nie walczyła w zasadzie o tego r dzaju sprawy. W sonecie T k l i w n e r w y pojawia się postać matki, kt ra wiedząc o egzaltowanym przywi zaniu córki do zwierząt i obawiając s tragedii —

Każe i psy i koty bez skrupułu strzela
Giną z woli Heroda twory nieszczęśliw
A córce zakazuje uczucia podzielać
Nawet z ludźmi — i myśli ostudza zb
[żyv
Rozkazem: „Nigdy kochać nie waż s
[ośmiela

m sposobem uzdrawia nerwy nazbyt [tkliwe.

Racjonalizm nie uznawał uczuć tak nych, aby doprowadzać miały one tragedii. W satyrze tej widać już stawę romantyka.

Nieprzejednanie ironiczny i kpiący st Borkowski tam, gdzie chodzi o wy- ianie głupoty. Dla tej jest bezwzględ- y. Matka, która pozoruje zaintere- wania intelektualne córki, kiedy w eczywistości okazuje się, że inteligen- panny pozostawia w ogóle wiele do czenia, jest postacią podwójnie ośmie- oną: raz za głupotę, drugi raz za na- ną próbę pozorowania mądrości.

Niektóre z satyr wykazują związki rdziej bezpośrednie z twórczością asickiego. Tak np. A n i o ł d o - r o c i jest w gruncie rzeczy rozwi- ęciem D e w o t k i. Krytyka Kra- kiego jest zwężona, wycinkowa — rkowski natomiast moralność pozoru ciąga na szerszą praktykę życiową. dobnie sonet T a b u l a, który spo- em ujęcia przypomina parodystyczne mny poematów satyrycznych, M o- a c h o m a c h i i i M y s z e i s. Od chłodnych strof sonetów konty- ujących tradycje stanisławowskie, rdzo wyraźnie odbijają te, których ealogia literacka jest późniejsza, ro- ntyczna. Porównajmy cytat R a n- a i w i e c z o r u, zamieszczony początku recenzji z taką np. strofą:

wóz naładowany jak słoń do potyczki,
ga się zawiniątek różnych chaos [dziki,
nad nimi upięte w zygzaki, [w krzyżyki
rki, w których bez, mięta, śliwki [i porzeczki.

ragment na wskroś malarski! W tam- h sonetach racjonalistyczna pointa, sem z podanym wprost morałem, była celem utworu. Poeta, choć z ukrycia, przekonywał czytelnika, apelował do jego rozumu. Tu celem staje się plastyka opisu, sugestywność wizji, chociaż Borkowski, wychowany na lekturze klasyków polskiego Oświecenia tak dobiera tematy, że technika ta nabiera funkcji ideologicznej. Tak np. atmosfera sybarytyzmu w O g r o d z i e j e z u i c k i m, oddana została przy pomocy metafor wiążących widok ogrodu ze specjałami kuchennymi („Dymem kurcząt smażonych natura omglona"), co zresztą nie przeszkadza, że poeta z westchnieniem wspomina to miejsce znane z czasów młodości.

Podobnie w sonecie W y j a z d wrażenie nadmiaru w istnym magazynie z żywnością ośmiesza, ściąga na ziemię uczucia zakochanej panny. Sonet ten jest dowodem wysokiej miary subtelności satyrycznej Borkowskiego. Nie ma w nim żadnych rysów zgrubiających, żadnego grubymi nićmi szytego kontrastowania „trywialnej" codzienności i „idealnej" miłości. Moim zdaniem, można się tu dopatrzyć satyry na pewną jednostronność w rysunkach postaci niektórych poematów romantycznych typu byronowskiego, polegającą na widzeniu w bohaterach przede wszystkim podmiotów przeżywanych uczuć. Czy codzienne potrzeby życiowe ich nie obchodziły? Sonet Borkowskiego może tu być odpowiedzią. Rzecz jasna zakres zjawisk życiowych objętych przez satyrę jest szerszy, uderza ona w ogóle w tzw. idealne uczucie.

Sonety P e ł t e w a z r a n a i P e ł t e w a w i e c z o r e m — to obrazy miasta, dokumenty znajomości jego mechanizmu i niewątpliwej spostrzegawczości. Satyra obyczajowości salonu nabiera innego, pełniejszego światła w kontekście utworu mówiącego o całym społecznym tle miłości mierzonej wioskami. Ile żywiołowej,

realistycznej ciekawości pisarskiej zawarł poeta w pytaniu:

Piękne sceny różnymi barwne [przedmiotami
Obfite w różne miny, i wonie, i śpiewy,
Czemuż was noc zazdrosna zasłoniła [mgłami?

W tematyce obu sonetów jest jakiś rys groteski, jakiegoś nieuchwytnego ironizowania, o którego funkcji dosyć trudno się zorientować. Wydaje mi się chwilami, że przedmiotem ironii jest tutaj partykularz miejski, ciasny światek z drobnymi sprawami, traktujący swoją małość jak rzecz najpoważniejszą w świecie. (Np. słowa: „Od piór kancelarzystów chrapliwego dźwięku biedną bibułę zimne przeszywają dreszcze").

Cykl II zatytułowany został Pieśni. Zawarte są w nim wiersze głównie erotyczne. Autor przedmowy wyraża przypuszczenie, że są to wczesne próby poety. Istotnie, da się w nich zauważyć pewien niedowład artystyczny, naśladowanie poezji sentymentalnej. Wyróżnia się wiersz Zeznanie, w którym dopatrywałbym się tej samej postawy światłego, ironicznego stosunku do romantycznych konwencji literackich. Trudno było, aby ten krytycznie patrzący na świat racjonalista poważnie przyjmował całą mitologię tego prądu, chociaż w pewnym stopniu i on jej ulegał. (Pogrzeb Beja, zakończenie Myśliwca). Pięknym dokumentem racjonalizmu poety, rozumiejącego niebezpieczeństwa ciemnoty zawartej w wierzeniach ludowych, jest przecież Czarownica, wiersz o dziewczynie opuszczonej przez całą wieś wskutek posądzenia o czary. Wymowę tego wiersza zrozumiemy dopiero przy zestawieniu przypuszczalnej daty jego napisania z powieścią pisarki tak czujnej na wszelką niedostrzeganą problematykę życia, jaką była Orzeszkowa. Chodzi mi mianowicie o Dziurdziów (1888). Przecież w obu utworach chodzi o tę samą sprawę.

Wiersze erotyczne dalszych części Wyboru wprowadzają nas w atmosferę romantyzmu. Powtarza się kilkakrotnie motyw rozłąki z kochanką, żalu za utraconą lub zdradzoną miłością, wreszcie motyw tragicznej śmierci kochanka. Wszechstronność technik artystycznych u poety zwraca uwagę. Poświęcił jej sporo uwagi w Przedmowie Adam Ważyk. Znamy już Borkowskiego jako satyryka-racjonalistę, malarza obrazu poetyckiego, teraz poznajemy go jako pieśniarza romantycznej miłości. Ten ostatni nurt mieści w sobie pewien ładunek wtórności poetyckiej, ale i tutaj przeczytać można wiele świeżych, żywych i dla dzisiejszego czytelnika strof — wyrazu uczuć miłosnych.

Sylwetkę ideologiczną pisarza uzupełnia bardzo ważna sprawa — zainteresowanie twórczością ludową. Borkowski drukował niektóre ze swych utworów w czasopiśmie Ziewonia i był związany z grupą poetów skupionych wokół pisma. Szczególnie zajął się poeta ludową poezją nowogrecką i jej problematyką narodowo-wyzwoleńczą. W niniejszym Wyborze mamy cały cykl wierszy z tego zakresu, poświęcony postaciom bohaterów powstańczych. Zaciekawił mnie utwór Bubolina, o kobiecie — wodzu powstańczej wyprawy. Na tle utartych postaci bohaterów romantycznych targanych sprzecznymi uczuciami, postać ta zastanawia swoim nieprzejednanym charakterem bojowniczki wolności. Namiętność walki wyzwoleńczej, jaka bije z wielu strof tych wierszy jest niewątpliwie odbiciem sytuacji ideologicznej samego pisarza, który przecież brał udział w powstaniu listopadowym

orkowski interesował się także fol-
rem innych ludów słowiańskich
rientalnych. Pięknym wyrazem idei
szu i współpracy między narodami
wiersz P i e ś n i s ł o w i a ń -
i e, który powstał w atmosferze
e w o n i i.

Włodzimierz Maciąg

NRYK GAWORSKI: *Przed nami*
e, Czytelnik, Warszawa, 1951;
78.

siążka Henryka Gaworskiego
zed n a m i ż y c i e będąca de-
em młodego autora doczekała się
kilku recenzji. Recenzenci na ogół
znie wskazują na to, że poezja Ga-
skiego nie jest bezosobista, że wy-
ona z uczuciowego zaangażowania
poety w sprawach, które porusza.
enzenci wskazują także na młodzień-
świeżość tych wierszy i na to, że
orski wysuwając tematykę polityczs-
sięga w liryce również do innych
atów. Tylko, że niektórzy z tych
enzentów wpadają w lekką przesadę,
liryki miłosne, refleksyjne pisał po
nie nie tylko Gaworski ale i inni
ci, którzy także mają ambicje być
ami socjalistycznymi. Na pewno nie
racji recenzent Jan Błoński, który
rdził, że Gaworski w odróżnieniu
wszystkich innych poetów wszedł
iteratury jako gotowy już poeta so-
styczny, który nie musiał tak jak
przezwyciężać swojej ideologii i
awy artystycznej. Wprost przeciw-
Gaworski zaczął od poddawania się
obrym wpływom.

iersze zawarte w książce pochodzą
zech lat z 1949, 1950 i 1951 roku.
orski podaje w tomiku daty pow-
ia wcześniejszych utworów, chcąc
samym wskazać na swoją ewo-
ideowo-artystyczną. Niestety, u-
y nie są umieszczone chronologicz-
nie, co stanowczo zaciemnia całość obrazu.

Liryka Gaworskiego z 1949 r. to po prostu młodzieńcze i wtórne próby, oparte na wzorach młodopolskich, w najlepszym wypadku na wzorach niektórych poetów, z pierwszych lat Skamandra. Razem z tego rodzaju „kulturą poetycką" demonstruje Gaworski obce nam postawy ideologiczne. Czym jest mglista, mistyczna historiozofia w wierszu W ę d r o w i e c, jeśli nie echem młodopolskich wzlotów Kasprowicza albo Micińskiego?

Z jakiegoś kraju
przybyłem kiedyś
przez erę węgla
I erę kredy,
przez ból niejeden
i grom niejeden.

Przez śmierć gatunków
jak piorun iskry,
przez oceany,
co dawno wyschły
szedłem tu mroczny,
nieznany, przyszły.

A droga moja
ciągle bezkresna.

W innych „etiudach" z 1949 r.: N a s t r ó j m a j o w y lub S t a r a b a ś ń Gaworski poddawał się wpływom nastrojowej poezji lat międzywojennych. A oto pusty, nastrojowo-filozoficzny liryk P o ł u d n i e n a d r z e k ą, stylizowany na Leśmiana:

Nad rzeką, która płynie, obłoki, co
[płyną,

a słońce nieruchomo trwa, bo jest
[skądinąd.

Nie z rzeki, nie z obłoków w rzece
[i nad rzeką,

tylko skądś, co jest bardzo, tak bardzo
[daleko,

że nie wie ani rzeka, ani biały obłok,
ani ja, co mam oczy mocne i myśl
[dobrą.

W oczach mych płyną fale i płyną
[obłoki,

jak słowa słonecznego, dawnego
[wyroku.

Dalej mamy wiersz optymistyczny W i d z e n i e. Optymizm niewątpliwie szczery i cenny, ale wiersz ma cechy wtórności, przypomina do złudzenia poezję okresu 1918—24. Cała różnica polega na tym, że Gaworski w utworze swoim wzmiankuje o „ludzkiej pracy". Przytaczam cały ten wiersz.

Z zadartą głową łażę,
bo błękit już zradośniał
od ludzkiej pracy, od marzeń
i trochę od przedwiośnia.

Wzdycham głośno i kicham
(taki wiosenny katar)
a w górze głębia cicha,
kłębiasta i kudłata.

I patrząc wkoło, widzę
jak niezawodny prorok:
po świecie wiosna idzie,
słoneczne idą pory.

Natomiast w wierszu D z i e c i n n y m g ł o s e m przebija się już optymizm szerszy, przekonywający, chociaż jeszcze pozbawiony konkretności.

Wiersze z 1950 roku wykazują pomyślne zmiany. Pojawiają się utwory wyraźnie świadome pod względem ideologicznym. Poeta rozumie już, co się dokoła niego dzieje i o co powinien walczyć swoim piórem. Wyzbywa się poprzedniej łatwej, zapożyczonej beztroski, pojmuje, że radość okupić trzeb walką. Widzi skomplikowane proces w życiu, próbuje odpowiedzieć na wie trapiących go spraw i zagadnień. Tylk że i te wiersze, tj. z roku 1950, tak ba dzo różniące się od poprzednich po względem ideologicznym nie są jedno lite. W wierszu S p a c e r j e s i e n n Gaworski jeszcze pisze:

Umiesz,
umiesz już nienawidzieć
praw natury,
jak praw człowieka
jeśli prawa rosną na krzywdzie,
jeśli krzywda ludziom dolega.

Jest to wyraźne nieporozumienie b a) nie ma powodu nienawidzieć pra natury i b) „krzywda, która ludziom do lega", nie należy do praw natur

W wierszu B u d o w a Gaworski pa trzy na pracę ludzką nie tylko oczym przypadkowego przechodnia, ale wręc nierozumiejącego funkcji pracy w na szym życiu:

Winda skowyczy,
jak złe psisko —
słońcu w twarz
strumieniem kurzu
rzyga,
na zwałach gruzu
kopaczka kły zaciska,
w żelaznym pysku
dwie
tony
ziemi
dźwiga.

Te zwroty „psisko", „rzyga", „w żela nym pysku", „to my rządzimy rytme dziarskim" itd. nie oddają charakte budowy nowej Warszawy. Równi wiersz F a n t a z j a w i o s e n n a tak względu na pomysł jak i estetyzują banalne obrazowanie należy raczej o nieść do poprzednich utworów. Ale j

ɔjawiają się takie wiersze jak Ra-
ości powszednie, gdzie zaczy-
a się przebijać próba głębszego spoj-
enia:

Ze śladów lat, co przeszły po nas,
widać kierunek, w którym zmierza
życie niełatwe, lecz znajome,
które miłujesz, w które wierzysz.

Niewątpliwie głębiej i mocniej brzmią
owa tego wiersza. Bardziej już wykry-
alizowany jest wiersz Wszystko co
ędzie, jakkolwiek podobnie jak i po-
zedni prosi się o oczyszczenie z przy-
adkowych obrazów i metafor. Jasny,
yraźny pod względem ideologicznym
pod względem formy jest wiersz
olegom z FDJ. Najciekawszym
ierszem z tego roku jest wiersz
łowo o sobie nasycony konkre-
m, najbardziej oczyszczony z banałów
rekwizytów, prawdziwy w swoim
zeżyciu i koncepcji. Wiersz ten jest
tyle ciekawy, że stanowi próbę stwo-
enia liryki, w której osobiste przeżycia
tora stapiają się z ideologicznym nur-
m jego politycznych utworów. Nieste-
, liryki miłosne z 1950 roku jak np.
ojalność małżeńska lub
rośba o kochanie, są ra-
ej błahe.
Wiersze z 1951 roku przynoszą nowe
centy. Będzie to walka o pokój, wy-
źnie podkreślona w wielu wierszach
. Uczestnikom kongre-
u pokoju w Warszawie
51 r., Warszawa wolna, Mia-
o w nocy. Wiązka wierszy Pie-
ni o pierwszym wieku jest
óbą spojrzenia na nasze dzieje. Znaj-
jemy wiele zwrotek o jasnym wyra-
poetyckim:

Kto zmierzy dzisiaj
krzywdę i mękę
ludzi nieznanych,
tych, co wynieśli
w wytrwałych rękach
z lat oceanu

nasz wiek zwycięski,
wiek najpiękniejszy,
w którym jak w lustrze
pierwszy raz w dziejach
razem się przejrzy
człowiek i uśmiech.

Wiersze wymienione powyżej wyjaś-
niają, tłumaczą i przypominają czytel-
nikowi o sprawach ważnych i istot-
nych. Wiersze: Warszawa w nocy,
Światła na szlaku Armii stają
się coraz bardziej zwarte i lapidarne.
W utworach tych, a zwłaszcza w Pio-
sence, Gaworski świadomie już pró-
buje dopracować się prostoty w wy-
rażaniu swoich myśli i uczuć, nie za-
trącając o banał burżuazyjnego este-
tyzmu, jak to można było dojrzeć w
wielu poprzednich jego wierszach. Oto
ten wiersz:

Przemijam z burzą,
z ciszą wieczorów,
z blaskiem kolorów.

Przemijam z pieśnią,
z sercem przemijam
przez gniew i przyjaźń.

I nie powrócę...
Lecz wrócą burze,
blask się powtórzy

i nowi ludzie
z życia zaczerpną
prawdę i piękno.

Bo nie przemija
świat, który zbudził
życie i ludzi —

bo świat pięknieje
wciąż i dojrzewa:
dlatego śpiewam.

Linia ideologicznej krystalizacji utworów z 1951 roku bynajmniej nie biegnie pionowo, raczej wskazuje jeszcze na pewne wahania. W wierszu Spostrzeżenie ideowy komentarz do radosnego nastroju poety jest sztucznie doczepiony. Chybiony jest wiersz Wiosna. Błahy jest wiersz Droga. Jest to w gruncie rzeczy nieprzekonywający i niekonkretny opis, upstrzony metaforami, które miały jakoś uładnić i jak to się mówi upoetycznić całość. Ta fałszywa skłonność do uładniania krajobrazu wciągnęła Gaworskiego w zasadzkę, która jest tym groźniejsza, że jest zasadzką ideologiczną. Oto w wierszu Obrazek wieczorny Gaworski pisze:

Nad Wisłą siwe rybitwy
i mostu stalowy nawias.

Za ten nawias słońce żegluje
na spadochronie obłoku.
Przez nadrzeczne bukiety ruin
wieczorny ciągnie spokój.

Nie mówiąc już o przybłąkanym „nawiasie", porównanie ruin Warszawy zburzonej przez niemieckich faszystów do bukietów jest fałszem artystycznym. Porównania takiego mógłby użyć poeta dla oskarżycielskiego sarkazmu.

Gaworski przeszedł wyraźną ewolucję podejmując w swej liryce tematy polityczne. Jasne i bojowe stanowisko Gaworskiego stanowi zaletę jego wierszy. Natomiast w innych tematach liryk z wyjątkiem może Słowa o sobie i Piosenki wyczuwa się wciąż jeszcze, że poeta w drodze do realizmu natrafia na pewną przeszkodę. Niepokonany jeszcze, drobnomieszczański indywidualizm staje w tym wypadku w kolizji ze światopoglądem tkwiącym u podstaw jego wierszy politycznych. W utworach politycznych pomagają Gaworskiemu sformułowania rozpracowane szerzej w artykułach, pracach krytycznych i naukowych. Pomagają mu w artystycznym zorganizowaniu własnych obserwacji i przeżyć. Natomiast jego liryka miłosna i refleksyjna cierpi na brak konkretności. Powstała ona bowiem z pozycji „człowieka w ogóle" a nie z pozycji człowieka rozwijającego się i wzrastającego w konkretnej sytuacji społecznej, politycznej, moralnej. Gaworski nie umie jeszcze pokazać kształtującej się świadomości i uczuciowości nowego człowieka w nowych socjalistycznych stosunkach. Bynajmniej nic wspólnego nie mają z realizmem socjalistycznym takie obrazy z wiersza Wieczór:

...zmierzch cienie rdzawe zasuwa jak [rygle
w ogromnej, ciepłej hali krajobrazu.

Majowy fajerant. Ziemia, jak [świetlica,
którą zapełnią robotnicy młodzi.

Gaworski bezwiednie wpada w manierę futurystów i urbanistów, którzy przyjmowali, że świadomość i wrażliwość mas robotniczych ogranicza się wyłącznie do warsztatu ich pracy. W konsekwencji daje to fałszywy i obcy ludowi stosunek do przyrody.

Wynika to z tego, że Gaworski w tym wypadku opiera się na nierealistycznych tradycjach okresu schyłkowego, zamiast szukać tradycji u wielkich poetów narodowych i w liryce ludowej. Oczywiście jest to szersze zagadnienie, dotyczące nie tylko Gaworskiego, wykraczające poza ramy niniejszej recenzji.

Recenzenci niejednokrotnie wskazywali na optymizm Gaworskiego. Tam, gdzie linia ideologiczna poety nie jest jednolita, tam i charakter optymizmu nie może być jednolity. Inny jest optymizm w wierszach początkowych, a inny w Pieśni o pierwszym wieku. W młodzieńczych utworach jest to

wiołowa radość życia, która zrodziła ę w naszych warunkach, ale której aworski dawał wyraz poetycki zaczerniięty z niewłaściwych wzorów. Inny ś jest optymizm w wierszach końcoych tego zbiorku. Wynika on już z zyjętego i przeżytego światopoglądu. Gaworski jest poetą, który się rozwija. aczekajmy na następne jego książki.

Jan Śpiewak

ARIAN BRANDYS: *Początek opowiei*, Państwowy Instytut Wydawniczy, arszawa, 1951; str. 351 i 1 nlb.

Jak gdyby uprzedzając kłopoty kryka, którego naturalną skłonnością st systematyzować fakty literackie, arian Brandys w zakończeniu swojej iążki o Nowej Hucie umieścił dyskurs iędzy dziennikarzem a autorem na mat, czy książka, która ma o Nowej ucie powstać, będzie raportażem czy owieścią.

„Pisarz odwraca się gwałtownym ruem i przytyka twarz do tylnej szyby mochodu — pisze Brandys. — Nie nie ukryć irytacji, jaką w nim budzi pytanie. Jakby forma mogła być góry ustalona przez autora, a nie bynarzucona przez temat.

Chwilę spogląda przez okienko. Jecze widać białą poświatę nad Noą Hutą.

— Przecież to nie jest najważniejże — mówi niechętnie, powracając do przedniej pozycji. — Ja chciałbym pisać książkę, która by czytelnikoprzekazała wrażenie, jakiego sam znałem, wrażenie, że tu rodzi się ś wielkiego, coś jedynego w swoim dzaju.... Chciałbym napisać p o z ą t e k o p o w i e ś c i o rzach wielkich. Rozumiecie?“

Stanie na gruncie czystości gatunw byłoby tylko formalistycznym zakaniem. Treść powinna decydować o rmie.

Zanalizujemy więc, jaką formę narzuciła Brandysowi rzeczywistość pierwszego w Polsce miasta socjalizmu, polskiego Komsomolska, najambitniejszego przedsięwzięcia Planu Sześcioletniego. Tego jeszcze w Polsce nie bywało, by w ciągu dwóch lat powstawało olbrzymie nowoczesne miasto, by miasto to było dziełem tych i dla tych, dla których w ustroju kapitalistycznym nie istniały możliwości wydarcia się z brudnych chałup, z nędzy i ciemnoty. O budowie Gdyni nie powstawały, bo nie mogły powstawać realistyczne dzieła literackie, bo trzeba byłoby w nich pokazać brudne machinacje międzynarodowych geszefciarzy, państwowotwórcze oszustwa polskich sanacyjnych potentatów a przede wszystkim ponurą przepaść dzielącą rzeczywistych budowniczych „polskiego portu“ od jego użytkowników, polski proletariat od polskiej i obcej burżuazji.

Na podkrakowskich gruntach, nasiąkłych od wieków biedniacką nędzą, z inicjatywy Partii i woli narodu młodzi chłopcy wiejscy, którzy w perspektywie mieli zamianę pastuszego postronka na parobczańskie widły, budują piękne jasne domy, w których jutro zamieszkają, budują wielki stalowy kombinat, który dostarczy stali na traktory i szyny.

Wyczucie historii, wyczucie ważności tego, co się na podkrakowskich gruntach dzieje, wyczucie procesów kształtujących naród socjalistyczny w sercu Planu Sześcioletniego nasunęły Brandysowi myśl nakreślenia historii narodzin Nowej Huty.

„W tym samym mniej więcej czasie, gdy pod Krakowem rozpoczynano wytyczanie nowej drogi, Zarząd Główny Zakładu Osiedli Robotniczych w Warszawie otrzymał zlecenie wybudowania miasta Nowa Huta“. Str. 46.

„Wiosną roku 1949 ruszyły pierwsze roboty na terenach wybranych pod budowę kombinatu stalowego Nowa Huta". Str. 57.

„W tych wczesnych dniach wiosny 1950 roku w Warszawie zaszedł fakt, który zapoczątkował nową erę w dziejach podkrakowskiej budowy. W Zarządzie Głównym Związku Młodzieży Polskiej wypracowano ostatecznie strukturę pierwszych Ochotniczych Brygad Zetempowskich i rzucono hasło masowego ochotniczego zaciągu młodzieży do pracy przy budowie socjalistycznego miasta.

Zew wielkiej budowli rozszedł się po całym kraju — od Odry do Bugu i od morza do Karpat — jak bojowe wici.

W drobnotowarowych wsiach zabitych deskami powiatów, w małych sennych miasteczkach, nie objętych pierwszą fazą Planu Sześcioletniego — zawrzało. Chłopcy wiejscy pracujący u kułaków podnosili głowy i z szeroko otwartymi oczami słuchali opowiadań o budowie wielkiego miasta i wielkich fabryk, przy których każdy z nich w przeciągu paru lat może wyrosnąć na człowieka". Str. 133.

Powstająca w ten sposób kronika dziejów sprzed dwóch lat, dzięki uwypukleniu momentów historycznych, podkreśla doniosłość opisanych faktów, podkreśla patos wielkiej budowy, decyduje o specyficznej urodzie książki. Przecież to, co w Nowej Hucie dokonuje się w ciągu miesięcy czy tygodni, było rezultatem długotrwałych procesów historycznych w którymkolwiek z miast polskich. Na pokazaniu rzeczywistych osiągnięć polega według radzieckiego krytyka, Motylewej, nowatorstwo książki Brandysa.

W kronice rodzącego się miasta nie może zabraknąć spraw ludzkich. Przy takim sformułowaniu można by przejść do porządku dziennego nad zasadniczą właściwością książki Brandysa, nad samoistnością dziejów miasta, które stanowią centrum zainteresowań autorskich. Ludzie w Początku opowieści to nosiciele określonych konfliktów społecznych, ilustracje określonych postaw społecznych.

Ilustracyjność czy schematyczność bohaterów dostrzegali wszyscy dotychczasowi recenzenci Początku opowieści. Ludwik Flaszen uważa właściwości te za specyfikę gatunku literackiego reportażu i w swojej recenzji z książki Brandysa w Życiu Literackim (nr 17 z r. 1951) pisze wprost:

„Oto naczelne prawo reportażu, wyróżnik jego poetyki — w polu uwagi stoi nie poszczególny człowiek, lecz zjawisko społeczne. I jeśli nawet instytucja przesłania ludzi, nie jest to błędem, lecz przywilejem. Argument „technokratyczny" godzi w powieść lub opowiadanie. Wobec reportażu traci swoją siłę". I dalej: „Człowiek nie jest w reportażu samodzielnym przedmiotem analizy pisarskiej, lecz przede wszystkim dokumentem, konkretnym przykładem ilustrującym szerszy proces społeczny. Przypomina pozycję w ankiecie socjologa. Jest ożywioną cyfrą statystyki".

Taka poetyka reportażu wydaje się być nieporozumieniem i to dosyć szkodliwym, bo stwarzającym teoretyczne uzasadnienie dla typowych przecież niedociągnięć pisarskich. Skutek jej — to obrona schematyzmu. A przecież sprawa jest dosyć prosta. Specyfikę reportażu stanowi autentyzm faktów i ludzi. Autentyczni (typowi oczywiście) bohaterowie, także tylko przy możliwie pełnym i bogatym uchwyceniu indywidualności wytypowanego bohatera, decydują o bogactwie reportażu. Z chwilą jednak, gdy pisarz puszcza się na szerokie wody konstruowania fikcyjnego bohatera literackiego a tak jest w tak zwanym reportażu zbeletryzowanym i o takim bohaterze

ze Brandys w zakończeniu swej ążki, obowiązują go tym bardziej ólne prawa literackie i bohater sche-atyczny musi być uznany tylko za bo-tera schematycznego, a więc złego. rmalistyczne wywody teoretyczne vyssane z palce prawidła nic tu nie mogą.

Większość bohaterów Początku owieści należy do kategorii bo-terów ilustracyjnych. W książce wi-ć wyraźnie zmaganie się realisty ze ematystą. Z fragmentami mocnymi iadują żałosne — powiedział nie bez cji jeden z pisarzy w dyskusji o iążce Brandysa w Związku Litera-w. Jeśli zamiast żałosne powiemy rtwe z powodu natarczywej ilustra-jności, uchwycimy istotę rzeczy.

Brandys wie, że „bez pomocy Partii e da się żadnej sprawy załatwić do ńca". Szkoda jednak, że sprawę ył Brandys pięknym choć w tym padku nie przekonywającym zda-em. „Pod ciśnieniem sprężonej rganizowanej woli ludzkiej koks ardniał". Str. 15.

Brandys upraszcza konflikty antago-tyczne. I tak: kułacy, oczywiście ci jgłupsi, zabierają paliki, którymi mierzono drogę z Krakowa do No-j Huty (walcz tu z takimi!), biuro-ata Starkiewicz oblicza źle premię, e daje zetempowcom fortepianu i ro-to tylko po to, żeby go z Nowej Huty rychlej wyrzucić, a szpieg i bandy-Nowak, choć jest skończonym łaj-kiem, włazi sam w łapy, tak jest wny i po małpiemu głupi. Farso-ść ujęcia postaci wrogów klasowych arkiewicz, Nowak) nie licuje z po-gą realistycznej prozy, w której wy-dałoby głębiej zanalizować mecha-m konfliktów klasowych.

Groźniej nieco niż walka klasowa glądają u Brandysa sprzeczności antagonistyczne. Nową Hutę budu-kilkadziesiąt tysięcy młodzieży z ca-łej Polski. Nowe warunki bytowania są dla większości szkołą socjalizmu. „Ludzie dźwigali mury. Mury dźwi-gały za sobą wzwyż ludzi" — wyraża Brandys lapidarnie współzależność lu-dzi i warunków. Dźwiganie wzwyż, dorastanie do socjalizmu jest procesem skomplikowanym. Trudności Brandys widzi, ale rozwiązuje je zbyt łatwo. Młodzież zjechała do Nowej Huty, nie zawsze uświadamiając sobie, jaki o-grom trudności trzeba będzie przezwy-ciężyć w mieście, które ma dopiero po-wstać. Młodzież oczekiwała możliwo-ści awansu społecznego natychmiast, chciała się uczyć — ciężka praca przy kopaniu ziemi nie wzbudzała entuzja-zmu. Trzydziestu chłopców postano-wiło uciekać z Nowej Huty. Wystar-czyło piękne przemówienie jednego z działaczy zetempowskich o perspekty-wach rozwoju Nowej Huty, by chłop-cy nauczyli się znosić trudy dla wspólnego dobra. Skomplikowany pro-ces kształtowania się świadomości so-cjalistycznej został pominięty.

W obszernej historii młodego mał-żeństwa Kulbarów zajął się Brandys istotnym konfliktem rodzinnym. Peł-nomocnik ZG ZMP dla spraw Nowej Huty, Kulbar, w nawale pracy orga-nizacyjnej zaniedbuje obowiązki ro-dzinne, co staje się źródłem niepo-rozumień między nim a żoną, drobno-mieszczańską gąską, która marzy o wy-godnym życiu w Nowej Hucie i stu-diach na krakowskim uniwersytecie. Zarysowany konflikt, którego rozwią-zanie wymagałoby pokazania procesu dojrzewania Kulbarowej, nie został pokazany, bo jak słusznie zauważył Marek Pieczyński w swojej recenzji w Nr 40 Wsi (rok 1951) za rozwiązanie konfliktu nie można uważać faktu, że Kulbarowa godzi się z losem, gdyż od kłopotów wybawia ją żona murarza, Walaszczykowa.

I jeszcze jeden przykład. Młody

Walaszczyk, student politechniki, zrywa z narzeczoną, dzielną dziewczyną Stefką Więckówną, bo ta nie ma zamiaru zrezygnować z zawodu murarskiego. Konflikt rozwiązuje Brandys według nienajlepszych tradycji literackich. Walaszczyk nie może przezwyciężyć miłosnych ciągot i godzi się ze Stefką.

Wydaje się, że mamy tu do czynienia z ogólniejszym zjawiskiem. Prymitywizm techniki ilustracyjnej nie wystarcza do rozwiązywania skomplikowanych konfliktów ludzkich. Technika ta uniemożliwia stworzenie pełnowymiarowego bohatera.

Wraz z murami rosną ludzie — deklaruje przecież Brandys. A tak trudno w jego książce znaleźć bohaterów pozytywnych w pełnym tego słowa znaczeniu.

Młody przodownik pracy, zetempowiec Tyracki, został przez Brandysa skompromitowany, ponieważ jego wyczyny były inspirowane przez fałszywą ambicję, a nie socjalistyczną świadomość. Brandys poruszył tutaj istotny problem społeczny. Współzawodnictwo nie zawsze wyrasta na najlepszym gruncie. Tyrackiego z całą pewnością nie należało hołubić, jak to czynił naiwnie brygadzista Kłos, ale też brak czujności u samego Kulbara i zachowanie się instruktora Gałeczki nie wydają się być najwłaściwsze. Tyracki nie był przecież demonem zła, tak jak to trochę wypadło w powieści, ale trzeba go było od początku otoczyć rozumną opieką, trzeba było go wychować, co mogłoby być dla organizacji zetempowskiej wdzięcznym zadaniem. Gdyby wszyscy byli bez skazy, nie byłoby kogo wychowywać.

Negatywnej postaci Tyrackiego nie przeciwstawił Brandys pozytywnego przodownika pracy, co budzi zastrzeżenia bardzo poważne. Za prawdziwych bohaterów pozytywnych trudno uznać ludzi takich jak stary Walaszczyk czy Kulbar, których autor nie potrafi zbliżyć do czytelnika.

Udało się natomiast Brandysowi stworzyć kilka postaci epizodycznych pozytywnych, choć biernych. Do nich należą: astmatyczny inżynier miernik technik Kubik, młody wyrostek wiejski „figurant" Kubik, listonosz z zamiłowania Henryk Poczaj a przede wszystkim postać najbardziej zapadająca w pamięć — stary murarz Malaga. Są to w większości postacie marginesowe, ale reprezentanci tych, których dźwigały mury, których kształtowała nowa rzeczywistość, a nie na odwrót.

Może dlatego przy postaciach już w zamierzeniach autorskich drugoplanowych faktograficzna w zasadzie metoda ich prezentowania nie poczyniła większych spustoszeń.

Astmatyczny inżynier, nie wierzący w możliwości zbudowania socjalistycznego miasta, pracujący jednak z całym oddaniem, robi szczególnie dodatnie wrażenie. Technik Kubik jest obok Malagi bohaterem najbardziej udanym. Brandys pokusił się o pokazanie tego inteligenta w pierwszym pokoleniu, który wykształcenie zdobył koszmarna, choć typową dla dziecka wsi drogą w czasach kapitalizmu. Scena, gdy Kubik technik uświadamia sobie, patrząc na Kubika, wyrostka wiejskiego, że dzięki Partii i socjalizmowi prostszą drogę do kultury będzie miał Kubik młody i że jego obowiązkiem jest być „starszym, dojrzalszym bratem, na którego pomocną dłoń czekają tysiące młodszych Kubików" w całej Polsce należy dzięki ideologicznej i artystycznej wymowie do najbardziej mocnych.

Murarz Malaga zdobył sobie serca wszystkich. Starego zrzędę, złośnika i alkoholika, pokazanego w kilku zaledwie sytuacjach, doprowadził Brandys od pozycji zdecydowanie wrogich, do zrozumienia, czym jest właściwie so-

alizm. Kapitalizm sprawił, że stary alaga był alkoholikiem, złośnikiem, alfabetą. Socjalizm wyzwolił w nim łowieka. Malaga poznał, co to jest czliwość ludzka, jakim szacunkiem eszy się człowiek pracy, co jeszcze ędzie mógł nadrobić. „Nauczcie mnie ytać. Ciężkie życie miałem. Nie było otąd okazji".

Na ogół książka Brandysa robi wrażenie, że autor miał wiele o życiu i ludziach w Nowej Hucie do powiedzenia, e chciał powiedzieć wszystko. Stąd portażowość i wielowątkowość Początku opowieści. Reportażowość zresztą (niezależna od spraw ludzch kronika powstawania Nowej Hu-) to wartość książki Brandysa najwalsza.

Henryk Bereza

Z wielkiego domu. — Mała antologia lachecka. Wstępem poprzedził Jan eląg. Czytelnik, „Biblioteka Szpik 5", Warszawa, 1951; str. 162.

Cóż za radość, jaka przyjemność odleźć w tej książce zapomniane, niel nieznane, a znakomite teksty liteckie! Pięć opowiadań naszych nowetów z drugiej połowy wieku XIX-go, tystycznie bardzo ciekawych — stano- zarazem pouczający dokument; oazuje życie i umysłowość polskiej lachty w tej epoce.

Jedną z największych niespodzianek st opowiadanie Kazimierza Tetmajera rażenia słuchowe nauzyciela z wielkiego domu, z dodatkami. Liryk, łownastrojów z wiersza Na Anioł ański, Poeta z Wesela marzą- o Zawiszy Czarnym, późniejszy twór- Judasza, a w tej epoce najodniejszy pisarz Młodej Polski — ukaje nam tutaj zupełnie inne, niespoiewane oblicze. Wrażenia słuhowe, skomponowane wirtuozeryjz samych dialogów niby scenariusz filmowy, to satyra na arystokrację małopolską, jej ultralojalność wobec dworu austriackiego, snobizm wobec arcyksiążąt i książąt wiedeńskich, skąpstwo, obojętność narodowa we wszystkich dziedzinach — od kulturalnej i ortograficznej aż po wysprzedawanie dla zysku majątków „Hakaci", brutalność wobec chłopów, pogardę już nie tylko dla mieszczan ale i „prostej szlachty", zły gust artystyczny, brak wykształcenia i skrupułów, małostkowość nie cofającą się przed denuncjowaniem służby kolejowej z powodu błahego zatargu itd. A wszystko z dumnym powoływaniem się na tradycję rodową, mimo iż jeden z protoplastów niesławnie zginął na szubienicy w r. 1794 jako zdrajca „miłej Ojczyzny".

Dobrym uzupełnieniem ostrego pamfletu Tetmajera jest subtelnie ironiczna nowela Wincentego Kosiakiewicza Trzecia klasa. Autor zabawił się tutaj w rozwinięcie komicznego pomysłu: bogaty i rozpieszczony hrabia, wracając pociągiem z Paryża, padł ofiarą złodzieja, który mu ukradł portfel z pieniędzmi na granicy. Musi więc wracać trzecią klasą i nie ma nawet pieniędzy na śniadanie czy obiad. Przeoyte po raz pierwszy uczucia głodu i osamotnienia ukazują hrabiemu życie w nowym i nieznanym świetle. Niespodziewane zakończenie — hrabia zapomniał, mimo powziętych postanowień, odwdzięczyć się biednemu rzemieślnikowi, który go z litości poczęstował śniadaniem — jest konsekwentnym rozwinięciem tego utworu.

Najgłębiej może sięga spółka autorska Jana Lama i Włodzimierza Zagórskiego w noweli Szklany człowiek. Nowela ta jest drwiącym komentarzem na temat „teoretycznej" kontrofensywy arystokracji przeciw XVIII-wiecznym ideom równości wszystkich ludzi. „Wie pan" — mówi reprezentant szlachetczyzny — „jakie są moje wyobrażenia o róż-

nicy między ludźmi, którą tworzy urodzenie i pochodzenie. W XVIII wieku, a nawet już w naszych czasach, wyobrażenia takie nazywano przesądami i potępiano jako wsteczne. Obecnie rehabilitował nas Darwin i cały zastęp jego wyznawców. Dziedziczność przymiotów fizycznych i umysłowych nie ulega już żadnej wątpliwości... Jeżeli przed wiekami, kiedy siła fizyczna, męstwo i pewna energia ciała i umysłu dawała jednym wyższość nad drugimi, pewna liczba ludzi odznaczała się tymi przymiotami do tego stopnia, iż wywalczyła sobie odrębne, uprzywilejowane stanowisko socjalne. Jeżeli następnie, wskutek tego co panowie nazywacie przesądem, a co w ślad za Darwinem nazwę doborem, ludzie ci żenili się wyłącznie z córkami rodzin równych pod względem zalet duszy i ciała własnym ich rodom, to zalety te z pokolenia szły na pokolenie i istnieją dzisiaj. Szlachectwo nie jest tedy jakimś nieuprawnionym i nienaturalnym wymysłem, ale ma swoje podstawy fizjologiczne, mój panie. Nie przeczę, że szlachcic może się wyrodzić fizycznie lub moralnie, ale wiadomo, że wyjątki potwierdzają regułę. Szlachcic musi się wyrodzić, ażeby być tchórzem, łotrem, niezdarą i ciemięgą; a nieszlachcic musi się wyrodzić, aby być podobnym do szlachcica".

Otóż nowela Lama (autora Głów do pozłoty i Wielkiego świata Capowic), napisana do spółki z Włodzimierzem Zagórskim, jest — jak wspomniałem — drwiącym komentarzem do tych wywodów „teoretycznych". Ukazuje ona młodego arystokratę, który przy pozorach odwagi i energii, honorowości i poetyckości, zachowuje się w każdej sytuacji życiowej jak słabeusz, głupiec i człowiek tchórzący przed powzięciem decyzji. Jego przygody dają okazję do nakreślenia ostrego rysunku środowiska arystokratyczno - ziemiańskiego uderzającego chciwością, intryganctwem, śmiesznościami i matactwami.

Słówko jeszcze o króciutkim felietonie komediopisarza Włodzimierza Perzyńskiego Tkliwe serca. Napisany około r. 1918 pokazuje paskarskie praktyki ziemian, biadających przy tym — iż „chłopi zagłodzą Warszawę", z taką zwięzłością, dowcipem i wyrafinowaną ironią, jak to Włodzimierz Perzyński potrafi.

Wojciech Natanson

FRYDERYK WOLF: *Pogranicze*, powieść, przekład autoryzowany Jacka Frühlinga, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951; str. 462.

Kożuszek z Rosji, opowieść z życia niemieckiego w latach 1941—42, przełożył Adolf Sowiński, Książka i Wiedza, Warszawa 1950; str. 255.

Powrót synów, przełożył Leon Cukierberg, Książka i Wiedza, Warszawa, 1950; str. 188.

Czołowe miejsce we współczesnej literaturze niemieckiej i sławę na skalę światową zawdzięcza Fryderyk Wolf swym dramatom. Nie oznacza to wcale, iż Wolf unika innych form literackich. Wręcz odwrotnie: w obfitej twórczości tego pisarza zaobserwować można od lat trzydziestu powtarzające się próby wszystkich bodajże znanych form. Nie ma jednak wątpliwości, iż ani w wierszach i poematach, ani w nowelach i powieściach Wolf nigdy nie osiągnął tej siły wyrazu, jaką nacechowane są najlepsze jego utwory dramatyczne. Podobnie jak Schiller, który przez całe swoje życie wypowiadał się w dramacie (i jedynie w formie ballady osiągnął poziom dający się porównać z jego wielkimi tragediami), podobnie jak Hauptmann, który mimo jakże licznych prób epickich do historii literatury przeszedł wyłącznie jako dramaturg — także Wolf jest talentem par excellence dramatycznym.

Uwagi powyższe nasuwają się przy
:turze trzech większych utworów
ickich Wolfa, których polskie przek-
ły ukazały się w ciągu ostatniego
ku na półkach księgarskich. Książki
powstały na emigracji w okresie
—43 i tematyka ich jest w pewnym
pniu wspólna: hitleryzm i walka
itleryzmem. Są to więc jakby epickie
upełnienia najdoskonalszego bodajże
amatu Wolfa, Profesora Mam-
cka, napisanego już w 1933 r. i sfil-
owanego kilka lat później w Związku
dzieckim.

Z omawianych tu trzech utworów
jwcześniej powstało Pogranicze.
mierzenie autorskie jest w tym wy-
dku szersze niż w pozostałych dwóch
ążkach: Wolf pokusił się na wielką
wieść z ogromną galerią różnorodnych
staci i bogatym tłem i — w rezul-
cie — doznał fiaska.

Rzecz dzieje się w 1938 roku we wsi
echosłowackiej, położonej w pobliżu
anicy niemieckiej. Autor daje obraz
sunków społecznych w kapitalistycz-
Czechosłowacji i pokazuje infiltrację
lerowską na terenach, które nieco
źniej jako „Sudetengau" przyłączone
dą do Trzeciej Rzeszy. Centralną po-
cią akcji jest komunista niemiecki
ns Döll, który, po aktywnej walce
szeregach antyfaszystowskiego ruchu
oru, zmuszony był do opuszczenia
emiec i obecnie kontynuuje walkę
itleryzmem w pogranicznej wsi cze-
ej.

Niestety jednak autor nie osiąga za-
erzonego celu: nie otrzymujemy wy-
istego obrazu walki niemieckich
yfaszystów, a obraz klasowych zma-
n miejscowych robotników i chło-
v — mimo iż narysowany ze stano-
ka ideowo słusznej oceny stosunków
łecznych — nasuwa poważne wątpli-
ści.

Braki utworu są w znacznym stopniu
wodowane niedostatecznym opano-
waniem przez autora formy dużej powieści społecznej. Razi nas ubóstwo rysunku psychologicznego ogromnej galerii ludzi, która przesuwa się przed naszymi oczyma. Nie w tym rzecz, że nie można ich odróżnić, ale w tym, jakimi środkami autor uwypukla ich różnorodność. Są więc albo dziwakami jak wachmistrz Wirba lub doktór Pöntsch, albo też odróżniają ich mankamenty fizyczne: Maksowi brak dwóch palców u ręki, Nill ma tylko jedną nogę, fabrykant Keller jest sparaliżowany, Heidi nie dosłyszy.

Daleko idące uproszczenia psychologiczne są także przyczyną słabej wymowy bohatera powieści, Hansa. Już na pierwszych stronach poznajemy Hansa jako człowieka zaopatrzonego w uniwersalny nieomal rejester cech pozytywnych, tak iż autor do końca powieści rejestru tego wzbogacić już nie może. Inne postacie z niemieckiego ruchu antyfaszystowskiego są tylko marginesowe i na ogół pozostają jedynie w ramach szablonu.

Bardziej wyraziście jest odtworzone środowisko miejscowych robotników i chłopów — ale i to jakby tylko pobieżnie naszkicowane, jakby niedopracowane. Niekiedy czytelnik odnosi wrażenie, jakby wieś, w której rozgrywa się akcja, była otoczona wielką próżnią. Zmagania wyzyskiwanych przez fabrykantów pracowników są jakby oderwane od ruchu robotniczego — do wsi nadchodzą jedynie wiadomości o walkach w dalekiej Hiszpanii.

Braki książki wzmaga jej słabość konstrukcyjna. W gruncie rzeczy powieść rozpada się na kilkadziesiąt epizodów, z których niemało napisanych jest z dużym zacięciem: w niektórych dialogach, w scenach strajkowych, rozpoznajemy pióro wybitnego dramaturga. Ale epizody te nie składają się na całość, a częstokroć nawet nie są związane z zasadniczym tematem książki.

Inaczej w dwóch następnych tomach. Kożuszek z Rosji i Powrót synów — to utwory powstałe w czasie pobytu Fryderyka Wolfa w Związku Radzieckim. Wolf prowadził wówczas pracę wychowawczą i propagandową wśród jeńców niemieckich i na ich relacjach o życiu w hitlerowskich Niemczech oparte są w znacznym stopniu te dwie książki. Zostały one szybko po ukończeniu pracy autora wydane — w języku oryginału — w Moskwie, w latach 1943 względnie 44. Niewątpliwie książki te przeznaczone były dla masy niemieckich jeńców, którym miały ukazać prawdziwe oblicze hitleryzmu. O ich wartości artystycznej świadczy niewątpliwie to, że do dziś niewiele zatraciły ze swej świeżości i także polskiemu czytelnikowi mają jeszcze sporo do powiedzenia.

Kożuszek z Rosji wprowadza nas w środowisko robotnicze w jednym z portów nadreńskich w okresie 1941/42. Podobnie jak w Pograniczu rażą i tu uproszczenia psychologiczne i szablonowość niektórych postaci, zwłaszcza z obozu hitlerowskiego (młody SS-Sturmführer Heinz Hüsgen, sekretarka-wamp Ditta itd.). Ale główne postacie, a więc robotnik Józek i jego żona Agnieszka — to sylwetki silne i wyraziste. Ich stopniowa ewolucja jest przekonywająca, narastanie świadomości wśród niemieckiej klasy robotniczej w okresie wojny ze Związkiem Radzieckim — jest doskonale uwypuklone.

Postacie uosobiające w powieści aktywną walkę z hitleryzmem — Ferdek, Elżbieta — potraktowane są co prawda jedynie marginesowo, działają jakby w odosobnieniu, nie widać ich powiązania z partią — ale autor starał się pokazać dojrzewanie ideowe niemieckiego proletariatu, odzwierciedlić przemiany, które nastąpiły w masach — przez długie lata oszukiwanych przez aparat propagandowy brunatnych władców — w przełomowym okresie 1941/42.

Jeśli wymowa Kożuszka z Rosji jest znacznie silniejsza niż Pogranicza, to przyczyny doszukiwać się należy między innymi w zmianie układu kompozycyjnego. Konstrukcja Kożuszka jest bowiem bardziej surowa i konsekwentna: Wolf odrzucił ogromny balast epizodycznych postaci i anegdotycznych wydarzeń, które w Pograniczu obciążają tok epicki, skoncentrował swoją uwagę na problemie zasadniczym i na postaciach potrzebnych dla ukazania tego problemu.

W Kożuszku obserwujemy także wyraźną przewagę elementów dramatycznych nad elementami epickimi: z korzyścią dla utworu. W żywym dialogu zawarta jest istotna treść ideowa opowieści. W dialogach i scenach zbiorowych Kożuszka pióro Wolfa nabiera rozmachu, który cechuje jego celne sztuki sceniczne. Wielka rozmowa między Józkiem a Heinzem w końcowej części powieści, kulminacyjna scena logicznie wypływająca ze zwartej i przejrzystej konstrukcji utworu — to doskonały przykład dramaturgicznego talentu Wolfa.

W Powrocie synów, powstałym krótko po Kożuszku, autor posunął się jeszcze dalej. Powrót synów — to właściwie dramat, któremu autor nadał jedynie zewnętrzną szatę opowieści. „Zamaskowanie epickie" surowej konstrukcji dramaturgicznej jest w tym utworze tak cienkie i przejrzyste, iż czytając niektóre opisy odnosimy wrażenie, że są to wskazówki dla reżysera i dekoratora teatralnego. Ta swoista cecha Powrotu synów — zwięzłe i oszczędne operowanie słowem — daje doskonały wgląd zarówno w tragedię narodu niemieckiego jak i w nieprzeciętny talent Fryderyka Wolfa.

W Powrocie synów Wolf ukaje problematykę społeczeństwa opawanego przez brunatnych władców, środowisku drobnomieszczańskim i teligencji zawodowej. Akcja utworu st skondensowana i rozgrywa się w resie zaledwie trzech dni. Świadomie raniczając czas akcji ogranicza Wolf kże ilość występujących postaci: rona Bögerów i kilku ich znajomych. Dwaj bracia przyjeżdżają do domu krótki urlop. Ich przeżycia na fronwschodnim — oto zasadniczy teat prowadzonych rozmów. W tych zmowach potrafi Wolf nakreślić nie lko typowe postacie środowiska, ale świetla jednocześnie postawę spoczeństwa niemieckiego wobec faszyzu z jednej strony i wobec Związku dzieckiego z drugiej strony. Sielan rodzinną, odtworzoną z doskonałą ajomością niemieckiej mentalności, zerywa nagle bombardowanie Berli, którego ofiarą pada jeden z dwóch aci. Na tym tle ukazuje autor ewocję matki Böger i starego nauczycielgimnazjalnego, typowego przedstaciela liberalnej inteligencji niemiecej.

Niewątpliwie książce tej zarzucić ożna ograniczenie się autora do nieco asnego odcinka ówczesnej rzeczywiści niemieckiej, zarzucić można całwite pominięcie aktywnej walki antyszystowskiego ruchu oporu. Nie są ę jednak, by zarzuty tego rodzaju ły słuszne.

Trzeba pamiętać, dla kogo książka ła pierwotnie przeznaczona: przede zystkim dla jeńców niemieckich w ozach w Związku Radzieckim. Ma jenieckie — to ludzie, którzy przez iesięć lat byli pod jakże silnym strzałem goebbelsowskiej propagandy, dzie, którzy zatracili wiarę w słowo ukowane, które ich oszukiwało i otuniało. Niewątpliwie do postępowej eratury niemieckiej, którą im udostępniono w obozach jenieckich, odnosili się pierwotnie także ze znaczną dozą sceptycyzmu. W tym stanie rzeczy słusznie zapewne postąpił Wolf dając obraz takich stosunków z terenu Trzeciej Rzeszy, które większość jeńców znała w pewnym stopniu z własnego doświadczenia: charakterystyczne przemiany w świadomości typowych, przeciętnych Niemców, przemiany, dokonywające się pod wpływem tragicznych dla całego narodu wydarzeń. Nie jest zapewne przypadkiem, że Willi Bredel, któremu zawdzięczamy jedną z najpiękniejszych książek o bohaterskiej walce niemieckich komunistów w państwie Hitlera, niezapomnianą powieść Twój nieznany brat — w swym opowiadaniu Otzhausen, powstałym w tym samym okresie co Powrót synów, także opór antyfaszystowski raczej pomija.

Jak więc w sumie ocenić opowieść Powrót synów? Jest to utwór o dużym ładunku uczuciowej dynamiki, który naświetlając psychikę przeciętnych Niemców — nie bohaterów, lecz tych milionów, które dopiero pod wpływem tragicznych, osobistych nieszczęść zrozumiały, co to jest faszyzm— ułatwia nam zrozumienie postawy społeczeństwa niemieckiego w epoce hitlerowskiego barbarzyństwa. Ale od tych przeciętnych Niemców, od milionów Bögerów, zależy dziś — gdy naród niemiecki walczy z anglosaskimi i rodzimymi spadkobiercami hitlerowskiej bestii — bardzo wiele.

*

Wszystkie trzy omówione tu książki Wolfa wydane zostały bez jakichkolwiek wstępów. Sądzę, że nie trzeba uzasadniać, jak bardzo niesłuszne jest tego rodzaju wydawanie powieści przekładowych, jak bardzo właśnie do książek niemieckich, mówiących o tematyce niełatwej dla polskiego czytelnika,

potrzebne są wstępy lub posłowia. Także ilość przypisów jest we wszystkich trzech książkach zbyt skąpa.

Przekłady zarówno Pogranicza (Jacka Frühlinga) jak i Kożuszka z Rosji (Adolfa Sowińskiego) są doskonałe. Trafnie odtwarzają atmosferę oryginału i wyróżniają się bogatym słownictwem. Dużo słabszy jest natomiast przekład Powrotu synów (Leona Cukierberga). W szczególności tłumacz nie umiał poradzić sobie z dialogami, które wypadły sztywno i sztucznie.

Marceli Ranicki

STENDHAL: *Lucjan Leuwen*. 2 tomy, Książka i Wiedza, Warszawa, 1950; tom I str. 370, tom II str. 390.

Dnia 8 grudnia 1832 r. Aleksander Turgieniew zanotował w Dzienniku słowa Stendhala, który tak mówił o sztuce, gdy spacerowali po ulicach Rzymu: „Nigdy nie przeprowadzałem rozróżnienia między artystą a myślicielem, tak samo jak nie potrafiłbym oddzielić formy od treści. Nie umiem sobie wyobrazić sztuki w oderwaniu od społecznych warunków, w jakich żyje dany naród. Z nich i tylko z nich sztuka czerpała swą siłę i swą słabość, nabierała wielkiego znaczenia, lub stawała się banalna". W parę dni później wielki klasyk rosyjski pisał: „Jak to się dzieje, że ten człowiek tak bardzo arystokratyczny ma tyle cech prawdziwego demokraty?" Pytanie to powtarzamy dziś za Turgieniewem czytając Lucjana Leuwena — wielką dwutomową powieść o Monarchii Lipcowej. Odpowiedź ułatwia lektura niezwykle interesującej pracy A. Winogradowa Trzy barwy czasu. Uczony radziecki posłużył się w owej zbeletryzowanej biografii Stendhala cennym i nieznanym źródłem historyczno-literackim — archiwum Turgieniewa; rzuca ono nowe światło na postać autora Pustelni Parmeńskiej.

Nad Lucjanem Leuwenem pracował Stendhal w Civita Vecchia, małym porcie państwa papieskiego, gdzie pełnił funkcje francuskiego konsula. Powieść powstała prawdopodobnie między rokiem 1834 a 1836. Dokładne ustalenie tego faktu utrudniały fałszywe daty figurujące na listach pisarza. Już z końcem r. 1834 Stendhal donosił Sainte-Beuve'owi: „Napisałem powieść pod tytułem „Pomarańcza Maltańska"... jest ona napisana jak kodeks cywilny. Mam odrazę do frazesów w stylu pana Chateaubriand". Ale praca jeszcze nieskończona. Stendhal przerabia utwór, dopisuje, poprawia. Wciąż nie jest zdecydowany jak go zatytułować: „Lasek Premol", „Czerwone i białe", „Zielony strzelec" czy jeszcze inaczej? Ostateczną redakcję powieści odkłada na czas pobytu w Paryżu, aby na gorąco skonfrontować fikcję literacką z życiem. Przez sierpień i wrzesień 1835 r. znów pracuje gorączkowo nad utworem dyktując jego początek. Lecz nagle pracę przerywa. Pochłonięty autobiograficznym Życiem Henryka Brulard i lekturą rękopisów „parmeńskich" Stendhal powrócił na krótko do Leuwena dopiero z końcem r. 1836. Rezygnując z ostatniej części, pisarz przekazał potomności dwa tomy powieści. Pierwszy mówi o losach bohatera w Nancy, drugi — o jego karierze w stolicy. W części trzeciej akcja miała toczyć się w dyplomatycznych sferach Rzymu, a następnie pod Paryżem. Tam Lucjan odnaleźć miał swą ukochaną, poślubić ją i cieszyć się odtąd pełnym szczęściem. Tym optymistycznym akcentem — niespotykanym w powieściach Stendhala — chciał autor zamknąć swój cykl. Czym wytłumaczyć brak zakończenia? Przedwczesną śmiercią, niechęcią do dalszej pracy nad książką, którą czekałyby szy-

y cenzury, czy przemyślaną decy- Zamilknięcie pisarza nie zawsze kwestią przypadku czy niedostatku encji. Może ono posiadać głęboką nowę, jeżeli tylko konstrukcja dzie- bohatera znajduje w powieści do- eczne uzasadnienie ideologiczne tystyczne. I tak chyba ma się rzecz ucjanem Leuwenem.

sobliwe także były losy publikacji oru. Nieczytelny i miejscami szy- wany rękopis nie doczekał się druku życia pisarza. Po raz pierwszy o- zono we Francji osiemnaście począt- ych rozdziałów w r. 1855. Później akrotnie publikowano powieść, lecz iero w r. 1929 ukazała się we wła- wym kształcie. Piękne tłumaczenie ana Rogozińskiego jest pierwszym skim przekładem utworu.

*

Lucjana Leuwena usunięto z poli- niki — brzmi pierwsze zdanie po- ści — wybrał się bowiem na prze- dzkę w niestosownej chwili; owego a zabroniono wychodzić zarówno je- jak i innym studentom; działo się w okresie słynnych rozruchów, jakie ły miejsce w czerwcu, kwietniu lub m 1832 a może 1834 roku".

ądzę, że warto przypomnieć wyda- nia, od których Stendhal rozpoczy- charakterystykę swego bohatera. rowadzą nas one od razu w poli- ny klimat Monarchii Lipcowej.

ie przebrzmiało jeszcze we Francji o liońskich tkaczy-powstańców: cie i praca lub śmierć i walka", gdy erwca 1832 r. garstka republikanów korzystując manifestacyjny pogrzeb erała Lamarque występuje zbrojnie eciw legalnej władzy. Powstanie no- charakter żywiołowego buntu. Brak dzów, brak porozumienia między re- likańską lewicą a niezorganizowa- n jeszcze proletariatem paryskim. W insurekcji bierze udział kilkudzie- sięciu studentów politechniki. Walka słabnie już nazajutrz a ostatni powstań- cy giną bohatersko w pobliżu klasztoru Saint-Merri. Jest ośmiuset zabitych i rannych.

Rozruchy w kwietniu 1834 miały wię- kszy zasięg. Wieść o wybuchu drugie- go powstania robotników liońskich (9— 12 kwietnia) wywołała zamieszki w większych miastach Francji. W Paryżu ulice dzielnicy Marais pokrywają się barykadami. Grupa republikanów znów chwyta za broń. Walka z regularną ar- mią kończy się masakrą powstańców i ludności przy ulicy Transnonain. 14-go kwietnia po południu spokój panuje w stolicy. Wypadki zamyka *procès-mon- stre* urządzony w rok później.

Znamienne to wypadki dla czasów Ludwika Filipa. Pamiętamy ten okres historii Francji choćby z powieści Bal- zaka. Na lata 1830 — 48 przypada okres pełnego rozwoju kapitalizmu francu- skiego i wzrostu proletariatu miejskiego. Rządom arystokracji finansowej — o- wego wielkiego „domu handlowego Or- léans, Laffitte, Périer" do eksploatacji bogactw narodowych Francji (Marks) — towarzyszy wzrastająca nędza klasy ro- botniczej i drobno-mieszczaństwa. Roz- paczliwe i krwawo tłumione powstania proletariatu zbiegają się ze wzrostem wpływów opozycji republikańskiej, z rozkwitem utopijnego socjalizmu i ko- munizmu, z działalnością nieugiętego rewolucjonisty Blanqui.

Kim jest Lucjan Leuwen podejrzewa- ny przez cały Paryż o saint-simonizm? Bohater powieści—to syn jednego z naj- bogatszych ludzi stolicy, wspólnika ban- ku Peters Leuwen i spółka. Nieprze- ciętnie uzdolniony i nienagannie wycho- chowany Lucjan lubi chemię, matema- tykę i jazdę konną, nie lubi natomiast salonów paryskich. Bezczynność i sym- patie republikańskie budzą niepokój

pana Leuwena, który prócz wilgoci i nudziarzy bał się jeszcze niepewnej przyszłości syna. Lucjan powinien zrobić karierę wojskową. Ranga podporucznika 27-go pułku lansjerów jest tylko kwestią pogawędki z ministrem wojny. Chłopiec zachwycony jest mundurem, który doskonale leży a ponadto przypomina urok i potęgę munduru napoleońskiego. Młodzież francuska żyje jeszcze sławą bohaterskich czynów pokolenia rewolucyjnego. Ale niezwłocznie radość zastępuje gorzka refleksja — żyć jedynie legendą niesposób.

Tak wygląda „ekspozycja" utworu. Pamiętamy Juliana Sorela z Czerwonego i czarnego, gdy jako porucznik huzarów miał rozpocząć świetnie zapowiadającą się karierę. Julian skłócony ze społeczeństwem zginął, lecz oto na pierwszych kartach powieści Stendhala widzimy znów młodego oficera tym razem z pierwszych lat Monarchii Lipcowej. Lucjan nie jest oczywiście Julianem, lecz ma jego prawość i inteligencję. Jak zareaguje bohater Stendhala na rzeczywistość swojej epoki — intryguje pytanie — gdy oglądać ją będzie już nie poprzez salon swej matki, ale z garnizonu pułkowego lub gabinetu ministra?

*

Pobyt młodego Leuwena w Nancy posłużył autorowi do skreślenia obrazu francuskiej prowincji. Stendhal w zwięzłych scenach pokazał polityczne i obyczajowe życie małego miasta. Środowisko wysłużonych oficerów napoleońskich, których awans zależy teraz od surowości wobec strajkujących robotników, salony tępej arystokracji, marzącej o powrocie Bourbonów i przeklinającej króla-„jakobina", precyzyjnie zarysowane postaci miejscowych polityków — cały ten prowincjonalny światek organizuje się pod piórem Stendhala w logiczny ciąg zdarzeń spiętych mocno postacią głównego bohatera. Miłość Lucjana do pani de Chasteller jest zasadniczym wątkiem powieści. Pisarz dał w niej jeszcze jeden pięknie rozbudowany wariant swej teorii krystalizacji. Ale u Stendhala psychologia nie jest celem, lecz środkiem do ukazania pełnej osobowości człowieka. Doświadczenie emocjonalne bohatera jest tylko cząstką jego doświadczenia życiowego. Uczy go ono odrazy do spraw i ludzi prowincjonalnego miasta, którego dłużej znieść niesposób. Wojskowa kariera Lucjana kończy się fiaskiem. Młody oficer porzuca Nancy nie tylko dlatego, że trudno mu przeżyć rzekomą niewierność ukochanej, lecz także dlatego, iż sprawdziły się przewidywania, jakie snuł, wkładając po raz pierwszy mundur: „Będę wojował tylko z cygarami; przydzielą mnie do nudnego garnizonu, stacjonującego w miasteczku o złych brukach; zostanę podporą kawiarni wojskowej, wieczorem w braku innych rozrywek będę grał w bilard i wysuszał butelki piwa; czekają mnie także niesławne potyczki z brudnymi robotnikami przymierającymi głodem; oni będą mieli za całą broń głąby kapuściane, a my szable... Ano cóż... najwyżej zginę jak Pyrrus, zabity nocnikiem (albo dachówką) rzuconym z piątego piętra przez bezzębną staruchę! To mi dopiero sława! Będę miał kłopot nie lada, kiedy na tamtym świecie zamelduję się u Napoleona".

Chamfort mawiał, że sekrety rządu, sądu i kuchni są jednakowo mdłe. Jak bardzo były one mdłe w czasach Monarchii Lipcowej, pokazał nam Stendhal w następnej części utworu. Ton drugi Lucjana Leuwena — to już wspaniała powieść o wielkiej polityce. Lucjan na prośbę ojca zostaje sekretarzem ministra spraw wewnętrznych. Stendhal nie oszczędził swemu bohaterowi najprzykrzejszych doświadczeń

w pełni przekonał się, czym jest ka rządzenia w parlamentarnej mo- chii. Lucjan jest świadkiem giełdo- h spekulacji ministra, rządowej pro- acji zmierzającej do wywołania gości między wojskiem a robotni- ni (afera Kortisa), oszustw wybor- ch, intryg w czasie kryzysu rządo- o. Ciąg notowanych faktów i skom- owanych zdarzeń cechuje coraz o- ejsza pasja satyryczna a wraz z nią az głębsza wymowa polityczna.

zęść pierwsza powieści, to jeszcze ajka obrazów z życia prowincji ncuskiej, którego Lucjan jest raczej erwatorem niż aktorem. Nasz boha- styka się tam głównie z mało szkod- ą już w owych czasach, pocieszną a- okracją Nancy — traktowaną przez rza z pobłażliwą ironią. W części giej utworu Stendhal częściej de- skuje niż ośmiesza. Ukazując metody stwa policyjnego pisarz dowodzi, że tępowaniem zbogaconych mężów sta- rządzi nienawiść do biedoty. Bur- zja, niepewna władzy i złota, lęka ludu, drży przed jego gniewem. Po- ja przeto środki ucisku, aby za elką cenę utrzymać opornych w ry- n. „Nie okazuj najmniejszej litości ublikanom, a zwłaszcza młodym lu- m, którzy otrzymali staranne wy- wanie i nie mają z czego żyć" — iadcza hrabia de Vaize, zbogacony weniusz, który z prefekta awanso- na ministra.

owa te przypominają podobne o- adczenia Périera czy Thiersa. Afera tisa przypomina aferę Cortheysa. ndhal nie stara się nawet o zupełną anę nazwisk, Stendhal posługuje się kumentacją. Lucjan Leu- n staje się — i nie lękajmy się użyć wielkiego słowa — zeznaniem przed em historii. Powieścią dokumentar- Pisarz oskarża rządy bankierów e mniej wnikliwie niż Balzac, ale z pewnością gwałtowniej, bo bardziej osobiście, bezpośrednio. Oburzeniem i goryczą tchną stale słowa Lucjana.

Na myśl przychodzi niezapomniana, jedna z najwspanialszych scen u Stendhala. Minister wysyła Leuwena na prowincję, aby za wszelką cenę nie dopuścić do wyboru republikańskiego kandydata na posła. Po drodze, w małym miasteczku ludność biorąc Lucjana za komisarza policji wiozącego paszkwile wyborcze obrzuca go wyzwiskami i kamieniami. Garść błota ląduje na twarzy wysokiego dygnitarza. „Patrzcie: wylazła mu na gębę cała jego dusza" — woła ktoś z tłumu. Młodzieńca dławią łzy wstydu i wściekłości. Nie tylko dlatego, że został obrażony, ale dlatego, że w oczach ludu słusznie uchodzi za łajdaka. Lucjan myśli o ucieczce do Ameryki, o samobójstwie. Bolesne doświadczenia przypomina wciąż jawiąca się refleksja: „Zmarnowałem życie. Ugrzązłem w bagnie, z którego się już nie wydobędę".

Tragiczne są dzieje tego chłopca, który wyzbywając się wszystkich złudzeń swojego wieku nie wyzbył się wewnętrznej uczciwości i bystrego osądu. Lucjan Leuwen nie zmieni się w balzakowskiego Rastignaka, lecz pozostanie do końca typowym bohaterem stendhalowskim — skłóconym ze światem i na swój sposób przeciw niemu protestującym. Życie uczy młodego Leuwena buntu i oburzenia. Oburzenie to bezpłodne, bunt to tylko wewnętrzny, lecz świadczący o niesłabnącej wrażliwości na sprawy swojego czasu. Lucjan nie zrywa tak mężnie z okrutną rzeczywistością jak Julian Sorel. Brak mu do tego plebejskiej energii i żarliwości, entuzjazmu i nienawiści. Lucjan odchodzi od świata wyjeżdżając zagranicę. Czy nie czeka go tam los Fabrycego del Dongo lub Oktawa de Malivert?

Lektura Lucjana Leuwena skła-

nia nieodparcie do porównań z niektórymi tomami Komedii ludzkiej. Obraz Monarchii Lipcowej u Stendhala i Balzaka — to dwie różne perspektywy oglądu i dwie metody twórcze. Problem wart jest osobnego studium. Tutaj sygnalizujemy jedno. U Balzaka konflikty jakiejkolwiek dziedziny życia, a więc i polityki, ilustrują działanie tej najistotniejszej siły władającej społeczeństwem kapitalistycznym, jaką jest pieniądz. Stendhala natomiast interesuje nie tyle analiza mechanizmu stosunków społecznych, co opis psychologicznych następstw tego mechanizmu. Przyjrzyjmy się ministrowi de Vaize, który grał na giełdzie: niepokój, niecierpliwość, wreszcie radość chciwego finansisty oddane są świetnie, ale sama giełda pozostaje mityczną instytucją. Dla Balzaka to temat do całej powieści o karierze giełdziarza i jej skutkach społecznych.

Tak zatem Lucjan Leuwen jest przede wszystkim kroniką polityczną Monarchii Lipcowej. Zastanawiające, że pisarz, chociaż przebywał z dala od Francji, widział tak bystro jej istotne wydarzenia i tak dojrzale przedstawił je w tej powieści. Angielski stendhalista F. C. Green*) dostrzega w niej nową technikę pisarską ujawniającą większe niż w dotychczasowym dorobku autora nasycenie realiami i dokładniejszy wizerunek psychologiczny postaci drugorzędnych. Ten zapewne słuszny sąd nabiera szczególnej wagi, jeżeli uświadomimy sobie, że pisarz dobiera na ogół bohaterów reprezentatywnych i fakty typowe. Takie postacie jak doktora du Poirier, ministra de Vaize, sekretarza Coffe, prefekta de Sèranville, jezuity Le Canu, pani Grandet, bankiera Leuwena pamięta się długo.

Czerwone i czarne w zestawie
niu z tą najbardziej polityczną powieśc
Stendhala to wynik wąskiego pola ob
serwacji ześrodkowanej przede wszys
kim na psychologicznej sylwetce głów
nego bohatera. Realizm Lucjan
Leuwena wyrasta z ostrzejszego
szerszego widzenia rzeczywistości. J
elementy układają się wokół główn
postaci określając jej konkretne, społ
cznie uwarunkowane postępowanie. Za
leżne jest ono równocześnie od cech in
dywidualnych bohatera, którego aut
obdarzył zaletami i wadami rzeczywiste
go człowieka. Karty poświęcone prze
życiom Lucjana są — jak zwykle
Stendhala — pięknym dowodem m
strzostwa w obrazowaniu psychi
ludzkiej. I to jest drugie znamię twó
czości Stendhala pasujące go na wie
kiego realistę.

Realizmowi utworu sekunduje styl
zwięzły a potoczysty, skrzący się
satyrycznych point, wyprany z roma
tycznej egzaltacji i ornamentyki. P
wieści Marivaux i kodeks — oto wzo
stendhalowskiej prozy. Wielki human
sta sięga do najlepszych tradycji XVI
wieku, z którym łączy go materia
styczna filozofia Helvecjusza i Destu
ta de Tracy.

Wielkości Leuwena nie obniżą ch
ba ani trafiające się dłużyzny, ani p
zorne nieporadności kompozycyjne.
Stendhal czasem ucina dialogi i odw
łuje się do wyobraźni czytelnika, złoż
możemy na karb troski autora o to,
niezwykłe a ważkie dla obrazowan
współczesności. Pamiętamy równocz
śnie, że pisarz pewne fragmenty utwo
zaledwie naszkicował skupiając całą
wagę na ulubionych partiach węzł
wych. Stąd pewna epizodyczność
brak ciągłego wątku. Często to cec
powieści nie przeznaczonych do druk

*

W Lucjanie Leuwenie Stendh
z pasją jakobina i energią napoleońsk

* F. C. Green — Stendhal, Cambridge, 1939, str. 264.

ułana zaatakował wszechwładną burzję, której władza i bogactwa okrze- kosztem nędzy klas wyzyskiwa- h. Stendhal gorąco współczuł lu- vi w jego rozpaczliwej sytuacji. Lecz był kres politycznej świadomości pi- za. Lucjana możemy uznać w znacz- n stopniu za rzecznika poglądów au- a. Sympatie młodzieńca są po stro- republikanów i rewolucjonistów. ł przecież udział w rozruchach pa- kich. Ale Lucjan jest zbyt oddalo- pozycją społeczną i majątkiem od letariatu, aby mógł żywić wobec go inne uczucia niż litość. Utopia nt-Simona nie przekonywuje go. gardza republiką typu demokracji erykańskiej.

Toteż ostateczną postawą, na jaką ater może się zdobyć, jest samotni- protest w imię wewnętrznej niezależności.

odobny tok rozumowania bliski był ndhalowi. Mówią o tym pisma autograficzne, przedmowy do Leuwe- polemika z saint-simonistami. *) Pe- nistyczny i egotystyczny stosunek do półczesności zaświadczony w Lu- anie Leuwenie nie podważa nak objektywnej wymowy dzieła, którym pisarz dał wyraz swoim humanistycznym ideałom: „Postawa, jaką zajmował wobec ruchów robotniczych swojej epoki w Lucjanie Leuwenie — pisze G. Lukacs — była postawą rewolucyjno-demokratyczną: pogardzając Monarchią Lipcową za krwawy ucisk robotników, nie widział i nie mógł widzieć, jak rosło społeczne znaczenie proletariatu".**)

Gdy mija obecnie stodziesiąta rocznica śmierci Stendhala***), twórczość wielkiego pisarza francuskiego jest nam droższa i bliższa niż jego epoce. Zawartą w Lucjanie Leuwenie prawdę o ludziach i zdarzeniach lat trzydziestych podziwiamy dziś bardziej świadomie, bogatsi o wiek doświadczenia historycznego. Stendhal wymierzył sprawiedliwość swemu czasowi z tą głęboką sumiennością, jaka zawsze znajdzie odzew u uważnego czytelnika.

Rośnie szczupła początkowo garstka jego miłośników. Rośnie w Polsce Ludowej. Dowodem nieprzerwane nakłady całej spuścizny Stendhala. Tak wielkiej popularności nie przewidywał zapewne sam autor, chociaż liczył na czytelnika naszych czasów. Czy można godniej uczcić pamięć pisarza?

Jerzy Parvi

Stendhal jest autorem broszury O wym spisku przeciwko zemysłowcom (1827) będącej ą polemiką z czasopismem saint-simoni- *Le Producteur*.

**) G. Lukacs — Balzac, Stendhal i Zola, 1951; str. 51.

***) Stendhal zmarł w Paryżu 23 marca 1842 r.

A WIDNOKRĘGU

ELKI KRYZYS BRYTYJSKIEGO IMPERIUM

hurchill — premier z lat wojny — alił się niegdyś, że nigdy „nie bę- grabarzem Imperium". Churchill— wódca opozycji powtarzał ten slo- Churchill — premier z epoki paktu atlantyckiego, kontynuuje „udoskonalonymi metodami" kopanie grobu dla swego Imperium, którego obywatelom już dziś zdejmuje buty.

Ostatnie półrocze 1951 i pierwszy kwartał roku bieżącego przyniosły gwałtowne pogorszenie sytuacji gospodarczej Wielkiej Brytanii i w związku

z tym silne osłabienie resztek więzów utrzymujących spoistość Imperium. Nie jest to pierwsze po wojnie zaostrzenie struktualnego kryzysu państwa brytyjskiego — zewnętrznie podobne wydarzenia miały już miejsce w 1947 i w 1949 — jednakże tym razem kryzys jest szczególnie ostry, a to w rezultacie zapoczątkowanego w 1949/50 programu zbrojeniowego, który stał się nowym i jednym z najpoważniejszych elementów rozkładających strukturę imperialną i dobijających gospodarkę Wielkiej Brytanii.

Zewnętrznym objawem pogorszenia sytuacji jest kształtowanie się bilansu handlowego i płatniczego Wielkiej Brytanii. W wyniku olbrzymich niedoborów w II półroczu ub. r. łączny deficyt handlu brytyjskiego wyniósł w 1951 roku 1.208 mln. funtów. Deficyt ten posiadał dwa szczególnie groźne aspekty: z jednej strony oznaczał zapowiedź wzrostu zadłużenia szterlingowego Wielkiej Brytanii — zadłużenie to w połowie 1951 r. wynosiło 4,1 mld. funtów — z drugiej strony wiązał się on z ogólnym deficytem płatniczym całej strefy szterlingowej wobec dolarowych wierzycieli. Odpływ rezerw złotodolarowych z centralnej puli strefy szterlingowej wyniósł w II półroczu ub. r. ponad półtora mld. dolarów. Pierwsze trzy miesiące roku bież. nie przyniosły żadnych istotniejszych zmian na lepsze.

Zanim przejdziemy do odpowiedzi na pytanie, czyim kosztem i na czyj benefis przebiega kryzys brytyjski, należy jeszcze podkreślić znaczenie wyżej cytowanych cyfr. Wielka Brytania jest krajem, którego suma obrotów w handlu zagranicznym wynosi dziś 45% dochodu narodowego. Jednocześnie podstawowe istniejące jeszcze więzy imperialne są na płaszczyźnie gospodarczej przede wszystkim handlowego typu. Podstawowe kraje Imperium jak Kanada, Australia czy nawet Indie nie są już dziś wyłączną domeną kapitału brytyjskiego i nawet, jak np. w Kanadzie, nie posiada on tam przeważających pozycji. Wpływy brytyjskie z inwestycji zagranicznych wynoszą dziś nie więcej niż około 120 mln. funtów rocznie — jest to wynikiem wyprzedaży inwestycji brytyjskich, przeważnie w amerykańskie ręce, w czasie wojny i w okresie powojennym. Brak jest oficjalnych danych dotyczących spadku zagranicznych inwestycji brytyjskich, ale dane szacunkowe pozwalają przypuszczać, że w ciągu 12 lat inwestycje te zmniejszyły się o około 40%. Z tego względu burżuazja brytyjska straciła znaczną część swych możliwości eksploatowania krajów *Commonwealthu*, wyjąwszy kolonie brytyjskie. Co za tym idzie, wzrost zadłużenia wobec krajów strefy szterlingowej *Commonwealthu*, nie równoważony wierzytelnościami z zysków pochodzących z inwestycji, nie może być kontynuowany. Kraje *Commonwealthu* w ciągu pierwszych trzech miesięcy br. dały to Brytyjczykom wyraźnie do zrozumienia. Anglicy utrzymywali wysoki poziom wymiany handlowej z tymi krajami w ten sposób, że w każdorazowych transakcjach dostarczali państwom *Commonwealthu* pewnych produktów konsumpcyjnych na poczet długu. Wobec jednak stagnacji w przemyśle brytyjskim — w roku ub. wzrost produkcji ogólnej istniejący jeszcze w latach poprzednich został zahamowany — wobec rosnącej produkcji zbrojeniowej angażującej przede wszystkim eksportowo najcenniejszy przemysł maszynowy, kraje wierzycielskie otrzymywały z Wielkiej Brytanii coraz mniej artykułów podstawowych, a coraz więcej produktów drugo- i trzeciorzędnego znaczenia. Natomiast artykuły inwestycyjne trzeba było kupować w Stanach Zjednoczonych, Niemczech zachodnich i w Japonii — za dolary bądź surowc

rategiczne. W rezultacie brytyjscy artnerzy z *Commonwealthu* stanęli w bliczu wielkich deficytów i dolarowych, ogólnych. Import bowiem z Anglii ył duży, ale gospodarczo mało korzyst-y. Anglicy zaś wypompowywali wza-nian za swe trzeciorzędne artykuły ażne surowce, które częściowo od-przedawali potem Ameryce. Kra-*Commonwealthu* doszły w tej sytu-cji do wniosku, że podwójna eksploa-cja jest niemożliwa do zniesienia. Vobec konieczności zmniejszenia im-ortu Australia, Nowa Zelandia i Unia ołudniowo-Afrykańska przeprowadziły marcu radykalne redukcje przewozu a ogólną sumę 550 mln. funtów rocz-e, z czego około 300 mln. przypada a import z Wielkiej Brytanii. Posu-ięcia te są podwójnym ciosem dla rzą-u brytyjskiego. Z jednej strony ozna-ają one gwałtowne zmniejszenie eks-ortu brytyjskiego, przy czym chodzi przede wszystkim o eksport takich rtykułów, jak samochody, motocykle, rzędza bawełniana i wełniana, wyro-y włókiennicze, artykuły gospodarstwa omowego, porcelanę itd., a więc arty-ułów, w odniesieniu do których trud-ości w zbycie już dziś powodują mniejszenie produkcji (przemysł tek-ylny o 30% w ciągu półrocza) — z ugiej strony powodują ogólne osła-enie więzów imperialnych orientując andel państw *Commonwealthu* coraz rdziej na USA. W Australii — jak onosi *Financial Times* — tendencja ycofania się w ogóle ze strefy szter-ngowej staje się coraz silniejsza. Po-ąga to za sobą jeszcze i inne ujemne a gospodarki brytyjskiej skutki, spo-oduje bowiem pogorszenie zaopatrze-a surowcowego przemysłu brytyjskie-, gdyż nie ma dziś żadnych szans na , aby kraje *Commonwealthu* zdecy-owały się na kontynuowanie wzrostu ych zamrożonych wierzytelności wo-c Wielkiej Brytanii. Jeśli więc rząd brytyjski zapowiedział zmniejszenie w roku bież. ogólnego importu o 600 mln. funtów w porównaniu z 1951, to oznacza to spadek przywozu artykułów nie drugo ale pierwszorzędnego znaczenia dla Wielkiej Brytanii: żywności, jak np. mięsa i surowców jak drzewo czy wełna.

Konserwatywny rząd Churchilla wobec swego uzależnienia od USA i wobec uczestnictwa w spisku zmierzającym do wywołania trzeciej wojny światowej nie wszedł na jedyną realną drogę poprawy sytuacji. Taką drogą byłoby zmniejszenie obciążeń zbrojeniowych i skierowanie zwolnionych w konsekwencji sum na przyśpieszone inwestycje w przemyśle brytyjskim, a zwolnionej produkcji na wzmożony eksport, zdrowy gospodarczo z punktu widzenia odbiorców. Rząd Churchilla — wprost przeciwnie — chce ratować sytuację sposobami oznaczającymi na dalszą metę jej pogorszenie, a doraźnie obliczonymi na wzmożenie eksploatacji ludności kolonii brytyjskich i brytyjskiej klasy robotniczej.

Realne wydatki budżetowe łącznie z pożyczkami udzielanymi przez państwo wyniosły w roku gospodarczym zakończonym 31 marca br. 4.685 mln. funtów, z czego 1.122 mln. pochłonął budżet wojskowy. Według preliminarza przedłożonego przez rząd konserwatywny Izbie Gmin, wydatki budżetowe w bież. roku gospodarczym wyniosą 4.842 mln., w tym wydatki wojskowe 1.390 mln. W ten sposób ogólny budżet wzrasta o 3,35%, ale budżet wojskowy aż o 23,9%. Odpowiedniej redukcji ulegają w konsekwencji wydatki cywilne. Redukcja dotyczy nie tylko pozycji bezpośrednio mających wpływ na stopę życiową ludności — subsydia żywnościowe o 39%, oświata o 5% itd.—ale również inwestycji gospodarczych. Zmniejszenie inwestycji odbędzie się w dwojaki sposób: poprzez zmniejszenie kredytowania tak

budżetowego jak i bankowego oraz poprzez redukcję zaopatrzenia rynku wewnętrznego w maszyny i inne urządzenia inwestycyjne. Już w lutym łączne kredyty inwestycyjne spadły do 27% poziomu sprzed roku. Według exposé ministra skarbu, Butlera, suma przeznaczona na zaopatrzenie rynku w maszyny zmniejszy się o 170—200 mln. funtów w skali rocznej. Wobec jednocześnie zapowiedzianego priorytetu inwestycji zbrojeniowych oznacza to spadek do zera inwestycji pokojowych, gdyż w roku ub. inwestycje pokojowe i zbrojeniowe łącznie wynosiły niespełna 230 mln. funtów. Rząd Churchilla spodziewa się, że przez zmniejszenie inwestycji osiągnie zahamowanie inflacji. Rachuba ta ma wyjątkowo krótkowzroczny charakter, gdyż na dalszą metę spadek inwestycji oznacza wzrost kosztów własnych produkcji, a w rezultacie wzrost cen i spadek eksportu z konieczną w konsekwencji dalszą redukcją importu czyli nową falą inflacyjną. Należy przy tym zaznaczyć, że urządzenia produkcyjne w przemyśle brytyjskim są już dziś bardzo przestarzałe. Przeciętne koszty własne są dziś 3-krotnie wyższe niż w USA (w 1938 były 2,3 raza wyższe). Spadek inwestycji łączy się ze wzrostem bezrobocia. W ciągu półrocza rządów Churchilla bezrobocie wzrosło o 78%, a rząd przy okazji podania do wiadomości restrykcji importowych przyznał oficjalnie, że „dzisiejszy poziom zatrudnienia nie będzie mógł być utrzymany". W tej sytuacji ocena b. ministra pracy, Robensa, według której do końca br. bezrobocie w Anglii ogarnie milion osób, jest raczej optymistyczna. Wzrost bezrobocia — traktowany przez burżuazję jako sposób wzmożenia presji i utrzymania w ryzach klasy robotniczej — w połączeniu ze spadkiem poziomu życiowego pogłębi kryzys zbytu w konsumpcyjnym przemyśle Wielkiej Brytanii, tym bardziej że na rynkach eksportowych robi się coraz ciaśniej. Rok ub. jak już wspomniano — przyniósł zahamowanie wzrostu produkcji ogólnej, a w ciągu ostatnich 6 miesięcy nastąpił spadek wskaźnika o około 5 punktów (3%). Spadek objął przede wszystkim przemysł włókienniczy, obuwniczy i artykułów gospodarstwa domowego oraz przemysł budowlany. Budżet churchillowski przynosi dalsze obniżenie poziomu życiowego ludności i rosnącą niesprawiedliwość w podziale dochodu narodowego. Następuje wzrost podatków pośrednich o około 100 mln. funtów, co w połączeniu ze wspomnianymi redukcjami wydatków cywilnych przyniesie znaczny spadek konsumpcji indywidualnej. Należy przy tym wskazać, że system podatkowy w Anglii rozwijał się w ciągu minionych 13 lat w sposób jawnie demaskujący klasowy sens polityk obu wielkich partii — konserwatystów i *Labour Party*. W porównaniu z 1938 podatki, w liczbach bezwzględnych, ściągane z wielkiej własności ziemskiej wzrosły o 90%, z zysków handlowych i bankowych o 340%, natomiast z płac o 10.850%. W budżecie churchillowskim opodatkowanie płac kształtuje się w ten sposób, że stosunkowo najkorzystniej dla płatnika wypada stawka akordowa — ma to na celu wzmożenie stopy wyzysku. Z drugiej strony budżet przynosi zmniejszenie opodatkowania zysków rozdzielonych w postaci dywidend (stopa podatkowa zmniejszona o 40%) i odpisanych na kapitał zakładowy (o 50%). Jeśli będziemy pamiętać, że jednocześnie hamuje się możliwości inwestycji w gospodarce brytyjskiej, jest rzeczą jasną, że rząd Churchilla próbuje skierować w ten sposób zwolnione od opodatkowania zyski w kierunku inwestycji w koloniach, tzn. w kierunku zwiększenia wyzysku ludności kolonialnej.

W porównaniu z 1950 zyski 2.501 wielkich spółek brytyjskich wzrosły o 22,6%, w tym zyski 401 spółek kolonialnych o 35%. Płace realne w Anglii spadły o 4%, po czasowym zahamowaniu spadku w drugim i trzecim kwartale ub. r. Już pierwsze 3 miesiące br. przyniosły dalszy spadek stopy życiowej — według prowizorycznej oceny o nowe 4%. Bardzo dobitnym wyrazem spadku poziomu życia jest zmniejszenie wartości kalorycznej przydziałów kartkowych o 5% i to w sytuacji, w której konsumpcja mięsa np. była już w 1951 o 17% niższa niż w 1950 i o 28% niższa niż przeciętnie w czterech latach przedwojennych; konsumpcja masła spadła odpowiednio o 13 i 36%.

Rząd Churchilla, który kopiąc grób Imperium kopie jednocześnie masowy grób dla obywateli tego Imperium w trzeciej wojnie światowej, nie mógłby realizować swej polityki, gdyby nie poparcie Labour Party, która zaakceptowała i program zbrojeniowy, i politykę zagraniczną rządu i która ustami jednego ze swych przywódców, Deakina, nawołuje robotników do „nieuciekania się do pozaparlamentarnych metod walki". Kierownictwo Labour Party pragnie nadać swej „opozycji" charakter piorunochronu broniącego churchillowski „gabinet lordów" przed gniewem mas. Jednocześnie następuje w kierownictwie Labour podział ról i grupa Bevana osłania z kolei swych kolegów. Bevan „akceptując w zasadzie" program zbrojeniowy i „sojusz z USA", ogranicza się do żądań ukształtowania obu tych podstaw dzisiejszej polityki brytyjskiej w sposób bardziej odpowiadający interesom wielkiej burżuazji angielskiej, stopniowo doduszanej przez swych opiekunów zza oceanu.

Istnieje jednak wiele oznak, że wypróbowane metody „rozładowywania" walki klasowej w Anglii zawodzą. Ruch strajkowy kosztował już w roku ub. 3.377.000 roboczodniówek (2.764.000 w 1950). Na fali walki o prawa bytowe klasy robotniczej rozwija się jednocześnie świadomość, że u podstaw kryzysu leży właśnie polityka zbrojeniowa, polityka wojny. W ten sposób rośnie świadomość konieczności obrony pokoju.

7.IV.52. **Krzysztof Wolicki**

RENEGACI NAUKI

Medycyna współczesna opanowała w poważnym stopniu zagadnienia epidemiologii stanowiącej naukę o szerzeniu się chorób zakaźnych, zapobieganiu tym chorobom i ich zwalczaniu.

Ten zasadniczy, najszlachetniejszy cel medycyny — zabezpieczenie ludzkości przed chorobami — został w barbarzyński sposób zbeszczeszczony przez odłam uczonych, którzy wprzęgli się w służbę faszyzmu. Nauka służąca hitlerowcom, japońskim militarystom i kapitałowi amerykańskiemu, wyzyskując specyficzne warunki wojenne, sprzyjające szerzeniu się chorób, rozwinęła nowy dział „wiedzy" — mający służyć nie zabezpieczaniu przed chorobami, ale właśnie ich szerzeniu. Hitlerowscy „uczeni" i cesarscy bakteriolodzy Hirohito zajęli się w zbrodniczy sposób opracowaniem i urzeczywistnieniem „nowego rodzaju broni" — broni bakteriologicznej.

O ustosunkowaniu się rządu i społeczeństwa Związku Radzieckiego do tej broni masowej zagłady świadczą wystąpienia delegatów radzieckich na wielu konferencjach międzynarodowych. Związek Radziecki walcząc twardo i nieustępliwie o zachowanie pokoju, równocześnie domaga się konsekwentnie wyjęcia spod prawa broni masowej zagłady. Wśród środków masowej zagłady, które zagrażają przede wszystkim ludności cywilnej, znajduje się — prócz

broni atomowej i gazów bojowych — także i broń bakteriologiczna.

Jeszcze w 1925 roku podpisano w Genewie, obowiązujący do dnia dzisiejszego, protokół o wyjęciu spod prawa broni chemicznej i bakteriologicznej. Protokół ten był ratyfikowany przez Związek Radziecki i przez 39 innych państw. Znamienny jest fakt, że wśród państw ratyfikujących ten akt zabrakło rządu Stanów Zjednoczonych oraz rządu japońskiego.

Najbogatszymi oficjalnymi źródłami, z których można czerpać wiadomości o przebiegu badań i stosowaniu broni bakteriologicznej w czasie ostatniej wojny, są akta procesu norymberskiego i procesu chabarowskiego. Materiały te nie tylko obnażają zbrodnicze zamysły, ale ujawniają także liczne haniebne fakty, w szczególności zaś fakty doświadczeń, przeprowadzanych na ludziach aresztowanych przez żandarmerię japońską, czy też na jeńcach radzieckich, wziętych do niewoli hitlerowskiej.

Wśród rozlicznych możliwości i szerokiego asortymentu zarazków, mogących służyć jako broń bakteriologiczna bezpośrednio w stosunku do ludzi, szczególnie zainteresowały bakteriologów cztery typy zarazków.

Pierwszą grupę stanowią zarazki wywołujące ostre schorzenia żołądkowo-jelitowe, a więc dur brzuszny, paradury, czerwonka, cholera; drugą grupę zarazki duru plamistego; trzecią grupę stanowi zapomniana już w medycynie współczesnej, w średniowieczu zaś groźna i wyludniająca całe okolice „czarna śmierć" — dżuma; czwartą grupą są tak zwane zarazki beztlenowe, które przy wniknięciu do rany grożą niezwykle szybką śmiercią.

Omówimy po kolei możliwości zastosowania tych zarazków jako broni i „osiągnięcia" zbrodniczych naukowców w tej dziedzinie. Najczęstszym źródłem zakażenia zarazkami duru brzusznego, paradurów, oraz czerwonki i cholery jest woda i pokarm.

Praktyczne zastosowanie zarazków chorób żołądkowo-jelitowych dla wywołania epidemii może mieć miejsce — zdaniem speców japońskich — głównie na drodze dywersji, względnie przy pomocy tak zwanego deszczu bakteryjnego. W 1942 roku, w czasie „strategicznego odwrotu" armii japońskiej, przeprowadzono pod kierownictwem generała Siro Isii duży bakteriologiczny atak, na środkowych obszarach Chin. Na opuszczonych terenach wojska japońskie pozostawiały zakażone studnie, wodopoje, a nawet rzeki. Prócz tego pozostawiono, niby przypadkowo, znaczne zapasy żywnościowe, również sztucznie zakażone drobnoustrojami chorobotwórczymi. Jedyną — jak dotychczas — metodą szerzenia duru plamistego było pozostawienie na zapleczu przeciwnika skupisk ludzkich, w których panował dur plamisty. Skupiskami tymi były oczywiście obozy jenieckie i obozy koncentracyjne.

Warunków, w jakich żyli więźniowie i jeńcy radzieccy w obozach hitlerowskich nie trzeba tu przypominać. Do obozów tych wysyłano celowo partie jeńców z innych obozów, w których panował dur plamisty. Zrozumiałe, że w antysanitarnych warunkach obozu koncentracyjnego, wybuch epidemii był nieunikniony. Władze hitlerowskie liczyły na rozszerzenie się epidemii i przeniesienie jej na zaplecze Armii Czerwonej, która uwalniała te obozy. Jednakże sprawność radzieckiej służby zdrowia pokrzyżowała te zbrodnicze plany. Chorych i wyniszczonych ludzi ewakuowano na głębokie zaplecze dopiero po dokładnym przygotowaniu sanitarnym i zapewnieniu pełnego bezpieczeństwa epidemiologicznego.

Dla zebrania dokładnych informacji o trybie postępowania medycznej służby radzieckiej z chorymi znalezionymi w oswobodzonych obozach, hitlerowcy po-

ostawiali w nich pewną ilość swych gentów, którzy po zebraniu odpowiedich danych mieli je przekazać ustępującej armii hitlerowskiej. W Białorusiej SRR Armia Radziecka wyzwoliła bóz, w którym znaleziono 7000 chorych a dur plamisty. W obozie tym, położoym przy przednim skraju obrony hitleowców, zgrupowane były głównie koiety, starcy i dzieci.

Dżuma występuje u człowieka w różych postaciach klinicznych, z których ajgroźniejsze jest zaatakowanie płuc; literaturze lekarskiej nie ma opisaneo ani jednego wypadku wyleczenia z żumy płucnej — jest ona w stu proentach śmiertelna. Przebieg tej choroy może być piorunujący i trwać tylko ilka godzin. Inna postać kliniczna dżuy — tak zwana dżuma gruczołowa, aje 60—80% śmiertelności.

Drugą cechą dżumy jako choroby pidemicznej jest (oprócz wysokiej miertelności) uporczywość utrzymywaia się ognisk epidemii. Ogniska te wyuchają co pewien czas nowym rzutem, owodując nowe masowe zachorowania.

Główną metodą stosowania dżumy wojnie bakteriologicznej stało się zaem zrzucanie na określone obszary zażonych pcheł. Pchły takie zrzucano lbo siejąc z samolotu, albo w specjalych bombach „systemu Isii". Bomba ka miała porcelanowe ściany oraz nieielki ładunek detonujący. Wybuchała powietrzu, a zarażone pchły paały w dość szerokim promieniu.

Zbrodniarze japońscy traktowali dżuę jako zasadniczy oręż w wojnie bateriologicznej. Skuteczność tego oręża róbowano w dwojaki, również zbrodiczy zresztą, sposób.

Materiałem doświadczalnym byli rzede wszystkim aresztowani bojowni o niepodległość okupowanej przez apończyków Mandżurii. Więźniów tych ywożono na poligon, gdzie byli przyiązywani do żelazobetonowych słupów; następnie zaopatrywano ich w hełmy i tarcze osłaniające klatkę piersiową i tułów przed przypadkowym zranieniem przez odłamki bomby Isii. Po czym odbywał się nalot i — po upływie pewnego czasu — zwożono więźniów do zabudowań laboratoryjnych na obserwację. Każdy przypadek zarażenia był dokładnie badany, protokółowany, a po śmierci zarażonego — zwłoki poddawano sekcji. Z laboratorium Isii Siro nikt żywy nie wychodził. Nawet ci, którzy mieli szczęście wyzdrowieć, byli używani do następnych doświadczeń.

Proces chabarowski ujawnił również praktyczne zastosowanie dżumy w operacjach wojennych, prowadzonych przez Japończyków w Chinach. Ujawniono, że w 1940 roku, w okolicy miasta Nimbo dokonano ataku bakteriologicznego przy pomocy 5 kg pcheł zarażonych dżumą. W chińskiej prasie lekarskiej pojawiły się w 1941 roku liczne dane o wypadkach epidemii dżumy w okolicy miasta Nimbo. Epidemiolodzy chińscy podkreślali niezwykły przebieg epidemii, której nie towarzyszyła równoczesna epizoocja (epidemia zwierząt) wśród gryzoni. Te notatki z prasy chińskiej były skrzętnie zbierane przez Japończyków i stanowiły dla nich dowód efektywności nowej metody.

Dżumą interesowało się w dużym stopniu również naczelne dowództwo armii hitlerowskiej. Po bitwie moskiewskiej i po klęsce poniesionej pod Stalingradem — jak wykazał proces norymberski — Hitler był zdecydowany na użycie wszelkich środków dla zatrzymania naporu Armii Radzieckiej. W tym celu rozkazał on w 1943 roku Göringowi przygotowanie wojny bakteriologicznej. Göring zlecił przeprowadzenie badań i przygotowanie broni bakteriologicznej profesorowi Blomowi, dla którego zbudowano pod Poznaniem specjalny instytut badawczy. W instytucie tym przeprowadzano, między inny-

mi badania nad dżumą. Materiałem doświadczalnym byli dla hitlerowców również ludzie, głównie jeńcy radzieccy.

Zarazki zgorzeli gazowej mogą być użyte w ataku bakteryjnym jedynie równocześnie z bronią raniącą, ponieważ tylko w głębokiej ranie bakterie te mogą się rozmnażać. W tym celu zostały skonstruowane przez Japończyków bakteriologiczne pociski odłamkowe, zawierające zarazki zgorzeli gazowej. Barbarzyńskie doświadczenia przeprowadzane na więźniach dowiodły skuteczności tej broni. Więźniowie byli przywiązywani do słupów w rozmaitych odległościach od miejsca wybuchu. Ciało ich, prócz niektórych tylko miejsc, okrywano stalowymi, lub grubo watowanymi tarczami. Niektóre okolice ciała pozostawały odkryte dla umożliwienia zranienia. Pocisk bakteriologiczno-odłamkowy rozrywano przy pomocy prądu elektrycznego z bunkra, w którym siedzieli eksperymentatorzy. Wszyscy więźniowie poddawani temu doświadczeniu zginęli na skutek zgorzeli gazowej.

Twórcy i propagatorzy broni bakteriologicznej poświęcali też wiele uwagi zastosowaniu tej broni dla obniżenia bazy żywnościowej przeciwnika. Chodzi tu mianowicie o broń bakteriologiczną, skierowaną przeciw bydłu, owcom i koniom, a także broń skierowaną przeciw zbożom czy ziemniakom.

W dziedzinie weterynaryjnej wchodziły w grę zarazki wywołujące ostre schorzenia u zwierząt. Jednym z najważniejszych schorzeń owiec i bydła jest wąglik. Wąglik — jako schorzenie przebiegające ogromnie ostro i gwałtownie, daje niemalże 100% wypadków śmiertelnych u owiec i bydła. Co więcej — pastwiska zarażone wąglikiem, jak też miejsca, gdzie grzebano (bez przestrzegania odpowiednich przepisów) zwierzęta padłe na tę chorobę, są przez długi okres czasu rozsadnikiem wąglika. Zakażenie pastwisk zawiesiną zarazków wąglika stanowiło więc jedno z naczelnych zadań specjalnego oddziału nr. 100 armii kwantuńskiej. Oddział ten kierowany przez oficerów służby weterynaryjnej, zajmował się głównie wywoływaniem sztucznych epizoocji.

Poza tym dokonywano tam prób zastosowania innych zarazków jako broni bakteriologicznej. Opracowywano między innymi sposoby szerzenia nosacizny, owczej ospy i dżumy bydła.

Co więcej, oddział ten zajmował się intensywnie opracowaniem metod zniszczenia na drodze bakteriologicznej zasiewów zbóż i ryżu. Szerzenie choroby mozajkowej i rdzy zbożowej wchodziło w skład programu „badań naukowych" tego oddziału.

O ostatnich „osiągnięciach" renegatów nauki w dziedzinie rozwoju broni bakteriologicznej dowiadujemy się obecnie z codziennych komunikatów prasowych i radiowych. Współpraca speców hitlerowskich i japońskich z „naukowcami" amerykańskimi dała widome rezultaty. Zwiększył się asortyment chorób zakaźnych stosowanych na Korei — o zarazki zapalenia opon mózgowych, oraz o pokrewne durowi plamistemu zarazki gorączki plamistej. Na terenie zrzutów w Korei i w Chinach Komisja do badań zbrodniczej broni stwierdziła obecność nowych przenosicieli chorób: kleszczy, much, gąsienic — których nigdy na tym terenie dotychczas się nie spotykało.

Niebezpieczeństwo wynikające z używania broni bakteriologicznej jest niebezpieczeństwem realnym, nie należy go jednak przeceniać. Podkreślić trzeba, że nowoczesna medycyna rozporządza całym arsenałem środków zapobiegających wybuchowi i szerzeniu się epidemii.

Sprawą pierwszej wagi jest szerzenie i przestrzeganie profilaktyki sanitarno-higienicznej. Tak w warunkach

kojowych, jak i w czasie wojny — estrzeganie przepisów dotyczących egotowywania i odkażania wody, spo- wania produktów pochodzących wy- znie ze znanych źródeł zaopatrzenia, owiedniego przygotowywania po- w — likwiduje niebezpieczeństwo za- rowań żołądkowo-jelitowych. Prze- zeganie zaś tych przepisów w wa- kach zbiorowego żywienia jest oczy- ście wymaganiem podstawowym.

Stosowane obecnie na szeroką skalę owiązkowe szczepienia ochronne pod- szą odporność społeczeństwa na taki ziom, że choroby, przeciw którym sto- e się szczepienia, nie mogą przybrać arakteru epidemii.

Arsenał leków stosowanych w walce arazkami powiększają coraz to nowe dki bakteriobójcze o bardzo wszech- onnym działaniu. Medycyna radziec- może poszczycić się niemałymi osią- ęciami w tej dziedzinie. Głośne są łaszcza badania nad substancjami ba- eriobójczymi, produkowanymi przez które rośliny.

Wreszcie odpowiednia organizacja, szkolenie i wyposażenie służby sani- no-epidemiologicznej, gwarantuje bkie rozpoznanie typu epidemii i na- hmiastowe jej zlokalizowanie. Ze żbą zdrowia musi jednak współpra- vać całe społeczeństwo, tak w sensie ychmiastowego zgłaszania i ujawnia- zachorowań zakaźnych, jak i w ści- m przestrzeganiu zarządzeń sanitar- -epidemiologicznych.

*

Barbarzyńska broń bakteriologiczna sowana obecnie na Korei i w Chi- h nie spełniła nadziei imperialistów. stosowanie jej w działaniach wojen- h wywołało ogólne oburzenie na ca- ı świecie. Ścisłe dane i udokumen- vane dowody zebrane przez Komisję wników Demokratów na terenie Ludowej Republiki Koreańskiej i w północno-wschodnich Chinach wykazały jasno metody, jakich dopuszcza się, wojujący z ruchem narodowo-wyzwoleńczym, imperializm. Z drugiej strony ujawniły dobitnie słabość i bezsilność imperialistów, zmuszonych uciekać się do tak ostatecznych i dla nich samych niebezpiecznych sposobów walki.

Dzięki zdyscyplinowaniu narodu koreańskiego i działalności doskonale zorganizowanej służby sanitarno-epidemiologicznej, udało się opanować w pełni nową sytuację. Poza pojedynczymi zachorowaniami nie dopuszczono nigdzie do wybuchu epidemii. Poza tym naród koreański otrzymał i otrzymuje pomoc od społeczeństw licznych narodów, jako wyraz solidarności międzynarodowej w obliczu, zagrażającego wszystkim miłującym pokój narodom, niebezpieczeństwa. Pomoc ta obejmuje materiały opatrunkowe, leki i środki do zwalczania epidemii.

Fala protestów i oburzenia ogarnęła cały świat. Wszyscy uczciwi uczeni i naukowcy, a w szczególności bakteriolodzy ogłosili swój protest przeciw wyzyskiwaniu postępów wiedzy dla ludobójczych czynów. Polscy uczeni, artyści i cała ludność pracująca przyłączyli swe głosy do głosów innych narodów, dając wyraz swemu oburzeniu na wiecach, zebraniach, w prasie i protestach skierowanych do ONZ.

Żadna zbrodnia imperialistów nie złamie wiary w postęp i zwycięstwo prawdziwej kultury nad ludobójstwem.

Radziecka nauka medyczna — oparłszy się na przełomowych pracach słynnego fizjologa rosyjskiego, Pawłowa — udowodniła niezbicie olbrzymi wpływ centralnego układu nerwowego na przebieg schorzeń zakaźnych. Wysokie uświadomienie społeczeństwa, wysokie morale żołnierza, świadomość, ale nie przecenianie niebezpieczeństwa — oto czynniki wpływające w sposób bezpo-

średni na odporność ustroju wobec choroby zakaźnej.

Twórcza, pokojowa praca uczonych radzieckich oraz postępowych, prawdziwych uczonych całego świata stanowi zbyt dużą przeciwwagę dla usiłowań garstki sprzedajnych renegatów nauki, którzy poświęcają swe umiejętności wymyślaniu coraz to nowych narzędzi mordu i zagłady — aby można było wątpić o nieuchronnej klęsce ich zbrodniczych zamierzeń.

Kazimierz Ostrowski

DNI GOGOLOWSKIE I UROCZYSTOŚCI KU CZCI WIKTORA HUGO W ZWIĄZKU RADZIECKIM

W ojczyźnie Gogola uroczystości ku czci wielkiego pisarza w setną rocznicę jego śmierci poprzedziły wielomiesięczne przygotowania: wydawnicze, bibliograficzno- i krytyczno-badawcze, artystyczne. Naród radziecki starannie przygotował się do uczczenia wielkiego klasyka literatury rosyjskiej i światowej.

O rozmachu tych prac przygotowawczych świadczyć może tegoroczny plan wydania utworów Gogola w łącznym nakładzie 7,5 mil. egz. Stanowi to przeszło 1/3 ogólnego nakładu utworów Gogola wydanych po Rewolucji Październikowej (z górą 21 mil. egz. w 38 językach narodów ZSRR). 150 teatrów zawodowych przygotowało wystawienie sztuk i inscenizacji; tysiące zespołów świetlicowych również przygotowało repertuar Gogolowski. Na ekranach kin radzieckich ukazał się kolorowy film dokumentarny Gogol i film rysunkowy Noc Wigilijna. Przygotowano wiele wystaw poświęconych pamięci wielkiego pisarza: centralna wystawa otwarta została w Państwowym Muzeum Literackim w Moskwie. Wśród wielu wystaw urządzonych w bibliotekach moskiewskich wielkie zainteresowanie wzbudziła w stawa Postacie Gogola przemówieniach i pr cach Lenina i Stalin Z końcem lutego br. odbyły się kilk dniowe sesje naukowe w Akaden Nauk ZSRR i w Instytucie Literatu Światowej im. Gorkiego w Moskw w Leningradzie, Kijowie i innych mi stach uniwersyteckich.

Centralne uroczystości Gogolowsk odbywały się z początkiem marca 19 roku w Moskwie. Przybyło na r wielu pisarzy zagranicznych: P. Elua (Francja), Tsao-jui i Din-lin (Chin Li-Hi-en (Korea), Z. Jesieńska (Cz chosłowacja), M. Moraru (Rumuni P. Veres (Węgry), prezes Bułgarski Akademii Nauk T. Pawłow, prezes Ni mieckiej Akademii Sztuki Arno Zweig, angielski pisarz J. Aldridge, p sarz turecki Nazim Hikmet, Damdi Surun (Mongolska Republika Ludow i inni. Polski świat literatury repr zentował Leon Kruczkowski. W ur czystościach wziął również udział pr wnuk Wiktora Hugo, artysta Je Hugo. Tak więc uroczystości moskie skie stały się prawdziwym święte całego kulturalnego świata. Ten gor cy powiew internacjonalizmu, przyjaź i braterstwa narodów wyczuwało się w czasie uroczystości odsłonięcia pomn ka wielkiego pisarza w dniu 2 marca w czasie serdecznego spotkania pisar zagranicznych z literatami radzieckir i na uroczystej akademii w Teatr Wielkim ZSRR w dniu 4 marca, i konferencji prasowej w dniu 12 ma ca, urządzonej przez Zarząd Głów Związku Pisarzy Radzieckich i reda cję Litieraturnej Gaziety.

Na uroczystej akademii Gogolowsk prelekcję o twórczości Mikołaja Gog la wygłosił prof. W. Jermiłow.

Źródła pełnej humanizmu — stwi dził on — bezlitosnej w swojej sile d maskatorskiej satyry Gogola tkwiły

patriotyzmie, ludowości, demokra-
nie. Demaskując w poemacie
r t w e d u s z e antyhumanita-
n ustroju pańszczyźnianego, prze-
iadając jego upadek, Gogol głosił
zem gniewny protest przeciwko
wiekowi pieniądza, przeciwko tym
tnym nowym zasadom, jakie wno-
o życia człowiek interesów typu
zykowa.

teratura radziecka rozwija w no-
n warunkach historycznych naj-
ze, jakie odziedziczyła, tradycje po-
owej klasycznej literatury rosyj-
, tradycje głoszenia wielkiej mi-
do ludzi i wielkiej nienawiści dla
ów ludzkiego szczęścia — tradycje
nej satyry Gogola. „Przed pisarza-
adzieckimi—kontynuował Jermiłow
oi zadanie bezlitosnego satyryczne-
demaskowania wszystkich sił mro-
nienawiści, złości, wszystkich sił
ich pokojowi na ziemi. Jednocześ-
rzed pisarzami radzieckimi stoi za-
e wnikliwego, satyrycznego dyskre-
wania wszystkiego tego w naszej
ywistości, co przeszkadza szybsze-
marszowi naszej Ojczyzny ku ko-
zmowi; biczowania wszystkiego,
rzeczne jest z moralnością i umy-
ością ludzi radzieckich".

nialny poeta, który głosił, że
orzenie góruje nad niszczeniem",
dziś naszym sprzymierzeńcem w
e z ciemnymi siłami imperializmu,
esorami i podpalaczami świata.

e uda się panom, którzy w piersi
st serca mają schowek na pienią-
narzucić narodom królestwo mart-
dusz. Pluszkinowski cmentarny
y porządek" w amerykańskim sty-
leśmiertelna jest żywa dusza ludz-
wcielona w geniusz naszego Sta-
w geniusz przyjaźni i pokoju mię-
narodami. Wielka dusza walczącej,
ącej ludzkości zwycięży!" Tak za-
ył swoją prelekcję prof. Jermiłow.

Po prelekcji prof. Jermiłowa wygło-
sili przemówienia wybitni pisarze ra-
dzieccy — S. Babajewski i A. Korniej-
czuk oraz artystka ludowa ZSRR H.
Gogolowa, naświetlając ogromne zna-
czenie twórczości Gogola dla rozkwitu
wielonarodowej literatury i sztuki ra-
dzieckiej.

Przemówienia pisarzy zagranicz-
nych rozpoczął gorącymi słowami
Nazim Hikmet przemawiający w imie-
niu Światowej Rady Pokoju: „Miłość
Gogola do świata, do życia, do czło-
wieka — mówił Hikmet — jego pełna
gniewu nienawiść do wszystkiego, co
przeszkadza ludziom żyć swobodnie
i szczęśliwie — jednakowo bliskie i zro-
zumiałe są i Francuzom, i Murzynom,
i Norwegom, i innym narodom... Pozo-
stając do głębi Rosjaninem — Gogol
należy do całej postępowej ludzkości".

O patriotyzmie i humanizmie Gogola,
o wpływie jego twórczości na rozwój
literatury bułgarskiej mówił T. Pawłow.
Paul Eluard podkreślił ludowość Gogo-
la, jego nierozerwalny związek z ludem
rosyjskim i jego poezją. Charakteryzu-
jąc mobilizujący wpływ nieśmiertelnej
spuścizny Gogola na postępową litera-
turę i myśl francuską, Eluard powie-
dział: „Francuzi, którzy w epoce Go-
gola, w epoce historycznego zacofania
Rosji mogli siebie uważać za chorążych
prawdy, teraz czują, iż mogą się stać
„duszami przeznaczonymi na sprzedaż",
jeżeli nie poświęcą wszystkich swoich
sił walce o pokój i o socjalizm".

Leon Kruczkowski stwierdził w swym
przemówieniu, że twórczość Gogola
stała się własnością wszystkich naro-
dów, ponieważ wiernie służył on swo-
jemu ludowi. „Wielkość Gogola tkwi
nie tylko w artyzmie i doskonałości je-
go klasycznych utworów. W Gogolu
czcimy namiętnego pisarza-bojownika:
Gogol dziś jest z nami — przeciwko
handlarzom „martwych dusz", przeciw-
ko imperialistom kupczącym życiem

narodów. Jak wszyscy wielcy ludzie Gogol jest dzisiaj z nami — przeciw zobojętnieniu, przeciw „obiektywizmowi", przeciw tchórzliwości, przeciw zdeprawowanej „kulturze" producentów gumy do żucia... Oto dlaczego imię Gogola płonie złotymi głoskami na sztandarach bojowników o pokój".

Węgier P. Veres i Rumun M. Moraru mówili o ogólnoludzkich cechach, o humanizmie i wielkości dzieł Gogola. Pisarka chińska Din-lin opowiedziała o ogromnym wpływie realistycznej twórczości Gogola na rozwój literatury chińskiej. W ciągu półwiecza, jakie upłynęło od pierwszych przekładów dzieł Gogola przez wielkiego pisarza Lu-siń, Gogol stał się „nauczycielem i przyjacielem narodu chińskiego", który w utworach satyrycznych rosyjskiego klasyka poznawał reakcyjny system starych Chin, poznawał jego przedstawicieli — chińskich kupców i obszarników, sprzedajnych kuomintangowskich generałów i biurokratów; poznawał, wyśmiewał, uczył się ich nienawidzieć i zwalczać.

O popularności utworów Gogola w Korei, o tym, jak na patriotyzmie Gogola, na przykładzie jego bohaterskich postaci uczą się gniewu i nienawiści do wroga niezłomni Koreańczycy — mówił Li Hi-en. Damdin-Surun opowiedział o tym, że „... wielki Gogol przyszedł do stepowych Mongołów — wiecznie żywy i wiecznie młody. Często można spotkać w Gobi pastucha czytającego książki Puszkina i Gogola, Lermontowa i Tołstoja". Słowacka pisarka Z. Jesienska powiedziała: „Gogol jest nie tylko rosyjskim pisarzem, jest i naszym pisarzem, który stworzył w Czechosłowacji całą szkołę pisarzy realistów. Gogol jest wielkim pisarzem wszystkich uczciwych ludzi świata". Anglik J. Aldridge mówił o tym, że gdyby Gogol żył obecnie, stworzyłby zapewne tragiczną satyrę na współczesnych handlarzy martwych dusz, na imper listycznych dyplomatów i generałów podpalaczy świata.

Dni Gogolowskie stały się więc wi ką manifestacją międzynarodową, zm bilizowały i wzmocniły siły poste i pokoju, wolności i demokracji. P Dni Gogolowskich jest bardzo boga W tej chwili nawet trudno byłoby konać podsumowania idących w se prac i artykułów, monografii, nowy inscenizacji, wystaw, zestawień bibl graficznych itd. Nawet proste w mienienie ważniejszych wydawnic i prac naukowych, przedsięwzięć i i prez artystycznych zajęłoby brosz sporych rozmiarów. Ograniczę się konspektowego wymienienia kilku wych naświetleń twórczości Mikoł Gogola — na łamach czasopism li rackich.

Wśród prac poświęconych związk pisarza z jego epoką na wyróżnie zasługują: Gogol i współczesność A. Tarasienkowa (N wyj Mir 3/52), Rewolucyj demokraci w walce o Gogola W. Żdanowa (tamże), Bielinski o realizmie Gogo B. Bursowa (Zwiezda 3/52), Gog i Niekrasow K. Czukowski (Znamia 2/52), Gogoli rosyskie tradycje realistyczne I. Andronikowa (Ogoniok 10/ wzmianka M. Rylskiego Gog i Szewczenko (tamże).

Dużo nowych materiałów dotyc cych walki rewolucyjno-demokraty nych krytyków literackich (Bielińsk go, Hercena, Czernyszewskiego i Dob lubowa) o prawdziwego Gogola, o r wój i triumf „gogolowskiego kierunk o zwycięstwo realizmu w literaturze znajdujemy we wspomnianym arty le W. Żdanowa. Temu samemu ter towi wiele miejsca poświęcił Czukowski w swoim artykule (Gogol i Niekrasow): Wp

ola na Niekrasowa — i w ogóle
młodzież postępową czytającą i pi-
ą, „pijaną Gogolem" — jak się
vówczas mówiło — dokonywał się
vnie dzięki krytyczno - literackiej
łalności Bielińskiego, dzięki jego
komitym pracom o Gogolu.
owe materiały o źródłach twórczo-
genialnego pisarza wnosi praca ba-
a literatury M. Chrapczenko T a-
s B u l b a (Oktiabr 3/52). Chrap-
ko wywodzi rodowód T a r a s a
l b y i innych utworów Gogola o
atyce historycznej — z twórczości
zkina oraz poetów-dekabrystów, w
ególności Rylejewa, autora poematu
l i w a j k o i dumy historycznej
h d a n C h m i e l n i c k i. Ana-
tego wspaniałego, pełnego bohater-
go romantyzmu utworu Gogola za-
się również W. Jermiłow w pracy
r a s B u l b a i O p o w i e ś c i
t e r s b u r s k i e M. W. G o-
l a (Znamia 3/52).
nalizą całokształtu puścizny Gogola
ło się kilku autorów (pomijam
wiście artykuły okolicznościowe):
Żdanow w artykule pt. W i e l k i
s y j s k i p i s a r z - r e a l i s t a
amia 2/52), I. Sjergijewski: W i e l-
e d z i e d z i c t w o G o g o l a
iezda 3/52), M. Bogosławski: G o-
l — z w o l e n n i k r e a l i z m u
u d o w o ś c i (Nowyj Mir 3/52).
Wiele prac poświęconych jest kun-
wi literackiemu, stylowi, językowi
kiego pisarza. Tu należy wymienić
awy artykuł L. Myszkowskiej
a c a G o g o l a n a d p o s t a-
ą, o b r a z e m i s ł o w e m
tiabr 1/52), piękny artykuł S. Ba-
ewskiego S ł o w o o G o g o l u —
poetyckim promieniowaniu" kun-
Gogola (Litieraturnaja Gazieta
9/52), artykulik S. Marszaka G o-
l p r z e c z y t a n y p o r a z
e r w s z y — o wpływie pierwszej
ury utworów mistrza słowa na
młodzież radziecką, artykuł-studium pierwszej, wstępnej stronicy M a r t-
w y c h d u s z pt. J e d n a s t r o-
n i c a pióra L. Andronikowa (Litieraturnaja Gazieta Nr 28/52), artykuł akademika W. Winogradowa O j ę-
z y k u G o g o l a - s a t y r y k a (tamże).

Gdy już mowa o satyrze Gogola pragnę zaznaczyć, że tym tematem zajęło się wielu autorów, np. A. Słonimski w artykule Ś m i e c h G o g o l a (Oktiabr 3/52), D. Zasławski — Z a-
b ó j c z y ś m i e c h (Litieraturnaja Gazieta Nr 28/52) i S ł o w o — c i o s (Ogoniok Nr 10/52). Dramaturgii Gogola poświęcono w Dniach Gogolowskich wiele pracy i artykułów (pomijam artykuły zamieszczone w czasopismach teatralnych). W prasie literackiej ukazały się m. in.: źródłowa praca M. Chrapczenko D r a m a t u r g i a G o g o l a (Oktiabr 1/52), W. Komisarżewskiego N o w y m i i w s p ó ł-
c z e s n y m i o c z y m a... (Litieraturnaja Gazieta Nr 27/52), W. Iljinskiego D r a m a t u r g - r e ż y s e r (Oktiabr 3/52). O światowym znaczeniu Gogola pisał prof. B. Mejłach w Nr 12 L i t i e r a t u r n e j G a-
z i e t y, ciekawy przyczynek do sprawy wypaczania i fałszowania Gogola przez reakcyjnych tłumaczy oraz krytyków burżuazyjnych znajdujemy w artykule A. Lejtesa G o g o l a j e-
g o z a g r a n i c z n i „k o m e n-
t a t o r z y" (Oktiabr 3/52). Ukazały się również artykuły i notatki o wpływie Gogola na poszczególne literatury obce.

Wśród głosów badaczy i historyków literatury, pisarzy, krytyków literackich i reżyserów — nie zabrakło też głosu czytelników. Miesięcznik Z w i e z-
d a zamieścił w numerze marcowym kolumnę głosów czytelniczych: Z a c o
k o c h a m y G o g o l a. Z tych

wypowiedzi przebija niekłamana gorąca miłość ludzi radzieckich do genialnego pisarza. Autorzy listów — to: majster w fabryce im. Kirowa w Leningradzie A. Bajkow, rzeźbiarz W. Ingał, technolog A. Kitajew, bibliotekarka L. Iljina, uczennica N. Michajłowa i student instytutu teatralnego I. Gorbaczew. „Zrozumiałam — pisze uczennica radziecka — jak bogata jest twórczość Gogola; ilekroć się go czyta — zawsze daje coś nowego, uczy lepiej rozumieć i kochać wielki naród rosyjski".

▪

Uroczystości Gogolowskie odbywały się zaledwie w kilka dni po również uroczyście obchodzonej w Związku Radzieckim 150-rocznicy urodzin Wiktora Hugo, pisarza niezwykle popularnego w Kraju Rad. W Związku Radzieckim wyszło kilkaset wydań przekładów dzieł wielkiego pisarza francuskiego w 44 językach narodów ZSRR — o łącznym nakładzie 7 mil. egz. W końcu lutego w całym Związku Radzieckim odbywały się odczyty, wieczory recytacyjne, przedstawienia teatralne, urządzane były specjalne wystawy, w prasie codziennej i literackiej ukazały się artykuły i prace poświęcone Wiktorowi Hugo. Centralne uroczystości odbyły się w Moskwie 26 lutego. Poprzedziła je kilkudniowa sesja naukowa w Instytucie Literatury Światowej im. Gorkiego, na której m. in. wygłosił prelekcję Paul Eluard. Na uroczystej akademii w sali Kolumnowej Domu Związków prof. I. Anisimow wygłosił odczyt o wielkim poecie, powieściopisarzu i dramaturgu, o wielkim humaniście i bojowniku o pokój. W uroczystościach wzięli udział zagraniczni pisarze i poeci oraz Jean Hugo. Na akademii przemawiali pisarze i artyści: K. Fiedin, I. Erenburg, M. Bażan, M. Rahim, A. Jabłoczkina, W. Pudowkin, A. Chorawa oraz N. Hikmet i P. Eluard. **J. S.**

TEGOROCZNE NAGRODY STALI NOWSKIE W DZIEDZINIE LITERA TURY.

Nadawane Uchwałą Rady Ministrów ZSRR Nagrody Stalinowskie stanowi nie tylko wyróżnienie pisarzy, nie tylk podsumowanie osiągnięć literatury pięk nej i krytyki literackiej za rok ubiegły Nagrody Stalinowskie oceniają, jaki utwory najlepiej spełniają ideowo-wy chowawcze cele wypływające z prze kształcającej roli literatury realizm socjalistycznego, jakie są najdojrzalsz pod względem ideowo-artystycznym Nagrody Stalinowskie ustalają, jaki książki są najpotrzebniejsze wielom lionowym rzeszom czytelniczym. W dro dze odpowiedniego stopniowania wyróż nień Partia i Rząd wysuwają pod adre sem pisarzy konkretne postulaty, udzie lają rad i wytycznych, w jakim kierun ku ma iść ich praca twórcza.

Nagrody Stalinowskie za rok 195 otrzymało 21 prozaików, 8 poetów, dramaturgów, 2 badaczy literatury sztuki, poza tym 3 autorów scenariusz filmowych. Na liście laureatów Nagro dy Stalinowskiej po raz pierwszy zna leźli się również pisarze nieradzieccy chińscy, węgierscy i francuski. (Ic utwory ukazały się w ub. roku w prze kładzie rosyjskim). Fakt przyznani Nagród Stalinowskich pisarzom zagra nicznym najwymowniej świadczy o za cieśnieniu więzów twórczych między literaturą radziecką a literaturan krajów demokracji ludowej i postępo wą literaturą zachodnio-europejską.

Jak z powyższego cyfrowego zest wienia wynika, największe osiągnięc ma do zanotowania radziecka proza a tystyczna. Najlepsze utwory radziecki prozy w ubiegłym roku — to wielk malowidła epickie o szerokim oddech odzwierciedlające w sposób realistyc ny życie i walkę ludu o wolność i szcz ście na przełomowych etapach hist

cznych, ogarniające bogatą i wielorwną galerię postaci i losów ludzch.

Przypatrzmy się dwom powieściom, óre uzyskały Nagrody Stalinowskie topnia — epopei historycznej St. Złoa Stiepan Razin i powiełotewskiego pisarza W. Łacisa Ku owemu brzegowi. Pierwz nich maluje słynne powstanie łopskie w wieku XVII — druga obejje 3 dziesięciolecia życia i walki lułotewskiego o wyzwolenie społeczne narodowe — od roku 1920 poprzez res burżuazyjnej republiki łotewej, okres przekształcenia jej w repukę radziecką (1940 r.), poprzez noc lerowskiej okupacji — do powojenj odbudowy i rozkwitu. Dzieło wybitgo prozaika łotewskiego, autora Sya rybaka i Burzy, zadziwia ickim rozmachem, świetnie literacko ealizowanym zobrazowaniem sprzeności społecznych wstrząsających burazyjną Łotwą, znakomitym odtwoeniem ostrej walki klasowej na wsi ewskiej.

Rozległa galeria postaci w powieści cisa — obejmująca całe rodziny, całe edla — przedstawiona jest dynamicz, w rozwoju. Głównym bohaterem wieści jest bolszewik Jan Lidum, goletni więzień łotewskiego faszyzu; obok niego stoją jego siostra Lida iostrzeniec Artur. Ta trójka bohatev — to ludzie śmiali i ofiarni. Są nosicielami nowych prawd, nowej ści ideowo-społecznej, wywierają zwykle silny wpływ na swoje bliż i dalsze otoczenie, wprowadzają zostałych bohaterów powieści na no szlak, pomagają im wyzwolić się więzów przeszłości.

Dzięki tej aktywnej, ofensywnej roli wnych bohaterów powieści, proces żniczkowania klasowego występuje niej i pełniej. Ofiarna rewolucyjna ałalność Jana Liduma i jego towarzyszy partyjnych była zaczynem powszechnego burzliwego wzrostu świadomości socjalistycznej — zwłaszcza po zniesieniu kapitalizmu, po wyzwoleniu spod okupacji hitlerowców i ich łotewskich sługusów — w obliczu wyrastania kołchozów i scalania ich w wielkie gospodarstwa socjalistyczne. Łacis realistycznie, prawdziwie i przekonywająco odmalował proces rozkładu i rozpadu podstaw społeczno-gospodarczych, rodzinnych, moralnych klasy kapitalistów wiejskich — kułaków (nb. postacie kułaków i ich popleczników są również narysowane żywo, plastycznie). Murszenie, rozpad klasy bogaczy wiejskich pod naporem rewolucyjnych sił radzieckiej Łotwy przedstawiony jest po mistrzowsku.

Znaczenie nagrodzonej powieści Łacisa sięga daleko poza granice Związku Radzieckiego: wywrze ona niewątpliwie silny wpływ—w krajach demokracji ludowej, gdzie problem walki z kułactwem jako klasą jest jeszcze ciągle aktualny.

Akcja powieści Ku nowemu brzegowi kończy się w lecie 1949 roku opisem scalenia 4 kołchozów łotewskich. Akcja nagrodzonej opowieści młodego białoruskiego prozaika J. Bryla W Zabołociu świta toczy się mniej więcej w tym samym okresie (1947—1948) i rozgrywa się na kołchozowej wsi radzieckiej, odbudowywanej po zniszczeniach wojennych na nadniemeńskich terenach Białorusi Zachodniej. Dziejom kołchozowego kolektywu, a ściśle biorąc—jednej kołchozowej rodziny, poświęcił kilkutomową powieść Rodzina Rubaniuk E. Popowkin. Akcja tej powieści toczy się na Ukrainie w latach 1941—1946. Rodzina Rubaniuk jest jedynym utworem wśród wyróżnionych Nagrodami Stalinowskimi za rok 1951— o tematyce wojennej.

Na kołchozową wieś bukowińską przenosi czytelnika Opowieść bukowińska — utwór, którym zadebiutował w prozie poeta i dramaturg ukraiński I. Muratow. Wymienione trzy powieści (Bryla, Popowkina i Muratowa) uzyskały Nagrody Stalinowskie III stopnia.

Z kolei od tematyki współczesnej przechodzę do omówienia tematyki historycznej w nagrodzonych utworach. Jak już wyżej wspomniałem, Nagrodę Stalinowską I stopnia otrzymał St. Złobin za powieść historyczną Stiepan Razin — owoc długoletnich badań i trudów. Z pełnym poczuciem odpowiedzialności historyka i artyzmem pisarza Złobin odtworzył dzieje powstańczego ruchu — pod wodzą legendarnego Stienki Razina — rozpoczętego jako powstanie Kozaków, którzy pod naciskiem wytworzonej sytuacji poszli na sojusz z chłopstwem.

U boku Razina widzimy jego doradcę, chłopskiego przywódcę Wasyla Usa. Pod jego wpływem Razin zrozumiał wagę udziału ludu ze wszystkich zakątków ówczesnej Rosji w narodowym ruchu wolnościowym: to Us ukazał Razinowi nowe wielkie perspektywy. Do zalet powieści Złobina należy zaliczyć jej piękny, naturalny, żywy język, potoczystą narrację i bogactwo opisów.

Również historyczną powieścią jest trylogia M. Zadornowa Nad Amurem (Amur-Batiuszka), Daleki Kraj, W stronę Oceanu — wyróżniona Nagrodą Stalinowską II stopnia. Mieszkający na Dalekim Wschodzie pisarz sięgnął w swojej twórczości do dziejów osiedlania się chłopów rosyjskich w dorzeczu Amuru w wieku XVIII i XIX, do historii plemion nanajskich zamieszkujących tajgę Ussuryjską. W powieści Daleki kraj oraz w ostatniej części trylogii autor opisał dzieje wypraw słynnego admirała G. Niewelskiego, odkrywcy i badacza ujścia Amuru (w połowie ub. stulecia).

Do epoki wojen napoleońskich, do okresu walk wyzwoleńczych w latach 1812—1814 przenosi nas nagrodzona powieść historyczna L. Mikulina Wierni synowie Rosji (Nagroda Stalinowska III stopnia).

Wanda Wasilewska otrzymała Nagrodę Stalinowską II stopnia za trylogię Pieśń nad wodami, przekład pierwszych części trylogii (Płomień na bagnach i Gwiazdy w jeziorze) ukazał się dawniej, w ubiegłym roku wyszedł przekład ostatniego tomu trylogii: Płoną rzeki. W trylogii tej Wasilewska odmalowała walkę narodu polskiego z sanacyjnym faszyzmem, chlubny szlak bojowy I-szej Armii Polskiej przy boku bohaterskiej Armii Radzieckiej od Lenino do Berlina, drogę narodu polskiego do Polski Ludowej, serdeczną przyjaźń narodu polskiego i radzieckiego.

Jak już wyżej wspomniałem, Nagrody Stalinowskie za rok 1951 przyznano również pisarzom chińskim i węgierskim. Powieść chińskiej pisarki Din-lin Słońce nad rzeką Sangań (Nagroda Stalinowska II stopnia) z wielką siłą artystycznego wyrazu kreśli głębokie przemiany społeczno-polityczne zachodzące na wsi chińskiej po przeprowadzeniu reformy rolnej. Podobną tematykę w powieści Huragan opracował Czo Li-bo. W obu książkach podkreślono kierowniczą i aktywną rolę Komunistycznej Partii Chin w zachodzących przeobrażeniach. Gdy już mowa o nagrodzonych pisarzach chińskich, warto zaznaczyć, że również w dziedzinie dramaturgii wyróżniony został utwór chiński: znana polskiemu widzowi z występów chińskiego zespołu sztuki Dziewczyna o białych

łosach, pióra spółki autorskiej he Tsin-czi i Din-ni.

Tegorocznymi laureatami Nagrody alinowskiej zostali dwaj pisarze węerscy: T. Acel za powieść W cieiu wolności (realistyczny oraz Węgier i ich stolicy w okresie zgromu faszyzmu hitlerowskiego rzez Armię Radziecką i w pierwszych godniach po wyzwoleniu) i S. Nagy za owelę Pojednanie (o przeianach w psychice chłopów węgierich we wsi Illimany pod wpływem łożonej tam spółdzielni produkjnej).

W literaturze radzieckiej stale i barzo silnie rozbrzmiewa motyw walki o okój, walki z imperializmem. W roku biegłym ukazało się kilka wybitnych worów poświęconych tej tematyce. agrody Stalinowskie II stopnia zyznano: nieżyjącemu już pisarzowi raińskiemu J. Gałanowi za pamflety zeciwko polityce watykańskiej (pirz został zamordowany przez nasłarch zbirów faszystowskich), O. Malwowi za Jugosłowiańską ragedię i młodemu pisarzowi ancuskiemu André Stilowi za poieść Pierwszy cios.

Akcja ciekawej i z wielką znajomoią przedmiotu napisanej powieści alcewa toczy się w Jugosławii w asie wojny. Autor ukazuje, jak już ówczas zdradziecka klika Tito służy hitlerowskiemu faszymowi i anglonerykańskiemu imperializmowi, natoiast bohaterski lud jugosłowiański alczył ofiarnie przeciwko hitlerowim okupantom nie podejrzewając rady ze strony Tito i jegó popleczniów. To właśnie było jugosłowiańską agedią.

Pierwszy cios stanowi erwszy tom zamierzonego cyklu poieściowego, poświęconego ciężkiej i iarnej walce narodu francuskiego, prowadzonej pod kierownictwem K. P. F. przeciwko amerykańskim okupantom i ich francuskim lokajom. Akcja powieści, której głównym bohaterem jest lud francuski — dokerzy i robotnicy portowi — toczy się w jednym z okupowanych przez wojska amerykańskie portów francuskich. O walce włoskich robotników i chłopów o swoje prawa przeciwko amerykańskim okupantom i włoskiej reakcji — opowiada nagrodzona powieść Burza nad Rzymem, pióra D. Jeromina.

W dziale prozy artystycznej poza tym zostały nagrodzone trzy powieści dla młodzieży: trylogia W. Bielajewa Stara twierdza (są to dzieje młodzieży ukraińskiej ujęte na przestrzeni kilku lat wojny domowej — walk z Petlurą, a później — powojennej odbudowy pokojowej), piękna opowieść M. Nosowa (z zawodu pedagoga) pod tytułem Witia Malejew w szkole i w domu i bardzo poczytna wśród radzieckich dzieci dwutomowa powieść W. Osjejewej Wasiek Trubaczow i jego przyjaciele. Należy także wymienić nagrodzony zbiór reportaży literackich W. Połtorackiego W domu i na obczyźnie (reportaże z podróży po Związku Radzieckim i do Francji).

Walka z imperializmem, z ujarzmieniem narodów Wschodu — to temat cyklu wierszy o Pakistanie i Afganistanie pt. Dwa strumienie pióra wybitnego poety radzieckiego M. Tichonowa. Nagrodę Stalinowską I stopnia otrzymał Tichonow za ten cykl i za cykl wierszy Na Drugim Światowym Kongresie Pokoju (w Warszawie, w listopadzie 1950 r.). Cykl ten otwiera wzruszający wiersz W imię najczystszej radości na świecie (o dzieciach polskich na Kongresie Warszawskim) — zamyka

go nastrojowym akordem wiersz Warszawa.

Nagrody Stalinowskie otrzymali ponadto poeci: Litwin A. Wenclowa — za tomik Wybranych wierszy, Ormianka S. Kaputikian za zbiór poezji Moi najbliżsi, Gruzin G. Leonidze za poematy Berszouła i Portochała, poeta dagiestański R. Gamzatow za zbiór poezji i poematów Rok mojego urodzenia, rosyjski poeta W. Zamiatin za poemat Zielona zasłona, Ukrainiec M. Nagnibeda i Estończyk J. Szmuuł.

W dziedzinie dramaturgii przyznano autorom radzieckim tylko nagrody III stopnia (nagrodę II stopnia otrzymali chińscy dramaturgowie za Dziewczynę o białych włosach), natomiast nagrody I stopnia nie przyznano w bieżącym roku nikomu. Dowodzi to, że pisarze radzieccy nie stworzyli w r. 1951 wybitniejszych dzieł dramatycznych. Literacka prasa radziecka tłumaczy fakt nienadążania dramaturgii radzieckiej za życiem, za innymi wspaniale rozkwitającymi działami twórczości literackiej, szkodliwą „teoryjką" o rzekomo bezkonfliktowym charakterze dramatu radzieckiego.

W artykule wstępnym Litieraturnej Gaziety (Nr 33) omawiającym tegoroczne Nagrody Stalinowskie czytamy: „Tylko ludzie niemądrzy mogą stawiać przeszkody ostremu demaskowaniu ujemnych przejawów w książce, na scenie, na ekranie. Nie wolno dopuszczać, by ludzie ci swoją krótkowzroczną lękliwość maskowali „teoretycznymi" rozważaniami o nieistnieniu konfliktów w naszej rzeczywistości.

Szkodliwość takich rozważań zaznaczyła się ze szczególną wyrazistością w dziedzinie dramaturgii, gdzie demobilizująca „teoria" „dramatu bezkonfliktowego" stała się poważną przeszkodą w pracy dramaturgów i teatrów".

W związku z tym w prasie literackiej ukazały się artykuły poświęcone zagadnieniom krytyki teatralnej.

Nagrodzone sztuki radzieckie to: Przed burzą jakuckiego dramaturga P. Malarewskiego (tematyka historyczno-rewolucyjna — słynne krwawe wypadki w Leńskich kopalniach złota w roku 1911) i Na nowej ziemi uzbeckiego pisarza A. Kachhara (tematyka: praca na nawodnionej, wydartej pustyni ziemi).

W dziedzinie dramaturgii filmowej otrzymali Nagrody Stalinowskie autorzy sceniariuszy: I. Sawczenko za Tarasa Szewczenkę, wybitny pisarz B. Gorbatow i scenarzysta W. Aleksjejew za Donieckich górników.

W dziedzinie krytyki literackiej i nauki o sztuce przyznano Nagrody Stalinowskie III stopnia: B. Brajninie za monografię o K. Fiedinie i teatrologowi M. Gorczakowi za pracę Nauki reżyserskie K. S. Stanisławskiego.

Józef Spinc

LITERATURA NEOHITLEROWSKA W NIEMCZECH ZACHODNICH

Kiedy przed trzema miesiącami na wojskowym lotnisku nad Renem wylądował specjalny samolot, który przywiózł wodza naczelnego „armii europejskiej", Dwigtha Eisenhowera, na krótką inspekcję w Niemczech zachodnich — otoczyła go gromada fotoreporterów z nastawionymi do zdjęć aparatami. Generał miał jednak tak smutną minę, że reporterzy z żałością opuścili obiektywy, a odważniejsi zawołali: „Proszę się uśmiechnąć, Ike!"

Nothing to smile about — odpowiedział Eisenhower — nie ma z czego się śmiać. Na zdjęciach został utrwalony z miną raczej ponurą.

Tak, nie do śmiechu wodzowi na-
elnemu europejskiej armii. Od chwili,
edy postawiono go na jej czele, mi-
l już przeszło rok, a mimo to nie uda-
mu się tchnąć w nią życia, a zwłasz-
a nie udało mu się zmontować, tak
a agresorów ważnej, armii niemiec-
ej. Inspekcja w Niemczech zachod-
ch przekonała pana generała raz jesz-
e, że bez poważnego przełomu nie uda
wciągnąć Niemców do armii, której
resywny i sprzeczny z interesami na-
du niemieckiego charakter nie ulega
ątpliwości dla jego olbrzymiej więk-
ości. Aby taki przełom wywołać,
senhower rzucił nowe miliony dola-
w na psychologiczne przygotowanie
ojny, co w przetłumaczeniu na sytua-
ę niemiecką znaczy ożywienie tradycji
tlerowskich i neofaszystowskich.

Nie jest dziełem przypadku niebywały
kilku miesięcy rozwój „piśmiennic-
a politycznego", którego brudna fala
e od dziś już niepokoi obserwatorów
cia publicznego Niemiec zachodnich.
zwój tego piśmiennictwa jest oczy-
ście wprost proporcjonalny do tempa
zygotowań wojennych amerykańskie-
imperializmu.

W neohitlerowskiej literaturze za-
odnio-niemieckiej dominuje od daw-
ton potępiania Hitlera i wybielania
solutnie wszystkich pozostałych
rodniarzy, odpowiedzialnych za doj-
e do władzy faszyzmu w Niemczech
a rozpętanie ostatniej wojny. Czyta-
polityczną literaturę ostatnich
ó ch lat można by odnieść nieodparte
ażenie, że jednemu psychopacie uda-
się bez żadnego poparcia omotać ca-
wielki 70-milionowy naród. „Naro-
wi i kobiecie — jak to jednak przy
nej okazji pisał Karol Marks — nie
bacza się owej chwili nieopatrzności,
edy lada awanturnik może na nich
puścić się gwałtu. Takie tłumaczenie
rozwiązuje zagadki, tylko inaczej ją
mułuje".

Od kilku miesięcy w neohitlerowskiej orkiestrze zabrzmiał jednak nowy ton: niemiecki neofaszyzm dowodzi obecnie, że właściwie był on zawsze zupełnie „czysty" tzn. mówiąc krótko i węzłowato — że zawsze za główny swój cel uważał walkę z bolszewizmem, ze Wschodem. Uchodzić za „żołnierza bastionu antybolszewickiego", za „obrońcę zachodniej kultury" to dziś poważny tytuł do chwały. Zastanawiające, że nawet żargon hitlerowskiej propagandy został w całej pełni przywrócony do czci.

Przegląd literatury neohitlerowskiej ostatnich miesięcy zacznijmy od książki Edwina Ericha Dwingera pt. *„General Własow — die Tragoedie unserer Zeit"* (Generał Własow — tragedia naszych czasów). Dwinger opublikował już poprzednio *Die Armee hinter Stacheldraht* (Armia za drutem kolczastym) — opowieść o losach niemieckich i austriackich jeńców w czasie pierwszej wojny światowej, *Zwischen Weiss und Rot* (Między białym i czerwonym) — poronioną próbę „oceny" Rewolucji Październikowej oraz *Wenn die Daemme brechen* (Gdy padają zapory) — o klęsce armii hitlerowskiej w Prusach Wschodnich. Ostatnie jego „dzieło" jest znakomitą ilustracją nowego kursu amerykańskiej „ideologii". Faszystowski morderca i plugawy zdrajca urasta pod piórem swego apologety do rozmiarów epokowej postaci. „Stracona okazja dla Europy" — wzdycha Dwinger. Tylko krótkowzroczności Amerykanów przypisać należy — zdaniem Dwingera — że ten „opatrznościowy mąż naszych czasów" (dosłownie!) został wydany Związkowi Radzieckiemu i nie może niestety zajmować dziś należnego mu miejsca w „zachodnim świecie". „Własow stracona okazja dla Europy"! Jaką Europę szykował nam Hitler, wiemy dobrze. Teraz nie mamy już wątpliwości — jaką szykują nam Amerykanie.

Do klasycznych już niemal tematów niemieckiej literatury rewizjonistycznej należy „lis pustyni", Rommel. „Romeliana" zostały ostatnio wzbogacone o nową pozycję (poprzednie: Życiorys Rommla pióra Anglika Yunga, *Rommel* Kocha i *Invasion 1944* Speidla). Chodzi tu o notatki samego Rommla wydane przez jego żonę i szefa sztabu afrykańskiej armii pancernej, gen. Fritz Bayerleina. Znany militarysta niemiecki, wielki zwolennik Hitlera, którego książka *Infanterie greift an* (Piechota naciera) została przez Goebbelsa rozprowadzona swego czasu w setkach tysięcy egzemplarzy — staje tu przed nami jako rycerz bez skazy, który prowadził „wojnę bez nienawiści" (*Krieg ohne Hass* — taki jest tytuł książki). Rommel wspomina m. in., jak na próżno usiłował przekonać Hitlera o bezużyteczności prowadzenia wojny w Afryce i konieczności skoncentrowania wszystkich wysiłków na obronie i kontrataku na Wschodzie. Spadkobiercy tej koncepcji mogą w 1952 roku liczyć na pełne poparcie Amerykanów, a pani Lucie Marie Rommel pragnie nadal żyć dostatnio z przydzielonej renty, generał Bayerlein zaś nie czuje się jeszcze tak stary, aby nie chcieć w trzeciej wojnie światowej podjąć próby realizacji rommlowskiego planu.

Do tego samego typu generalskich wspomnień należy książka Forella o generale Moeldersie *(General Moelders)*, Skorzennego *Geheimkommando*, pamiętnik gen. Dietla.

Nieco odmienny typ literatury neohitlerowskiej reprezentuje książka gen. Foertscha *Schuld und Verhaengnis* (Wina i przeznaczenie). Wydana przez monachijski Instytut historii okresu narodowo-socjalistycznego mówi o sprawie Fritscha jako „punkcie zwrotnym w historii narodowego socjalizmu". Jej celem jest wykazanie, że „antynazistowska" generalicja pruska stała na przeszkodzie planom Hitlera. Rozgrywkom między bandytami usiłuje autor nadać charakter „walk ideologicznych". Jakże łatwo dzisiaj przedstawić każdego, kogo na swej drodze do władzy sprzątnął lub próbował sprzątnąć Hitler, jako bojownika ruchu oporu! Łatwo i pożytecznie. Amerykanie bowiem potrzebują koniecznie dawnych hitlerowców, ale możliwie bez hitlerowskiej etykietki.

Legenda o generalskim ruchu oporu nie jest oczywiście nowa. Wzbogaciła ją ostatnio książka R. H. Berndorffa *General zwischen Ost und West* (Generał między Wschodem i Zachodem). Mowa w niej o kontrkandydacie Hitlera na dyktatora faszystowskich Niemiec, generale von Schleicherze. Fakt, że w rozgrywce z Hitlerem Schleicher okazał się słabszy (za konszachty z wysokopostawionymi członkami NSDAP za plecami Fuehrera został w końcu na rozkaz Hitlera zamordowany przez bojówkę SS) — fakt ten wystarcza, aby w oczach pana Berndorffa wyrósł on na rycerza „ruchu oporu", któremu jednak „chrześcijańskie sumienie nie pozwoliło chwycić za broń w chwili, gdy był jeszcze czas po temu, aby uratować ojczyznę od tyrana".

Do niedawna trzymali się jeszcze niemieccy neohitlerowcy pewnych granic przyzwoitości w gloryfikowaniu zmarłych i żyjących „bohaterów ruchu oporu". Ostatnio jednak zaliczony został w ich poczet pośrednio... Hermann Goering. Obszerną biografię „grubego Hermanna" opracował niejaki Willy Frischauer. Książka nosi tytuł *Ein Marschalstab zerbrach* (Złamana buława). Wyuzdany sybaryta, rabuś i zbrodniarz nabiera pod piórem Frischauera sympatycznych cech dobrego ojca rodziny, konesera i *homme d'esprit*. Dowiadujemy się, że „właściwie" sprzeciwiał on się gwałtowności swego szefa, m. in. chciał

ratować od śmierci wspomnianego wy-
ej Schleichera. Goering został, jak wia-
omo, na rozkaz Hitlera aresztowany —
ość późno co prawda, bo 24 kwietnia
945 roku — jakże stąd niedaleki wnio-
ek, że i on był w „ruchu oporu".

Tego samego typu „ruchowi oporu"
oświęcona jest książka Hansa Rothfel-
a *Die deutsche Opposition gegen Hitler*
Niemiecka opozycja przeciwko Hitle-
owi). Tym razem mamy do czynienia
próbą przedstawienia generalicji nie-
ieckiej, która wiernie służyła Hitlero-
i jak długo dopisywało mu szczęście,
ko „moralnej elity". Rothfels usiłuje
okazać duchową i moralną czystość tej
ity, która „odrzuciła ideały narodowe
regionalne i stała się częścią ruchu eu-
opejskiego". Autor nie pozostawia przy
m wątpliwości, że ten „europejski
ch" miał w zasadzie te same cele, co
pecny „świat zachodni".

Temat generalskiego ruchu oporu po-
sza także nowe, gruntownie zmienio-
e (dostosowane do potrzeb wojny ame-
kańskiej) wydanie dzieła Fabiana von
chlabendorffa — *Offiziere gegen Hit-
r.*

Do wręcz zabawnych publikacji nale-
wspomnienia niemieckich dyploma-
w ery hitlerowskiej. Te szczwane lisy,
tórym hitleryzm miał do zawdzięcze-
a nie jeden swój sukces, ubierają się
raz w owcze skóry i zapewniają pu-
iczność, że wszystko, co w swej
arierze zdziałali, było skierowane prze-
wko Hitlerowi. Jednocześnie dowodzą,
zawsze stali po stronie zachodu i my-
eli o „Europie". Po wspomnieniach
bbentropowskiego sekretarza stanu,
rnesta von Weizsaeckera, *(Erinnerun-
en* — Wspomnienia) i wyjątkowo bez-
elnej publikacji innego urzędnika
ussenamtu, Ericha Kordta, *(Nicht
us den Akten* — Nie na podstawie ak-
w), po notatkach Dirksena *(Moskau —
okio — London)* — wystąpili na arenę
ni hitlerowscy dyplomaci. Jako pierw-
szą wymieńmy tu książkę *Das offene Problem* (Otwarty problem) Otto Abetza, hitlerowskiego szpiega, a potem ambasadora w podbitej przez Hitlera Francji (książka napisana została we francuskim więzieniu). We wzruszającej formie Abetz usiłuje nam wmówić, że istotnie wierzył w czystość i prawość Hitlera i że później, gdy przekonał się, że Fuehrer nie jest takim idealistą za jakiego lubił uchodzić, próbował go przekonać o niesłuszności jego polityki. Oczywiście — wobec Zachodu! Abetz podkreśla, że w pełni solidaryzował się ze wschodnią polityką Hitlera. Jakże by inaczej! Kto wie, może francuscy wasale Wall Street podarują mu część kary, którą odsiaduje.

Herr von Blueher, b. poseł hitlerowski w Finlandii, autor książki *Gesandter zwischen Diktatur und Demokratie* (Poseł między dyktaturą a demokracją) nie był tak naiwny jak Abetz i nigdy właściwie nie wierzył Hitlerowi, ale cóż, służył przecież sprawie Europy!

Pseudonaukowe rozważania utrzymane w stylu sartrowskiego nihilizmu snuje inny dyplomata, ostatni ambasador Hitlera we Włoszech, Rudolf Rahn, w swych wspomnieniach *Ruheloses Leben* (Niespokojne życie).

Seria dyplomatycznych pamiętników nabiera swoistej wymowy w świetle znanego faktu, że boński Aussenamt z Adenauerem na czele składa się w 85% z b. członków NSDAP, podczas gdy nawet hitlerowski MSZ liczył ich tylko ok. 70%.

Propaganda faszystowska w Niemczech zachodnich doszła już do takich rozmiarów, że doczekaliśmy się nawet szeroko rozreklamowanej publikacji o Hitlerze, wydanej przez wspomniany już „Instytut historii okresu narodowosocjalistycznego". Książka nosi tytuł *Tischgespraeche im Fuehrerhauptquartier 1941-42* (Rozmowy przy stole w

kwaterze głównej Fuehrera) i opracowana została na podstawie notatek młodego urzędnika hitlerowskiego, dr. Henry Pickera, przez fryburskiego profesora historii, Gerharda Rittera. Nawet ultrareakcyjne dzienniki zachodnio-niemieckie, jak np. amerykańska *Die neue Zeitung*, zmuszone były potępić tę publikację, z której bez słowa komentarza dowiadujemy się kolejno, co bredził Hitler na temat wojny, polityki zagranicznej, sztuki, wytępienia Żydów i Słowian. Dodajmy jeszcze, że podobnie jak szereg innych wspomnianych wyżej książek, były *Tischgespraeche* drukowane w odcinkach w jednym z przepojonych pornografią i neofaszyzmem tygodników zachodnio - niemieckich, co udostępniło je setkom tysięcy czytelników. Tak oto dba się o rozwój czytelnictwa w Niemczech zachodnich.

Podobnego typu książką jest „źródłowe dzieło o charakterze i działalności wielkiego agitatora" — portret Goebbelsa *(Doktor Goebbels)* opracowany na podstawie notatek jego otoczenia.

Charakterystyczne dla ostatniej produkcji wydawniczej są książki: Maxa Fechnera *Wie konnte es geschehen* (Jak mogło się to zdarzyć) — wspomnienia przestępcy wojennego, Hermanna M. Maschke *Das Krupp-Urteil und das Problem der Pluenderung* (Wyrok na Kruppa i problem grabieży) — dzieło usiłujące wykazać stronniczość sądu, który skazał Kruppa i jego wspólników, gen. B. H. Ramcke *Fallschirmjaeger* (Spadochroniarze) — gdzie autor, nie bez racji, oburza się na Francuzów, że ośmielili się skazać go za „zbrodnie wojenne", podczas gdy dokonują w Azji czynów, za które sami znaleźć się mogą kiedyś na ławie oskarżonych, Ernesta Salomona *Fragebogen* (Kwestionariusz) — rodzaj „sagi" opisującej burzliwe życie autora — faszystowskiego awanturnika, skazanego swego czasu na więzienie za udział w morderstwie ministra Rathenaua.

Specjalne miejsce należy się trzem opracowaniom dziejów ostatniej wojny, które ukazały się prawie jednocześnie. Pierwsza — to *Die Oberste Wehrmachtfuehrung 1939 — 43* pióra Helmutha Greinera, drugą — *Der zweite Weltkrieg* (dotąd tylko 1 tom) napisał Walter Goerlitz (autor książki *Der deutsche Generalstab),* autorem trzeciej — *Die Geschichte des zweiten Weltkrieges* jest Kurt von Tippelskirch. Książki te wymagałyby niewątpliwie osobnego fachowego omówienia ze względu na duże bogactwo materiałów. W zasadzie wszystkie one służą udowodnieniu tezy, iż głównym powodem klęski hitlerowskich Niemiec było po pierwsze szaleństwo Hitlera (oficerowie musieli z trudem przemieniać na realną monetę strategicznych planów jego szalone pomysły — jak pisze Greiner), a po wtóre niezrozumienie mocarstw zachodnich dla rzekomego faktu, że mimo wszystko Niemcy walczyły o „wolność Europy".

Niemałą rolę w psychologicznym przygotowaniu nowej wojny odgrywają książki, które objąć można by wspólną nazwą „wspomnień żołnierskich". Ich generalnym celem jest wykazanie publiczności „jak to na wojence ładnie". Wymieńmy tu choćby *Staub* (Kurz) Reinharda Stallmanna, *Woina, woina* Kurta Hohoffsa, *Mit dem Ende beginnt es* (Zaczyna się od końca) Ericha Landgrebe, *Die Luftwaffe ringt um Stalingrad* (Lotnictwo w walce o Stalingrad) i wiele innych. Autorzy, wprowadzając arogancki żargon pokoju oficerskiego przedstawiając wojnę jako rycerski rzemiosło godne prawdziwego mężczyzny czy też uciekając w dziedzinę duch i pseudofilozoficznych rozmyślań — nie potrafią jednak ukryć, wbrew zamierzeniu, straszliwej doli pędzonego be

ɛlu i perspektywy żołnierza hitle-
ɔwskiego Wehrmachtu.

Osobną kategorię stanowią wspom-
ɛnia z jenieckich obozów w Związku
adzieckim. Typowa dla tego gatunku
st książka Assi Hahna *Ich spreche die
ahrheit* (Mówię prawdę). Stek
amstw nagromadzonych w tej książ-
zmusił nawet zachodnio-niemieckich
ytyków do napomnienia autora, by
zymał się w swych oszczerstwach na
wiązek Radziecki, jeżeli już nie praw-
, to przynajmniej granic prawdopo-
bieństwa.

Ukoronowaniem jak gdyby całej tej
ampanii wydawniczej są „rozmyślania
olityczne" dotyczące współczesności.
ierzwą, na której one wyrastają, jest
zywiście „wschodnie doświadczenie",
órym szczycą się niemieccy generało-
ie klęski i które starają się jak naj-
rzystniej sprzedać swym obecnym
ocodawcom. Najbardziej typowymi
iblikacjami są tutaj wydane już dość
wno rozważania Guderiana: *Kann
esteuropa verteidigt werden?* (Czy
ożna obronić Europę) i *So geht es
cht* (Tak być nie może).

Do nowszych należy dr Kurta Zent-
ra *Nur einmal konnte Stalin siegen*
talin mógł zwyciężyć tylko raz) ze
amiennym podtytułem „Nauki z
mpanii rosyjskiej 1941 — 45". Głu-
ta faszystowskiego stratega, naiwnie
ierzącego, że wystarczy zamiast Hitle-
postawić na czele nowej napastniczej
mii Eisenhowera, aby cofnąć wstecz
ło historii, przebija z każdej stronicy
iążki.

Na tym samym mniej więcej poziomie
oi książka *Keine Angst vor Soviet-
sland* (Nie bójmy się Rosji Radziec-
ej), wydana w Niemczech przez auto-
ukrywającego się pod prowokacyj-
m pseudonimem Polonius. Jakaż pro-
a jest recepta tego zbrodniarza: „Trze-
zgasić serce Rosji — Moskwę —
przy pomocy bomby atomowej, prze-
konawszy uprzednio drogą radiowych
audycji ludność ZSRR, aby zerwała z
komunizmem". Książka oburza zbrodni-
czością swoich myśli, ale jednocześnie
pobudza do śmiechu swą bezdenną głu-
potą.

Rozważania na temat szans „świata
zachodniego" snuje w swej książce
*Blick vom Kreml auf die militaerpoli-
tische Welt* (Rzut oka z Kremla na
wojskowo - polityczną sytuację świata)
Leo Freiherr Geyr von Schweppenburg.

Za znawcę bolszewizmu pragnie u-
chodzić Albert Herzer w swej książce
Bolschewismus und Menschenbildung
(Bolszewizm i wychowanie człowieka).
Podobnie jak żadnemu burżujowi nie
może się i panu Herzerowi pomieścić w
głowie, w jaki sposób państwo radziec-
kie zdołało stworzyć nowe, tak zwarte
pod względem ideowo-politycznym spo-
łeczeństwo.

Nasz — bardzo niekompletny —
przegląd zamknijmy wspomnieniem
„nowości" wydawniczej. Słowo „no-
wość" piszemy w cudzysłowie, chodzi
tu bowiem o książkę Hansa Guenthera,
czołowego teoretyka nazizmu w hitle-
rowskich Niemczech, pt. *Gattenwahl*
(Dobór małżonka). Wydawca Guenthe-
ra, Herr Lehman z Monachium, ma
czelność reklamować to dzieło jako
„książkę prześladowanego przez nazi-
stów człowieka" i to wówczas, gdy
każdy człowiek w Niemczech, który w
dniu klęski hitlerowskich Niemiec miał
więcej niż 15 lat, wie dobrze, że chodzi
o najzagorzalszego faszystę - ideologa
doby nazistowskiej. Tylko patrzeć, a
ukażą się jego *Rassenkunde des deut-
schen Volkes* (dowodzące „niezbicie", że
Niemcy są rasowo najwyższym narodem
świata) lub *Rassenkunde des juedischen
Volkes* (gdzie otrzymujemy dla odmia-
ny obraz „najniższej" rasy świata).
Według wszelkiego prawdopodobień-

stwa w książkach tych zmienione zostaną tylko niektóre, wycofane dziś z obiegu, wyrazy — podobnie jak to ma miejsce w Doborze małżonka: zamiast „germański" czytamy teraz „zachodnio-europejski" lub „chrześcijański"; poza tym jednak tekst pozostał nie zmieniony ani na jotę.

Konieczność streszczania się nakazuje przerwać ten przegląd „politycznego piśmiennictwa" w Niemczech zachodnich, aczkolwiek można by jeszcze długo cytować tytuły książek, których wyraźnym celem jest „psychologiczne przygotowanie wojny". Trzeba by kilku szpalt jeszcze, aby uzupełnić tę bibliografię rozlicznymi artykułami i cyklami artykułów rewizjonistycznych w prasie periodycznej, które dotychczas nie doczekały się jeszcze książkowego wydania. Dla pełnego obrazu należałoby wspomnieć także o nowych podręcznikach historii, w których młodzież uczy się o kulturalnej misji niemieckiego narodu na Wschodzie, dowiaduje się o cywilizacyjnej roli Zakonu Krzyżowego.

Wystarczy jednak ten krótki stosunkowo przegląd, aby stwierdzić, że piśmiennictwo polityczne w Niemczech zachodnich jest nie mniej groźne dla pokoju świata niż broń atomowa imperializmu. „Pokój zostanie utrzymany i utrwalony — powiedział Stalin w swym wywiadzie z korespondentem „Prawdy" — jeżeli narody ujmą w swe ręce sprawę utrzymania pokoju i będą broniły jej do końca". I dodał: „Wojna może stać się nieunikniona, jeżeli podżegaczom wojennym uda się omotać siecią kłamstw masy ludowe, oszukać je i wciągnąć do nowej wojny światowej".

Ta sieć kłamstw dławi coraz bardziej społeczeństwo zachodnio - niemieckie, ale mimo że kosztuje ona Amerykanów grube miliony, nie jest w stanie zdusić prawdy. Nie jest ona w stanie przełamać zdecydowanego oporu większości narodu niemieckiego przeciwko „armii europejskiej" i oderwać go od myśli o zjednoczeniu ojczyzny i stworzeniu niezależnego, demokratycznego państwa niemieckiego.

Zygmunt Szymański

DALTONISTA NA USTRONIU

„Krucjaty — powiedział zgalwanizowany ostatnio monachijczyk Daladier — mają to do siebie, że zawsze właściwie kończą się niepowodzeniem". Daladier jest zbyt zręcznym żonglerem politycznym, aby stawiać kropki nad „i"; ale nawet bez wskazywania palcem było rzeczą jasną, że gorzki sceptycyzm tej iście chamfortowskiej maksymy celuje w rozpętaną pod wysokim patronatem USA histerię „krucjaty antybolszewickiej". Czynnikiem, który tak ożywczo podziałał na jałową skądinąd wyobraźnię współtwórcy rozbioru Czechosłowacji i upadku Francji, nie były oderwane rozmyślania nad dziejami wieków średnich. Zapłodnił ją realny owoc trumanowskiej polityki — widok wyrastających za Renem fabryk zbrojeniowych i ćwiczących się neohitlerowskich kohort.

Obecnie, pobudzony przez obosieczne i zawodne wyniki czerwonego strachu, odezwał się zza Oceanu głos nie tyle Ameryki, ile autora amerykańskiej odmiany *Realpolitik*, plantatora krzewiącego płonki swych idei na mulistych brzegach Potomaku, Bismarcka w kieszonkowym wydaniu, słowem Mr. George F. Kennana, byłego szefa Biura Planowania Politycznego w Departamencie Stanu.

Latem 1947, wkrótce po objęciu tego stanowiska, George Kennan, jako „Mr. X" zamieścił w miesięczniku *Foreign Affairs* artykuł, który od razu stał się głośny. Bismarckida w atomowej szacie proklamował zasadę zerwa-

a z wszelką moralnością w stosunch międzynarodowych, nawoływał liczenia się tylko z „realiami mocy", elbił siłę, jako czynnik najwyższy, zstrzygający i jedyny. W płaszczyźe polityki praktycznej Mr. X wyprawał cały systemat środków, znany odl jako „polityka przeciwstawiania" — *the containment policy* — poznie zaś nazwany zimną wojną. Miał być „odpowiednio stopniowany i arkowany", nieustający atak na ziązek Radziecki i kraje demokracji dowej.

Popularyzacja tych poglądów, szybko yskontowanych tam, gdzie dyskonto ło się odruchem nawet nie warunkom — na Wall Street, wywołała wiame uderzenie krwi do głowy polityw amerykańskich. Obwieszczono wyawę krzyżową przeciw „czerwonemu ebezpieczeństwu" i na świat zachodzaczęła obsuwać się lawina histerii ejennej odrzucając zwały złota do kas ansistów zbrojeniowych. Szybko też szło na jaw, że w ruch zostały puzone siły, którymi kierować jest dno, zwłaszcza w sposób „stopniowai miarkowany", a rzeczywistość jest pełnie odmienna, niż ją widział i iał widzieć Mr. X. Wyszło na jaw, do realiów, nawet amerykańskich, esłanki teoretyka waszyngtońskiej *alpolitik* mają się tak, jak on sam Żelaznego Kanclerza. Okazało się, Mr. X jest daltonistą i jak każdy ktryner usiłuje wtłoczyć żywą prawświata w ramki koncepcyj mieszcych w sobie obraz fałszywy, spany jego wzrokiem niewrażliwym na wy prawdziwe i prawdziwy kształt czy.

Rozczarowany, p. Kennan osiadł na roniu, w zaciszu jednego z instyów naukowych starego uniwersytew Princeton. W tym odosobnieniu vstała seria szkiców poświęconych plomacji amerykańskiej bieżącego stulecia. Studia owe wydane zostały obecnie w formie niewielkiej książeczki — *„American Diplomacy, 1900—1950"* — i z miejsca stały się na Zachodzie sensacją dnia. Mr. Kennan potępia aneksję Filipin, potępia brak dostatecznych względów dla imperializmu japońskiego, potępia Wilsona za to, że nie utrzymał Wilhelma II przy władzy. Rooseveltowi zarzuca, że zaraz po otwarciu drugiego frontu we Francji nie przestawił swej polityki na antyradziecką, a w ogóle miota gromy na rzekome wprowadzenie do polityki zagranicznej Ameryki pojęć prawnych i moralnych.

Doktrynerska krucjata wilsonowska — twierdzi pogrobowiec Makiawela — prowadzona w imię niedościgłych ideałów, sprawiła, że wojny nie przerwano na czas. Inaczej ostałyby się może Niemcy rządzone przez konserwatystów, silne i dynamiczne, zdolne stawiać czoła potędze ZSRR. A kto wie, czy nie obylibyśmy się bez obu wojen światowych i zimnej wojny, gdyby nie owa niewczesna moralność wprowadzona do zagadnień międzynarodowych, które są przecież tylko zagadnieniem mocy. Należało by zatem wrócić — jeśli to w ogóle jest do pomyślenia — do metod dawnej dyplomacji; a wówczas może wyłonić się na nowo z mroków przeszłości świat przez tę dyplomację stworzony, świat Kongresu Wiedeńskiego, który zapewnił Europie pokój na całe stulecie.

Jak widzimy, p. Kennan odbywa podróż torpedą czasu — wstecz. Już nie Bismarck, ale Metternich jest jego ideałem. Ale fundator współczesnego Świętego Przymierza, innym zarzucając brak realizmu, sam ani razu nie konfrontuje swych snów z realną rzeczywistością. Nieco to dziwne jak na czynnego dyplomatę. Przejęty i oślepiony zewnętrznymi przejawami mocy, p. Kennan nie widzi, że to, w co się zapa-

trzył, jest po prostu odbitym w lustrze odwróconym obrazem jego własnych rojeń. Nie rozumie, że ani Metternich, ani Talleyrand nie tworzyli rzeczywistości, lecz byli tylko wykładnikami kształtujących ją sił.

Wielbiciel Kongresu Wiedeńskiego próżno szuka dróg cofnięcia świata w przeszłość; powraca z niczym. Zadowolić się musi cierpkim owocem niezziszczonych marzeń, niespełnionych tęsknot rodzących się na wspomnienie czasów, gdy Europą rządził samodzierżawnie Mikołaj I, na myśl o blisko stuletnim panowaniu reakcji — choć nie było ono tak jednolite, jak mu się zdaje. Przeszywały je błyski Wiosny Ludów i Komuny Paryskiej, iskry, które i nad Potomak dolatywały. A wieściły nadejście Tej, która swoim palącym tchnieniem w proch obróciła monarchię Wilhelma, a później spopieliła „tysiącletnie" mocarstwo Hitlera.

„Realia mocy" pojmuje p. Kennan jako mechaniczny zlepek technologii i ekonomiki. Zapomina, lub nie wie o właściwym źródle mocy — człowieku. Zapomina, lub nie wie, że techniczny, przemysłowy, gospodarczy fundament mocy inny ma ciężar gatunkowy w ręku państwa wstrząsanego przez sprzeczności klasowe, rządzonego w imię interesów jednej, wąskiej i zachłannej warstwy, inny zaś kiedy służy wspólnym wielkim celom jednolitego socjalistycznego społeczeństwa.

P. Kennan o tym nie wie. Wie dobrze natomiast, ale jako przykładny urzędnik Departamentu Stanu usiłuje zataić, że Wilson, pogromca demokracji pod każdą szerokością globu, jednym tylko powodował się ideałem — zniwelowania Europy i takiego podziału świata, który otworzyłby szeroko wrota ekspansji monopoli USA. Ów ideał, ucieleśniony w traktacie wersalskim, użyźnił glebę, na której rozplenił się faszyzm, z której zrodziła się II-a wojna światowa i zimna wojna.

I kłamie nieodrodny uczeń Wilsona-historyka, gdy w długich wywodach na temat frontu zachodniego zarzuca Rooseveltowi ustępliwość wobec Związku Rad. To hitlerowska machina wojenna ustępowała, a raczej rozpadała się pod ciosami Armii Radzieckiej. Polityka amerykańska wysnuwała jedynie wnioski. Drugi front, wówczas gdy powstał, niezależnie od tego co sądził osobiście Roosevelt, był właśnie takim wnioskiem — wnioskiem antyradzieckim.

Mija się też z prawdą piewca tajnej dyplomacji zaliczając ją do spraw minionych. Tajna dyplomacja kwitnie we wszystkich poczynaniach USA, we wszystkich zawieranych przez nie układach. Lecz kłamstwo jest, jak histeria, bronią obosieczną. Mąci wzrok, stępia ostrość wejrzenia. I prowadzi nie tylko do fałszywych ocen, ale i karkołomnych, w błędne koła absurdu wkraczających, łamańców myślowych. Sam autor przeraziłby się nieuchronnych konkluzji, gdyby zachował zdolność zimnego, logicznego myślenia.

Gdzież bowiem osiadłby p. Kennan, gdyby świat cofnął się do Kongresu Wiedeńskiego? Chyba nie w Waszyngtonie — dymiącej kupie gruzów spalonego właśnie wtędy przez Anglików miasteczka. W obłędnym pragnieniu wymazania z historii daty 7 listopada 1917, p. Kennan gotów jest skreślić blisko półtora stulecia istnienia i rozwoju własnej ojczyzny. Jeśli dziełko Kennana — jak chcą recenzenci anglosascy — ma by' wzorem chłodnej i beznamiętnej refleksji, to doprawdy zimna wojna sprowadziła na Stany Zjednoczone powrót nie do epoki Tańczącego Kongresu, ale epoki lodowcowej, w której marznie mózg i grabieje rozum.

Stwierdzenie tego faktu nie jest rewelacją. Toteż inna była przyczyna poruszenia, jakie wywołała książka. Mr. Kennan był tym, który skonstruował nadbudowę ideologiczną dla najbardziej awanturniczych pomysłów i poczynań wyznawców III-ej wojny. Dzisiaj — w mglisty coprawda sposób — przestrzega, że z punktu widzenia klas rządzących Ameryką, wojna totalna byłaby totalnym błędem. Kto wie, czy nie jest to nikła, lecz wyraźna zapowiedź częściowego bodaj odzyskania wzroku. Jedno jest pewne: na budowie myślowej *Machtpolitik* powstają rysy. To warto zasygnalizować.

Julian Stawiński

KSIĄŻKI NADESŁANE

WYDANIA ZBIOROWE

Maria Konopnicka — Pisma Wybrane pod red. Irminy Śliwińskiej (proza) oraz Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego (poezja), tom V i VI — Poezje. Za zezwoleniem Ministra Kultury i Sztuki z dnia 11 marca 1947 r. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Tom I — str. 283 i 1 nlb; tom II — str. 291 i 1 nlb.

Eliza Orzeszkowa — Pisma Zebrane pod red. Juliana Krzyżanowskiego, tom IV. — Cnotliwi. Za zezwoleniem Ministra Kultury i Sztuki z dnia 11 marca 1947 r. Tekst wg wydania „Tanie zbiorowe wydanie powieści Elizy Orzeszkowej" S. Lewentala, Warszawa 1885, tom XIII. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 254 i 2 nlb.

Henryk Sienkiewicz — Dzieła pod red. Juliana Krzyżanowskiego, tom XXXV i XXXVI — Wiry. Na podstawie zezwolenia Ministerstwa Kultury i Sztuki z dnia 11 marca 1947 roku. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951, Tom I — str. 185, 4 nlb. i 1 fotografia, tom II — str. 195, 4 nlb. i 1 fotografia.

PROZA

Marian L. Bielicki — Wyprawa po białe złoto. Wyd. II. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 70 i 2 nlb.

Helena Boguszewska — Czekamy na życie. Wyd. nowe. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 226 i 2 nlb.

Mikołaj Czukowski — O wielkim żeglarzu. Wyd. II. Przekł. z ros. pod red. Józefa Bielskiego. Ilustr. Leonii Janeckiej. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 110 i 2 nlb.

Karol Dickens — Marcin Chuzzlewit, tom I. przekł. z ang. Krystyny Czerwijowskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 430 i 1 nlb.

— Droga przez mrok. Opowiadania pisarzy niemieckich 1933—1945. Wybrał i opracował Marceli Ranicki. Przekł. z niem. Józefa Brodzkiego. Utwory „Wallau" i „Ołowiane żołnierzyki" w przekł. J. Mareckiej i M. Wołczackiej. Rysunki i inicjały Aleksandra Sołtana. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 191 i 3 nlb.

Zofia Dróżdż-Satanowska — Opowieść wierzbowa. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 266 i 1 nlb.

Anatol France — Wyspa Pingwinów. Przekł. z franc. Jana Stena. Biblioteka Głosu Robotniczego. Na zlecenie R.S.W. „Prasa" „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 218 i 1 nlb.

D. Furmanow — Bunt. Przekł. z ros. Zofii Petersowej. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 340 i 2 nlb.

O. Gonczar — Chorążowie. Przekł. z ros. cz. I i II K. Malinowskiej, cz. III A. Dolińskiej. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 471 i 1 nlb.

Maksym Gorki — Foma Gordiejew. Przekł. z ros. Gabrieli Pauszer-Klonowskiej. Ilustr. Kukryniksów. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 294 i 2 nlb.

Marcelina Grabowska — Antoni Mroczek poznaje świat. Powieść. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 259 i 1 nlb.

Żan Griwa — Opowiadania o Hiszpanii. Przekł. z ros. Ireny Tuwim i Juliana Stawińskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str 141 i 2 nlb.

Karol Grünberg — Zaczęło się w Edenie. Opowiadania. Przekł. z niem. J. Mareckiej i M. Wołczackiej. Ilustr. Jana Kobera. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 214 i 1 nlb.

Aleksander Jackiewicz — Penicylina. Powieść. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 293 i 1 nlb.

E. Junga — Ludzie morza. Przekł. z ros. T. J. Everta. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 353 i 3 nlb.

Karbonera. Opowiadanie bułgarskie. przekł. z bułg. Bronisława Cirlica. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 90 i 2 nlb.

Piotr Karvas — Pokolenie. Część pierwsza trylogii. Przekł. z jęz. słowack. Zdzisława Hierowskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 386 i 2 nlb.

E. Kazakiewicz — Wiosna nad Odrą. Wyd. III. Przekł. z ros. Tadeusza Jakubowicza. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 544 i 2 nlb.

O. Koriakow — Szlakiem śmiałych. Przekł. z ros. Haliny Rogala. Okładka i ilustr. Anny Hoffman. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 221 i 2 nlb.

. **Kosmodemiańska** — Opowieść o Zoi i Szurze. Oprac. literackie F. Wigdorowej. Przekł. z ros. E. Słobodnikowej. Inicjały Wandy Werner. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 288 i 1 fotografia.

gnacy Krasicki — Historia na dwie części podzielona. Opracował i wstępem opatrzył Jerzy Ziomek. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych, tom 63, opracowany w Instytucie Badań Literackich. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. XXXIII, 146 i 4 nlb.

tanisław Kowalewski — Załoga Elżbiety. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 188 i 2 nlb.

adeusz Kurek — Świt nad Częstochową. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 61 i 2 nlb.

ack Lindsay — Łuny nad Smithfield. Przekł. z ang. Bronisława Zielińskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 553 i 3 nlb.

enryk Mann — Podwładny. Przekł. z niem. M. Wołczackiej i J. Mareckiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 381 i 2 nlb.

. Biedacy. Przekł. z niem. Stanisława Sielskiego. „Książka i Wiedza". Warszawa, 1951. Str. 169 i 2 nlb.

omasz Mann — Buddenbrookowie. Dzieje upadku rodziny. Powieść. Wyd. II. Z upoważnienia autora tłum. z niem. Ewa Librowiczowa. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Tom I — str. 318 i 2 nlb.; tom II — str. 295 i 1 nlb.

. **Musatow i M. Czaczko** — Ogniska na wzgórzach. Przekł. z ros. Janiny Dziarnowskiej. Ilustr. A. Kruszewskiego. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 253 i 2 nlb.

an Neruda — Opowiadania ze starej Pragi. Przekł. autoryz. z czesk. Marii Erhardtowej. Wyd. II. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 323 i 2 nlb.

dmund Niziurski — Gorące dni. Powieść. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 251 i 1 nlb.

. **Panow** — Opowieść o dwóch okrętach. Przekł. z ros. Tadeusza Everta. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 346 i 2 nlb.

Pieniężko — Pisane w czołgu. Notatki radzieckiego oficera. Przekł. z ros. St. Strumph-Wojtkiewicza. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 517 i 2 nlb.

. **Popow** — Bitwa pod Borodino. Przekł. z ros. Zofii Petersowej. Ilustr. wg projektu O. Wierejskiego. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 146 i 1 nlb.

Aleksander Popowski — Natchnieni poszukiwacze. Przekł. z ros. Józefa Brodzkiego. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 243 i 4 nlb.

Eça de Queiroz — Zbrodnia księdza Amaro. Przekł. z portug. Małgorzaty Hołyńskiej i Eugeniusza Grudy. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 466 i 2 nlb.

Heinz Rein — Finale Berlin. Powieść. Przekł. z niem. części I — Jacka Frühlinga, części II — Marii Wisłowskiej Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 351 i 1 nlb.

Marian Ruth-Buczkowski — Pierwsze dni. Opowiadanie. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 149 i 1 nlb.

Henryk Sienkiewicz — Humoreski z teki Worszyłły. Opracowała i wstępem opatrzyła Władysława Wasilewska. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych, Nr 66. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. XXII, 133 i 4 nlb.

— Nowele Wybrane. Tekst na podst. wydania zbiorowego dzieł H. Sienkiewicza pod red. Juliana Krzyżanowskiego. Wyd. nowe. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 316 i 2 nlb.

— Krzyżacy. Powieść. Wyd. nowe. Tekst drukowano na podst. wydania zbiorowego dzieł. H. Sienkiewicza pod red. Juliana Krzyżanowskiego, na podstawie zezwolenia Ministerstwa Kultury i Sztuki z dnia 11 marca 1947 r. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Tom I — str. 468 i 1 nlb., tom II — str. 539 i 2 nlb.

Fryderyk Skarbek — Pan starosta. Powieść obyczajowa. Tekst wg wydania z 1874 roku. Posłowie dr Mariana Ludzińskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 149 i 3 nlb.

Paweł Szebunin — Kurhan Mamaja. Wyd. IV. Przekł. z ros. Mariana Bielickiego. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 255 i 1 nlb.

W. M. Thackeray — Pierścień i róża. Przekł. z ang. Zofii Rogoszówny. Wyd. IV. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1951. Str. 186 i 2 nlb.

Konstanty Treniew — Utwory Wybrane. Opowiadania — szkice — artykuły. Przekł. z ros. Włodzimierza Kałuby, Zdzisława Wędrychowskiego i Jana Wolskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 627 i 4 nlb.

Monika Warneńska — Czerwona kokarda. Wyd. II. Biblioteka Głosu Robotniczego. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1952. Str. 173 i 2 nlb.

Paweł Weżynow — Druga kompania. Wyd. II. Przekł. z bułg. Jana Woźnickiego. Biblioteka Głosu Robotniczego. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 153 i 5 nlb.

Fryderyk Wolf — Siedmiu spod Moskwy. Przekł. z niem. Józefa Brodzkiego. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 90 i 2 nlb.

— Pogranicze. Powieść napisana w roku 1938 na podstawie autentycznych relacji. Przekł. autoryz. z niem. Jacka Frühlinga. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 461 i 1 nlb.

Fryderyk Wolf i Filip Gecht — Rada bogów. Oprac. Franz Fabian. Posłowie Edmunda Osmańczyka. Przekł. z niem. Marii Wirpsza-Kureckiej. Fotografie z filmu Defy „Rada bogów". Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 206 i 1 nlb.

A. G. Vaida — Iskry w mroku. Przekł. z rum. Zdzisława Skarżyńskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 280 i 2 nlb.

Witalij Zakrutkin — Pływająca stanica. Przekład. z ros. Mikołaja Dąba. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 372 i 2 nlb.

T. Żurawlew — Szeregowiec Antipow. Przekł. z ros. Jana Jerzyńskiego. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 147 i 1 nlb.

P. Żurba — Aleksander Matrosow. Przekł. z ros. Romana Karsta. Ilustr. i przerywniki J. Nieprincewa i N. Sjedikowa. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 230 i 2 nlb.

POEZJA I DRAMAT

Józef Bliziński — Rozbitki. Komedia w 4 aktach. Oprac. Zbigniewa Wasilewskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1951. Str. 207 i 2 nlb.

— Pan Damazy. Komedia w 4 aktach. Oprac. Zbigniewa Wasilewskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 209 i 2 nlb.

Antoni Czechow — Trzy siostry. Dramat w 4 aktach. Przekł. Artura Sandauera. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 136 i 2 nlb.

Prosper Mérimée — Żakeria. Przedmowa Aragona. Przekł. Joanny Guze. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. XVII, 199 i 3 nlb.

Alfred Musset — Nie trzeba się zarzekać. Komedia w 3 aktach. Przekł. z franc. Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 87 i 1 nlb.

Pablo Neruda — Niech się zbudzi drwal. Nowy przekł. Lecha Pijanowskiego. Pod red. Jerzego Borejszy. Ilustr. Tadeusza Kulisiewicza. Międzynarodowa Nagroda Pokoju 1950 r. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 58 i 3 nlb.

Mikołaj Niekrasow — Wiersze wybrane. Przekł. Leopolda Lewina. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 78, 2 nlb. i 1 reprodukcja litografii.

O Polskę Ludową. Zbiór wierszy i pieśni z lat 1941—1951. Oprac. i wstęp Wiktora Woroszylskiego. W przygotowaniu materiałów udział wzięli: E. Markowa i Wł. Góra. Oprac. graficzne Stanisława Töpfera. Wydano w 10 rocznicę powstania Polskiej Partii Robotniczej. Wydział Historii Partii KC PZPR. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 162 i 2 nlb.

Ewa Szelburg-Zarembina — Spotkania. Jedenaście gawęd. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 190 i 3 nlb.

HISTORIA LITERATURY I HISTORIA

Kazimierz Chłędowski — Pamiętniki. Do druku przygotował, wstępem i przypisami opatrzył Antoni Knot. Tom I — Galicja (1843—1880) — str. XXIV, 299, 1 nlb. i 1 fotografia; tom II — Wiedeń (1881—1901) — str. 398, 2 nlb. i 1 fotografia. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951.

— Album fotograficzne. Opracował i wydał Antoni Knot. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. XVII, 234 i 16 ilustracji.

Dwa nurty literatury mieszczańskiej XVII w. w Polsce. Oprac. Kazimierz Budzyk i Hanna Budzykowa. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych, tom 62, oprac. w Instytucie Badań Literackich. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. XXXV, 267 i 2 nlb.

Ernst Fischer — Rok 1848 w Austrii. Przekł. z niem. Zofii Fürstenberg. Biblioteka historyczna, Nr 14. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 115 i 1 nlb.

Stefan Kieniewicz — Przemiany społeczne i gospodarcze w Królestwie Polskim (1815—1830). Wybór tekstów źródłowych. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 503.

in Kott — Trwałe wartości literatury polskiego Oświecenia. Z prac Instytutu Badań Literackich. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 71 i 1 nlb.

'acław Kubacki — „Monachomachia" przed sądem potomności. Praca wykonana na zlecenie Instytutu Badań Literackich. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 80 i 2 nlb.

eander — Sąd rozjemczy (Epitrepontes). Przekł. z greckiego i oprac. Jerzego Manteuffla. Biblioteka Narodowa, Seria II, Nr 67. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. XLI, 57 i 1 nlb.

ntoni Sygietyński — Pisma krytyczne. Krytyka literacka i artystyczna. Wybrał i opracował Jan Zygmunt Jakubowski. Z prac Instytutu Badań Literackich. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 447 i 2 nlb.

ITERATURA NAUKOWA

ronisław Baczko — O poglądach filozoficznych i społeczno-politycznych Tadeusza Kotarbińskiego. Instytut Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR, katedra materializmu dialektycznego i historycznego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 132 i 3 nlb.

ULTURA I SZTUKA

ródła do dziejów sztuki polskiej pod red. Andrzeja Ryszkiewicza, tom II — Materiały dotyczące życia i twórczości Wojciecha Gersona. Oprac. Armand Vetulani i Andrzej Ryszkiewicz. Państwowy Instytut Sztuki. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. VI, 139 i 3 nlb.

ELIETONY

ideusz Borowski — Mała kronika wielkich spraw. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 169 i 3 nlb.

UBLICYSTYKA

m Buck — Kanada. Przekł. z ang. K. Rapaczyńskiego. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 173 i 2 nlb.

n Drzewiecki — Przełamanie frontu austriacko-niemieckiego w 1916 roku. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 45, 2 nlb. i 2 mapy.

Ilja Erenburg — Nadzieja pokoju. Przekł. Joanny Guze. Przejrzał i wstępem opatrzył Samuel Fiszman. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 140, 2 nlb. i 1 fotografia.

W. Korionow — Imperializm amerykański śmiertelny wróg narodów. Przekł. z ros. A. Mazurka. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 174 i 1 nlb.

Niemiecka Republika Demokratyczna. Materiały i dokumenty. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 146 i 4 nlb.

M. L. Szyfman — Sądownictwo USA i krajów zmarshallizowanych w służbie podżegaczy do nowej wojny. Przekł. z ros. Mieczysława Kalwarskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 65 i 3 nlb.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Janina Broniewska — Krystek z Warszawy. Wyd. III. Ilustr. Heleny Krajewskiej, Zalecone do użytku szkolnego pismem Min. Oświaty Nr OC — 1217/49 z dnia 4.6.1949 r. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 160 i 2 nlb.

Svatopluk Czech — Wyprawa pana Brouczka w XV stulecie. Przekł. z czesk. Marii Erhardtowej. Ilustr. S. Rozwadowskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 197 i 2 nlb.

Arkady Gajdar — Dzieła, tom II. Przekł. z ros. pod red. Aleksandra Wata. Ilustr. A. Jermołajewa z wyd. ros. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 525 i 2 nlb.

Ewa Szelburg-Zarembina — Jedzie traktor. Ilustr. J. Kirilenko. Wyd. II. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 23 i 1 nlb.

FILM

E. Gabryłowicz — Maszeńka. Przekł. z ros. Władysława Roguskiego. Biblioteka scenariuszy filmowych Nr XII. Filmowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, 1951. Str. 91 i 1 nlb.

Wiktor Ostrowski — Kinematografia wąskotaśmowa. Współautorzy: inż. Stefan Basiński, inż. Jerzy Brzozowski i Bolesław Kujawski. Rysunki Zofii Oberg. Filmowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, 1951. Str. 252 i 2 nlb.

SPIS TREŚCI Str

Odpowiedź Towarzysza Stalina na pytania grupy redaktorów gazet amerykańskich . . . . . .
Depesza Józefa Stalina do Bolesława Bieruta . . . . . .
Bolesław Bierut — Przemówienie na otwarcie radiostacji we Wrocławiu; Przemówienie w fabryce im. Generała Świerczewskiego; Przemówienie do absolwentów Państwowych Liceów Pedagogicznych .
Anna Kamieńska — Warszawa 2
Tadeusz Chróścielewski — Ostatnie chwile Leonarda da Vinci . 2
Paweł Hertz — Lirnik mazowiecki 2
Igor Newerly — Pamiętnik z Celulozy 3
Włodzimierz Majakowski — O tym (fragment poematu, 1923) — przeł. Antoni Słonimski. 10
Tadeusz Breza — Jokkmokk 10
Maciej Żurowski — Wiktor Hugo klasyk ludowy 14
Wiktor Hugo — Lipiec 1830; Sztuka i lud; Wesołe życie; Momotombo; Wygnanie; Ja kwiat ten na wzniesieniu...; Wieczór w Bretanii; — przeł. Zbigniew Bieńkowski 14
Jan Kott — Wiktor Hugo 15
Narada filmowa: Edward Ochab, Stanisław Albrecht, Wanda Jakubowska, Aleksander Ford, Jan Ciecierski, Włodzimierz Jakowlew, Stanisław Nadzin, Lesław Woytyga, Włodzimierz Sokorski . 17
Zbigniew Mitzner — Kłopoty Adolfa Dygasińskiego . . . 18
Z SEKCJI ZLP: Kazimierz Brandys: O cyklu „Między wojnami“ . 19
WŚRÓD KSIĄŻEK: Włodzimierz Maciąg — Józef Dunin Borkowski „Wybór poezji“; Jan Śpiewak — Henryk Gaworski „Przed nami życie“; Henryk Bereza — Marian Brandys „Początek opowieści“; Wojciech Natanson — „Z wielkiego domu“. Mała antologia szlachecka; Marceli Ranicki — Fryderyk Wolf „Pogranicze“, „Kożuszek z Rosji“, „Powrót synów“; Jerzy Parvi — Stendhal „Lucjan Leuwen“ 20
NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki, Kazimierz Ostrowski, Józef Spinc, Julian Stawiński. . 22
KSIĄŻKI NADESŁANE . . . . . , . 25

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik“
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65, centr. 7-52-50/52, wewnętrzny
Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50
Cena zeszytu zł 5.—. Prenumerata kwartalna zł 15.—, półroczna — zł 30.—.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Od dnia 16. V. 1952 r. indywidualne zamówienia i wpłaty na prenumeratę pism przyjmować będą tylko urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy. W związku z tym bezpośrednich zamówień i wpłat do PPK „Ruch“ kierować nie należy. Prenumerata zbiorowa, tzw. zakładowa, pozostaje jak dotychczas, tzn. zamówienia i wpłaty kierowane są bezpośrednio do PPK „Ruch“.

41